

AUTOR KONTYNUACJI millennium STIEGA LARSSONA

LAGERCRANTZ

DAVID

CZŁOWIEK, KTÓRY
WYSZEDŁ Z MROKU



LAGERCRAINTZ

DAVID

CZŁOWIEK, KTÓRY
WYSZEDŁ Z MROKU

Ze szwedzkiego przełożyła
Alicja Rosenau

 WIELKA LITERA

JEDEN

Komendant policji był idiotą. Ten pomysł kompletnie nie miał sensu.

Komisarz Fransson wygłaszał właśnie długą gniewną przemowę, a Micaela Vargas już nie miała siły go słuchać. Poza tym w samochodzie było o wiele za gorąco. Za oknem przesuwały się szykowne wille Djursholmu.

– Czy nie pojechaliśmy za daleko? – zapytała.

– Tylko spokojnie, dziewczynko, wszystko jest pod kontrolą – odparł Fransson, wachlując się dłonią.

Niedługo potem skręcili na teren rozległego ogrodu i podjechali pod duży dom z jasnymi kolumnami wzdłuż ściany frontowej. Micaela czuła coraz większą nerwowość. Właściwie pracowała jako dzielnicowa, ale tego lata została przydzielona do śledztwa w sprawie morderstwa, gdyż miała pewną wiedzę na temat podejrzanego Giuseppe Costy. Dotąd przeważnie była na posyłki lub robiła prosty research. A jednak jej koledzy zdecydowali, że zabiorą ją ze sobą do niejakiego profesora Rekkego, który zdaniem komendanta miał im pomóc w śledztwie.

– To musi być jego żona – powiedział Fransson i wskazał piękną rudowłosą kobietę w białych spodniach, która stała na tarasie, by ich przywitać.

Kobieta wyglądała jak wyjęta z jakiegoś filmu. Micaela, spocona i skrępowana, wysiadła z samochodu i po zwirowanym podjeździe podeszła do domu.

DWA

Przeważnie Micaela przychodziła do pracy wcześniej. Tego ranka jednak, kilka dni przed wizytą w wielkim domu, siedziała w kuchni przy śniadaniu, choć było już po dziewiątej. Zadzwoił telefon. W słuchawce odezwał się Jonas Beijer.

– Wszyscy mamy się stawić u komendanta.

Nie dowiedziała się dlaczego. Wyczuła, że to jakaś wyjątkowa sytuacja. Podeszła do lustra w przedpokoju i obciągnęła sportową bluzę. Bluza była w rozmiarze XL, układała się luźno, nawet trochę na niej wisiła. Wyglądasz, jakbyś chciała się w niej ukryć, powiedziała by pewnie jej brat Lucas. Ale ona uznała, że bluza pasuje, przejechała włosy szczotką, zaczesła grzywkę na czoło, aż prawie całkiem zasłoniła jej oczy, i poszła na stację metra.

Był 19 lipca 2003 roku, a Micaela krótko przedtem skończyła dwadzieścia sześć lat. W metrze przebywało stosunkowo mało ludzi. Miała dla siebie całe siedzenie i mogła pograć się w myślach.

Nic dziwnego, że ta sprawa interesowała szefostwo policji. Samo morderstwo stanowiło przypuszczalnie czyn popełniony w ataku szału, po pijanemu. Ale towarzyszyły mu inne okoliczności, które nadawały śledztwu szczególną wagę. Zamordowany Jamal Kabir, sędzia piłkarski, a także uchodźca z Afganistanu rządzonego przez talibów, został zatłuczony kamieniem po meczu zespołów młodzieżowych na stadionie Grimsta. Wszyscy się domyślali, że komendant będzie chciał się wmieszać w tę sprawę.

Wysiadła na stacji Solna Centrum i idąc w stronę siedziby policji na Sundbybergsvägen, pomyślała, że dzisiaj wreszcie się odważy i powie, co ją od pewnego czasu uwiera w tym śledztwie.

Martin Falkegren był najmłodszym komendantem w kraju. Chciał być postępowy, na bieżąco z wszelkimi nowinkami. „Swoje pomysły obnosi jak medale na piersi” – tak mówili o nim ludzie, nie do końca życzliwie jego zdaniem. On jednak chlubił się swoją otwartością i teraz właśnie znów zamierzał wypróbować coś nowego. Może ich to rozzłości. Ale, jak powiedział swojej żonie, tamten wykład był najlepszym, jakiego kiedykolwiek wysłuchał. Dlatego sądził, że warto spróbować.

Ustawił dodatkowe krzesła, na stołach umieścił butelki wody mineralnej Ramlösa i dwie miseczki lukrecjowych żelków, które jego sekretarka zakupiła na promie do Finlandii, i zaczął nasłuchiwać kroków na korytarzu. Nikt jeszcze nie nadchodził. Przez chwilę wyobrażał sobie Franssona, jego potężną sylwetkę i krytyczne spojrzenie, i przyszło mu do głowy, że właściwie nie powinien mieć do niego pretensji. Żaden prowadzący śledztwo nie lubi, kiedy przełożeni wtrącają mu się do roboty.

Ale to była wyjątkowa sytuacja. Sprawca, kompletnie szalony i narcystyczny Włoch, po prostu wodził ich za nos. Trzeba przyznać, że to było żenujące.

– Przepraszam, czy jestem pierwsza?

To była ta młoda Chilijka. Nie pamiętał, jak się nazywa. Przypomniawszy sobie tylko, że Fransson chciał się jej pozbyć z zespołu, były między nimi jakieś tarcia.

– Witam. Chyba jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać – powiedział, wyciągając rękę.

Dziewczyna ujęła dłoń i odpowiedziała mocnym uściskiem, a on przez chwilę mierzył ją wzrokiem z góry na dół. Była dość niska i mocno zbudowana, miała gęste falujące włosy z długą grzywką zaczesaną na czoło. Jej duże oczy, lekko skośne, lśniły intensywnym blaskiem. Było w niej coś, co z jednej strony go pociągało, a z drugiej wywoływało dystans. Poczuli, że ma ochotę przedłużyć kontakt fizyczny. Ale nieoczekiwanie się zmieszali i tylko wymamrotał:

– Zna pani Costę, prawda?

– Spotykałam go – odparła. – Oboje pochodzimy z Husby.

– Jak mogłaby pani go opisać?

– Jest trochę showmanem. Czasami śpiewał dla nas na podwórku. Ale potrafi też być bardzo agresywny, kiedy wypije.

– Tak, to daje się zauważyć. Tylko dlaczego kłamie nam w żywe oczy?

– Nie jestem pewna, czy kłamie – powiedziała dziewczyna, a jemu ta odpowiedź się nie spodobała.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że mieliby złapać niewłaściwego człowieka. Zeznania świadków obciążały Costę, przygotowywano akt oskarżenia. Tym, czego brakowało, były fizyczne dowody i przyznanie się do winy – o tym właśnie chciał porozmawiać. Ale nie zdążył powiedzieć jej niczego więcej. Z korytarza dobiegały już głosy pozostałych, więc wyprostował się i zaczął od gratulacji.

– Dobra robota. Jestem z was dumny, panowie – oznajmił i choć nie było to najszcześniejsze sformułowanie, biorąc pod uwagę obecność Chilijki, nie poprawił się. Silił się na koleżeński ton. Ale to też się nie udawało. Próbował więc dalej: – Co za szalona historia. A wszystko dlatego, że sędzia nie odgwizdał karnego.

Nie była to najbardziej wyrafinowana wypowiedź. Choć z drugiej strony był to tylko sposób, żeby sprowokować rozmowę. Ale Fransson naturalnie skorzystał z okazji i pouczył go, że to wcale nie było takie proste. Stwierdził, że istniał wyraźny motyw, może nie oczywisty dla każdego, ale wystarczający dla pijanego ojca piłkarza, niepanującego nad impulsami i żyjącego wyłącznie osiągnięciami swojego syna na boisku.

– Tak, tak, no właśnie – przyznał Falkegren. – Ale mimo wszystko, na Boga... Widziałem nagranie wideo. Costa zachowywał się jak szaleniec, podczas gdy sędzia... Jak on się nazywał?

– Jamal Kabir.

– ...podczas gdy Jamal Kabir był całkowicie spokojny. To jest dopiero postawa.

– Tak mówili.

– A jak on machał rękami. Tak elegancko, prawda? Jakby kierował całym meczem.

– Owszem, to było dość niezwykle – przyznał Fransson, a wtedy Martin Falkegren oderwał od niego wzrok i postanowił przejąć inicjatywę.

To nie na pogawędkę ich tu zwołał.

Micaela wierciła się na krześle. Nastrój był nieszczególny, choć Falkegren robił wszystko, żeby stać się częścią zespołu. Ale to od początku było skazane na porażkę. On należał do innego gatunku ludzi. Nie tylko dlatego, że przez cały czas się uśmiechał, nosił wyprasowany garnitur i mokasyny z chwostami.

– A jak wygląda kwestia dowodów, Carl? Rozmawiałem przelotnie z... – Tu Falkegren spojrział na nią pytająco. Najwyraźniej nie pamiętał jej nazwiska albo nagle przyszło mu do głowy coś innego, bo niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

Wtedy wtrącił się Fransson i zaczął przedstawiać sytuację dowodową. Jak zwykle kiedy mówił, wszystko brzmiało przekonująco. Wyglądało na to, że jedyną brakującą rzeczą jest wyrok skazujący, i może właśnie dlatego komendant nie słuchał go zbyt uważnie. Wymamrotał tylko twierdząco:

– No właśnie, właśnie tak, czyli wagi materiału dowodowego w żaden sposób nie osłabia diagnoza z raportu P7.

– Nie, w zasadzie nie – powiedział Fransson, na co Micaela podniosła głowę znad notatek.

„P7 – pomyślała – ten cholerny raport P7”. Miała go w rękach dziesięć dni temu i nie do końca wiedziała, o co w nim chodzi. To było wstępne badanie psychiatryczne, które poprzedzało właściwą diagnozę. Micaela zaczęła czytać wyniki z ciekawością, ale prawie natychmiast się rozczarowała. „Antyspołeczne zaburzenie osobowości” – napisano we wnioskach. „Prawdopodobne antyspołeczne zaburzenie osobowości”. Czyli innymi słowy, Costa miałby być psychopata. Nie wierzyła w to.

– Dokładnie tak – powiedział komendant z nową ekscytacją w głosie. – Tam jest klucz do jego osobowości.

– No, może – przyznał Fransson niepewnie.

– Ale chodzi o to, żeby wydobyć od niego przyznanie się do winy.

– Tak, oczywiście.

– I byliście już blisko?

– Tak, w sumie tak.

– I ja też odegrałem w tym dramacie pewną rolę, prawda? – pytał dalej Falkegren.

Przez chwilę wszyscy sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, o co chodzi, choć wiedzieli bardzo dobrze. Dlatego też nikt nie był zdziwiony, kiedy dodał:

– To ja poprosiłem was, żebyście wypróbowali nową technikę przesłuchań.

– No właśnie, tak, to była bardzo dobra rada – wymamrotał Fransson, udając wdzięczność, ale bez nadmiernego podziwu.

Po zapoznaniu się z diagnozą z raportu P7 Falkegren zaproponował, żeby przestali wywierać naciski na Giuseppe Costę, a zamiast tego pozwolili mu wypowiadać się jako znawcy psychologii. Brzmiało to nieco dziwnie, ale Falkegren nie ustępował. „Jego mniemanie o sobie jest gigantyczne, zdaje mu się, że wie wszystko na temat piłki nożnej” – utrzymywał, więc w końcu zdecydowali się podjąć próbę. Pewnego dnia, kiedy Giuseppe był w szczególnie chełpliwym nastroju, Fransson rzucił:

– Ma pan ogromne doświadczenie, więc pewnie może nam pan powiedzieć, co sobie myśli człowiek, który dokonuje tak niesłychanego czynu jak zamordowanie sędziego piłkarskiego.

Wtedy Costa wyprostował się na krześle i zaczął mówić z takim zaangażowaniem, iż można było odnieść wrażenie, że oto właśnie pośrednio przyznaje się do winy. Był to rzeczywiście interesujący moment w śledztwie. Jednak dopiero teraz Micaela w pełni zrozumiała, jaką dumą przepełniało to Martina Falkegrene.

– Bo wiecie, to znany chwyt. Był taki jeden sławny przypadek – wyjaśnił.

– Ach tak, doprawdy? – rzucił Fransson.

– Pewien młody dziennikarz przeprowadzał wywiad z Tedem Bundym w więzieniu na Florydzie.

– Słucham?

– Ted Bundy – powtórzył Falkegren. – Właśnie ten. W przypadku Bundy'ego metoda okazała się skuteczna. Facet studiował psychologię i kiedy dostał możliwość wypowiedzania się jako ekspert, po raz pierwszy się otworzył – mówił dalej komendant.

Już nie tylko Micaela miała teraz sceptyczny wyraz twarzy. Ted Bundy. Przecież mógł równie dobrze wymienić Hannibala Lectera.

– Nie zrozumcie mnie źle – dodał Falkegren. – Nie zamierzam robić tu porównań. Chcę tylko powiedzieć, że w tej dziedzinie pojawiły się nowe metody, nowe techniki przesłuchań, tymczasem my w policji... – Przerwał na chwilę.

– Tak?

– ...mamy duże braki w fachowej wiedzy. Powiedziałbym nawet, że byliśmy dotąd naiwni.

– Doprawdy? – rzucił Fransson.

– Ależ tak. Samo pojęcie psychopaty przez długi czas uważano za przestarzałe i stygmatyzujące. Ale, dzięki Bogu, ten trend się odwrócił. Niedawno byłem na wykładzie, znakomitym wykładzie, muszę podkreślić.

– No proszę – skomentował Fransson.

– Był niesłychanie wciągający. Wszyscy siedzieliśmy jak przyklejeni do krzeseł, naprawdę, szkoda, że was tam nie było. Wykładowcą był Hans Rekke.

– Kto?

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Jasne było, że nikt nie znał tego nazwiska ani też szczególnie się tym nie przejmował.

– Jest profesorem psychologii na Uniwersytecie Stanforda, niezwykle prestiżowe stanowisko.

– Imponujące – stwierdził ironicznie Fransson.

– Naprawdę – potwierdził Falkegren, który najwyraźniej nie wyczuł ironii. – Jest cytowany we wszystkich czołowych pismach branżowych.

– To fantastycznie – rzucił Ström tym samym kpiącym tonem.

– Ale nie myślcie, że to typ oderwany od rzeczywistości. Jest specjalistą od techniki przesłuchań, pomagał policji w San Francisco. Jest niezwykle bystry i ma ogromną wiedzę.

Te słowa też nie zrobiły na nikim wrażenia, pogłębiły raczej panujące w pokoju poczucie podziału na „my” kontra „oni”. Czyli na jednym biegu nie on – szef, karierowicz, który wybrał się na jakiś wykład i doznał olśnienia, a na drugim Fransson i jego ludzie – ciężko pracujący policjanci, którzy mocno stąpają po ziemi i nie wpadają od razu w zachwyt nad każdą modną nowinką.

– Profesor Rekke i ja od razu znaleźliśmy wspólny język, dobrze się rozumiemy – ciągnął Falkegren, podkreślając, że on też jest kimś wyjątkowym, skoro dobrze rozumie się z tak wybitnym człowiekiem. – Opowiadałem mu o sprawie Costy – dodał.

– O, doprawdy? – Fransson uniósł brew.

– Wspomniałem o tej jego manii wielkości, cechach narcystycznych, o tym, że jesteśmy w trudnej sytuacji, bo nie mamy fizycznych dowodów winy.

– Okej – rzucił Fransson.

– Wtedy on przypomniał o metodzie wykorzystanej przy sprawie Bundy’ego i powiedział, że może też powinniśmy jej spróbować.

– Dobrze, a więc wiemy już, skąd ta myśl – powiedział Fransson, jakby zależało mu na zakończeniu tej rozmowy.

– Ale potem, kiedy to zadziało, kiedy Costa rzeczywiście się otworzył, pomyślałem: a niech to! Jeśli Rekke tak bardzo nam pomógł taką zwykłą

uwagą, rzuconą z marszu, to czego mógłby dokonać, gdyby bliżej zapoznał się ze sprawą?

– Hm, rzeczywiście można się zastanawiać – rzucił zaniepokojony Fransson.

– Otóż to – potwierdził Falkegren. – Dlatego trochę popytałem tu i ówdzie, bo jak wiecie, mam swoje kontakty, i wszędzie słyszałem same pochwały. Same pochwały, moi panowie. Dlatego pozwoliłem sobie wysłać nasze materiały profesorowi Rekkemu.

– Co takiego? Co zrobiłeś?! – wykrzyknął Fransson.

– Posłałem mu materiały ze śledztwa.

Teraz wszyscy mieli wrażenie, że nie do końca rozumieją. Potem Fransson zerwał się z krzesła.

– Przecież to, do jasnej cholery, jest naruszenie tajności śledztwa – warknął.

– Spokojnie, tylko spokojnie – odparł Falkegren. – Wcale tak nie jest. Rekke będzie częścią naszego zespołu, jest zresztą zobowiązany do tajemnicy zawodowej jako psycholog. Szczerze powiedziawszy, uważam, że naprawdę go potrzebujemy.

– Bzdura – prychnął Fransson.

– Jak mówiłem, wykonaliście świetną robotę, co do tego nie ma wątpliwości. Ale sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Potrzebujecie przyznania się do winy, a jestem przekonany, że Rekke może być tu przydatny. Potrafi wyśledzić nieścisłości i luki w zeznaniach jak nikt inny.

– Więc co mamy zrobić twoim zdaniem? – zapytał Fransson. – Pozwolić temu profesorowi przejąć nasze śledztwo?

– Nie, na Boga, nie. Mówię tylko, że powinniście się z nim spotkać i wysłuchać, co ma do powiedzenia. Przekonać się, czy może wam podsunąć jakiś nowy kierunek. Przyjmie was w sobotę o drugiej w swoim domu w Djursholmie. Obiecał, że do tego czasu przeanalizuje cały materiał.

– Nie zamierzam marnować kolejnej wolnej soboty na jakieś bezsensowne gówna – rzucił Axel Ström, który był najstarszy w grupie i zbliżał się do

wieku emerytalnego.

– Dobrze, dobrze, w porządku. Ale niektórzy z was na pewno mogą pojechać. Pani na przykład. – Falkegren wskazał Micaelę. – Rekke dzwonił i pytał właśnie o panią.

– Pytał o mnie? – Rozejrzała się niepewnie na boki, przekonana, że to był żart.

– Tak, uznał za interesujące jakieś przesłuchanie Costy, które pani prowadziła.

– Nie sądzę, żeby... – zaczęła Micaela.

– Po pierwsze, Vargas nie może jechać sama – wszedł jej w słowo Fransson, zwracając się do Falkegrena. – Nie ma wystarczającego doświadczenia, dużo jej jeszcze brakuje, a po drugie, z całym szacunkiem, Martinie, mogłeś nas wcześniej poinformować. Działalesz za naszymi plecami.

– Przyznaję, że tak. Przyjmij moje przeprosiny.

– Cóż, trudno, jest jak jest. Pojadę z nią.

– Świetnie.

– Ale nie zamierzam korzystać z ani jednej rady profesora, jeśli mi się nie spodobają. To ja kieruję tym śledztwem, nikt inny.

– Oczywiście. Ale jedź tam z otwartym umysłem.

– Zawsze mam otwarty umysł. Tego wymaga ten zawód – odparł Fransson, na co Micaela chciała prychnąć śmiechem i rzucić jakiś miażdżący komentarz.

Jak zwykle jednak zachowała milczenie i tylko kiwnęła z powagą głową.

– I ja się wybiorę – powiedział Lasse Sandberg.

– Ja też – dodał Jonas Beijer.

I na tym stanęło.

W następną sobotę spotkali się przed komendą i pojechali do wielkiej willi w Djursholmie: Micaela, Fransson, Sandberg i Beijer.

TRZY

Micaela pamiętała oczywiście, jak dowiedziała się o całej sprawie. To było tego samego dnia, gdy Costa został aresztowany. Koło godziny wpół do dziewiątej wieczorem wybierała się właśnie z wizytą do matki na Trondheimgatan. Choć był początek czerwca, w powietrzu czuło się chłód jak w październiku. Mimo to na podwórku zebrało się pełno ludzi. Kiedy podeszła bliżej, oburzone twarze zwróciły się w jej stronę i w ciągu kilku minut pojęła z grubsza, co się stało.

Giuseppe Costa, czy też Beppe, jak go nazywała, zabił sędziego piłkarskiego. Odbywał się mecz juniorów klubu Brommapojkarna, w którym grał jego syn Mario. Pod koniec drugiej połowy Beppe wbiegł na boisko, pijany w sztok, zaczął coś wykrzykiwać i machać rękami. Dopiero pięciu czy sześciu facetów zdołało powalić go na murawę. Po meczu, kiedy wszyscy myśleli, że sytuacja jest opanowana, ruszył podobno w ślad za sędzią, a w oczach miał coś szalonego.

– Przecież to jest całkiem bez sensu – stwierdziła Micaela i poszła do matki, która stała na galerii i patrzyła w dół na zebranych ludzi.

Długie siwe włosy jej mamy były rozpuszczone, miała na sobie nową hippisowską bluzę w kwiatki, a na bosych stopach kaptcie. Nieprzyjemnie zawiewało chłodem, a ona sprawiała wrażenie zaniepokojonej, jakby się obawiała, że coś się stało z Lucasem albo Simónem.

– *De qué están hablando?* – zapytała.

– Mówią, że Beppe zamordował jakiegoś sędziego piłki nożnej – odpowiedziała Micaela, a wtedy jej matka wyraźnie odetchnęła z ulgą, że Simón znów nie zrobił czegoś głupiego czy ryzykownego.

Potem, kiedy jadły kolację, trochę się nawet ożywiła.

– To było do przewidzenia – stwierdziła.

Micaela nie zastanawiała się nad tym szczególnie. „Takie rzeczy po prostu czasem się mówi” – pomyślała. Ale potem poczuła, że ją to złości. Jakby nagle się okazało, że Beppe po to się urodził, żeby zamordować sędziego. Całe Husby zalała masa plotek i odgrzewanych historii, które zdawały się sugerować, że kiedyś musiał nastąpić czyn takiego kalibru. Może dlatego Micaela postanowiła pójść pod prąd i zaczęła opowiadać o Beppem też inne rzeczy. Zwłaszcza jedno wydarzenie było dla niej ważne.

Miała wtedy zaledwie jedenaście albo dwanaście lat i dość często słyszała różne pogłoski o Beppem. Były jakieś bójki, różne sceny w lokalnym barze Husby Krog, krzyki i awantury dobiegające z jego mieszkania.

W tamtym czasie Simón, młodszy z jej dwóch starszych braci, zajmował się hip-hopem. Czasem wydawało się, że hip-hop był jedyną rzeczą, która nie zagrażała jego życiu. Jak wszyscy inni on też bał się Beppego. Costa przeganiał chłopaków, którzy na placu puszczali Eminema na swoich bo-omboksach. Ale mimo to musiał jakimś cudem zrozumieć, że Simón rozpaczliwie szukał wsparcia, bo w pewien sposób zbliżył się do niego. Kiedyś razem przepadli gdzieś na cały dzień i ćwiczyli. Wieczorem na podwórku Beppe z ważną miną wyszedł na środek, stanął koło grilla i powiedział, że wykona piosenkę.

– Nie teraz, nie mamy ochoty! – wołali ludzie.

– Zamknijcie się. Mam dla was coś specjalnego – rzucił Beppe i gestem przywołał Simóna.

Ten machnął ręką na odczepnego. Jak zawsze przed obcymi ludźmi był onieśmielony i zagubiony. Ale w końcu wykonał kilka tanecznych kroków, jakich Micaela nigdy przedtem nie widziała. Potem razem z Beppem zaczęli rapować: „Ja jestem syn marnotrawny, obrabiam banki i czasem ja-ram blanty” – tekst napisany przez Simóna. Micaela nie pamiętała, żeby ludzie na osiedlu kiedykolwiek reagowali tak entuzjastycznie.

To nie było właściwie nic szczególnego, miała świadomość, że wszyscy mordercy czasem też robili jakieś fajne rzeczy. A jednak siedziało to w niej głęboko, trochę jak zagadka do rozwiązania. Opowiadała tę historię parę

razy po zabójstwie i w końcu usłyszała, że sam Beppe chciałby z nią porozmawiać. Poinformował ją o tym inspektor policji kryminalnej Jonas Beijer.

– Czy powiedziałaabyś, że w stosunku do Costy nie jesteś bezstronna? – zapytał.

– Sama nie wiem – odparła.

Ale Jonas zdawał się nie słyszeć jej wątpliwości, tylko poprosił, żeby nawiązała kontakt i zobaczyła, czy potrafi skłonić Beppego do mówienia. To był oczywiście strzał w ciemno. Domyśliła się, że inne sposoby zawiodły. Giuseppe na przesłuchaniach mówił nie na temat, nie przyznał się nawet do tego, co wszyscy widzieli na nagraniach z meczu.

Jak zwykle przygotowała się drobiazgowo i dziesiątego czerwca rano zeszła do niego na dół. Siedział sam w pokoju przesłuchań i palił papierosa. Jego wielka rozczochrana postać sprawiała wrażenie, jakby się skurczyła. Uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Słyszałem, że mówisz o mnie dobre rzeczy – powiedział.

– Opowiadam też masę głupot.

– Lubilem twojego ojca – rzucił. – Pisywaliśmy do siebie karteczki.

– Wszyscy pisywaliśmy do niego karteczki. Nie lubił języka migowego.

– Ale był naprawdę świetnym facetem – ciągnął Beppe.

Wyglądał przy tym tak rozziewającą nieszczęśliwie, że Micaela bez trudu była w stanie mu współczuć.

Wyglądało na to, że cały świat sprzysiągł się przeciw niemu, więc może też dlatego – żeby ukryć sympatię i współczucie – Micaela potraktowała go dość ostro. Potem dowiedziała się, że zdołała wyciągnąć od niego wiele nowych informacji. Jonas Beijer pochwalił ją, na co ku swojemu zaskoczeniu odparła: „On coś ukrywa”, i to też zrobiło na nich wrażenie.

Od razu poczuła, że zdała swego rodzaju test. Następnego dnia zaproponowano jej pracę w zespole śledczym.

– Potrzebujemy kogoś, kto ma trochę lepszy wgląd w tę sprawę – powiedział Jonas i choć od początku widziała, że nie wszyscy witają ją z otwartymi ramionami, nie posiadała się z radości.

To był duży krok: w jedną noc przeszła z pozycji policjantki dzielnicowej do śledczej w sprawie morderstwa, o którym wszyscy mówili. Zaczęła nawet marzyć, że dostanie stopień komisarza albo jeszcze wyższy – inspektora. Przez pierwsze tygodnie była niesłychanie dumna z siebie i zmotywowana, zanim opadły ją wątpliwości.

CZTERY

W sobotę, kiedy mieli jechać do profesora Rekkego, w gazecie wyjątkowo nie pisali o morderstwie, nawet w dziale opinii nie było żadnego tekstu o przemoc w futbolu, nagonce na sędziów czy na dzieciaki, ani słowa.

Dlatego przeczytała tylko doniesienia z zagranicy, jak jej ojciec dawno temu, ale w Iraku też nie zdarzyło się nic nowego. Wojna była oficjalnie zakończona, choć tak naprawdę wcale się nie skończyła. Codziennie zamachowcy wysadzali się w powietrze. Wyglądało na to, że potrzeba jeszcze dużo czasu, by na tych ruinach powstała wspaniała demokracja na zachodnią modłę.

Na placu Kista targ słońce znów przygrzewało. Gdy Micaela wstała od śniadania, by pójść do garderoby, rozległ się dźwięk telefonu. Dzwoniła Vanessa, jej najlepsza przyjaciółka, a że było to sobotnie przedpołudnie, Micaela spodziewała się raportu z życia imprezowego. Właśnie tego musiała wysłuchać – długiej, zawilej opowieści o jakimś „porąbanym Szwedzie”, który nie chciał się odczepić i próbował uprawiać z nią seks w autobusie do domu.

– Nie wierzę – powiedziała Micaela.

– Ale to prawda – zapewniła Vanessa.

Kiedy się rozłączyły, Micaela jeszcze trochę się z tego śmiała, choć nie dlatego, że ta historia była szczególnie zabawna. Był to wariant opowieści, którą słyszała już setki razy wcześniej.

Otworzyła szafę, rozłożyła na łóżku sukienki i spódnice, tłumiąc chęć zadzwonienia do Vanessy po poradę. Zamiast tego sama wybrała coś, co można było uznać za strój trochę elegantszy, choć nie tak całkiem: czarną

spódnicę, czerwony podkoszulek i dzinsową kurtkę, która była trochę ciasna w biuście, ale i tak ją lubiła. Do tego białe sneakersy.

Potem wyszła z domu. Jadąc metrem, czuła nieoczekiwaną ekscytację. Nowe zadanie, a ten profesor pytał akurat o nią, przynajmniej tak mówili. To było jednak coś wyjątkowego, trzeba przyznać. Mijając stacje Kista, Hallonbergen i Näckrosen, wyobrażała sobie, co powie swoim kolegom, a kiedy wysiadła na Solna Centrum, w całym ciele czuła lekkość i radosne ożywienie. Ale już na parkingu wszystko znów z niej opadło, wystarczyło tylko jedno spojrzenie: przymrużone badawcze oczy Lassego Sandberga, które jak zwykle skierowały się na jej biodra.

– Patrzcie no, jak się Vargas seksownie odstrzeliła dla profesora – powiedział.

– Myślałam... – zaczęła.

– Może miała wczoraj mecz wyjazdowy – dorzucił Fransson.

– Czasem człowiek nie zdąży się przebrać między jednym a drugim – podjął Sandberg.

Micaela pomyślała, że nawet nie ma sensu na to odpowiadać. Usiadła z tyłu po prawej stronie w starym volvo 745 Franssona, obok Jonasa Beijera, który posłał jej pocieszające spojrzenie. Spoglądała na swoje paznokcie, zastanawiając się, czy może jednak ten lakier to był głupi pomysł. Kiedy podniosła wzrok, oślepiło ją słońce.

To był upalny dzień, bez chmur na niebie, a w samochodzie wcale nie było chłodniej. Coś nie działało jak trzeba w klimatyzacji – powietrze tylko szumiało w środku. Faceci byli coraz bardziej spoceni i hałaśliwi. Fransson opowiadał, że cholernie bolała go dłoń po strzale dziś rano na strzelnicy w Hagalundshallen.

– Jakby cała dłoń mnie paliła – mówił.

Jak zwykle to on kierował rozmową, a z braku innego zajęcia Micaela zaczęła się przysłuchiwać, jak Beijer i Sandberg z sekundy na sekundę potrafili zmienić ton głosu. Kiedy Fransson narzekał, oni też narzekali, jeśli się zaśmiał, zaraz się rozpromieniali, i nigdy nie rechotali bardziej ochoczo

niż wtedy, gdy łączyli siły przeciw wspólnemu pośmiewisku – Falkegrenowi. Jak niewyobrażalnie głupi był, jakie durne miał frędzle na butach, czy co to tam było. Micaela nie mogła tego dłużej tego słuchać. Rozpaczliwie łaknęła słów, jakichkolwiek, byle tylko nie były tak wyświechtane i zużyte. Ale zaraz znaleźli się w Djursholmie, pomiędzy wielkimi bogatymi willami, i zajęły ją innego rodzaju myśli.

Djursholm leżał na drugim końcu ich linii metra. Tutaj mieszkali ci, co urodzili się z wygranym losem na loterii w dłoni, podczas gdy tym z Husby dostawały się przeważnie odłamki granatów, resztki rzeczy zniszczonych gdzieś daleko stąd. To Simón podsunął jej kiedyś tę myśl.

– Nie muszę czytać w gazetach, co się stało na świecie. Widzę to po swoich sąsiadach – powiedział.

Może dlatego, że nigdy nie czytał prasy, zresztą niczego nie czytał. Ale w tym przypadku miał rację. Kiedy gdzieś na świecie wybuchała wojna czy rewolucja, ludzie nią dotknięci napływali do Husby. Uchodźcy zabierali ze sobą mały kawałek wojny i przez całe swoje dzieciństwo uczyli się żyć ze wstrząsami wtórnymi.

– Czy nie pojechaliliśmy za daleko? – zapytała.

– Tylko spokojnie, dziewczynko, wszystko jest pod kontrolą – odparł Fransson. – Ale tak, jesteśmy chyba już całkiem blisko.

Skierował się w stronę wysokiej bramy z kamerą i głośnikiem, z którym zamienili kilka słów, zanim wjechali na teren ogrodu, minęli fontannę i zatrzymali się przed elegancką willą w kolorze ochry, z wielkimi oknami, znajdującą się tuż nad samym jeziorem.

Do domu prowadziły białe schody, a na tarasie stała kobieta w białych bawełnianych spodniach i niebieskiej bluzce trzepoczącej na wietrze. Wyglądała na trzydzieści pięć albo czterdzieści lat. Miała rude włosy i piegowate policzki, jej ciało było szczupłe i sprężyste, w świetle słońca sprawiało wrażenie niezwykle lekkiego. Wszyscy poczuli się przysadziści i o ciężali, kiedy szli w jej stronę. Ale najbardziej uderzająca okazała się jej uroda. Kobieta była tak piękna, że aż się skurczyli z wrażenia. To, że powitała ich

z wyszukaną uprzejmością, nie poprawiło sytuacji, tylko podkreśliło jej przewagę.

Micaela zaczęła nerwowo obciągać spódnice. Trzymała się za plecami Franssona, który normalnie nigdy nie czuł się skrępowany, ale tutaj nawet on sprawiał wrażenie zagubionego, zwłaszcza kiedy weszli do środka i zobaczyli wnętrze domu. Co tu można było powiedzieć?

Falkegren, jego garnitury i chwosty na mokasynach to jedno. Ale tego domu nie dało się ogarnąć na raz. Na ścianach wisiały duże piękne obrazy, pomieszczenia miały kilka metrów wysokości i nie znalazłoby się tam mebla, który nie świadczyłby o stylu czy klasie. Z pokoju obok dobiegały delikatne, melodyjne dźwięki skrzypiec. Micaela była pod wrażeniem, choć kobieta – która przedstawiła się jako Lovisa Rekke – sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Na litość boską, mówiłam jej, żeby skończyła – powiedziała przepraszającym tonem, po czym zawołała: – Julio, już wystarczy!

Skrzypce zamilkły i z drzwi po lewej stronie wyszła siedemnasto- albo osiemnastoletnia dziewczyna, oczywiście nieznośnie wręcz urocza, z włosami układającymi się w loki i wielkimi błękitnymi oczami.

– Przepraszam, mamó, zapomniałam – powiedziała i to było dla Micaeli już naprawdę nie do wytrzymania.

Przed nimi stała cholernie czarująca dziewczyna i przepraszała za to, że grała tak pięknie, że wszystkim poopadały szczęki. Najgorsze było to, że żadne z nich nie umiało się znaleźć w tej sytuacji. Nikt nie powiedział: „Ależ doprawdy, to było coś wspaniałego”. Wszyscy stali w milczeniu, nieporadni, więc to Julia przejęła inicjatywę, wyciągnęła rękę, mówiąc:

– Miło mi państwa poznać.

Micaela nie potrafiła potem przypomnieć sobie lepszego przykładu poniżenia klasowego. Nastoletnia dziewczyna swoim obyciem zmieniła ich w stado baranów. Vargas poczuła przemożną chęć, żeby rozbić jakąś wazę albo zerwać ze ściany obraz.

Zamiast tego zaczęła jednak myśleć o publikacjach naukowych Rekkego. Przejrzała przez ostatni tydzień kilka z nich i nie znalazła tam żadnych sygnałów, żeby współpracował z policją, jak mówił Falkegren, czy też w ogóle interesował się zbrodniami. Rekke zajmował się raczej błędami myślowymi, figlami, które mózg płata ludziom na podstawie uprzedzeń czy fałszywych przesłanek. Pewnie prawdą było to, co mówił Fransson, że głównie chodziło w nich o dzielenie włosa na czworo, intelektualne sztuczki. A jednak było w tym coś, co do niej przemawiało: jasność, ostrość widzenia, której potrzebowała.

– Gdzie jest pan profesor? – zapytał Fransson z lekką irytacją.

– Też bym chciała wiedzieć – odparła Lovisa Rekke. – Pewnie coś zaprzątnęło jego uwagę.

– Nie mamy tak dużo czasu.

– Oczywiście, rozumiem. Proszę wybaczyć. Pójdę na górę go poszukać. Proszę usiąść i poczekać chwilę. – Wskazała białą sofę i kilka foteli obok rzeźby z brązu, która przedstawiała dygającą uniżenie dziewczynkę.

Usiedli więc i czekali, a czas mijał.

Może nie trwało to aż tak długo, choć mieli wrażenie, że całą wieczność, gdy wreszcie żona zeszła na dół, jeszcze raz przeprosiła, po czym znów zostawiła ich samych. Wtedy stało się jasne, że to oczekiwanie i ten dom wpływają także na resztę zespołu. Wszyscy zaczęli odczuwać tłumione podekscytowanie. Nawet Fransson się ożywił i zaczął nerwowo majstrować przy swoim zegarku marki IWC Schaffhausen, który odziedziczył po bracie i który, jak zwykł mawiać, cenowo był właściwie poza jego zasięgiem.

– Może w końcu uda się nam posłuchać profesora – powiedział i mniej więcej w tej samej chwili usłyszeli szybki tupot na kręconych schodach, po czym zobaczyli Hansa Rekkego, który nerwowo pędził w ich stronę niczym biegacz.

PIĘĆ

Potem Micaela próbowała sobie przypomnieć, co tak naprawdę wiedzieli tamtego dnia, i było to oczywiście o wiele mniej, niż im się wydawało. Wtedy to morderstwo sprawiało wrażenie dość prostej sprawy, mimo całej swojej brutalności. Nie było w nim nic wyrafinowanego, żadnych oznak planowania czy dłuższych przygotowań.

Wówczas wszystko wskazywało na to, że doszło do wybuchu dzikiego szału. Oczywiście to, że zdarzył się tuż po meczu piłkarskim, a ofiara cieszyła się pewną popularnością, dodawało całej sprawie spektakularności.

Jamal Kabir miał trzydzieści trzy lata w chwili śmierci. Był dość przystojnym szczupłym mężczyzną o wyprostowanych plecach i nieco skrzywionej szyi, która stanowiła ślad po przemocy i torturach, jakich doświadczył w Kabulu. Wielu świadków podkreślało, że emanował pewnym smutkiem, więc nie dziwiły krążące na jego temat pogłoski. Ale zespół śledczych słyszał o nim przeważnie same dobre rzeczy, wszyscy mówili, że był doświadczonym sędzią i panował nad boiskiem podczas gry.

Za czasów reżimu talibów walczył o to, by chłopcy w Kabulu mieli prawo grać w piłkę nożną. Nie było to łatwe, jak opowiadał w Urzędzie do spraw Migracji. Reżim co chwilę ogłaszał nowe zasady: jaka ma być długość rękawów bluzy czy spodenek piłkarzy albo w jaki sposób mogą okazywać radość po strzelonym golu. Ale Kabir walczył o swoją sprawę. Uważał ją nawet za kwestię życiowej konieczności, jak mówił. Wszelkie inne rozrywki były zakazane. Micaela przeczytała na ten temat wszystko, co jej wpadło w ręce. Nie wolno było słuchać muzyki. Zakazany był też teatr czy oglądanie filmów. Książki palono. Kobiety były zamykane w domach albo musiały się chować pod burkami, a na miejskim stadionie Ghazi regularnie odby-

wały się egzekucje, jakby mord i okaleczanie ludzi miały zastąpić futbol i stać się nową rozrywką dla tłumów.

Najwidoczniej Kabir traktował swoją misję jako kwestię czysto egzystencjalną – zapewnienie ludziom wytchnienia. Organizował mecze i turnieje dla juniorów. Dzięki temu, jak twierdził, zyskał popularność. Ludzie przychodzili do niego i dziękowali. Ale równocześnie miał coraz większe problemy z władzami. W końcu został aresztowany i poddany torturom. Istniało kilka znaków zapytania co do przeszłości Kabira, a Micaela uważała, że jego relacja o tym, jak został pojmany, nie była do końca wiarygodna. Ale Urząd do spraw Migracji uzyskał potwierdzenie, że talibowie rzeczywiście go prześladowali, nie było też wątpliwości co do tego, że okrutnie go torturowano.

Protokół sekcji zwłok stwierdzał złamania żeber i szczęki, które nie powstały w związku z morderstwem. Na przegubach dłoni miał sino zabarwione blizny po łańcuchach, a na jego klatce piersiowej widoczne były ślady odmrożeń. Bez wątplenia musiał znosić wielkie cierpienia, a mimo to zachował ducha walki. Po przybyciu do Szwecji w listopadzie 2002 roku właściwie od razu podjął swoją działalność z Kabulu. Z ośrodka dla uchodźców w miasteczku Spånga, gdzie go umieszczono, jeździł na okoliczne boiska piłkarskie i nawiązywał kontakty z drużynami młodzików, które tam trenowały.

– To był mój sposób na przeżycie – mówił.

Przynosił piłki i rozstawiał pacholki. Udzielał rad i wygłaszał pochwały, aż stosunkowo szybko dostał możliwość sędziowania w rozgrywkach juniorów i od razu było widać, że zna się na rzeczy. Ludzie zwracali na niego uwagę, pewnie też dlatego, że na boisku poruszał się w szczególny sposób. Krok po kroku dostawał więc coraz bardziej odpowiedzialne zadania. W końcu sędziował nawet mecze w Allsvenskan, rozgrywkach juniorów w pierwszej lidze. W maju tego roku, trzy tygodnie przed śmiercią, dziennikarze z „Echa Sportu” nakręcili o nim reportaż. Dlatego też wielu kibiców na stadionie Grimsta go rozpoznało, kiedy drugiego czerwca wyszedł na murawę. Na pewno dlatego świadek Ruth Edelfelt, matka jednego z gra-

czy, widziała w nim bohatera wojennego, a inni w nieco podniosły sposób mówili o jego mrocznej aurze.

Wiadomo było, że Kabir dostał właśnie mieszkanie na Torneågatan w Akalli i dodatkowo pracował w warsztacie motocyklowym, tak samo jak w Kabulu. Nikt w zespole nie wiedział, czy kiedykolwiek otrzymywał pogroźki albo czegoś się bał. Najwyraźniej czuł się pewnie, kiedy gwizdkiem rozpoczął mecz tuż przed godziną pierwszą, jak zawsze wyprostowany, patrzący śmiało wielkimi brązowymi oczami. Mieli do dyspozycji dwa nagrania meczu. Każda drużyna filmowała na własne potrzeby – Djurgården i Brommapojkarna, siedemnastolatki – i na nagraniach było widać, że Kabir był skupiony i uważny. Czasem tylko spoglądał w górę na niebo.

W powietrzu wisiała burza. Jak na letni dzień było zaskakująco zimno, więc widzowie byli ubrani w kurtki lub dresy, wszyscy z wyjątkiem mężczyzny, który miał na sobie jedynie krótkie spodenki i błękitną koszulkę Napoli z napisem Buitoni. Ta koszulka była dla niego bardzo ważna. Micaela wiedziała o tym. Beppe bez ustanku gadał o świetności Napoli w latach osiemdziesiątych, a koszulka była kopią stroju klubowego z czasów, kiedy z Maradoną w składzie drużyna wygrywała we włoskiej lidze.

Na początku koszulka była czysta, może nawet wyprasowana, a sam Beppe tuż po rozpoczęciu meczu był w znakomitym humorze. Miał ku temu wszelkie powody. Był ojcem największej gwiazdy na boisku, Maria Costy, więc przez cały czas kręcił się między ludźmi, popijał z zielonej butelki Gatorade, która raczej nie zawierała wody, i chwalił się swoim synem. Ale nie trwało to długo, bo jak często w jego życiu bywało, nagle humor mu się zmienił. Na pewno wpływ miała na to pogoda: w środku drugiej połowy zaczęło lać, deszcz zacinał ukośnie z boku. Ale głównym powodem był sam mecz. Djurgården udało się wyrównać zaledwie w cztery minuty. Giuseppe zaczął wtedy pokrzykiwać, głównie na Kabira.

– Ty chyba głupi jesteś! Gwizdź! – wrzeszczał, ale długo nikt nie zwracał na to uwagi.

Ludzie koncentrowali się na innych rzeczach. Było dwa do dwóch, mecz robił się coraz bardziej emocjonujący i ostry, zwłaszcza w końcówce. Mario

właśnie przejął piłkę tuż przed polem karnym, minął dwóch, trzech graczy i złożył się do strzału, kiedy został podcięty.

– Karny, kurwa jego mać, karny!!! – darł się Giuseppe i przypuszczalnie tym razem wyjątkowo miał rację.

Na filmie wszystko było widać jak na dłoni. Kabir sprawiał wrażenie, jakby miał odgwizdać karnego, ale jednak tego nie zrobił. Nie było rzutu karnego, w polu bramkowym leżał kontuzjowany Mario, krzycząc z bólu, Giuseppe wbiegł na boisko i zaczęła się nieziemski awantura. Beppe szalał, jakby kompletnie postradał rozum i może dlatego tak wielu kibiców zapamiętało, że Jamal Kabir zachowywał się wyjątkowo godnie, przynajmniej tak sądziła Micaela.

Kabir zdawał się całkowitym przeciwieństwem rozwścieczonego Włocha. Na ostatnim nagraniu, na którym został uwieczniony, rzeczywiście emanował poczuciem całkowitej kontroli. Jego ciało zdawało się mówić: „Nie wyprowadzisz mnie z równowagi”. Ale potem coś zaczęło się dziać. Ktoś potrącił kamerę, a trenerzy i rodzice wspólnymi siłami zapanowali nad Giuseppe, tak że sytuacja trochę się unormowała. Beppe usiadł na trybunach i zaczął pociągać z innej sportowej butelki, która także z całą pewnością nie zawierała wody. Wtedy też Kabir zszedł z boiska i prawie wszyscy się rozeszli, nawet Mario, który był poturbowany i nie miał siły czekać na ojca. Stadion prawie całkowicie opustoszał. Zostali tylko Beppe i jeden z dozorców.

Ale Kabir również nie odszedł daleko. Stanął w deszczu na Gulddragargränd, tuż przed wejściem na teren obiektów sportowych, i wpatrywał się w komórkę, ale nie dzwonił ani nie wysyłał wiadomości. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego, jak mówił jeden ze świadków, może był też trochę niespokojny, w każdym razie czujny. Potem zniknął w lesie po drugiej stronie ulicy.

Micaela nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Tam nie było żadnego skrótu, szło się pod górę przez gęste zarośla. Ale właśnie tam poszedł i potem już nikt nie widział go żywego. Dlatego tym bardziej godne uwagi wydaje się, że mniej więcej w tym samym czasie Giuseppe wstał z trybun i ru-

szyl w tę samą stronę, złorzecząc pod nosem Kabirowi najgorszymi słowami. Co się potem stało, pozostawało zagadką.

Nikt nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, co się wydarzyło przez te kilka decydujących minut, tylko tyle, że to musiało się stać nagle i w brutalny sposób, i z której strony by patrzeć, bardzo obciążało Giuseppe. Już wcześniej pokazał, że jest zdolny do przemocy. Miał w dłoni kamień, kiedy chwiejnie szedł w ślad za Kabirem ulicą Gulldragargränd. Zakrwawiony wyszedł z lasu, w którym znaleziono Kabira ze zmiażdżoną czaszką, monitoring z metra pokazywał Giuseppe siedzącego w stanie szoku, z ciemnymi plamami na koszulce.

Wyglądało na to, że miał motyw, okazję i predyspozycje psychiczne do popełnienia tej zbrodni.

SZEŚĆ

Hans Rekke zbiegł na dół po kręconych schodach, w dzinsach i lnianej niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami, potem usiadł obok nich na jednym z foteli. W dłoni miał plastikową teczkę, a jego lewa noga nadal podskakiwała, jakby był biegaczem, który musiał na chwilę przerwać swoją rundę.

– Tak mi wstyd, tak mi wstyd – powiedział.

Ale nie sprawiał wrażenia, jakby rzeczywiście się tak czuł. W odróżnieniu od swojej żony i córki nie spoglądał im w oczy. Nawet nie podał nikomu ręki. Gdy kładł teczkę na stoliku, patrzył tylko w podłogę z wyrazem zakłopotania. Dlatego Micaela najpierw zwróciła uwagę na jego ciało, które mogło należeć do sportowca, biegacza średniodystansowego. Był szczupły i wysoki, ramiona miał muskularne i żyłaste.

A jednak najbardziej zwracały uwagę jego dłonie. Były tak smukłe i pełne gracji, że dziewczyna odruchowo spojrzała na swoje palce. Pomyślała, że są krótkie i niezdarne, po czym zakłopotana wyjrzała przez okno na jezioro. Kiedy odwróciła się z powrotem w jego stronę, zobaczyła, że profesor się jej przypatruje. A to było nie tylko krępujące, ale wręcz niewłaściwe.

Nie była w zespole nikim ważnym, raczej kimś w rodzaju praktykantki. Powinien patrzeć na Franssona. Mimo to Rekke spoglądał właśnie na nią i choć zaraz znów odwróciła wzrok, zdążyła zobaczyć jego twarz. Nie był tak urodziwy jak jego żona i córka, miał w sobie coś ptasiego, ostrego, ale też pewną promiennność. Jego jasnobłękitne oczy zdawały się prześwieślać ją na wylot.

– W takim razie może już zacznijmy – powiedział Fransson, znów poirytowany.

– Tak, tak, przepraszam, oczywiście – przyznał Rekke i popatrzył na resztę grupy, ale bez tamtej intensywności.

– Jak zrozumiałem, nasz komendant Martin Falkegren przesłał panu materiały ze śledztwa – ciągnął Fransson.

– Tak... właśnie... owszem.

Zabrzmiało to zaskakująco niejasno.

– I? – drążył Fransson.

– I co?

– Jakie jest pańskie zdanie na temat Costy?

– Costy? – Rekke wyjrzał na dziedziniec w stronę samochodu, którym przyjechali. W tej chwili sprawiał wrażenie, że myśli o czymś zupełnie innym.

– Zapoznał się pan z materiałami, tak? Inaczej nasza wizyta nie ma sensu.

– Tak, zapoznałem się.

– To dobrze – przyznał Fransson i zaczął znów majstrować przy zegarku, nadal lekko zdenerwowany. – Bo szukamy sposobu, żeby skłonić naszego podejrzanego do przyznania się do winy.

– Domyśliłem się tego.

– Świetnie. Okazało się, że trochę już pan nam pomógł, pośrednio, że tak powiem. Najwyraźniej użyliśmy metody, którą pan polecał. O ile dobrze zrozumieliśmy, wcześniej skorzystał z niej pewien dziennikarz, który rozmawiał z Tedem Bundym.

Rekke znów uciekł wzrokiem i teraz przyglądał się fontannie przed domem. Wyglądał na zakłopotanego.

– Zachowałem się trochę jak idiota, właściwie to wcale nie jest dobra historia.

– Nie jest?

– Stephen Michaud, bo tak się ten dziennikarz nazywa, nie zdobył szczególnie dużo informacji i w sumie sam nie wiem, dlaczego przywołałem tę

sprawę – tłumaczył się Rekke. – Chyba chciałem przez to powiedzieć, że wierzę w skuteczność pochlebstw. Jak to się mówi? Ilość pochwał, na które reagujemy, jest odwrotnie proporcjonalna do ilości pochwał, na które zasługujemy.

Carl Fransson najwyraźniej rozważał w duchu te słowa, lecz chyba nie do końca je rozumiał. W końcu postanowił się tym nie przejmować. Nachylił się, wyciągając przed siebie prawą dłoń trochę niezdarnym ruchem.

– Tak, może tak... Ale tutaj naprawdę się okazało...

– Pan trenował dziś rano strzelanie z pistoletu – przerwał mu Rekke.

– Słucham? No tak... Skąd pan to wie? – Fransson spojrzał na niego zdumiony, cofnął prawą rękę i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Zgaduję tylko, proszę się nie przejmować. Ale przepraszam, przerwałem panu.

– Jak mówiłem – podjął Fransson, teraz jeszcze bardziej niepewnie – chcielibyśmy się dowiedzieć, co jeszcze możemy zrobić, żeby on się otworzył, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego zaburzenie osobowości.

– Chodzi panu o wnioski z raportu P7 Pera Wärnera?

– Częściowo tak, naturalnie, ale sami też zwróciliśmy uwagę, jak on się zachowuje, jak się chełpi.

– Jakby miał manię wielkości.

– Właśnie. Mania wielkości, uleganie impulsom. Psychopata, krótko mówiąc. Czy może ma pan inne zdanie... jako fachowiec?

– Jako fachowiec zauważam, że bardzo wielu przynajmniej próbuje zrobić z niego psychopatę – odparł Rekke.

– Co pan ma na myśli?

– Cóż, co mogę powiedzieć? Jest w tym słowie coś takiego, co budzi różne emocje, nieprawdaż? Jak kropelka czegoś mocniejszego do kawy, aperitif w nudnej codzienności.

– Teraz nic już nie rozumiem – przyznał Fransson.

– Proszę o wybaczenie. Wyrażam się niejasno. – Umilkł, jego spojrzenie stało się lekko szkliste. Wyglądał, jakby przez cały czas wchodził w stan wysokiej koncentracji, by po chwili z niego wyjść. – Bardzo mi się podoba pański zegarek, klasyczna rzecz.

Fransson spojrzał na przegub swojej dłoni.

– Słucham? Ach tak... dziękuję.

– Ale koronka wygląda na uszkodzoną. Powinien pan oddać zegarek do naprawy. Inaczej odpadnie.

– Koronka jest w porządku – wymamrotał Fransson, teraz rozzłoszczony, i obciągnął rękaw koszuli, by zakryć zegarek.

– A wracając do tematu: czy to naprawdę rozsądne, żeby aż tak emocjonować się tym P7?

Fransson drgnął.

– Co pan ma na myśli?

– „Wygadany” na przykład – ciągnął Rekke. – Czy to normalne określenie w dzisiejszych czasach?

– Ehm, nie... Nie sędzę. – Fransson rzucił szybkie spojrzenie kolegom, jakby chciał powiedzieć: no sami widzicie, z nim się nie da normalnie rozmawiać.

– A co pani na to powie? – mówił dalej Rekke, znów odwracając się do Micaeli. – Czy tak się mówi w pani okolicach: „ten wygadany facet, którego wczoraj poznałam”?

– No nie, raczej nie – przyznała.

– A jednak w dokumentach ze śledztwa to słowo występuje aż trzy razy. Skąd się to bierze?

– Tego nie wiem – przyznał Fransson.

– Więc ja państwu wytłumaczę – powiedział Rekke. – Otóż „wygadany” to kiepskie tłumaczenie angielskiego słowa *glib*.

– *Glib*?

– Właśnie. Słowniki zwykle podają znaczenie tego słowa jako „gładki, rozmowny, gadatliwy”. Ale kiedy Mia Hjerling tłumaczyła na szwedzki książkę Roberta D. Hare’a *Psychopaci są wśród nas*, wybrała to określenie spośród wielu innych. I ono się przyjęło, zwłaszcza że wylądowało na samym szczycie listy cech psychopaty opracowanej przez profesora Hare’a. „Wygadany i obdarzony powierzchownym urokiem”, tak jest napisane w przekładzie.

– Nie rozumiem – przyznał Fransson.

– To sformułowanie się przyjęło, występuje też w publikacjach popularnonaukowych czy nawet bardziej humorystycznych pozycjach w rodzaju: *Jak rozpoznać psychopatę wśród znajomych*.

– Aha – powiedział Fransson, wyraźnie skwaszony.

– No właśnie, a pan oraz inspektor Sandberg przeczytaliście tę książkę, nieprawdaż?

– Ale co to ma wspólnego ze sprawą?

– Daliście się zasugerować, panowie – odparł spokojnie Rekke.

– Twierdzi pan, że coś zmyśliliśmy?

– Ależ nie, w żadnym wypadku. Tylko wasze spojrzenie trochę się zmieniło, zawsze tak się dzieje, kiedy czytamy książkę, która nas fascynuje. Ale tutaj problematyczne jest to, że nie było żadnego głosu przeciwnego, żadnego *advocatus diaboli*, żadnej *via negativa*.

– Słucham?

– Wszyscy, albo prawie wszyscy, szukaliście tego samego.

– A więc czego?

– Potwierdzenia wniosku z raportu P7 Pera Wärnera. A to trochę pechowe, nie tylko dlatego, że Per jest idiotą.

– A jest idiotą?

– Ogólnie rzecz biorąc, tak. Ale przede wszystkim chodzi o to, że powstało sprzężenie i doszło do wzmocnienia pewnych tendencji w śledztwie. W psychologii nazywa się to potwierdzaniem uprzedzeń albo polaryzacją grupową.

– Jak?

– W policji mówią chyba państwo o widzeniu tunelowym, nieprawdaż?

Wszyscy wyraźnie obruszyli się na te słowa, lecz Micaela była przekonana, że jej koledzy nie od razu je zrozumieli czy też dopuścili do świadomości. Fransson był najbardziej dotknięty. Potem wyrwało mu się zarówno niepewne, jak i wściekłe pytanie:

– Co pan nam tu, do diabła, chce zasugerować?

Rekke wytrzymał jego spojrzenie przez sekundę lub dwie, po czym zwrócił się bezpośrednio do Micaeli.

– To jest szczególnie częste w homogenicznych grupach z silnym przywódcą. Czy mają państwo silnego przywódcę? Co pani na to, Micaelo? – powiedział, a ona aż podskoczyła, nie tylko dlatego, że zapamiętał jej imię.

Obudziło się w niej coś ciemnego, może nawet zatliła się iskierka odwetu.

– Teraz posuwa się pan za daleko – syknął Fransson

Rekke wyglądał, jakby miał ochotę stąd uciec. Jego lewa noga znów zaczęła podskakiwać, tak samo jak wcześniej. Zamknął oczy i wyprostował plecy, a potem skierował wzrok na jakiś punkt po skosie, ponad głową Franssona.

– Może zaczniemy od pierwszego zeznania – zaproponował.

– Którego świadka?

– Viktora Bengtssona, dozorca na stadionie Grimsta – wyjaśnił Rekke. – Mężczyzna ten widział, że Costa się schyla i podnosi coś z bieżni otaczającej boisko, ale nie wie, co to było. Jednak wszystko rozwija się tak, jakbyście to wy włożyli ten kamień w rękę Costy. „Czy to mógł być kamień?”, pyta inspektor kryminalny Axel Ström na stronie sto trzydziestej ósmej protokołu przesłuchania i słyszy w odpowiedzi: „Tak, możliwe”. Potem nagle mamy do czynienia z faktem, że Giuseppe trzyma w dłoni kamień. Czy to nie jest trochę dziwne?

– Nie traktujemy tego jako faktu.

– No i te przekleństwa. Bengtsson słyszy, jak Costa klnie na sędziego. Ale czy Costa naprawdę mówi: „Zatłukę tego bydlaka!”? Początkowo jest mowa tylko ogólnie o przekleństwach. Bengtsson zeznaje: „Wyglądał tak, jakby był w stanie kogoś zatłuc”. Ale w jakiś sposób to wrażenie zamienia się w konkretne słowa w ustach Costy. Bengtssonowi stopniowo poprawia się pamięć.

– To nieprawda. Przez cały czas stawialiśmy pytania krytyczne.

– Z pozoru może tak, ale w praktyce nie. Mimo wszystko uważam, że zeznania Bengtssona wypadają całkiem niezłe w porównaniu z innymi. Gorzej jest z młodym Filipem Grundströmem.

– A co z nim?

– To jest młody, wrażliwy chłopak, prawda? On odczytuje wasze życzenia, i ja to rozumiem. Czego by człowiek nie powiedział w tym wieku, żeby tylko mieć swoje piętnaście sekund w blasku reflektorów! Filip najwyraźniej widział Costę w brudnej koszulce Napoli. Ale nie do końca było jasne gdzie, nie od razu. Potem nabiera pewności i zniecka okazuje się, że Costa wytoczył się z zagajnika przy Gulddragargränd, i w tej samej chwili brązowe błoto na koszulce zamienia się w krew. Czyż to nie jest zabawne? Jak jedno założenie wzmacnia drugie, a to z kolei warunkuje wasz sposób przesłuchiwania pozostałych świadków.

– Teraz posuwa się pan za daleko – powiedział Fransson i zaczął się podnosić, by zaraz opaść z powrotem swoim ciężkim, trochę skrzywionym tułowiem.

– Może, niewykluczone – odparł Rekke. – Ale stają się państwo coraz bardziej selektywni w podejściu do informacji, które was interesują, i nie rozumiem, dlaczego tak bardzo nie ufacie wypowiedziom Costy. Jego opowieść jest oczywiście poplątana. Ale najzabawniejsze jest to, że prawda często tak właśnie wygląda: dziwnie i nieskładnie. Dlaczego nie miałby chodzić po rowach wzdłuż drogi? Jest mokry i zły, równie dobrze może się jeszcze bardziej zmoczyć i rozzłościć. Dlaczego nie miałby upaść i zranić się w łokieć czy też nie zobaczyć zielonego wieszaka na skraju rowu? Zielonego wieszaka!

– O co chodzi?

– Nic specjalnego, to tylko taki absurdalny szczegół, na który zwróciłem uwagę. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wymieniałby taką rzecz, jeśli miałby kłamać. Może być wieszak, ale dlaczego zielony? Ile zielonych wieszaków widzieli państwo w życiu?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie. Ale w każdym razie tutaj mamy jeden. – Wyciągnął z teczki polaroidową fotografię, na której Micaela, zdumiona i nagle podekscytowana, zobaczyła zielony wieszak leżący w przydrożnym rowie.

– Leżał trochę dalej niż się spodziewałem – powiedział profesor. – Musiałem urządzić małe polowanie.

– A więc był pan tam na miejscu? – odezwał się nagle Jonas Beijer, jakby i on się teraz obudził.

– Tak, choć właściwie nie z powodu wieszaka. Byłem bardziej zainteresowany błotem i wodą.

– Dlaczego? – warknął Fransson.

– Jeziora i bagna w tamtej okolicy są dystroficzne i zakwaszone. Brakuje im wapnia, a to sprawia, że błoto jest rdzawobrazowe, a woda w rowach wygląda trochę jak rozcieńczona krew. Chciałem więc przeprowadzić mały eksperyment.

– Jaki eksperyment? – odezwał się znów Jonas Beijer.

– Żaden naukowy, nic z tych rzeczy. Jedynie małe studium porównawcze, oto ono: czarno-białe, ziarniste i czarno-białe – powiedział, wyjmując z plastikowej teczki kolejne dwie fotografie.

Jedną wszyscy znali aż nadto dobrze. Był na niej Giuseppe, który rozczochrany siedział w wagonie metra w swojej ubrudzonej koszulce Napoli. Drugie zdjęcie przedstawiało wysoką, szczupłą postać, ostrożnie uśmiechającą się do kamery. Tym człowiekiem był sam Rekke, ubrany w taki sam brudny T-shirt.

– Czego się nie robi, żeby zrozumieć? – skomentował zdjęcie.

– A więc pan także wytarzał się w rowie? – zapytał Fransson.

– Wystarczyło tylko, że trochę pomiędlilem samą koszulkę w wodzie i błocie, potem ją założyłem i poszedłem na stację metra Vällingby. Ale to też było ciekawe. Zadziwiające, jak podobnie wygląda nasze ubranie – skomentował, i rzeczywiście tak było.

Micaela poczuła ukłucie wstydu. Czy kiedykolwiek pomyślała, że zdjęcia z monitoringu były naprawdę przekonujące?

– A więc chce pan przez to powiedzieć, że ślady na koszulce Costy to nie krew? – To pytanie ponownie zadał Jonas Beijer, który najwyraźniej zbierał myśli.

– Dokładnie to chcę powiedzieć.

– Dlaczego w takim razie tak szybko się jej pozbył? – wysyczał Fransson.

– Tego nie wiem.

– Nie wie pan.

– Nie – powtórzył Rekke. – Ale może potraktujmy poważnie jego słowa. Koszulka była brudna i zniszczona, szwy puściły w dwóch miejscach. Może rzeczywiście nie opłacało mu się jej prać. Dlaczego założyliście, że była dla niego taka ważna?

– A więc nie widzi pan tu niczego podejrzanego?

– Oczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy znaleźli tę koszulkę. Ale są tu inne, poważniejsze kwestie, które budzą wątpliwości. Czyż pani nie jest tego samego zdania? – Hans Rekke spojrział na Micaelę.

– Ja... nie... Sama nie wiem.

– Czy to na pewno prawda? Przecież pani przez cały czas miała wątpliwości.

– Nie sądzę, żeby miała więcej wątpliwości niż ktokolwiek inny – powiedział kwaśno Fransson.

– Nie? Pani Vargas zadaje pytania innego rodzaju. Patrzy na sprawę z innej perspektywy i może ma tu jakieś znaczenie fakt, że sama... – Znów rzucił jej intensywne spojrzenie, aż zrobiło się jej nieprzyjemnie. Jakby właśnie miał wypowiedzieć prawdę, której nie chciała usłyszeć. On sam chyba to zauważył. Urwał, potem zmienił temat i zajął się innymi przypadkami

aktów przemocy w wykonaniu Costy, które były opisane w materiałach. – Co je charakteryzuje? – zapytał.

– Brutalna agresja – odpowiedział Jonas Beijer, jakby właśnie zmienił front i teraz był jednym ze studentów Rekkego.

– Właśnie, ale jest tam coś jeszcze, nieprawdaż?

– Co?

– Wrzaski. Ilekroć Costa wszczynął bójki, darł się przy tym na całą okolicę. A jak było podczas śmierci Jamala Kabira?

– Tego nie wiemy.

„Ale musiało być cicho” – pomyślała Micaela.

– Nie, tego nie wiemy – przyznał Rekke. – Choć kilka rzeczy wiemy. Jamal Kabir się nie odwrócił. Nie ma ciosów zadanych z boku czy od przodu. Każde uderzenie było skierowane w tył jego głowy. Więc nie wydaje się prawdopodobne, żeby został ostrzeżony przez krzyki czy przekleństwa. A przede wszystkim...

– Co? – prychnął Fransson.

– Ciosy padały z góry. Mózgoczaszka została zmiażdżona z niesłychaną siłą. Złamania biegną zgodnie z kierunkiem działania siły. Ale jedno uderzenie było inne i ono natychmiast zdeformowało czaszkę. Da się to rozpoznać po obrzmieniu i pęknięciu w kształcie litery Y, a to wskazuje na co?

– Że uderzenie zostało zadane od dołu – powiedziała niespodziewanie Micaela. Ta myśl już wcześniej przeszła jej przez głowę.

– Dokładnie tak. A więc które uderzenie powinno być skierowane od dołu, skoro Kabir upadł na twarz?

– Pierwsze.

– Właśnie. A ile wzrostu ma Costa?

– Metr osiemdziesiąt siedem.

– A Kabir?

– Metr siedemdziesiąt trzy.

– Dlatego uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że sprawca był niższy od Kabira. Ale przede wszystkim do osobowości Costy nie pasuje mi tego rodzaju zimna, metodyczna brutalność, gdyż odpowiadając na pańskie pierwsze pytanie: nie, Costa nie jest psychopatą. Jest na to zbyt sentymentalny i pełen lęku.

– To kim jest w takim razie?

– To alkoholik, osoba ekstrawertyczna. Jest dumny i zgorzkniały. Bez wątpienia potrafi stosować przemoc. Ale to nie on zabił sędziego. Pomyliliście się. – W głosie Hansa Rekkego nie było słycać triumfu ani nawet wyższości, raczej smutną rezygnację.

Mimo to odebrali te słowa jak policzek, tym bardziej że siedzieli w jego wielkim domu i że Rekke w tej chwili sprawiał wrażenie tak wyrafinowanego, z tą wysoką, smukłą postacią, jakby różnił się od nich całą swoją istotą.

Micaela nie była w najmniejszym stopniu zaskoczona, że Fransson w końcu wstał na dobre.

– Dość już usłyszałem – powiedział.

– Naprawdę?

– To oczywiste, że nie ma pan pojęcia o policyjnej robocie – prychnął komisarz.

Wtedy wstał także Rekke i popatrzył na niego z tym samym melancholijnym uśmiechem.

– Nie, być może nie – odparł. – Ale mimo to widzę pewne prawidłowości, dlatego radzę panu popatrzeć na ostatni fragment nagrania z Kabirem, tuż po końcowym gwizdku.

– Przecież oglądaliśmy to tysiąc razy, do cholery!

– Nie wątpię. Ale czy nie zastanawia państwa, jak spokojny jest Kabir, kiedy Costa się awanturuje? Jakby czytał z niego jak z otwartej księgi: to tylko kolejny wariat, zdaje się myśleć. Ale nagle, tuż zanim ktoś potrafi kamerę, co się dzieje? Kabir patrzy gdzieś ukośnie w prawo, widzi coś innego i wtedy czuje strach.

– Przecież on tylko błądzi spojrzeniem.

– Naprawdę błędzi bez celu? Sądzę raczej...

– Nie interesuje mnie, co pan sądzi. Mam dość pańskiego zasranego gadania.

– Przykro mi.

– No więc dziękujemy za zaproszenie – wysyczał Fransson i ruszył do drzwi.

Przez chwilę nikt z pozostałych nie wiedział, co ma zrobić. Zmiana sytuacji była tak nagła i konsternująca, że Beijer i Sandberg tylko zakotłysali się na siedząco, jakby chcieli jednocześnie wyjść z Franssonem i zostać z Rekke. W końcu zwyciężył impuls, żeby pójść w ślady szefa, i tylko Micaela stała jeszcze przy posągu z brązu, intensywnie skoncentrowana.

– Co takiego pan sądzi? – zapytała.

– Słucham? – rzucił Rekke, nie do końca rozumiejąc pytanie.

– Czy myśli pan, że tam na boisku był jeszcze ktoś, na kogo nie zwróciliśmy uwagi?

Hans Rekke spojrział na nią, nie tak jak przedtem, tylko trochę nieobecnym wzrokiem, jak gdyby zainteresowanie, które jej właśnie okazywał, było jedynie natury intelektualnej. Jakby była kolejnym przedmiotem, któremu się przyglądał.

– Być może – odrzekł powoli, na co Micaela pomyślała, że jednak powinna wyjść razem z innymi.

Ale potem przypomniała sobie o sędzim i jego mrocznym autorytecie na boisku.

– A Jamal Kabir? Co pan o nim sądzi? – zapytała.

Rekke zdawał się znów wracać do życia. Popatrzył na nią zamyślony.

– Nie ufam mu – powiedział. – Nie tylko z powodu luk w jego historii. Są też jego dawne obrażenia. Rozpoznaję je. Mam wrażenie, że wskazują... – ciągnął, odzyskując patos w głosie. Ale tym razem też nie dane mu było dokończyć.

Z przedpokoju dobiegły podniesione głosy, a równocześnie zbliżyły się do nich kroki, ciche i niezdecydowane, jakby ktoś bał się przeszkodzić. To

żona Rekkego wyszła z kuchni i patrzyła na nich pytająco, może z lekką irytacją. W tej samej chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi frontowych. Wszyscy troje ruszyli w tamtą stronę, mijając Julię, która spoglądała na nich ciekawskim, niemal łapczywym wzrokiem. Micaela usłyszała, że Rekke szepnął:

– To nasz mały szpieg.

– Słucham? – rzuciła.

– Trzeba pilnować swoich tajemnic – wyjaśnił. Jego ton był żartobliwy, jakby zupełnie zapomniał o zatrzaszczających się drzwiach.

Ale Micaela nie miała już siły, żeby się w to zagłębiać. Wyszła na taras i stanęła w promieniach słońca. Ciężko stawiała stopy, patrząc w dół na grabiony żwir. Fransson i Sandberg machali na nią niecierpliwie z auta, a ona klęła cicho pod nosem, pogrążona w myślach. Nagle odwróciła się jeszcze raz z tym samym silnym poczuciem, że znów jest obserwowana, że ktoś przygląda się jej z taką samą ostrością i zainteresowaniem co przedtem. Ale tak jej się tylko wydawało.

Na tarasie Rekke właśnie otaczał ramieniem talię żony i razem z nią wchodził do swojego wielkiego domu lekkim, nonszalanckim krokiem, jakby spotkanie z policjantami było dla niego jedynie drobnym zakłóceniem, przystankiem w drodze do czegoś ważniejszego. I wtedy Micaela poczuła, że ogarnia ją złość i poczucie poniżenia.

Z zaciętą miną wsiadła do samochodu, gdzie zaraz oblepił ją duszny skwar.

SIEDEM

Potężne ciało Franssona znieruchomiało.

Wyglądał prawie, jakby złapał go skurcz. Poza tym przez ostatni tydzień był w świetnym humorze, co wynikało z tego, że wizyta u Rekkego odeszła nieco w zapomnienie. Z perspektywy czasu wywody profesora zdawały się przywidzeniem, magiczną sztuczką, która na chwilę pomieszała im szyki, ale nie znaczyła nic, kiedy wrócili do twardej rzeczywistości. Do końca lipca Fransson i jego zespół pracowali nad tą samą oczywistą hipotezą co przedtem, przy czym bardzo pomocny okazał się fakt, że Giuseppe Costa był bliski złożenia zeznań, choć nawet nie musieli uciekać się do chwytów psychologicznych.

Ten rozwrzeszczany drab po prostu zapadł się w sobie, był zrezygnowany i zagubiony. „Nie wiem” – tak brzmiała teraz jego odpowiedź na pytanie, czy jest winny. Zupełnie jakby zaczął dopuszczać możliwość, że popełnił zbrodnię w stanie zamroczenia. W sumie wszystko wskazywało na jego winę tak samo jak przedtem i prokurator Mårten Odelstam zaczął przygotowywać akt oskarżenia o morderstwo, względnie zabójstwo w afekcie. Tak więc życie w zespole biegło swoim zwykłym torem, a Fransson marzył o wyjeździe do Oviksfjällen, żeby łowić na muchę. Chciał mieć już to wszystko za sobą: żeby gazety wreszcie przestały pisać i mieszać się w tę sprawę, żeby ten cholerny komendant wreszcie przestał wydzwaniać i wyrażać zaniepokojenie. Ale kiedy życie układa się tak, jak człowiek sobie życzy?

Micaela weszła do pomieszczenia biurowego zdecydowanym krokiem i od razu było widać, że coś się w niej zmieniło. Nie chodziło tylko o to, że miała na sobie spódnicę i buty na obcasach. Był jeszcze... ten jej uśmiech. Po raz pierwszy od wizyty u Rekkego, kiedy w zachwycie łykała gładko

wszystko, co mówił, nie sprawiała wrażenia tak cholernie przygnębionej. Dopiero po chwili Fransson zauważył, że dziewczyna patrzy na jego dłonie. O co, do diabła, może jej chodzić? Najwyraźniej trzymał coś w palcach – malutki przedmiot, okrągły i błyszczący. Co, do jasnej...? To była koronka jego schaffhausena. Najpierw nie rozumiał, co się stało, potem pomyślał, że wystarczy ją wcisnąć z powrotem na miejsce i udawać, że wszystko jest w porządku. Ale zaraz dotarł do niego rozmiar katastrofy: jego zegarek, wart dwieście tysięcy koron, był zepsuty.

– Kurwa jego mać! – zaklął głośno i wstał z ciężkim westchnieniem.

Teraz już nie tylko Vargas mu się przyglądała. Cały zespół się gapił, a on wymamrotał, że musi iść do zegarmistrza w NK. Musi to naprawić, natychmiast. A jednak nie ruszał się z miejsca. Stał tylko, nagle ogarnięty falą zniechęcenia, i może dlatego śledził wzrokiem Vargas, że to ona w jakiś sposób była temu wszystkiemu winna. Tymczasem Micaela usiadła na swoim miejscu i choć jeszcze przed chwilą się uśmiechała, teraz miała niepokojąco zdecydowany wyraz twarzy. Jej ramiona i plecy były napięte, kiedy sięgnęła po telefon. W tej samej chwili Fransson pomyślał, że zamierza zadzwonić do profesora.

Pieprzony Rekke.

Przez pewien czas Micaela miała wręcz nadzieję, że się mylił. To było dla niej po prostu za dużo, że siedział tam przed nimi, w tym swoim wielkim domu, ze swoją piękną żoną oraz idealną córką, i wiedział wszystko lepiej od nich. Ale im bardziej usiłowała wyrzucić jego słowa z pamięci, tym częściej wracały, aż w końcu zobaczyła z całkowitą jasnością coś, co dotychczas objawiało się u niej jako nieokreślony ucisk w żołądku: pomylili się. Ale nikt nie chciał o tym słyszeć. Ci cholerni idioci byli zbyt ucieszeni, że Beppe przechodził załamanie i już nie miał siły zaprzeczać ani opowiadać swoich wariackich historii.

Kiedy zgłaszała swoje wątpliwości, w odpowiedzi otrzymywała zakłopotane spojrzenia i niezobowiązujące obietnice, aż w końcu, po tygodniu od wizyty w Djursholmie, postanowiła zadzwonić do profesora Rekkego. Wła-

ściwie wzbraniała się przed tym. Nigdy więcej nie chciała się czuć jak mały egzotyczny ptak, któremu ktoś przygląda się z góry, czy wręcz jak tamta odlana z brązu dziewczynka, dygająca pokornie. Ale jednak zebrała się na odwagę. Tu przecież nie chodziło o nią. Tu chodziło o morderstwo, więc pewnego wieczoru najpierw wypła w domu kilka piw i przegadała godzinę przez telefon z Vanessą, a potem po prostu wybrała jego numer. Siedziała w kuchni, spoglądając przez okno na kościół Kista. W słuchawce odezwał się kobiecy głos. To była Lovisa Rekke, więc Micaela nieco zawile i ewidentnie nerwowo wytłumaczyła jej, kim jest.

– O, dzień dobry – powiedziała tamta, jakby bardzo się ucieszyła z jej telefonu.

– Czy mogę rozmawiać z profesorem Rekkem? – mówiła dalej Micaela, niepewna, czy powinna używać jego tytułu naukowego.

– Niestety, nie ma go w domu. Mam nadzieję, że nie rozzłościł was za bardzo swoją gadaniną. Czasami potrafi być taki niezręczny. Ale ma dobre intencje.

– Myślę, że powiedział nam prawdę.

– Wcale mnie to nie dziwi. Niekiedy mam wrażenie, że widzi na wylot przez ściany. Żartujemy z Julią, że musimy dobrze ukrywać nasze sekrety.

– Jak mogę się z nim skontaktować?

– Jest już znowu na Stanfordzie. Ale telefon od pani na pewno go ucieszy. Polubił panią.

Micaela nie do końca wierzyła żonie Rekkego. Niemniej jednak dodało jej to pewności siebie i kiedy dostała numer jego komórki i adres mailowy, nagle poczuła radosne oczekiwanie, jakby profesor wcale nie był taki straszny. Choć oczywiście nie odpowiedział, mimo że pisała do niego kilka razy. Nie odzywał się. Mimo to Micaela nie potrafiła zapomnieć jego słów i kilka dni później, w drodze do pracy, znów zadzwoniła do Lovisy Rekke.

Od razu zauważyła, że coś się zmieniło. Nie żeby Lovisa była nieuprzejma. Powiedziała nawet: „Tak mi przykro, moja droga”. Lecz w jej głosie był

nowy, chłodny ton, jak gdyby chciała, żeby Micaela trzymała się od nich z dala.

Ta jednak nie zamierzała się poddać, zwłaszcza że miała nowe informacje. Pojechała na stadion Grimsta i spotkała się z nimi wszystkimi jeszcze raz: trenerami i rodzicami, tymi, którzy rzucili się wtedy na Giuseppe Costę i powalili go na murawę. Na tym etapie śledztwa znała ich już całkiem dobrze. To byli troskliwi ojcowie z klasy średniej, dumni ze swoich synów. Ale tamtego wieczoru jej rozmówcy zachowywali się prawie jak na komendzie policji. Ich nastawienie było niemal wrogie i patrzyli na nią z irytacją, nawet Niklas Jensen.

Niklas Jensen był niewiele wyższy od niej. Niski, z rudą brodą i małymi przymrużonymi oczkami, wyraźnie starszy od pozostałych ojców – mógł mieć nawet koło sześćdziesiątki. Lubił pogawędzić i często uśmiechał się do niej przyjaźnie. Ale teraz stał tylko przy linii bocznej, ubrany w dres Brommapojkarna, i patrzył na chłopaków na boisku z wyrazem niezadowolenia.

– Myślałem, że już wyjaśniliście tę sprawę – powiedział, nawet nie próbując spojrzeć Micaeli w oczy.

– Chciałam tylko jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Wcześniej wymienił pan wszystkie osoby, które znajdowały się w pobliżu, gdy doszło do szarpnięcia.

– Stałem trochę dalej. Nie widziałem wszystkiego zbyt dobrze.

– Wiem – potwierdziła Micaela. – Ale czy jest pan pewien, że powiedział o wszystkich? Czy nikt nie przeszedł obok? Może jest ktoś, kogo pan pominął?

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– A jeśli się pan zastanowi?

– Nie – zapewnił.

– Jest pan całkowicie pewien? Na nagraniu wideo widać wyraźnie, że Kabir przestraszył się kogoś, jakiejś osoby, która przeszła obok, a pan stał w takim miejscu, że musiał pan widzieć, kto to był.

– To mógł być w takim razie ten starszy facet.

– Starszy facet?

– Ale przecież już o nim mówiłem.

– Nie.

– Wspominałem o nim inspektorowi Sandbergowi.

„Pieprzony Sandberg” – zakląła Micaela w myślach. Nawet nie dał rady zanotować tego w protokóle?

– Nie widziałam tego w materiałach śledztwa.

– No cóż, to nie było chyba nic ważnego. On tylko szybko przemknął obok. A potem sobie poszedł – powiedział Jensen.

– W którą stronę?

– W stronę Gulddragargränd.

– Jak wyglądał?

– Też był Arabem. Łysy, dość niski, przygarbiony, chyba utykał. Na pewno był po siedemdziesiątce, mógł mieć nawet osiemdziesiąt lat. Był ubrany w zieloną kurtkę. Nie widziałem go zbyt dokładnie, chyba nikt z nas mu się nie przyjrzał. Byliśmy zajęci czymś innym.

– Niech to szlag trafi! – Micaela była tak wzburzona, że Niklas Jensen zaraz dodał:

– Ale o co chodzi? To był przecież tylko mały, drobny staruszek.

Tylko że to był mały, drobny staruszek, którego przegapili albo wręcz zignorowali, a który napędził Kabirowi stracha. Od razu nabrała pewności, że ta informacja jest istotna, i potem przejrzała wszystkie materiały, żeby znaleźć dokładniejszy rysopis. Ale bardzo niewiele osób widziało tamtego mężczyznę. Oprócz zeznań Jensena znalazła jeszcze dwie wzmianki, w obu przypadkach widziano go z daleka, lecz najwyraźniej rzeczywiście na stadionie Grimsta znajdował się starszy, utykający mężczyzna mniej więcej w czasie, kiedy doszło do morderstwa. I był to trop, który bez wątplenia zamierzała prześledzić do końca. Poza tym zaczęła niemal obsesyjnie rozmyślać o tym, co Rekke chciał powiedzieć o starych obrażeniach Kabira w Djursholmie, kiedy ich rozmowa została przerwana.

Nabrała przekonania, że to też było coś ważnego, i nie zadowalały jej słowa patologa, że na ciele nie było draśnięcia, którego nie przeanalizowaliby po dziesięć razy. Dlatego siedziała godzinami wpatrzona w fotografie zwłok Kabira, jak gdyby zdjęcia z sekcji miały być mapami, tajemnym szyfrem, który można było odkodować. W końcu musiała się skontaktować z Rekkem, żeby przedyskutować to, co tam zobaczyła, lub wydawało jej się, że zobaczyła.

Wiele razy siedziała z telefonem w dłoni i wybierała jego numer, żeby zaraz się rozłączyć, gdy tylko rozległ się sygnał. To było oczywiście idiotyczne, bez dwóch zdań, i dopiero teraz, kiedy koronka z zegarka Franssona odpadła, nagle wszystko okazało się bardzo łatwe. W dodatku tym razem ktoś odebrał.

– Profesor Rekke – odezwał się głos w słuchawce, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Ale musiało to być raczej: „Profesor Rekke, mówi asystent” albo coś w tym rodzaju, bo to wcale nie był on, tylko jakiś młody chłopak, przypuszczalnie student. Chłopak powiedział po angielsku, że profesor jest zajęty. Ale oczywiście oddzwoni, „gdy tylko będzie miał taką możliwość”. Micaela wcale w to nie uwierzyła. Głos tamtego był zdystansowany i ostrożny, a ona poczuła, że ma dość, że nie chce jej się użerać z zarozumiałymi snobami czy tępychmi gliniarzami.

– Jeszcze chwilę temu byłaś taka zadowolona.

Micaela drgnęła zaskoczona. Jonas Beijer podszedł do niej i stanął trochę za blisko. Pachniał stajnią, miał zmierzwione włosy i podkrążone oczy, jakby nie spał za dobrze. Ale jego uśmiech był tak samo szeroki jak zawsze i przez krótką chwilę zapragnęła znaleźć pociechę w jego ramionach. Zaraz jednak odrzuciła tę myśl. Jonas jako jedyny w zespole stał po jej stronie, nawet jeśli nie przyznawał tego otwarcie przed pozostałymi.

– Co? A nie, wszystko porządku – powiedziała.

– Udało ci się skontaktować z Rekkem? – pytał dalej.

– Nie zależy mi – rzuciła.

– Jasne – odparł, przewracając oczami. – Ale nie jestem pewien, czy to w ogóle jest potrzebne – dodał. – Rozmawiałem z prokuratorem.

– I co powiedział?

Jonas zrobił krótką teatralną pauzę, jakby chciał, żeby się trochę spociała z emocji.

– No mów – poprosiła Micaela.

– Nie będzie wnosił oskarżenia – wypalił Jonas. – Uważa, że dowody nie są wystarczające.

Nieprzyjemne wrażenie po nieudanej rozmowie z Rekkem zniknęło w jednej sekundzie. Micaela zerknęła na Jonasa, pomyślała, że zaraz znów zobaczy jego szeroki uśmiech. Ale miał poważny wyraz twarzy, jakby to była zła wiadomość – z pewnością tak było dla zespołu jako całości. To byłaby wielka kompromitacja, gdyby okazało się, że postawili wszystko na niewłaściwą osobę.

– Przecież to wspaniale – rzuciła.

– Tylko nie miej takiej cholernie zadowolonej miny – zmitygował ją Jonas. – Lepiej zmykaj, zanim Fransson się o tym dowie.

Rzeczywiście postanowiła wyjść. Przemaszerowała przed pozostałymi, nie zdradzając się z tym, co czuje, i dopiero na korytarzu wyrzuciła ramiona w górę. „A więc jednak się udało” – pomyślała i spróbowała sobie wyobrazić, jak zareaguje na to Beppe. Ale zaraz jej myśli zajęły inne sprawy. Lucas, jej brat, wysłał wiadomość, że chce się z nią spotkać. Micaela uśmiechnęła się do siebie, jakby właśnie za nim najbardziej tęskniła.

„Widzimy się u matki za pół godziny” – odpisała.

OSIEM

Jako mały chłopiec Lucas wpadł kiedyś na szybę okienną. Od tamtego czasu miał jasną bliznę, która biegła przez czoło od brwi do góry. Micaela zawsze uważała, że ta blizna mu pasuje. Choć czasem ją przerażała. Czasem z pewnej odległości miała wrażenie, że widzi w jego ciele jakąś brutalność, którą ledwo dawało się utrzymać na wodzy. Gdy podchodziła bliżej, to poczucie znikało.

Miał cudowny krzywy uśmiech, często dawał jej prezenty, przeważnie ubrania, których nigdy nie nosiła, i zawsze powtarzał, jaki jest z niej dumny. Była w nim energia, która ją przyciągała.

– Cześć.

Stał na podwórku i przywoływał ją gestem. Przed nim wznosił się zielony blok, w którym się wychowali, z białymi galeriami i kwadratowymi oknami. Idąc wzdłuż placu zabaw i ławek, Micaela zbliżyła się do brata. Ale nie od razu mogli porozmawiać. Do Lucasa ciągle podchodzili ludzie, a on wszystkim ścisnął ręce i z każdym zamieniał kilka zdań. Był dobrym materiałem na polityka.

– Stęskniłem się za tobą. Pracujesz całymi dniami. Przejdziemy się? – powiedział, kiedy wreszcie zostali sami.

– Nie zajrzemy do mamy?

– Ona nie musi wszystkiego słyszeć.

Szli Trondheimsgatan, przez jej zieloną część, w stronę centrum. Handlarze na placu wykrzykiwali swoje zachęty, poza tym było pustawo. Słońce grzało w kark. W pewnej odległości, koło parkingu, przejechał policyjny radiowóz.

– Naprawdę fajnie cię widzieć – powiedział Lucas. – Spotkałem wczoraj twoją nauczycielkę szwedzkiego. Myślała, że zostałeś kimś w rodzaju adwokacki albo lekarki.

– Przykro mi, że się rozczarowała.

– No nie, śledcza ścigająca morderców jest nawet bardziej *cool*. Ale słyszałem, że gliniarze są dla ciebie wredni.

Spojrzała w jego wielkie brązowe oczy.

– Kto tak powiedział?

Otoczył ją ramieniem.

– Nikt szczególny. Przecież wiesz, że mam swoje kontakty. Czy jest coś, co mogę zrobić?

– Wcale nie jest tak źle.

– Ale ten Fransson to idiota.

– Może trochę.

Przed oczami stanął jej komisarz ze swoją ciężką sylwetką w drodze do zegarmistrza w NK.

– Mówią, że uważasz Costę za niewinnego.

Micaela drgnęła zaskoczona. Przez chwilę miała ochotę powiedzieć mu, co usłyszała od Jonasa Beijera. Ale to było oczywiście nie do pomyślenia.

– Bardziej niż kiedykolwiek – rzuciła zamiast tego.

– A pozostali się z tym nie zgadzają?

– Będą musieli – powiedziała i chcąc zmienić temat, zapytała, czy nadal pracuje jako ochroniarz w klubie Sophies.

Najwyraźniej nie miał ochoty o tym mówić. Pozdrowił skinieniem głowy Hectora Pereza, jednego ze swoich młodszych kumpli, który stał i palił przed pralnią Husby Tvätt.

– Ludzie dużo gadają o tym sędzim.

– Dziwne, gdyby nie gadali – stwierdziła Micaela.

Lucas dał ręką znak Hectorowi, żeby nie podchodził, bo ten chyba chciał porozmawiać.

– Słyszałem, że się czegoś bał.

Przy stacji metra Micaela zauważyła z daleka koleżankę z patrolu, Filipę Gran, która popatrzyła na nią pytająco. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna się przywitać.

– Od kogo to słyszałeś?

Rozłożył tylko ręce, ten gest widziała już u niego tysiące razy.

– Nie baw się ze mną w swoje gierki – powiedziała. – To najważniejsza sprawa, z jaką miałam do czynienia.

– To nie są gierki.

Spojrzała na niego z irytacją.

– Czego on mógł się bać, jak sądzisz?

– Widziałem tamten reportaż w telewizji – powiedział Lucas. – Wyglądało, że się trochę puszy, żeby ukryć, jakiego ma cykora. Tam gdzieś musi być jakiś syf, w jego przeszłości, mogę się założyć.

– No proszę, prawdziwy psycholog z ciebie.

– Zawsze był ze mnie prawdziwy psycholog.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie, a on wyszczerzył się w uśmiechu.

– Będziemy musieli wezwać cię na przesłuchanie – oznajmiła.

Lucas znów chciał otoczyć ją ramieniem, ale się odsunęła.

– Mogę skombinować więcej informacji, jeśli chcesz. Słyszysz się o nim masę dziwnych historii.

Micaela przyjrzała się bratu i nabrała pewności, że tylko próbuje odgrywać kogoś ważnego. Przez całe jej dzieciństwo Lucas udawał, że wie różne rzeczy, i zachowywał się zagadkowo, jakby skrywał wielką tajemnicę.

– Chętnie – powiedziała.

– Moglibyśmy sobie pomagać nawzajem, ty i ja.

Jasne, że by mogli. Nie podobał jej się jednak ton, jakim to powiedział. Micaela zastanawiała się, czy Lucas nie prowadzi jakiejś gry. Pomyślała, że nie chce w tym uczestniczyć. Przypomniała sobie Rekkego, tamten moment, kiedy zamierzał jej powiedzieć o obrażeniach Kabira.

Dwa dni później Micaela została wezwana po południu do Carla Franssona. Bezskutecznie próbowała stłumić poczucie oczekiwania, może nawet ostrożnej nadziei, że Fransson przyzna jej rację. Ale nie miała pojęcia, co ją czeka. Coś wisiało w powietrzu. Odruchowo wyprostowała się po wejściu do jego pokoju. Fransson miał na sobie koszulkę klubu AIK z długim rękawem. Na biurku stał bukiet tulipanów.

– Witaj – rzucił luźniejszym niż zwykle tonem, więc Micaela odpowiedziała w podobny sposób i zapytała, jak mu poszło z zegarkiem.

Fransson burknął w odpowiedzi, że zegarek został odesłany do Szwajcarii. Naprawa miała potrwać sześć tygodni.

– To przykre – stwierdziła Micaela.

– Szwajcarska precyzja i ręczna robota. Można naprawić tylko na miejscu.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Fransson wahał się przez chwilę.

– O twoim bracie.

Micaela aż podskoczyła.

– Domyślam się, że chodzi ci o Lucasa.

– Co możesz o nim powiedzieć?

– Sama nie wiem – zaczęła zakłopotana. – Ale nie sądzę, żeby teraz robił coś szczególnie głupiego. Pracuje w mieście jako ochroniarz. Ma porządną dziewczynę, która studiuje marketing.

Carl Fransson kręcił się niespokojnie na krześle, jakby nagle nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Naszym zdaniem jest akurat odwrotnie: jeszcze bardziej rozkręcił swoją działalność.

– Nic o tym nie słyszałam.

Naprawdę nic o tym nie słyszała. Nawet matka z Simónem zapewniali ją, że Lucas trzyma się z dala od złego towarzystwa.

– A przecież jesteście bardzo zżyci, prawda? – zapytał.

– Kiedyś tak, jak byliśmy młodszy, po śmierci naszego taty. Ale teraz nie-
zbyt często się widzimy.

– Mimo to spacerowaliście niedawno pod ramię po Husby.

„A więc Filippa uznała, że musi o tym koniecznie opowiedzieć” – pomy-
ślała Micaela.

– O co tu chodzi? – zapytała i zaraz przypomniała sobie, że Lucas miał
też całkiem niezłą wiedzę o Franssonie. Nazwał go idiotą. Czyżby między
nimi były jakieś osobiste niesnaski?

– Zaczynamy dostawać coraz więcej niepokojących informacji na jego
temat i chcielibyśmy, żebyś nam pomogła.

– W jaki sposób? – Poczowała, jak mięśnie jej twarzy sztywnieją.

– Chcemy, żebyś po prostu miała oczy otwarte. Nie wywieraj na niego
żadnych nacisków, nie wiesz w jego sprawach. Nie chcemy, żebyś wzbudza-
ła jakiegokolwiek podejrzenia, masz tylko słuchać i próbować się czegoś do-
wiedzieć.

– A więc miałabym szpiegować swoją własną rodzinę?

– Może trochę...

– Jak możesz mnie w ogóle o to prosić?

– Bo czasem, Micaelo, trzeba wybrać, po której się jest stronie.

– Przecież wiecie, po której stronie jestem.

– Tak, wiemy, oczywiście. Ale czasem ten wybór musi być bardziej ak-
tywny. Co ty na to?

Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Wszystko wirowało jej w gło-
wie, był tam nie tylko Lucas w tysiącu postaci, lecz także śledztwo, utykają-
cy staruszek w zielonej kurtce i dojmujące uczucie, że oto przed jej oczami
rozgrywa się coś decydującego.

– Nie sądzę.

– Ach tak, nie sądzisz.

– Poza tym chciałam się bardziej skoncentrować na śledztwie – dodała.

- No właśnie, o tę sprawę też tu chodzi.
- Jaką sprawę?
- Planujemy zmiany w zespole.
- Okej, to chyba dobrze – powiedziała ostrożnie Micaela.
- Tylko że ty wylatujesz.
- Co? – Chwyciła mocno podłokietniki krzesła.
- Wylatujesz, o ile nie...
- Co takiego?
- ...pokażesz, że naprawdę chcesz zostać – dokończył Fransson.

Nie chciała tego zrozumieć, odpychała te słowa od siebie. A mimo to w jej myślach wyklarowało się jasne, nieprzyjemne pytanie.

– Czyli chcesz powiedzieć, że nie mogę pracować dalej w zespole, jeśli nie zakabłuję swojego brata?

– Chcemy, żebyś wniosła coś więcej, od siebie.

– Przecież, do jasnej cholery, byłam jedyną osobą, która mówiła, że jesteśmy na złej drodze – wysyczała.

– Sam fakt, że jeszcze nie ma oskarżenia, wcale nie musi oznaczać, że jesteśmy na złej drodze. Ale to prawda, że musimy teraz myśleć nieszablono-wo, dlatego potrzebujemy bardziej zgranego zespołu, to chyba rozumiała.

– Samych facetów?

– Nie wyciągaj teraz karty uciśnionej kobiety, Micaelo. To jest poniżej twojej godności.

– Nie możesz tak ze mną postąpić.

– Ależ mogę, owszem, i jak mówiłem, dajemy ci możliwość dalszej pracy w zespole. Uważam, że to dość wspaniałomyślna oferta, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Jakie okoliczności?

– Twoje problemy ze współpracą, między innymi – ciągnął.

Micaela poczuła, że brakuje jej słów. Nic nie przychodziło jej do głowy. Nagle zaniemówiła, choć czuła, że musi coś powiedzieć. Nie cokolwiek,

a już na pewno nic napastliwego, to powinna być raczej sensowna, rzeczowa odpowiedź, która pokazałaby, jak nieludzki i niesprawiedliwy był ich plan, zwłaszcza że była jedyną osobą w zespole, która nie stała bezczynnie, gapiąc się w ciemny tunel. Ale choć próbowała coś wymyślić, czuła się pusta, jakby odpłynęła z niej cała krew. Zamiast rzucić mu prawdę prosto w twarz, wstała i wymamrotała bezradnie:

– Sama nie wiem.

– Już wychodzisz? – zapytał Fransson.

– Muszę na powietrze – powiedziała i wyszła na korytarz, potem zbiegła schodami w dół, aż stanęła w słońcu na Sundbybergsgatan.

Ulicą przejechał czerwony kabriolet, chłopak w bejsbolówce i okularach słonecznych pomachał na nią, a Micaela w odpowiedzi pokazała mu środkowy palec, prawie z nadzieją, że się zatrzyma i zacznie awanturę. Ale facet – uśmiechnięty – pojechał dalej, a ona postanowiła pójść do domu.

DZIEWIĘĆ

Micaela nie skusiła się na propozycję Franssona i w rezultacie wylądowała w wydziale do spraw przestępczości młodzieży. Ale czuła, że to jej nie wystarczy. Zapisła się więc na kurs podstaw prawa na Uniwersytecie Sztokholmskim i w miarę możliwości starała się być na bieżąco z postęпами w śledztwie. Z tego, co do niej docierało, wnioskuje, że niewiele się tam działo w tej sprawie. Odkąd Sąd Okręgowy w Solnie zwolnił Giuseppe Costę, zespół śledczy nie miał żadnej nowej koncepcji i im więcej czasu mijało, tym mniej ją cała sprawa obchodziła.

Była zajęta pracą i studiami, czasem wychodziła z Vanessą do knajp czy klubów. Pewnego wieczoru, po tym gdy spotkały się na wczesnego drinka, Micaela wracała sama przez pasaż Sturegallerian. To była końcówka września, kwadrans po ósmej wieczorem. Kawałek dalej, na placu Stureplan, zauważyła chłopaka z ochrony rządowej, którego trochę znała.

Nazywał się Albin Coştam, był wysoki, jasnowłosy, miał wydatne kości policzkowe i małe czujne oczy. Stał przed wejściem do restauracji i po języku jego ciała Micaela od razu poznała, że był na służbie. Dlatego tylko krótko skinęła mu głową i zajrzała do środka, żeby zobaczyć, kogo ochrania. Najpierw nie zauważyła niczego szczególnego. A potem przystanęła zaskoczona.

W restauracji był Mats Kleeberger, minister spraw zagranicznych. Siedział tuż przy oknie w towarzystwie trzech innych mężczyzn, co trochę zdziwiło Micaelę. Od pewnego czasu raczej nie zdarzało się, żeby politycy tak wysokiego szczebla otwarcie pokazywali się w miejscach publicznych. Ale to był Kleeberger, najbardziej wyrazista i dominująca postać w rządzie. Miał na sobie białą koszulę i okulary w mahoniowych oprawkach, które od-

sunął na czoło. Z jego gestów i wyrazu twarzy Micaela wywnioskowała, że mówił o czymś, co bardzo go angażowało.

Emanował tą samą absolutną pewnością siebie co w telewizji, która sugerowała widzom, że minister rozumie różne sprawy i powiązania trochę lepiej niż inni. Jego charyzma czy raczej szlachetna elegancja w gestach i mimice sprawiała, że wszyscy inni politycy wyglądali przy nim jak zagubieni prowincjusze. Zafascynowana Micaela obserwowała scenę w restauracji.

Wkrótce zauważyła jednak, że to nie Kleeberger przyciąga ją najbardziej. Był tam jeszcze wysoki mężczyzna w czarnej koszuli, który siedział naprzeciwko niego i – w odróżnieniu od pozostałych osób przy stole – sprawiał wrażenie znudzonego, jakby minister spraw zagranicznych był w jego oczach tylko nieznośnym dzieciakiem.

Ale najbardziej poruszyło ją coś innego. To była lewa noga tego mężczyzny. Kończyna podskakiwała nerwowo pod stołem – już to gdzieś wcześniej widziała. Mężczyzną tym był Hans Rekke. Micaela przez moment zapragnęła wpaść do restauracji i zapytać go o wszystko, nad czym tyle rozmyślała. Ale oczywiście nadal stała przed oknem. Teraz dotarło do niej jeszcze wyraźniej, dlaczego profesor nie odpowiedział na jej maile i telefony. W jego świecie nie było miejsca dla kogoś takiego jak ona, zwłaszcza kiedy widziała, że siedzi znudzony nawet w obecności samego ministra, jakby i teraz chciał się zająć czymś ważniejszym.

– Idiota – powiedziała półgłosem sama do siebie, nawet dobrze nie wiedząc, kogo ma na myśli.

Tymczasem w restauracji coś się zaczęło dziać. Rekke najwyraźniej przerwał Kleebergerowi. Na twarzy ministra pojawiło się zawstydzenie i tego już było dla Micaeli za wiele. Nigdy nie widziała, żeby ktoś w ten sposób wprowadził Kleebergera w zakłopotanie, więc w końcu odeszła, klnąc cicho pod nosem.

To było takie... niesprawiedliwe. Całe życie było niesprawiedliwe. Musiała walczyć, ciężko pracować, przepychać się łokciami. A mimo to ciągle zamykały się przed nią drzwi, podczas gdy on dostał wszystko: bystrość umy-

słu, szacunek nawet w kręgach rządowych, bogactwo, szczęśliwą rodzinę – najpewniej całą pieprzoną idyllę. Jedyne minus stanowiło może to, że czasem musiał się użerać z tępyimi gliniarzami i znosić gadatliwych dygnitarzy. Ale to też z pewnością nie było takie straszne. Dawało mu okazję, żeby pokazać swoją przewagę. Niech go diabli.

Po raz setny przypomniała sobie tamtą wizytę w jego wielkim domu w Djursholmie. To było poniżające, bez wątpienia, prawdziwa intelektualna egzekucja. A jednak był w tym też dla niej pewien moment triumfu, poczucie, że Rekke w jakiś sposób wymierza sprawiedliwość za te wszystkie sytuacje, kiedy faceci z zespołu patrzyli na nią z góry. Poza tym nie mogła zapomnieć swojej radości i zaskoczenia, kiedy koronka w zegarku Franssona rzeczywiście odpadła.

Był to tak magiczny moment, że nawet Rekke nie mógł go zepsuć swoją nonszalancją i milczeniem przez całe lato. Kiedy schodziła w dół Biblioteksgatan, na jej twarz stopniowo wracał uśmiech. Myślała, że Rekke na pewno był aroganckim dupkiem, ale nie mogła go skreślić z tego powodu. Otaczający go blask wręcz wzmacnił się po tym, jak obojętnie potraktował Kleebergera. Ale Micaela nie przyznałaby się do tego przed nikim, nawet przed Vanessą, więc odsunęła te myśli i poszła w stronę Kungsträdgården i wejścia do metra przy Arsenalsgatan.

Jak też ona się nazywała? Martin Falkegren nadal nie mógł sobie przypomnieć. Ale z jakiegoś powodu szedł za nią. W zasadzie to była wina jego żony.

Hanna została nagle wezwana do pracy, na chirurgię ortopedyczną, i zostawiła go samego w mieście. Chwilę później stał na Stureplan, niezdecydowany, czy wracać taksówką do domu, czy szukać przygód na własną rękę. I właśnie wtedy, kiedy błędził wzrokiem, wypatrując jakiejś wskazówki, zobaczył tę młodą Chilijkę.

Trochę się wystroiła. Miała na sobie obcisłe dżinsy, które ładnie podkreślały jej tyłek, tylko bluzka była zdecydowanie za luźna, a grzywka nadal

opadała jej poniżej brwi. „Młoda kobieta nie powinna się tak ukrywać” – pomyślał i postanowił podejść do niej, żeby porozmawiać.

Choć właśnie wtedy coś się stało. Jej ciało zastygło na chwilę nieruchomo, jakby miała przystąpić do ataku. Ale nic takiego nie nastąpiło. Potrząsnęła tylko ramionami i poszła dalej w stronę Biblioteksgatan. Podświadomie zrobił kilka kroków w tym samym kierunku. Czy rzeczywiście powinien za nią iść? „No właściwie dlaczego nie” – uznał. To taki spontaniczny pomysł, takie małe szaleństwo. A kiedy zobaczył, jak przecina Norrmalmstorg, nabrał pewności, że powinien z nią porozmawiać.

Przecież nie brakowało im tematów. W zespole śledczym były nieporozumienia. Nie wiedział tylko, co do niej dotarło, ile z tego wyciekło w ogóle na zewnątrz. Postanowił więc, że zarzuci wędkę, a może też... skoro jego żona miała być zajęta całą noc. Omiótł wzrokiem jej ciało z góry na dół.

– Dobry wieczór, co za spotkanie – rzucił.

Dziewczyna odwróciła się, w oczywisty sposób zaskoczona, może nawet trochę zdenerwowana, co mu się spodobało. Przez chwilę szukał oznak szacunku, unizoności. Ale tak samo jak przedtem wyczuwał w niej jakąś sprzeczność, coś, czego nie potrafiłby określić.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Chciałem tylko zapytać – posłał jej swój najsympatyczniejszy uśmiech – czy dobrze się pani u nas pracuje?

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Tak, dobrze. Dziękuję – odrzekła wreszcie.

– Mam nadzieję, że nie była pani rozczarowana, kiedy odsunięto panią od śledztwa?

Wyraz jej twarzy się zmienił, a Falkegren nabrał pewności, że była z tego powodu wściekła. Ale najwyraźniej postanowiła tego nie okazywać.

– W porządku. Lubię swoje nowe stanowisko.

– Czy ma pani kontakt z resztą zespołu? – zapytał.

– Rozmawiam czasem z Jonasem Beijerem. Ale dawno się nie słyszeliśmy. Pewnie nie ma aż tak dużo do opowiadania – dodała, a on poczuł się

sprowokowany jej słowami.

Nie dlatego, że nadal odpowiadał za wyjaśnienie tego morderstwa. Ale od sytuacji z Costą odczuwali w tej sprawie pewien dyskomfort, który potrafił nagle o sobie przypomnieć. Dlatego zawsze bardzo osobiście odbierał krytykę śledztwa.

– A jednak zdarzyło się trochę nowych rzeczy. Słyszała pani, że koledzy są bliscy zidentyfikowania tego starego człowieka, który przechodził obok boiska podczas awantury? Włożyli w to ogromnie dużo pracy.

– Ach tak, doprawdy? – rzuciła. – Nie byli nim specjalnie zainteresowani, kiedy tam pracowałam.

– Nie – powtórzył bezwiednie. – Ale teraz to jest gorący trop. Pomaga im amerykańska służba wywiadowcza w Kabulu.

– Jonas mówił, że jednak wcale nie jest tak łatwo się dogadać z Amerykanami.

– Wszystko tam idzie bardzo opornie. Z oczywistych względów.

Micaela przez chwilę się nad czymś zastanawiała.

– Mogę pana o coś zapytać?

– Oczywiście. O cokolwiek – odparł i wyobraził sobie, że jego odpowiedź będzie długa, wygłoszona nieco ojcowskim tonem, może nad szklaneczką czegoś mocniejszego w jednym z pobliskich lokali. Obrzucił przelotnym spojrzeniem jej biodra.

– Czy nie myśleliście o tym, żeby ponownie skonsultować się z profesorem Rekkem? – zapytała i w jednej sekundzie zepsuła cały nastrój.

– Nie, nie braliśmy tego pod uwagę – odpowiedział.

– On widział jasno wiele rzeczy.

– *Claritas, claritas*, ciągle to powtarza. – Martin Falkegren starał się nadal sprawiać wrażenie wyluzowanego, choć w rzeczywistości chciał splunąć słowami i wcisnąć je tej dziewczynie do gardła. „Nie wszystko jest takie proste, jak ci się wydaje, panienko” – chciał powiedzieć. Wiedział jednak, że to byłby błąd, więc postanowił zakończyć rozmowę.

– Profesor widział coś szczególnego w dawnych obrażeniach Kabira – ciągnęła Micaela.

– No właśnie, tak, być może tak było. Ale nie zawsze widział tak dużo, jak mu się wydawało. Niemniej...

– Słucham?

– Muszę już iść. Naprawdę miło było panią spotkać – dokończył, ujął jej dłoń i lekko musnął ramię. Potem ruszył przed siebie, złapał taksówkę, a podczas jazdy do domu wspominał rozmowę z Rekkem. „Pieprzony kłamca” – myślał. Wydaje mu się, że może rzucać najróżniejsze oskarżenia, bo ma swój tytuł i swoje miliony. Martin Falkegren był dumny z siebie, że nie przekazał dalej znanych mu informacji, jak jakaś cholerna rozplotkowana baba. Po prostu rozumiał spoczywającą na nim odpowiedzialność i wykazał się cechami przywódczymi.

W głębi duszy miał nadzieję, że Amerykanie raz na zawsze zrobią porządek z Hansem Rekkem.

Micaela nie wysiadła na stacji Kista. Pojechała dalej do Husby, bo zamierzała zobaczyć się z matką. Ale kiedy dotarła na podwórko, zobaczyła na jego drugim końcu znajome plecy w szarej kurtce. Plecy zmierzały w stronę lasu przy Järvafältet.

– Lucas! – zawołała.

Chyba jej nie usłyszał, więc Micaela dalej szła w stronę bloku i windy, rozmyślając o spotkaniu z Falkegrenem. Nie wiedziała, o co mu chodziło. Dlaczego właściwie do niej podszedł, dlaczego tak dziwnie zareagował, kiedy wymieniła nazwisko Rekkego? Jeszcze tak niedawno Falkegren podziwiał profesora, wkurzał ich tymi swoimi przechwałkami i uwielbieniem. Teraz na dźwięk jego nazwiska okazywał raczej irytację. Może to nie takie dziwne, biorąc pod uwagę, jaki obrót przybrało śledztwo, ale mimo wszystko... Micaela miała wrażenie, że było w tym coś jeszcze.

W jej myślach znów pojawił się Lucas – w tej samej chwili obróciła się na pięcie i też poszła w stronę lasu.

Nie było to najprzyjemniejsze miejsce w Husby. Odbywał się tu handel narkotykami i Micaela wiedziała, że jej drugi brat, Simón, często chadzał tam wieczorami, w poszukiwaniu dragów albo czegośkolwiek innego: towarzystwa, jakichś emocji. Ale teraz nikogo nie widziała. Las był pusty. Zaczął wiać wiatr. Liście już pożółkły, na ziemi leżały śmiecie i puszki po piwie.

W prześwicie między drzewami popatrzyła na ścianę szarozielonego bloku i okno matki na trzecim piętrze. Nagle poczuła, że nie chce być tutaj, wolałaby pić z nią herbatę, opowiedzieć o Rekkem i Kleebergerze, na co mama wykrzyknęłaby trochę naiwnie, a trochę krytycznie: „Mój Boże, jakich ty wysoko postawionych ludzi spotykasz! Ale nie myśl nawet przez sekundę, że mogłabyś im zaufać”.

Wiatr klekotał gałęziami drzew. Micaela wyczuwała trudne do uchwycenia zagrożenie, mimo to podeszła kilka kroków bliżej do alejki i latarni. Wtedy jej uszu dobiegł ten odgłos. Był ledwo słyszalny. Przypominał raczej skomlenie i mogłaby uznać, że wydaje go jakieś zwierzę. Wysłuchała się znowu, skoncentrowana, a wtedy dźwięk ponownie się pojawił. Tym razem brzmiało w nim przerażenie, jakby ta osoba bała się krzyczeć i tylko dyszała. Micaela stała przez sekundę w bezruchu, potem zaczęła się powoli obracać, wpatrując się w las i nasłuchując tego odgłosu.

Zauważyła między drzewami dwóch mężczyzn, którzy się bili, czy raczej tylko jeden z nich bił, a był nim Lucas. Wyglądał, jakby zamierzał zrobić jakąś straszną rzecz. Coś pchało Micaelę bliżej, choć bała się, że brat ją zauważy. Ale musiała zobaczyć wszystko: jak Lucas wyciąga pistolet, który miał za pasem, i przystawia go do krtani tego drugiego faceta. Micaela uświadomiła sobie wtedy, co ją w tym wszystkim najbardziej przeraziło. Nie same pogróżki, nie wylot lufy na gardle tamtego człowieka, ale wprawa i naturalność tego ruchu. I choć nie słyszała, co mówią, rozumiała, że ten drugi, młody ciemnoskóry chłopak, najwyżej osiemnasto-, dziewiętnastoletni, zrobi potem wszystko, czego tylko jej brat zażąda. Chłopak wydyszał bezsilnie kilka słów i padł na ziemię, a Lucas zostawił go i poszedł.

Przez chwilę Micaela stała jak sparaliżowana i zastanawiała się, czy nie powinna podejść do leżącego, ale kiedy wreszcie była w stanie się ruszyć,

chłopak wstał i pobiegł w drugą stronę, a ona została sama w lesie, dygocząc na całym ciele. Potem powoli ruszyła w stronę stacji metra i – ku swemu zdumieniu – zauważyła, że lekko kuleje. Znów to cholerne biodro dało o sobie znać, jej uraz wojenny, jak mawiała Vanessa. Ale kiedy dotarła na plac, zdążyła już o tym zapomnieć.

Czuła w głowie ogłuszające pulsowanie i przez dłuższą chwilę sądziła, że zaraz zadzwoni do Lucasa i go zwyczajnie opieprzy. Ale jej myśli wkrótce podążyły w innym kierunku. Nagle odniosła wrażenie, że widzi całe życie w zupełnie innym świetle. Wspomnienia, które jeszcze przed chwilą były miłe albo przynajmniej niewinne, stały się ciemne i zniekształcone. Czuła narastającą wściekłość, aż w końcu nabrała pewności, że powinna skontaktować się z Franssonem i opowiedzieć mu, co przed chwilą widziała. Jeśli przy okazji wróciłaby do zespołu śledczego, tym lepiej.

DZIESIĘĆ

Następnego ranka, kiedy wreszcie wybiła ósma, zadzwoniła do komisarza. Ale gdy Fransson odezwał się w słuchawce, Micaela się rozłączyła. Nie była w stanie tego zrobić, nie tylko dlatego, że działanie za plecami Lucasa okazało się trudniejsze, niż myślała. Świadomość, że mogłaby na tym ugrać coś dla siebie, psuła szlachetność jej intencji. Zresztą właściwie dlaczego miałyby cokolwiek dawać Franssonowi w prezencie? Niby w jaki sposób sobie na to zasłużył?

Usiadła w kuchni przy stole, naląła sobie filiżankę herbaty i pomyślała, że może powinna skontaktować się bezpośrednio z kimś zajmującym się przestępczością zorganizowaną w dzielnicy. Ale nie, oni pewnie by jej nie zaufali. Zamiast tego powinna... co właściwie mogła zrobić? Przeprowadzić własne dochodzenie? Dowiedzieć się, czym Lucas tak naprawdę się zajmował? To byłoby oczywiście najbardziej racjonalne.

Poszła do pokoju, włączyła komputer i wpisała imię i nazwisko Lucasa. Nie było ani jednego trafienia, co wcale jej nie zdziwiło. Zarówno brat Micaeli, jak i jego kumple raczej nie przesiadywali przy komputerze, blogując. Pod wpływem impulsu wrzuciła też do wyszukiwarki nazwisko Rekkego – raczej dla odprężenia, żeby uciec przed dręczącymi myślami.

Na monitorze pokazało się zdjęcie mężczyzny, który przypominał profesora, ale był trochę większy, masywniejszy, miał bardziej przerzedzone włosy. Micaela skądś go kojarzyła, a jego oczy wydawały się jej fałszywe. Nazywał się Magnus Rekke. Był bratem Hansa Rekkego, ale przede wszystkim sekretarzem gabinetu i najbliższym współpracownikiem ministra spraw zagranicznych Kleebergera. To tłumaczyło kolację w restauracji Sturehof. Tylko po to, żeby przez chwilę nie myśleć o Lucasie, Micaela zaczęła

wczytywać się w informacje na temat brata profesora. A było ich całkiem dużo.

Magnus Rekke był przedstawiany jako szara eminencja. W kilku miejscach napisano, że miał wyjątkowo dobre kontakty z administracją amerykańską. Mówiło się, że jego wpływy jeszcze wzrosły po jedenastym września. „Bez Magnusa nigdy nie mielibyśmy dostępu do wielu istotnych informacji od służb specjalnych” – mówił sam Kleeberger. Ale najwyraźniej nie wszyscy podzielali ten zachwyt. „Magnus Rekke jest na posyłki dla CIA jak uczniak” – pisał felietonista popołudniówki „Aftonbladet”. W ogóle wielu dziennikarzy, zarówno z prawej, jak i z lewej strony, domagało się jego dymisji, nie ukrywając mimo to swojego podziwu dla jego osoby. „Ktoś inny na miejscu Rekkego już dawno wyleciałby z rządu” – napisano we wstępniaku w „Svenska Dagbladet”. „Ale po nim wszystko spływa, jakby był ponad prawem dotyczącym zwykłych śmiertelników”.

Magnus Rekke oprócz angielskiego znał też niemiecki i francuski, a także chiński i arabski, miał tytuł doktora stosunków międzynarodowych z kolegium Christ Church w Oksfordzie. Dysponował podobno szeroką siecią kontaktów. Mówiło się, że zna dobrze Tony’ego Blaira, Condoleezę Rice i ma powiązania ze służbami wywiadowczymi na całym świecie.

Z opisów jawił się jako człowiek inteligentny i odczytany, czasem cwaniak, często niezależny – bo bez przynależności partyjnej. Dysponował dużym majątkiem, który odziedziczył po ojcu, norweskim armatorze Haraldzie Rekkem. Ojciec zmarł, kiedy jego synowie byli mali, jego żoną była Elisabeth z domu von Bülow, dawna wykładowczyni fortepianu w akademii muzycznej w Wiedniu – Universität für Musik und darstellende Kunst.

W krótkiej notce napisano, że młodszy brat Magnusa Rekkego, Hans, był obiecującym pianistą, wykształconym w Juilliardzie w Nowym Jorku. Nie było tam nic o tym, dlaczego zakończył karierę pianisty, ani nawet że teraz jest profesorem Stanforda. Jedynie że obaj synowie od najmłodszych lat musieli być wybitni. W domu nie uznawano niczego innego. Tylko nie chodziło tu o tytuły ani o pieniądze – których rodzina posiadała aż nadto – ale o zdolność do osiągnięcia czy tworzenia rzeczy wielkich lub pięknych.

„Mieliśmy wyrastać ponad nasze czasy, myśleć szerzej niż inni. W przeciwnym razie odnieśliśmy porażkę”.

Na starym zdjęciu zrobionym przed koncertem sędziwego pianisty Artura Rubinsteina w sztokholmskim Konserthus bracia stoją blisko siebie, promiennie uśmiechnięci. Są bardzo młodzi, mają po dwadzieścia kilka lat, eleganckie garnitury z chusteczką w kieszonce, koszule rozpięte pod szyją. Wyglądają, jakby obiektyw nie robił na nich żadnego wrażenia, jakby byli bardziej zainteresowani czymś innym w tłumie ludzi niż fotografem. Nawet w tej obojętności na blask fleszy Micaela dostrzegła wpływ ich pieprzonego uprzywilejowanego dzieciństwa. „Tylko ludzie, którzy od samego początku są rozpieszczani względami innych i światłem reflektorów, stoją potem tak obojętnie przed fotografem kronik towarzyskich” – pomyślała.

Teraz jej myśli z jeszcze większą siłą powróciły do Lucasa, jak gdyby zdjęcie tamtego rodzeństwa spotęgowało przygnębienie jej własną sytuacją. I nie myślała tylko o broni, którą jej brat wyciągnął zza pasa i przystawił tamtemu chłopakowi do gardła.

Znów całe życie złożone z małych i wielkich wydarzeń stanęło przed jej oczami w zupełnie nowym świetle i poczuła tak silne zniechęcenie, jakby jej przeszłość właśnie pisała się na nowo. Wreszcie odsunęła od siebie te myśli i poszła do pracy. Przez całą drogę starała się trzymać tamte sprawy na dystans, jakby samo wspomnianie było niebezpieczne. Zamiast o Lucasie zaczęła myśleć o Rekkem i jego podskakującej nodze – co miała robić jeszcze wiele razy w ciągu mijających miesięcy.

Stało się to nawet czymś w rodzaju obsesji. Przeczytała wszystkie jego książki i artykuły naukowe, a czasem, kiedy jej koledzy mówili coś głupiego lub niezrozumiałego, zastanawiała się po cichu, co powiedziałyby na to Rekke. Jakie błędy znalazłyby w ich myśleniu i logicznym wnioskowaniu? Zdarzało się jej śnić o tym, że z nim pracuje. Ale to były tylko sny.

Żaden człowiek nie był od niego oddalony bardziej niż ona.

JEDENAŚCIE

– No pocałuj mnie. Bądź trochę szalona – powiedział.

Było późno i gwarno. Micaela wybrała się z Vanessą do klubu, trzeci lub czwarty raz w tym miesiącu. Może nie było tak, że szła na żywioł, ale mimo wszystko całkiem nieźle się bawiła, czuła się nawet atrakcyjna, a to wszystko oczywiście dzięki Vanessie. Wokół niej zawsze tyle się działo.

Przyciągała ludzi w klubach nocnych i barach w centrum miasta – przeważnie chłopaków z przedmieść, takich samych jak ci, z którymi dorastała, ale też biznesmenów, sportowców, wszystkich możliwych, nawet Maria Costę, który pojawił się przed chwilą i teraz stał o milimetr od Micaeli. Mario został właśnie kupiony przez francuski klub Olympique Marsylia i wszyscy się tym ekscytowali. Był łobuzem i gwiazdą. Na zmianę strzelał bramki i pakował się w kłopoty, a czego by nie zrobił, wszędzie szła za nim historia z jego ojcem i Jamalem Kabirem. Stała się niejako częścią jego osoby i podkreślała jego mroczną stronę. Miał już osiemnaście lat, był wysoki i muskularny, ubrany w obcisłą czarną koszulkę Nike i bejsbolówkę trochę krzywo założoną na głowę. Podszedł do nich krokiem, jakim kiedyś poruszał się Beppe – niczym kowboj, do którego należy całe miasteczko.

Z początku nawet nie widział Micaeli. Jak wszyscy inni był zainteresowany Vanessą. W końcu odwrócił się do niej, a wtedy Micaela zauważyła, że on nie tylko poruszał się jak Beppe. Był też pijany jak Beppe.

– Hejka – rzucił.

– Cześć – odpowiedziała Micaela.

– Kopę lat. Kiedy ostatnio... Chyba jak mnie przesłuchiwałaś. Jak się pytałaś, czy ojciec mnie prał.

– Tak, możliwe – przyznała.

- On jest ci zajebiście wdzięczny.
 - Przecież nic takiego nie zrobiłam.
 - Jest ci zajebiście wdzięczny – powtórzył.
 - Jak on się czuje?
 - Musiał się przenieść. Za dużo było gadania. Kupiłem mu nowe mieszkanie.
 - Wiem.
 - Dlaczego nikogo nie aresztujecie?
 - Nie mam z tym już nic wspólnego.
 - Dlaczego nikogo nie aresztujecie? – powiedział, jakby musiał wszystko powtórzyć dwa razy.
 - Bo to są idioci.
 - Ale złapaliście innego faceta, prawda, jakiegoś Araba?
 - To była niewłaściwa osoba.
 - Ale ojciec i tak jest ci zajebiście wdzięczny – powiedział jeszcze raz i to właśnie wtedy nachylił się do przodu, czy raczej w dół, bo był o dwie głowy wyższy, pocałował ją i powiedział, żeby była trochę szalona.
- Może to nie było tak do końca niemiłe, nawet jak na to, że był dla niej smarkaczem. Ale równocześnie w jego twarzy było coś kretyńskiego i nadętego, jakby z jego strony to miał być hojny gest albo wręcz część zapłaty za to, co zrobiła dla Beppego. A może Micaela przypomniwała sobie Jojje Moreno. Wrażenie, że oto dzieje się coś zabawnego albo niezwykłego, ustąpiło nagłemu poczuciu irytacji.
- Odepchnęła go nieco silniej niż zamierzała, a on był tak naprany, że zatonął się do tyłu i upadł na kolegę, niskiego grubego chłopaka z ulizanymi włosami i szparą w zębach. Tamten też się zachwiał i prawie wylądował na ziemi.
- Co wy wyprawiacie?! – krzyknął.
 - Ech, nic – odparł Mario i wyprostował się chwiejnym ruchem.
 - Co to za lachon?

– To ta Vargas, co ci mówiłem. Laska ze śledztwa w sprawie tego sędziego. Jest spoko.

– Co tam, kurna? – zapytał kolega, zwracając się do Micaeli.

– Co ma być, kurna? – odparła.

– Powinniście sprawdzić tego sędziego. Słyszałem, że lubił zajarać blanta i takie tam.

– Właśnie, czy to nie były jakieś kanty z Afganistanu, chyba tak uważacie teraz, nie? – powiedział Mario i znów odwrócił się do niej. Z jego oczu wycierało zagubienie, jakby naprawdę chciał to wiedzieć i zapomniał, że jeszcze przed chwilą próbował się do niej dobierać.

– Nie wiem, co oni uważają – odparła Micaela i postanowiła odejść.

Gdy młody chłopak z trzema kuflami piwa potracił ją i ochlapał jej bluzkę, głośno zakląła. Nie tylko z powodu Maria i tego chłopaka. Pomyślała o śledztwie. Kurwa, jak oni mogli wykluczyć ją z zespołu?! Dalej zajmowała się przestępczością wśród nieletnich w dzielnicach Husby, Rinkeby i Akalla i choć miała wyższą wykrywalność niż ktokolwiek z wydziału, nawet nie otarła się o większe, poważniejsze przestępstwa. Nie liczyło się zupełnie, że jest dwa razy lepsza od pozostałych. I tak nie miała szans, żeby ją dopuścili – o ile nie wbije noża w plecy własnemu bratu.

Wysuszyła bluzkę z piwa, a potem błędziła jeszcze jakiś czas po wnętrzach Spy Baru w poszukiwaniu czegoś – może choć uśmiechu czy flirtu na odległość – czegokolwiek, co sprawiłoby, że opuści to miejsce z mniejszym niesmakiem. Ale wkrótce jej się znudziło, więc odebrała z szatni kurtkę i wyszła z lokalu.

Był 3 kwietnia 2004 roku, kończyła się szara i wietrzna zima. Teraz wreszcie się trochę ociepliło, ale Micaeli i tak marzły nogi. W rajstopach miała dziurę. Okazało się, że jest później, niż myślała – zegar pokazywał godzinę 1.48. Przestraszyła się, że nie zdąży na ostatnie metro do domu, i podbiegła do Östermalmstorg, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Zdążyła. Pociąg miał odjechać za cztery minuty. Micaela rozejrzała się po peronie: było głośno, tłum ludzi, większość wyraźnie pijana. Tuż obok

niej grupka chłopaków zabawiała się kopaniem puszek po piwie – udawali, że strzelają do bramki. Krzyczeli i wymachiwali rękami. Było w tym coś niestabilnego, jakby ich radość w każdej chwili mogła się zmienić w agresję. Ale Micaela nie miała siły się tym przejmować.

Zajęła się swoimi myślami i – jak często ostatnio – przypomniła sobie Lucasa. Nigdy nie zapytała go o to, co widziała w lesie, ale ich relacja się ochłodziła. Jakaś kobieta rozkaszała się w pobliżu – to brzmiało jak zapalenie oskrzeli – a chłopcy obok niej byli coraz bardziej krzykliwi i agresywni, tak jak się spodziewała. „Co się tak gapisz?!” – rzucił jeden z nich do starszego faceta w marynarce, który stał opodal. Micaela rozważała, czy nie powinna interweniować.

Nic nie zrobiła. Jej uwagę przyciągnął ktoś inny: niewyróżniający się mężczyzna w granatowym płaszczu i szarym kapeluszu, stojący kawałek dalej na peronie. On też był najwyraźniej pijany. Jego ciało poruszało się chwiejnie w przód i w tył. Nikomu nie przeszkadzał. Po prostu stał tam sobie lekko nachylony. A jednak coś w nim wzbudziło jej czujność, może nawet pewną fascynację. Siłą woli oderwała od niego wzrok, żeby zerknąć, co robi grupka chłopaków. Wyglądało na to, że wystarczy jedno spojrzenie, jedno słowo i wywiąże się bójka.

– Spokój, przestańcie już – powiedziała, a oni odwrócili się w jej stronę.

Ktoś znów kopnął puszkę, która z grzechotem poleciała na tory, a inny z bandy wysyczał: „Nie wtrącaj się, kurwo”. Chłopak zrobił nawet krok bliżej, tak że przez moment czuła jego oddech i wściekłe prychnięcia. A mimo to odwróciła się od niego, właściwie trochę bezwiednie.

Jej spojrzenie znów powędrowało do tamtego mężczyzny kawałek dalej na peronie, którego ruchy, teraz widziała to jeszcze wyraźniej, były niepokojące. Nie tylko z powodu braku stabilności. Wyczuwała determinację, którą emanowało jego rozkołysane ciało. W tunelu właśnie zajaśniały światła. Rozśpiewały się szyny. Pociąg zbliżał się do peronu. I wtedy nagle wszystko zrozumiała: ten mężczyzna zamierzał skoczyć.

Micaela ruszyła biegiem, zanim zdążyła przemyśleć tę decyzję. W biegu potrafiła stojącego przed nią chłopaka, nawet nie zauważyła, że upadł

i głośno zaklął. Pędziła przed siebie, krzycząc: „Nie, na Boga, nie!”. Mężczyzna nie odpowiadał ani nie reagował i była pewna, że nie zdąży. Już po wszystkim, nieodwołalnie – była o tym przekonana. A jednak biegła dalej, na oślep, bez kontroli, i gdzieś w zakamarkach pamięci ukazał jej się ojciec. Na moment ojciec i tamten mężczyzna połączyli się w jedno i w tej samej chwili, w mikrosekundzie, rzuciła się naprzód, a potem czuła tylko, że leci nad peronem, gwałtownie się z czymś zderza, aż jakaś potężna siła odrzuca ją do tyłu.

W skroni i policzku pulsował wściekły palący ból. Wagony ze szczękiem przejeżdżały obok. Nie rozumiała, co się stało. W głowie jej huczało, miała też problem z widzeniem: czerwone i żółte plamy tańczyły jej przed oczami. Leżała na czymś miękkim. „To jest ciało – uświadomiła sobie – brzuch pokryty tkaniną”, a kiedy spojrzała w górę, zobaczyła, że to ciało żyje.

Mężczyzna z twarzą o ostrych rysach odwzajemniał jej spojrzenie, zdumiony i dezorientowany jednocześnie, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego nie umarł. W tym czasie Micaela próbowała ogarnąć sytuację. Co się stało? Uratowała tego człowieka, to było jasne. Ale dlaczego czuła się tak dziwnie i dlaczego nagle była taka zła?

– Co pan wyprawia, do cholery?! – krzyknęła.

– Ja... – zaczął mężczyzna.

– Nie wie pan, na co pan naraża tych ludzi?! – ryknęła, wykazując się wyraźnym brakiem empatii. Mimo wszystko miała do czynienia z człowiekiem, który zdecydował się na ostateczny krok. Ale nie łagodziło to jej wściekłości czy dezorientacji. Coś tu było nie tak, czuła to. Choć sama też była w stanie szoku. Przed oczami nadal tańczyły jej kolorowe płatki. Cierpiała nieopisany ból, chciała tylko zamknąć powieki i zniknąć. Podniosła się jednak na kolana, potrząsnęła głową, żeby odzyskać ostrość widzenia, i znów pomyślała, że w twarzy tego mężczyzny było coś dziwnego.

Nie pasowała tu, jakby należała do innej osoby w innym miejscu. I wtedy nagle, czy też stopniowo – trudno było stwierdzić – dotarło do niej: tym mężczyzną był Hans Rekke, cholerny Rekke z umysłem ostrym jak brzytwa, o którym sądziła, że wiedzie najbardziej perfekcyjne życie na świecie.

- Czy to pan? – wydukała.
- Słucham? Nie – odpowiedział bezsensownie.
- Oczywiście, że to pan.
- Kto?
- Hans Rekke.
- No tak – wymamrotał. – Co się stało?
- Uratowałam pana – powiedziała Micaela.

On mógł na to zareagować na różne sposoby. Mógł jej podziękować albo ją zwymyślać, że przeszkodziła mu w realizacji tej ostatecznej decyzji. Zamiast tego wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym nieopisanej rozpacz. Potem wyciągnął ręce jak małe dziecko, które chce chwycić mamę. Było w tym geście coś tak żalnego i bezradnego, że Micaela na moment poczuła pogardę, jakby jej podziw dla niego w jednej sekundzie przerodził się w swoje przeciwieństwo.

- Chciałem...
- Umrzeć, prawda?
- Słucham? No tak... Może.
- Jak pan mógł, do jasnej cholery?
- Muszę przeprosić. Sprowadziłem na panią kłopoty – wymamrotał, a ona nic nie odpowiedziała, zabrakło jej słów.

Wstała tylko i ujęła jego dłonie, żeby podciągnąć go do góry. Ale był cięższy, niż myślała, więc znów zatoczyli się na siebie, stojąc tak przy torach i pociągu metra w jakimś szalonym uścisku. Micaela na moment przypomniała sobie, że kiedyś w chwili słabości na pewno marzyła o tym, żeby się do niego przytulić. Choć na pewno nie w ten sposób – jakby trzymała topielca, ciało, które chciało znów upaść. I właśnie w tej chwili przypomniała sobie też, że nie byli tu sami.

Ludzie z całego peronu zgromadzili się wokół nich, żeby popatrzeć na to widowisko, byli tam również oczywiście tamci rozzuchwaleni chłopcy. Stali z przodu, ich spojrzenia były zamglone alkoholem, a postawa agresywna.

Micaela chciała im powiedzieć, żeby stąd spieprzali. Ale równocześnie usłyszała donośny głos, który mówił sam do siebie:

– O mój Boże, mój Boże!

Około trzydziestoletni mężczyzna w granatowej kurtce, z niespokojnymi niebieskimi oczami. Wyglądał na bardziej wystraszonego niż reszta.

– Co jest z wami? – zapytał.

Micaela popatrzyła na niego z irytacją.

– Sama nie wiem. Kim pan jest?

– Jestem maszynistą tego pociągu. Widziałem, jak coś przeleciało obok, usłyszałem tylko uderzenie, byłem pewien, że... – Nie dokończył zdania.

Micaela pomyślała, że tym uderzeniem musiała być jej głowa, która walnęła w pociąg. Skoncentrowała się na tym, żeby się ich wszystkich stąd pozbyć, tych spojrzeń, które wchodziły jej pod skórę. Używając całego swojego autorytetu, ogłosiła, że jest policjantką i że zajmie się tym mężczyzną. Skłamała, że panuje nad sytuacją, po czym odwróciła się w drugą stronę i zobaczyła coś leżącego na peronie kawałek dalej. To był szary kapelusz Rekkego, w którym go przedtem widziała. Podniosła kapelusz i nałożyła mu na głowę.

Potem pociągnęła go za sobą w stronę ruchomych schodów. Obojgu trochę plątały się nogi. On opierał się ciężko na niej, a Micaela długo nic nie mówiła. Skupiła się na tym, by utrzymać go w pionie, a równocześnie próbowała zrozumieć, co się tak naprawdę zdarzyło.

DWANAŚCIE

Ktoś postukał ją w ramię, więc Vanessa się odwróciła. Stał przed nią Mario Costa, znana postać, gwiazda piłki nożnej. Choć teraz miał minę idioty, był pijany i namolny, a ona miała już dość nawalonych małolatów, którzy ją ciągle zagadywali i próbowali obłąpić.

– Gdzie ona poszła? – spytał Mario.

– Kto?

– Micaela.

– Skąd mam wiedzieć? Wydaje mi się, że jej się nie spodobało, jak próbowałeś ją obmacywać.

– Miałem jej powiedzieć jedną rzecz.

– To dlatego musiałeś się na nią rzucać?

Uśmiechnął się bezrozumnie. Był tak zagubiony, że na chwilę zrobiło się jej go żal i podeszła krok bliżej. Sprawiał wrażenie, jakby się zbierał w sobie, żeby powiedzieć coś ważnego.

– Co miałeś jej powiedzieć?

– Chciałem pogadać o morderstwie. Aresztowali jakiegoś faceta koło osiemdziesiątki czy jakoś tak. Ale potem go puścili.

– Micaela wspominała o tym.

– Nikt nie mógł uwierzyć, że taki stary dziadek to zrobił.

– To brzmi rozsądnie.

– A może to był nie ten facet, nie wiem. Ale nie o tym chciałem mówić. Ojciec powiedział, że widział tam też innego gościa, młodszego, choć policja mu nie wierzy.

– Dlaczego mu nie wierzą?

– Bo sobie to przypomniał dopiero teraz. Wiesz, jaki on jest.

Vanessa miała przed oczami Beppe chwiejnie krążącego po placu w Husby, pokrzykującego na ludzi, żeby schodzili mu z drogi.

– Wiem, jaki on jest – przyznała.

Mario spojrział na nią błagalnie.

– Czy Micaela się wkurzyła?

– Na pewno nie była cholernie ucieszona. Nie możesz tak się rzucać na dziewczyny, żeby je poderwać.

– E nie, no co ty, chciałem tylko pogadać. Ojciec jest wkurwiony na nich, że jeszcze nie wyjaśnili tej sprawy, chyba kumasz, co nie, a tamten facet, co to go widział, wyglądał podejrzanie – bełkotał.

Vanessa przyjrzała mu się bliżej. Sprawiał wrażenie całkiem skołowanego, ze swoimi szklistymi, przymrużonymi oczami. Nagle uderzyła ją myśl, że to morderstwo musiało od dawna dręczyć ich obu. Swoją drogą zawodowy kontrakt był chyba całkiem niezłą rekompensatą. Vanessa objęła go przelotnie i postanowiła poszukać kogoś zabawniejszego na resztę wieczoru. Mario chwycił ją jeszcze za ramię i powiedział, że zamierza wynająć prywatnego detektywa. Vanessa pomyślała, że za jakieś dziesięć lat może być z niego całkiem fajny facet, o ile będzie trzeźwy i dziany. Na odchodnym usłyszała, jak krzyknął:

– Ale przyjdziecie na moją imprezę pożegnalną w klubie?

– Jasne – rzuciła. – Kiedy?

– W poniedziałek. Albo we wtorek, tylko nie pamiętam, kurwa, jak się ta knajpa nazywa – odpowiedział Mario.

Uznała, że to wystarczająco precyzyjne informacje, i pomyślała, że też chyba powinna strzelić kilka shotów i się nawalić. Ale przypomniała sobie o Micaeli i postanowiła do niej zadzwonić.

Kiedy wyszli na chłód, Micaela popatrzyła zaskoczona na Rekkego. Szukała śladów czegoś strasznego, choroby, która zżerałaby go od środka. Ale w tej chwili, stojąc niedaleko placu Östermalmstorg, Rekke mógłby uchodzić za

eleganckiego pana, który po prostu wybrał się na wieczorną przechadzkę. Było w tym coś niesłychanie wkurzającego. Jakże on mógł mieć powody do rozpacz?

Jego twarz była tak samo wyrzeźbiona jak przedtem, rysy miały w sobie coś jastrzębiego. Micaela domyślała się, że płaszcz miał z kaszmiru, a wyglansowane buty wyglądały na ręcznie szyte. Kapelusz sprawiał trochę staroświeckie wrażenie, ale był stylowy, wręcz nieco ekscentryczny, jakby jego właściciel chciał robić wrażenie na ludziach. W ruchach Rekkego była ta sama arystokratyczna nonszalancja, którą widziała w Djursholmie, która obudziła w niej tęsknotę za innym światem. Ale jego oczy były naprawdę dzikie. Tam w środku huczała burza.

– Musimy zadzwonić do pańskiej rodziny – stwierdziła Micaela.

Spojrzał na nią zdezorientowany.

– Mojej rodziny?

– Pańskiej żony, córki, brata, kogoś, kto mógłby się panem zająć.

– Nie, nigdy w życiu.

– To w takim razie jedziemy na pogotowie psychiatryczne. Musi pan mieć opiekę.

– Proszę, nie. Mieszkam niedaleko stąd. Niech mnie pani tylko zaprowadzi do domu. Obiecuję, że nie zrobię nic głupiego.

– Nie ufam panu – odparła Micaela.

Rekke skinął głową, jakby mimo wszystko zrozumiał.

– Nie, oczywiście, dlaczego miałyby mi pani ufać?

– A więc wyprowadził się pan z Djursholmu?

– Słucham? A, tak, właśnie.

– Byłam tam w lecie. Pomagał nam pan wyjaśnić sprawę zabójstwa Jamala Kabira.

– Pomagałem?

Czy ten idiota nawet tego nie pamięta?

– Skrytykował pan wszystkie nasze ustalenia.

- Proszę o wybaczenie – wymamrotał.
- Miał pan rację, w każdym punkcie.
- Wątpię w to.
- Podziwiałam pana – wyrwało się Micaeli.

Wtedy on popatrzył na nią swoimi niespokojnymi błękitnymi oczami i może coś w jego wnętrzu się zapaliło. Wykonał ruch ręką, jakby chciał pogłodzić Micaelę po policzku, po tej stronie twarzy, która wyła z bólu. Ale zaraz cofnął dłoń, jakby się nad czymś zastanawiał, jakby stanął przed nowym trudnym problemem.

- To pani... – powiedział.
 - Tak, to ja – potwierdziła.
 - Pamiętam pani pytania.
 - Co się panu stało?
 - Co mam powiedzieć?
 - Cokolwiek.
 - Popsułem się. Zawsze byłem popsuty.
 - A więc to nic konkretnego? Żadna katastrofa czy coś?
 - Wolałbym, żeby to była katastrofa.
 - Jak pan może tak mówić?
 - Tacy jak ja zawsze pragną katastrofy, jak przypuszczam. Czegoś zewnętrznego, co korelowałoby ze stanem wewnętrznym.
 - Cholernie mnie pan rozczarowuje.
 - Jest mi oczywiście przykro z tego powodu. Ale proszę mnie zabrać do domu. Jeśli tylko trochę pośpię, to może...
 - Dobrze – zgodziła się Micaela. – Odprowadzę pana do domu. Ale jeśli jeszcze raz spróbuje pan odebrać sobie życie, to pana zabiję.
- Jego twarz znów się zmieniła. Był to przynajmniej znak, że reagował świadomie na coś więcej niż to, co szalało w jego głowie.
- To było prawie zabawne – skomentował.
 - Prawie – mruknęła Micaela, po czym poszli dalej.

Przez chwilę Rekke sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć jeszcze kilka słów, żeby rozładować ten przygnębiający, ciężki nastrój, ale z każdym krokiem krew jakby uciekała z jego organizmu. Był coraz bardziej zmęczony i słaby, a wiatr wiał bezlitośnie. Kiedy kawałek dalej, na Riddargatan, zaczęło padać, Micaela wcisnęła mu mocniej kapelusz na głowę. Poczowała się tak, jakby wbijała go w ziemię. „Niech to szlag – pomyślała. – No ruszaj się”. Ale mogli iść tylko bardzo, bardzo powoli. Musiała go niemal ciągnąć za sobą, rozglądając się przy tym po zamkniętych restauracjach i butikach.

– Daleko jeszcze? – zapytała w końcu.

Rekke tylko mamrotał coś, kiedy zagłębiali się pomiędzy uliczki, aż doszli do żółtej kamienicy przy Grevgatan, zwróconej ku wodzie i Strändvägen. Zatrzymał się przy bramie z wyrazem zagubienia w oczach. Zaczął na oślep wciskać cyfry na panelu domofonu. Najwyraźniej nie mógł sobie przypomnieć kodu. W końcu nacisnął guzik opatrzony nazwiskiem Hansson. Chwilę czekali. Potem w głośniku rozległ się trzask i głos wyrwanej ze snu kobiety.

– Tak, słucham?

– Tu Hans – powiedział Rekke. – Nie mogę się dostać do środka.

– Wielki Boże! – zawołał głos. – Już schodzę.

Krótko potem na klatce schodowej ukazała się dama w kapciach i czarnym szlafroku narzuconym na koszulę nocną. Mogła mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat, była szczupłą osobą o nerwowych oczach i spiczastym podbródku, który przypominał mały występ skalny. Drżącymi rękami otworzyła bramę, wpatrując się w Rekkego.

– Mój drogi, tak się niepokoiłiśmy. Co też ci przyszło do głowy?

– Wszystko opowiem, obiecuję – powiedział. – Ale teraz muszę się położyć spać – wymamrotał i wszedł do bramy.

Dama zwróciła się do Micaeli:

– Co on takiego zrobił?

– Próbował odebrać sobie życie – wyjaśniła dziewczyna. – Musi iść na leczenie.

Kobieta stała chwilę nieruchomo, jakby musiała wchłonąć te słowa. Potem zaczęła bębnić pięściami w plecy Rekkego i krzyżeć:

– Jak możesz?! Jak mogłeś zrobić nam wszystkim coś takiego?!

– Przykro mi. Jestem beznadziejny – odparł, nie zwracając uwagi na ciosy. Pochylił się tylko lekko, na co ona przestała go tłuc i znów zwróciła się do Micaeli:

– Czy pani to słyszała? Mówi, że jest beznadziejny. Ale wie pani, kim on jest właściwie? To geniusz, ni mniej, ni więcej. On widzi rzeczy.

– Wiem. Spotkałam go... – zaczęła Micaela, ale tamta mówiła dalej.

– I co on ze sobą robi? Niszczy sam siebie, stacza się, i to nie pierwszy raz. W Helsinkach... – przerwała, jakby nagle coś innego przyszło jej do głowy. – Mój Boże, musimy czuwać nad nim w nocy – rzuciła z wyrazem desperacji w oczach. – Musimy, naprawdę. Nie wolno go zostawić samego ani na sekundę. – Jeszcze mocniej potrząsała głową, mamrocząc coś do siebie.

Micaela zaczęła się obawiać, że nie wytrzyma z tą babą. Na pewno nie.

– Ja mogę się nim zająć – zaproponowała. – Jestem policjantką. Jestem przyzwyczajona do nagłych wypadków – wyjaśniła.

Kobieta w końcu się zgodziła, zwłaszcza kiedy wymieniły się numerami telefonów i Micaela obiecała, że zadzwoni w razie jakichkolwiek problemów.

Potem dama odprowadziła ich do windy i nacisnęła guzik szóstego piętra. Zasunęła za nimi kratę, wołając: „Kochany Hansie, nie możesz, nie wolno ci!” oraz masę innych zaleceń i nakazów, które wkrótce były słyszalne jedynie jako zdławiony głos gdzieś w dole, podczas gdy oni powoli wjeżdżali na wyższe piętra domu.

„Nie tylko Rekke jest wrakiem” – myślała Micaela. Sama była poobijana i półprzytomna, w uszach jej dzwoniło. Powinna usiąść. Powinna pójść

prosto do łóżka. Ale musiała się zajmować Rekkem, i początkowo nawet miała nadzieję, że jakoś się jej uda, mimo wszystko.

Sprawił wrażenie wyczerpanego i zagubionego. Jak zaprogramowany robot odsunął kratę windy i przez sklepiony korytarz z polichromią na ścianach ruszył do drzwi, jedynych na tej kondygnacji, z nazwiskiem Rekke na kłapie na listy. Potem weszli do dużego mieszkania z pozaciąganyymi zasłonami.

Nigdy nie wiedziała czegoś podobnego. W głębi znajdowało się okno na całą ścianę mające trzy, może cztery metry wysokości, a we wszystkich kierunkach odchodziły korytarze i pokoje. Na ścianach wisały ciemne lub bardzo kolorowe obrazy w szerokich złotych ramach. Parkiet był pokryty perskimi dywanami i wszędzie leżały książki, poukładane w sterty na półkach, na stołach i na podłodze, razem z aktami i wydrukami po angielsku, niemiecku i francusku. Meble sprawiały wrażenie ustawionych przypadkowo. Pod ogromnym oknem znajdował się czarny fortepian, który wydał się Micaeli smutny i opuszczony. A jednak był w tym wnętrzu jakiś ponury urok, który ją przyciągał.

Rekke nagle zaczął się poruszać bardzo szybko. Ledwie zdążyła go dogonić i wsunąć stopę między drzwi, bo już prawie zamknął się w dużej łazience z arabską mozaiką na podłodze. Stał przy umywalce, przed łazienkową szafką z lustrem, którą właśnie otworzył.

– Co pan robi? – zapytała Micaela.

– Muszę coś wziąć na sen.

Rzuciła okiem na półki: była tam cała pieprzona apteka. Znała się na tabletkach na tyle, żeby rozumieć, że to nie wyglądało dobrze. Znajdowały się tam środki na podkręcenie i na spowolnienie: benzo, opiaty, Ritalin, morfina, całe to dziadostwo. Kiedy Rekke złapał jedną z żółtych fiolek, Micaela wytrąciła mu ją z ręki i przycisnęła go do ściany.

– Słuchaj – powiedziała, rezygnując z formy grzecznościowej, tonem tak groźnym, jakby właśnie złapała przestępcę.

– Tak... – mruknął.

– Tu nie będzie nic na sen. Wywalę każdą tabletkę i będę miała cię na oku przez całą noc. Ale potem znajdziesz sobie inną pielęgniarkę, rozumiemy się?

– Co? Ta, naturalnie. Zrobiłaś już więcej niż trzeba – odparł, a jego ręka wykonała ruch w kierunku kieszeni spodni, jakby chciał jej dać napiwek.

Micaela miała ochotę krzyknąć: „Ty bogaty rozpuszczony gnoju!”. Ale zachowała spokój i próbowała ocenić sytuację z pełną jasnością. Co miała zrobić z tabletkami? Albo choćby z nożami w kuchni czy też z oknami, które można było otworzyć i przez nie wyskoczyć? Nie wiedziała. Było tak samo jak z Simónem czy każdym innym autodestrukcyjnym idiotą: cokolwiek zrobisz, to na nic. Jeśli ktoś naprawdę chce, zawsze znajdzie sposób, żeby sobie zrobić krzywdę. Trzeba zaakceptować, że jest jak jest.

– Skoro mnie nie wolno, to może moja pielęgniarka, moja absolutnie przypadkowa pielęgniarka, przynajmniej weźmie coś przeciwbólowego. Zaliczyłaś potworne uderzenie – powiedział głosem, który przez moment brzmiał wręcz żartobliwie.

Ale ona nie dała się zwieść.

– Gdzie śpisz?

– Chętnie pokażę.

– Dobrze – odparła.

Razem przemierzyli kilka pokoi, w których sufit czasem znajdował się wyżej, czasem niżej, niektóre były bardziej zagracone książkami i meblami, a inne prawie puste, aż dotarli do wielkiej sypialni o błękitnych ścianach.

Znów uderzył ją strach, który przedtem wyparła. Prześcieradło na łóżku było zwinięte, jakby ktoś próbował wycisnąć z niego pot. Wszędzie na podłodze leżały porozrzucane ubrania i jeszcze więcej książek, na nocnym stoliku stały kubki i szklanki oraz dwa opakowania Nitrazepamu. Szybko zabrała tabletki i schowała w szafce w sąsiednim pokoju. Poprawiła prześcieradło, ułożyła poduszki i zaciągnęła zasłony.

Potem podeszła do okna wychodzącego na szczyty pobliskich domów i spróbowała ruszyć z miejsca wielki fotel obity skórą, klasyczny angielski model, który stał pod olejnym obrazem z bladym chłopcem sprzed setek lat grającym na flecie.

– Możesz mi pomóc?

Skinął głową, razem przenieśli fotel i ustawili tak, że zablokował drzwi.

– Zamierzam tu siedzieć całą noc i mieć na ciebie oko – powiedziała Micaela, na co on posłał jej zrezygnowany uśmiech.

Potem rozebrał się trochę niezgrabnie, a Micaela miała okazję zobaczyć przez moment jego żylaste ciało, które nadal wyglądało, jakby należało do biegacza średniodystansowca, i to też ją rozzłościło. Lubiłaby go bardziej, gdyby się trochę zapuścił i upasł. Ale ten facet był i nadal pozostawał fizycznie wzorcowym egzemplarzem. Jakie on mógł mieć powody do rozpacz?

– Nie pojmuję, że cię kiedyś podziwiałam – wyznała.

– *Maior e longinquo reverentia* – wymamrotał, jakby mówił sam do siebie.

– Co?

– Szacunek rośnie wraz z oddaleniem.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, ale potem odwróciła głowę.

Hans Rekke wślizgnął się do łóżka, nakrył kołdrą i leżał, wpatrując się w szczyty domów swoimi niespokojnymi niebieskimi oczami.

Jonas Beijer obudził się wystraszony jakimś snem, a może dźwiękiem, i przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Ale był w swoim domu na Swedenborgsgatan, a obok niego leżała na brzuchu jego żona Linda, oddychając lekko i spokojnie. Nasłuchiwał odgłosów z mieszkania. Może któryś z chłopców się obudził? Nic na to nie wskazywało, na ulicy też panowała cisza. Czyżby już było rano? Nie chciało mu się sprawdzać. Czerwone cyfry elektronicznego budzika na nocnej szafce trochę go przerażały, jakby odliczały nocny czas, aż nastąpi coś strasznego. Obrócił się na drugi bok.

Jednak nie udało mu się zasnąć, więc poszedł do kuchni coś zjeść. To było bardzo szkodliwe przyzwyczajenie: napychanie się słodyczami w środku nocy. Wszystko przez pracę, podejrzewał, cały ten stres, te dochodzenia, które na niego czekały, a najbardziej przez tę sprawę z Kabirem – jego nieustający wyrzut sumienia. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, że ponieśli w tej sprawie porażkę.

Rozerwał opakowanie czekolady Marabou i szybko zjadł całą tabliczkę. Potem naszło go poczucie wstydu, choć bardziej z powodu śledztwa niż czekolady. Wracając do sypialni, kłął na swoich szefów i na Amerykanów w Kabulu. Jakby specjalnie nie chcieli zrozumieć, o co im chodzi.

Wsunął się z powrotem do łóżka, tak daleko od żony, jak się dało, ale oczywiście nadal nie mógł zasnąć. Był wręcz jeszcze bardziej rozbudzony i wkrótce w jego głowie pojawiła się Micaela. Często myślał o niej podczas bezsennych nocy. Miał ochotę zadzwonić do niej i zapytać, czy nie chciałaby się spotkać, ale to byłoby oczywiście szaleństwo.

Czuła palący ból całej głowy, zarówno w środku, jak i na zewnątrz, do tego raz za razem przeżywała na nowo tamten moment, kiedy rzuciła się na peron. Widziała, jak leci w stronę obcego mężczyzny, i zadawała sobie teraz pytanie, czy może już wtedy wiedziała, że to był on. Ale to przecież nie miało znaczenia, prawda? A teraz siedzi tu, po tylu próbach kontaktu, w jego domu, w jego sypialni, w okolicznościach, których nie mogłaby sobie nawet wyobrazić.

Wsluchiwała się w jego oddech. Był ciężki i urywany. Najwyraźniej Rekke był daleki od zaśnięcia.

– Jak się czujesz?

– Co mam powiedzieć? – wymruczał. – Potrzebowałbym swoich dragów, znieczulaczy. Ale, jak się domyślam, nadużyłem już prawa do skarg. A widzę, że moja pielęgniarka jest surowa – powiedział głosem, który znów zabrzmiał niemal ironicznie.

Micaela pomyślała, że to chyba musi być dobry znak.

– Brzmisz już trochę lepiej – stwierdziła głośno.

– Tego nie wiem – odparł. – Ale zakładam, że bliskość śmierci może nam przywrócić trochę życia.

– Jak mogłeś tak głupio postąpić?

– Mam wrażenie, że tego nie da się wytłumaczyć.

– Możesz spróbować.

Jego oczy płonęły w ciemności. Micaeli wydawało się, że zajrzał głęboko w siebie, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

– No więc mógłbym powiedzieć, że depresja ma swoje fazy – zaczął. – Przez pewien czas tylko szumi ci w żyłach, pół tonu za nisko, i to wyklucza cię ze świata. Wszystkie głosy i śmiechy, które słyszysz tam po drugiej stronie, istnieją tylko jako przypomnienie tego, do czego ty sam nie jesteś zdolny, a to już bardzo źle. Potem powoli depresja zaczyna się przestraszać i robi się coraz głośniejsza. Zaczyna krzyczeć czerwonym przeszywającym tonem, a wtedy dochodzisz do punktu, kiedy nie chcesz już istnieć.

– I ty tam byłeś.

– Byłem tam. Ale właśnie wtedy ktoś przeleciał nad peronem. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł ci za to podziękować, może nawet szczerze.

– Nie trzeba.

– Ależ tak, trzeba. To była wielka rzecz.

– Czy pamiętasz, kiedy byliśmy u was w domu? – zapytała.

– Przypominam sobie.

– Miałam wtedy szefa, nazywa się Fransson. Od razu zauważyłeś, że tamtego ranka ćwiczył strzelanie z pistoletu.

– Wydaje mi się, że widzę różne rzeczy, kiedy mam fazy maniakalne. Ale większość to tylko wytwory mojego mózgu, bzdury.

– Ale miałeś rację.

– No tak, może. Bo przecież on był trochę jak otwarta księga, nieprawdaż?

– Tego nie wiem.

Rekke usiadł w łóżku, otulił się kołdrą i popatrzył na nią swoimi niespokojnymi oczami, które teraz zdawały się przejaśniać.

– On... – zaczął.

– Tak?

– ...miał zaczerwienioną skórę na dłoni między kciukiem i palcem wskazującym i zgrubienie, od spustu i kabłąka. Trzymał się za przedramię, prostował dłoń i odginał palce. Klasyczne ćwiczenie, którego musiał się nauczyć od fizjoterapeuty.

– Co to oznacza?

– Że doskwiera mu łokieć tenisisty, częsta kontuzja w sportach z dużym obciążeniem statycznym, która odnawia się po treningach. Po sylwetce widziałem, że raczej nie grywa w tenisa. W dodatku w oczach miał taki błysk, jaki można zobaczyć u ludzi, którzy polują.

– Wiedziałaś też, że koronka w jego zegarku wypadnie.

– Wiedziałem?

– Miał zegarek marki IWC Schaffhausen, pochwaliłeś go – przypomniała.

– A, właśnie. Ale to było oczywiste, czyż nie? Między kopertą i koronką była szpara, poza tym błysk i zarysowania na powierzchni wskazywały na niedawne uderzenie. Oprócz tego komisarz bezmyślnie majstrował przy tym zegarku, jakby całą swoją wypieraną neurozę przeniósł na tę biedną koronkę. To się nie mogło inaczej skończyć.

– Rozumiesz chyba, że to dość niezwykle, kiedy ktoś jest w stanie rozpoznać takie rzeczy tylko jednym szybkim spojrzeniem.

– Nie, właściwie to nie.

– Mówiłeś, że to była faza maniakalna.

– Przynajmniej tak twierdziła moja żona. Wkrótce potem zaliczyłem też katastrofę na konferencji w Stanfordzie.

– Katastrofę?

– Trochę mnie poniosło, odleciałem. Zjechałem kilka prac, które wszyscy inni chwalili. Dawałem rady, o które nikt mnie nie prosił, wyciągałem wnioski, których nikt nie chciał słuchać. Potem wydawało mi się, że rozłożyłem na czynniki pierwsze jakiś bełkot z klauzulą tajności, który mi przysłano, a kiedy się obudziłem pewnego ranka, wszystko to do mnie wróciło. Po manii nastąpiła faza pogardy do siebie. Właściwie nie byłem w stanie wstać z łóżka.

– To dlatego nie odpowiadałeś na moje maile i telefony?

– Tak przypuszczam. Proszę o wybaczenie.

– A jednak wygląda na to, że kilka miesięcy później czułeś się już całkiem dobrze.

– Naprawdę?

– Widziałam cię w Sturehofie z Kleebergerem.

– Nie sądzę, żebym po tym miał się czuć lepiej.

– Sprawiałeś wrażenie bardziej znudzonego niż załamane.

– Brednie Kleebergera może na chwilę rozjaśniły moje życie. To taki dar przeciętniaków dla nas.

– Czy nie rozumiesz, jak bardzo jest to dla mnie wkurzające?

– Chyba nie całkiem.

– Leżysz tu jak wrak, a mimo to krytykujesz najwybitniejszy umysł w naszym rządzie, jakbyś był jakimś pieprzonym królem.

– A to jest takie straszne?

– Dla mnie tak. Nie pojmujesz, ile dostałeś w prezencie od losu.

– Może nie.

– No dobra. A teraz spać.

– Przyglądałem się tobie, wtedy w willi.

– No i co zobaczyłeś?

– Zobaczyłem zdolności. I autocenzurę.

– To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Być może. Ale widziałem też mrok, która wyglądał obiecująco.

- Dlaczego?
- Nie był skierowany do środka, jak mój. Pomyślałem, że możesz go wykorzystać do czegoś dobrego.
- Na przykład?
- Żeby się uwolnić.
- Od czego?
- Od sieci, które nas pętają i chcą wyciągnąć na ląd.
- Przed chwilą mówiłeś tak mądrze.
- A teraz jestem idiotą?
- Tak.
- Na pewno masz rację.
- A więc dobranoc.
- Dobranoc, Micaelo.
- Pamiętasz moje imię?
- Najwyraźniej.

Była przekonana, że ani na moment nie zmruży oka, i kilka razy miała wielką chęć znowu z nim porozmawiać. Ale po jego oddechu rozpoznała, że zapadł w sen, więc siedziała tylko w fotelu, podczas gdy za oknem nadchodził poranek wraz z odgłosami samochodów na Strandvägen. Raz wymknęła się po cichu do toalety. Cała prawa strona jej twarzy była opuchnięta. Wyglądało to jak ślady po brutalnym pobiciu, poczuła obcość na widok własnego odbicia w lustrze.

– Jestem w domu u Hansa Rekkego – powiedziała głośno sama do siebie, właściwie nie wiedząc dlaczego.

Cała ta sytuacja była niepojęta. Jakby uczestniczyła w czymś zakazanym, czego nikt nie powinien oglądać. Powoli wróciła do sypialni i usiadła w fotelu, obejmując ramionami kolana. Skądś dobiegało tykanie zegara ściennego. Micaela myślała nie tylko o Rekkem, lecz także o jego żonie. Co się stało z nią i z willą, i co to było właściwie za miejsce, w którym byli?

Krótko potem musiała zasnąć, bo nie zauważyła, że Rekke przeszedł nad nią po podłokietnikach i wy dostał się z sypialni. Obudziła się po jakimś czasie z poczuciem klęski. Całe mieszkanie dudniło. Była przekonana, że to oblężenie.

TRZYNAŚCIE

Zerwała się z fotela i zaczęła biegać zdezorientowana po mieszkaniu. W końcu znalazła go przy czarnym fortepianie pod wielkim oknem. Siedział tam w czarnej rozpiętej koszuli i grał najbardziej niepokojącą muzykę, jaką słyszała w życiu. Brzmiała, jakby wybijał na instrumencie cały swój lęk. Micaela wpatrywała się zdumiona w jego dłonie biegające po klawiaturze. Grał jak sam bóg.

A jednak odnosiła nieprzyjemne wrażenie, i to nie tylko z powodu szaleństwa tej muzyki. Chodziło o jego twarz. Była blada i spięta, z wyraźnie zarysowaną linią szczęki. Wyglądał, jakby znów zamierzał rzucić się pod pociąg. Micaela długo stała i tylko przyglądała się zafascynowana, aż w końcu Rekke ze złością uderzył pięściami w klawisze i opadł na fortepian.

– Wielki Boże – powiedziała.

Rekke drgnął przestraszony, jakby przez chwilę znajdował się w innej rzeczywistości.

– O, przepraszam. Czy cię obudziłem?

– Czy jest ktoś, kogo nie obudziłeś?

– Nie, chyba nie – przyznał.

– Co to było?

– Prokofiew.

Nic jej to nie mówiło.

– To brzmiało mniej więcej jak koniec świata.

– Taki był też mój zamiar.

– Ale świat jeszcze stoi.

Wzruszył ramionami, a wtedy Micaela bliżej mu się przyjrzała: popatrzyła na barki, plecy, całe jego spięte ciało – wszystko to rozpoznawała z wczoraj. Ale pojawiło się też coś nowego. Jego oczy były szkliste, zamglone, takie same miewał wieczorami Simón w Husby. Zrozumiała, że musiał coś wziąć.

– Czego się nałykałeś?

– No widzisz – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Ty też masz oko do szczegółów.

– Co takiego wzięłeś?

– Kilka różnych opiatów, benzodiazepiny, odrobinę neuroleptyku, no i jeszcze moje bezsensowne antydepresanty.

– Jasna cholera!

Odwrócił się do niej i zaplął kilka guzików koszuli.

– Dobrze mi się z tobą rozmawiało wczoraj w nocy.

– Cieszy mnie to.

– Ale przebudzenie już nie było takie przyjemne.

– A więc musiałeś nałykać się prochów i odegrać na fortepianie koniec świata.

– Najwidoczniej.

– Co to był za kawałek?

– Prokofiew, *Drugi koncert fortepianowy*.

– Czy jest w nim coś szczególnego?

– Właściwie tak.

– Dlaczego?

– Prokofiew zaczął go pisać, kiedy się dowiedział, że jego przyjaciel Maximilian Schmidthof się zastrzelił, i ten fakt odcisnął swoje piętno na kompozycji. Byłem opętany tą muzyką w młodości.

– Chyba się domyślam dlaczego – powiedziała Micaela.

– Pewną rolę odgrywało też to, że mama nienawidziła tego koncertu i nigdy nie mogłem z nim występować przed publicznością. Grałem go po kry-

jomu. Schmidthof też był pianistą. Podobno zabił się, bo zrozumiał, że nigdy nie będzie wystarczająco dobry, nie tak jak Prokofiew.

– Odnajdywałeś się w tym?

– Tak, odnajdywałem się w tym utworze.

– I dlatego twoja matka go nienawidziła?

– Nienawidziła, kiedy byłem słaby podczas naszych tournée. Była moim impresariem z piekła rodem.

Micaela wyjrzała przez ogromne okno.

– Kiedy to było? – zapytała.

– Kiedy skończyłem naukę w Juilliardzie i chciałem od wszystkiego uciec.

– Rozumiem – rzuciła, choć niczego nie rozumiała.

Chyba zauważył tę niepewność w jej oczach. Uniósł prawą dłoń do policzka Micaeli, ale zaraz ją opuścił.

– Przykro mi z powodu twojej twarzy.

– To nic takiego.

– A więc ci biedacy wykopali cię z zespołu? – podjął poprzedni temat.

Micaela odpowiedziała uśmiechem.

– Tak – przyznała. – Śledziłeś tę sprawę?

– Właściwie nie. Ale aresztowali kolejną osobę, prawda?

– Złapali nie tego. Jakiegoś Irakijczyka, który miał alibi.

– A kogo szukali?

– Innego staruszka. Pod osiemdziesiątkę, lekko utykający, przygarbiony, łysy, wąskie usta. Minał Kabira, przechodząc wzdłuż boiska tuż po meczu.

– To raczej nie brzmi jak opis sprawcy.

– Nie – zgodziła się Micaela. – Ale Kabir wyraźnie zareagował na jego widok. To ty zwróciłeś na to naszą uwagę.

– Pamiętam.

Zawahała się, przez chwilę szukała odpowiednich słów.

– Tylko nigdy nie odpowiedziałeś na moje maile ani telefony.

Spojrzał na swoje dłonie.

– Przykro mi.

– Myślałam, że nie chcesz mieć do czynienia z kimś takim jak ja.

Posłał jej pytające spojrzenie.

– Takim jak ty?

– Z dziewczyną z blokowiska.

– Chciałbym spotykać więcej takich jak ty, o ile jest was więcej.

Micaela próbowała przyswoić sobie tę myśl, ale nagle poczuła potrzebę zmiany tematu.

– Jest jeszcze coś, o co chciałam zapytać – zaczęła. – Coś, o czym długo myślałam.

– Słucham – powiedział z życzliwym uśmiechem.

– Wtedy w Djursholmie... – urwała, jakby nie była już pewna, jak ma sformułować to pytanie.

– Tak?

– Powiedziałeś wtedy, że dawne obrażenia na ciele Kabira wyglądają dziwnie. Jakby wskazywały jakiś trop. Ale nie zdążyłeś dokończyć tej myśli.

Po twarzy Rekkego przemknął wyraz niechęci, opuścił wzrok na klawiaturę, jakby znów chciał coś zagrać.

– Pamiętam.

– Co chciałeś wtedy powiedzieć?

Poruszył niespokojnie głowę i teraz dostrzegła to jeszcze wyraźniej: był zakłopotany.

– Nie mogę powiedzieć – odparł.

– Co?

– Nie mogę tego powiedzieć – powtórzył. – Przykro mi.

– Co masz na myśli?

– Tak po prostu jest, niestety.

Micaela miała ochotę na niego krzyknąć, ale nie zdążyła. Odezwał się dzwonek do drzwi. Ktoś dzwonił i pukał równocześnie. Twarz Rekkego znów zmieniła wyraz i teraz patrzył na nią błagalnym wzrokiem.

– Mogłabyś otworzyć?

Z jakiej racji akurat ona ma otworzyć?

– Sam to zrób.

– Proszę cię.

– No dobra – powiedziała i ruszyła w stronę drzwi, ale zaraz się zatrzymała. – Jeśli będziesz grał.

– Dlaczego mam grać?

– Wtedy będę wiedziała, że nie robisz żadnych głupot. No i teraz prosilibym o coś weselszego.

Wymamrotał coś do siebie niezadowolony, ale zaczął grać skoczny utwór z jasnymi dyszkantowymi dźwiękami, które lekko i płynnie roztańczyły się po mieszkaniu, kiedy Micaela szła do drzwi.

Julia Rekke nie bywała ostatnio zbyt często w domu w Djursholmie. Przeważnie mieszkała u swojego chłopaka Christiana na Storgatan, gdzie często sypiała o wiele za długo i dni schodziły jej na niczym. Dziś rano jednak, dziesięć minut temu, obudził ją telefon pani Hansson, po którym zaraz tu przybiegła, pełna złych przeczuć. Zapukała jeszcze mocniej.

Otworzyła jej młoda kobieta, która wyglądała, jakby ją właśnie przejechał autobus. Połowa jej twarzy jarzyła się kolorami niczym niepokojący tęczyowy krajobraz. No i co ona miała na sobie? Czarną brokatową bluzkę, która cuchnęła piwem, i krótką tandetną spódnicę. „Wygląda tanio – uznała Julia – jakby właśnie przyszła z jakiejś dziadowskiej imprezy”. Wolała nie myśleć o tym, co jej ojciec mógł z nią robić.

– Co się stało? – zapytała. Nie czekała na odpowiedź. Usłyszała muzykę, *La Campanellę* Liszta. Dlaczego, u diabła, grał ten kawałek? Przecież go nie nawidził. Uważał, że to taki popisowy numer, trochę jak z cyrku, i zawsze kojarzył go z babcią.

Minęła dziewczynę, pobiegła do salonu i zobaczyła ojca siedzącego przy fortepianie w czarnej, do połowy rozpiętej koszuli. Przez chwilę miała wrażenie, że wygląda lepiej, że to nie ten sam złamany człowiek co wczoraj, jakby jego ciało wykazywało oznaki chęci do życia. Ale kiedy odwrócił ku niej twarz o pustych oczach, jej serce znów ścisnęło się boleśnie.

– Cześć, skarbie – powiedział. – Jak się miewasz?

– Pani Hansson mówiła, że próbowałaś się zabić. – Jej głos był pełen tłumionego gniewu.

– Ależ... nie, wcale nie. – Popatrzył w dół na swoje nogi.

– Dlaczego miałyby zmyślać coś takiego?

– Pani Hansson jest cudowną osobą, ale czasem bywa zbyt emocjonalna i miewa różne przywidzenia.

– Czegoś takiego nie można sobie uroić.

– Ależ tak. Powinnaś mnie zobaczyć wczoraj. Byłem ubzdryngolony jak nastolatek. Po prostu zenująca sytuacja, na pewno bełkotałem jakieś słowa, które źle zrozumiała.

Wstał, żeby ją objąć. Początkowo Julia chciała go bić pięściami i kopać, ale potem odwzajemniła uścisk i wymamrotała poruszona:

– Nie możesz, tato, naprawdę nie możesz.

– I nie zamierzam – zapewnił. – Teraz już lepiej się czuję. Micaela mi pomogła.

– Ona ma całą twarz posiniaczoną.

– Wszystko w porządku – powiedziała Micaela.

– W porządku to trochę za dużo powiedziane – odparł Rekke. – Domyślałem się, że ma wstrząs mózgu, i jest to oczywiście moja wina. Upadłem, a ona wzięła na siebie cały impet uderzenia. Bohaterska interwencja, bez dwóch zdań. Tylko teraz ma takie janusowe oblicze, które patrzy zarówno do tyłu, na to, co minione, jak i do przodu, ku wiośnie. Czy będziesz dla mnie tak dobra i zrobisz dla was śniadanie? Chyba też nie zdążyłaś zjeść, prawda? Pani Hansson na pewno zaopatrzyła moją lodówkę. Kocham cię, mój skarbie, ale teraz muszę trochę odpocząć. Pójdę się położyć.

- Nie, musisz ze mną porozmawiać.
- Tak, oczywiście, ale najpierw spojrzę tylko na jedną rzecz.
- Mówiłeś, że chcesz spać.
- Spać i trochę poczytać. Możesz mnie odprowadzić do łóżka i przynieść mi komputer. Widzę, że Christian jeszcze nie zgolił tej okropnej brody.
- Czy mógłbyś przestać robić te swoje wkurzające uwagi? – odpowiedziała jego córka, dotykając dłonią policzka.
- Tak, jasne, oczywiście, wybacz.

Kiedy Julia weszła do kuchni, obca dziewczyna zdążyła zabrać ze stołu butelkę po winie, wytrzeć blat oraz włożyć do zmywarki filiżanki i kieliszki. Jej ruchy były zaskakująco efektywne i przez chwilę Julia zastanawiała się, czy ta kobieta nie była u nich kiedyś pomocą domową, którą jej ojciec z niezrozumiałych powodów poderwał. Albo może nie tak całkiem niezrozumiałych.

Było w niej coś atrakcyjnego – Julia musiała to niechętnie przyznać. Nie w sposób, który przemówiłby do pozostałych osób w rodzinie, przede wszystkim do babci, ale dziewczyna emanowała ukrytą energią i – w odróżnieniu od jej matki czy wielu innych pań z ich otoczenia – miała kobiece kształty.

Choć nie, wykluczyła tę wersję, że miałaby być kochanką jej ojca. Nie żeby Julia знаła go od tej strony, ale na pewno w takim stanie nie wyszedłby na miasto w sobotni wieczór, żeby przyprowadzić kogoś do domu. Może ta dziewczyna, Micaela, tak się chyba nazywała, naprawdę mu pomogła w krytycznej sytuacji. Ale było w niej coś... Wydawała się znajoma, poza tym między nią a ojcem istniała jakaś szczególna więź, bliskość połączona z irytacją. Julia rozjaśniła się w swoim popisowym uśmiechu, jak dobrze wychowana córka, którą w końcu była.

– Pani Hansson robi dobre musli – powiedziała – i domyślam się, że w lodówce jest turecki jogurt i jagody. Tata ma porządny ekspres do kawy.

Co powiesz na to, żebyśmy zjadły razem śniadanie i wyjaśniły sobie, co się stało?

Micaela skinęła głową. Wspólnie nakryły stół, postawiły na nim jogurt, musli, sok, biały chleb, który pani Hansson upiekła dzień wcześniej, cheddar, ogórki i pomidory. Potem zaparzyły sobie po filiżance cappuccino i przez chwilę siedziały, jedząc w milczeniu.

– Co się właściwie wczoraj stało? – odezwała się w końcu Julia.

– Był pijany – wyjaśniła Micaela. – Zobaczyłam go w metrze. Bałam się, że upadnie na tory.

– Pani Hansson mówiła o próbie samobójczej.

– To raczej jej domysły – powiedziała Micaela. – On jest bardzo zdesperowany, prawda?

– Tak – przyznała Julia. – Bardziej niż kiedykolwiek.

– Co mu dolega?

Julia popatrzyła na nią zdumiona. „Czyżby nie wiedziała?”

– Ma chorobę dwubiegunową – powiedziała krótko. – Czasem jest na granicy psychozy.

– Jak długo?

– Co ci powiedział?

– Nie tak dużo. Mówił trochę o swojej młodości, trasach koncertowych z matką.

– Znów zaczął się żalić na ten temat?

Dziewczyna skinęła głową i dopiła kawę. Potem naląła na talerz trochę jogurtu, na wierzch nałożyła nieco musli, rodzynek i jagód.

„Dlaczego ona wydaje mi się taka znajoma?” – Julia szukała w pamięci wyjaśnienia.

– Czy mogę zapytać, jak się spotkaliście?

– Byłam wczoraj w knajpie – odpowiedziała tamta – i wracając, przypadkiem zobaczyłam, jak stoi i się chwieje na peronie stacji Östermalmstorg.

Julia spojrzała na nią podejrzliwie.

- Ale co on tam robił w środku nocy?
- Tego nie wiem.
- Mam w to uwierzyć?
- Powinnaś.
- Bo wtedy będę spokojniejsza, czy o to chodzi?
- Bo to jest prawda. Co mu się takiego stało?

Julia przez chwilę milczała. Popatrzyła w stronę przedpokoju, ukośnie w prawo, potem znów skierowała wzrok na tę dziewczynę, Micaelę, i zauważyła coś, czego nie dostrzegła przedtem. Jej spojrzenie, które sprawiło, że zapomniała o posiniaczonej twarzy i tandetnych imprezowych ciuchach. To spojrzenie zdawało się... Szukała określenia. Bystre? Skoncentrowane? Jakby Micaela dostrzegała o wiele więcej, niż pokazywała po sobie.

- Depresja mu się stała – odpowiedziała wreszcie.
- No i nie mieszka też już z twoją matką. Są w trakcie rozwodu?

Julia nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Wygląda na to, że tak – przyznała.
- Przykro mi.
- Ech – rzuciła, jakby jej to nie ruszało. – Oczywiście wcale nie pomogło, że stracił pracę i zieloną kartę.

Micaela spojrzała na nią uważnie.

- Dlaczego stracił?

„Zamknij się wreszcie” – nakazała sobie Julia w myślach. „Nie psuj mi wszystkiego”. Ale może jednak chciała trochę popsuć. Może nawet chciała się zemścić. Zemścić się za to, że znów trzymał całą rodzinę w takim napięciu i nie dawał spać po nocach.

- Nie powinnam tego wiedzieć – powiedziała.
- Ale i tak wiesz.

Odkroiła plasterek sera i położyła na kanapkę.

- Tak sędzę – przyznała.
- A możesz też powiedzieć?

– Jestem pewna, że miał ściśle tajne zlecenia i że się pokłócił ze swoim zleceniodawcą. Że to był poważny konflikt.

– Czego dotyczył?

– Więcej nie wiem – powiedziała Julia i pomyślała, że to powinno wystarczyć, przynajmniej na razie.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie.

– On ma talent do wchodzenia w konflikty, prawda? – Julia uśmiechnęła się ostrożnie i upiła łyk cappuccino.

– Na to wygląda. – Micaela ostrożnie odwzajemniła uśmiech.

– Choć tak naprawdę stara się ich unikać – ciągnęła Julia, ogarnięta nagłą potrzebą wygadania się, opowiedzenia wszystkiego, co nie wiązało się z tamtymi wydarzeniami w USA.

– Trudno mi sobie to wyobrazić – stwierdziła Micaela.

– Ależ tak. Zawsze chce być miły i uprzejmy, w pewien sposób to jego natura. Został tak wychowany, żeby mówić same błyskotliwe rzeczy i sprawiać ludziom przyjemność. A mimo to nie potrafi się powstrzymać. Kiedy widzi jakieś niedoskonałości, braki, to po prostu samo mu się wymyka.

– I przeważnie ma rację?

Julia skwitowała pytanie uśmiechem i naląła sobie szklanekę soku.

– Jeśli zapytałabyś mnie rok temu, powiedziałabym: tak, zawsze. Jest moim tatą. Jest najinteligentniejszym człowiekiem na świecie. Ale teraz... Nie, niestety, czasem miewa stany niemal halucynatoryczne. Słyszałam, jak mylił się więcej razy niż ktokolwiek, kogo znam.

– Ja się wychowałam w Husby – powiedziała nagle Micaela.

– W Husby? – Julia spojrzała na nią z nowym zainteresowaniem.

– Tak – potwierdziła dziewczyna. – Ludzie stamtąd nie mogliby tego pojąć: człowiek, który ma wszystko i po prostu pozwala, żeby to się rozsypało.

– Nie sądzę, żeby ludzie na Östermalme rozumieli to lepiej. To tylko my go rozumiemy, w nasz porąbany sposób.

– Jacy my?

– My, Rekke. To doskonale pasuje do naszej rodzinnej mitologii.

– Macie rodzinną mitologię?

– O tak, a tata jest naszym wzorem, dlatego wszyscy jesteśmy tak zakręcenii na jego punkcie. To prawdziwy Rekke: wybitnie inteligentny i samodzielny, ale też przesadnie wrażliwy i samokrytyczny, a przede wszystkim ma te swoje czarne psy.

– Czarne psy?

– Depresje. Pożyczyliśmy to określenie od Churchilla. Tata jest wybranym, jak mawia mój wujek Magnus.

– Z jakiego powodu?

– To długa historia.

– Ale ja chętnie posłucham – powiedziała Micaela.

W tej chwili Julia nie miała wątpliwości, że musiały się już kiedyś spotkać, może nawet w dramatycznych okolicznościach i wcale nie tak dawno temu. Tylko nie mogła skojarzyć gdzie. Jeszcze raz przyjrzała się sińcom na twarzy dziewczyny. To musiało być strasznie mocne uderzenie.

– Tata od początku się wyróżniał – zaczęła. – Mówiło się, że już jako dwu- czy trzylatek płakał ze wzruszenia, kiedy słuchał kwartetów smyczkowych Beethovena. Stwierdzono u niego słuch absolutny i okazało się, że wszystko łatwo mu przychodzi. Moja babcia, a jego mama, która sama była obiecującą pianistką, postanowiła zrobić z niego geniusza. Zrezygnowała z posady pedagoga w Wiedniu. Posadziła go przy fortepianie, żeby ćwiczył osiem, dziesięć godzin dziennie. Nie musiał nawet chodzić do szkoły.

– Jak to było możliwe?

– To był jeden z takich układów, w jakich nasza rodzina się specjalizuje. Zawsze tworzymy specjalne reguły, które dotyczą tylko nas. Podczas gdy Magnusa wysłano do Institut Le Rosey, szkoły z internatem w Szwajcarii, babcia załatwiła, żeby do taty nauczyciele przychodzili do domu. Wszystko było oczywiście bardzo elitarne i wytworne, ale nic nie mogło się dziać kosztem muzyki. Tego babcia bardzo pilnowała, a kto miałby odwagę się jej sprzeciwić? Powinnaś ją zobaczyć. Na jej widok ludzie odruchowo stają na

baczność. Potrafi cię unieść albo pogrążyć tylko jednym spojrzeniem. Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, co to znaczy dla małego dziecka, kiedy taka osoba koncentruje na nim swoje wszystkie siły, całą energię? Nie można się obronić, a tata nigdy nie był wystarczająco silny.

– Nazwał ją impresariem z piekła rodem.

– Ale to było później, kiedy nabrał rozumu i pojął, że muzyka nie jest dla niego dobra.

– Dlaczego nie?

– Kiedy był dzieckiem, tylko przy fortepianie mógł dawać ujście emocjom. Dlatego też tak mocno przeżywał muzykę. Wielkie utwory klasyczne były dla niego jak burze i właściwie nie miał nic przeciwko burzom. Chciał tylko wiedzieć, dlaczego ten wichur się zrywa.

– I to się udawało poprzez muzykę?

– Nie, nie zawsze. Przeżywał wstrząs, ale nie rozumiał, co go tak porusza, i nie był w stanie tego znieść. Mógł się przewrócić, uderzyć, dostać burę czy nawet lanie, radził sobie ze wszystkim, dopóki pojmował, co się dzieje. Ale muzyka nie przemawiała jasnym językiem, jak powiedział. Nie miała w sobie *claritas*. Dlatego wcześniej zaczął preferować logikę w opowieści, w łańcuchu wydarzeń.

– Nie mógł się tym zajmować?

– Nie, jeśli to przeszkadzało w ćwiczeniu na fortepianie, więc babcia często chowała mu książki albo nie pozwalała oglądać seriali kryminalnych, które uwielbiał. *Columbo* na przykład czy innych. Chciała go w ten sposób ukarać. Ale to oczywiście nic nie dawało. Powieści i filmy oddziaływały z jeszcze większą siłą przyciągania. A kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat, doznał epifanii.

Micaela nie powiedziała, że nie wie, co to takiego epifania. W ogóle nie mówiła dużo. Bolała ją głowa i nadal była zła, że Rekke jej nie powiedział, co zobaczył na zdjęciach z obdukcji. Ale towarzystwo Julii trochę jej pochle-

biało i w końcu dała się wciągnąć w rozmowę. Zapomniała nawet o swojej irytacji. Czasem popatrywała na dziewczynę z pewnym zdumieniem.

Julia była tak samo piękna jak Vanessa, ze swoimi wielkimi błękitnymi oczami i rudawymi lokami. A jednak wydawała się też kimś zupełnie innym, nie tylko dlatego, że była bogata, z wyższej klasy i tak dalej. Mówiła o swoim ojcu tak, jakby była przekonana, że każdy jest nim tak samo zainteresowany jak ona. Było w tym coś zarówno zepsutego, jak i pociągającego.

– Może to nie brzmi jakoś szczególnie – mówiła dalej Julia – ale dla niego to była rewolucja. Mieszkali wtedy w Wiedniu, w pierwszej dzielnicy. Tamtego dnia w domu byli tylko on, babcia i służba. Dziadek przebywał w podróży, niedługo potem umarł. Magnus mieszkał w internacie w Szwajcarii. Tata siedział przy fortepianie i ćwiczył jakiś cholernie nudny kawałek. Nie mógł tego wytrzymać. Potrzebował przerwy i rozpaczliwie czekał na ósmą. O tej godzinie miał się zacząć serial kryminalny, który uwielbiał. Ale kiedy zjedli kolację i babcia posłuchała, jak tata gra, powiedziała tylko: „Nie, to nie wystarczy. Dzisiaj wieczorem żadnej telewizji”, na co on krzyknął, że to niesprawiedliwe. Babcia odparła, że to jest sprawiedliwe: „Bo nie ćwiczyłeś porządnie”, a wtedy on już nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Dyskusje z nią nigdy się nie opłacały. A jednak te słowa nie dawały mu spokoju. Kilka dni później znalazł jakąś nudną niemiecką książkę o filozofii, a w niej na samym początku było napisane, że często posługujemy się słowami, nie rozumiejąc, co tak naprawdę znaczą. Jednym z przykładów była sprawiedliwość. Przeczytał, że są różne rodzaje sprawiedliwości. Są zasady sprawiedliwości oparte na zasługach i osiągnięciach. Jest też koncepcja sprawiedliwości potrzeb, jak u Marksa: każdy powinien dostać według potrzeb. Poza tym istniało proste pojęcie równej sprawiedliwości: wszyscy powinni dostać to samo, niezależnie od okoliczności. Było też mnóstwo wariantów pomiędzy nimi.

– Rozumiem – wtrąciła Micaela.

– No właśnie, to nic szczególnego. Ale wtedy, jako dziecko, uświadomił sobie, że babcia nie zdefiniowała tego słowa. Po prostu zamknęła mu usta

jakimś zupełnie niejasnym terminem. Można by pomyśleć, że go to tylko jeszcze bardziej rozzłości, ale wręcz przeciwnie: był uszczęśliwiony.

– Dlaczego?

– Bo zrozumiał, co było nie tak, i wreszcie uświadomił sobie, czego tak naprawdę szuka. Muzyka była mroczną siłą, wywoływała burze emocji, których nie dało się wytłumaczyć. Logika, filozofia, semantyka, fenomenologia i cała reszta, którą zaczął się potem zajmować, różniły się od niej tym, że można było je rozebrać na części i dotrzeć do źródeł. W krótkim czasie zdobył dużą wiedzę. Był opętany ideą jasności. Chciał się poświęcić rzeczom, które można było wytłumaczyć i przeanalizować, aż pewnego dnia przeczytał o paleontologu nazwiskiem Cuvier.

– Cuvier?

– Tak, Georges Cuvier. Żył na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, a wtedy, jak wiesz, wierzono nadal, że Bóg stworzył świat w sześć dni i wszystkie zwierzęta, jakie były na Ziemi, żyły na niej od początku. Jeśli znajdowano skamieliny, które nie pasowały do tej wersji, zawsze pojawiało się jakieś wytłumaczenie. Ale Cuvier tego nie uznawał. Kiedyś badał kości znalezione w Holandii i stwierdził, że należały do gatunku, którego już nie ma. Nazwał go mamutem. Potem odkrył jeszcze więcej wymarłych zwierząt i wyciągnął z tego wniosek, że musiały istnieć epoki z zupełnie innymi stworzeniami i roślinami. Na podstawie kilku starych kawałków kości Cuvier zburzył całą koncepcję historii i to było dla taty objawienie: że jakieś pozostałości, pozornie nieprzydatne resztki, mogą ukazać minione światy.

– Jestem w stanie to zrozumieć – przyznała Micaela.

– Właśnie. Potem zaczął mówić, że chce być badaczem. Albo jeszcze lepiej: detektywem. „Będę badał małe rzeczy, żeby odkrywać wielkie”, mówił. Ale chyba możesz sobie wyobrazić: detektyw! Babcia uznała, że to brzmi jak z groszowych powieści sensacyjnych. Powiedziała, żeby sobie to wybił z głowy.

– Ale z czasem został też trochę detektywem.

– W sumie tak.

Micaela powędrowała spojrzeniem do przedpokoju i przypomniała sobie swojego ojca i jego dawne rady: zawsze cofaj się do samego źródła, do tego, co zostało napisane, zanim interpretacje nałożyły się na zdarzenia jak raster. Czy to wtedy narodziło się jej własne pragnienie prawdy? A może było to... Znów miała przed oczami Lucasa, widziała, jak wyciąga broń w lesie.

– Byliśmy u was w domu zeszłego lata – powiedziała.

Julia drgnęła.

– Jacy my?

– Prowadziliśmy dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Jesteś policjantką?

– Byłam u was z trzema kolegami. Grałaś na skrzypcach i twoja mama ci przerwała.

Teraz Julia patrzyła na nią prawie zszokowana.

– To byłaś ty?

– Co masz na myśli?

– Pamiętam cię bardzo dobrze. Pamiętam, jak tata na ciebie patrzył.

Micaela wołała nie wiedzieć, jak Rekke na nią patrzył.

– Twój tata zjechał całe nasze dochodzenie. Okazało się, że zbudowaliśmy zamek z piasku.

– Byliście wściekli, prawda?

– Mój szef na pewno się wściekł.

– Pamiętam – przyznała Julia. – Mama była bardzo zirytowana. Ona nie znosi, kiedy tata obraża ludzi swoimi prawdami.

– Chyba musieliśmy je usłyszeć.

– Potem to zrozumiałam. Ale wtedy nic o tym nie wiedziałam. To było tylko jedno z tajemniczych zleceń taty, o których nie mogliśmy rozmawiać, i właśnie dlatego tak mnie interesowały. – Julia nachyliła się nad stołem, teraz nie wyglądała już jak zblazowana dziewczyna z bogatego domu. W jej twarzy było widać przekorę. – Podśluchiwałam was po kryjomu.

– Widziałam cię – powiedziała Micaela.

– Pamiętam, ale wtedy chyba nie rozumiałam wiele – ciągnęła Julia. – Domyśliłam się, że rozmawiacie o tym sędzim piłkarskim, który został zamordowany, no i mnie to wciągnęło. Trochę jakbym się znalazła w filmie. Ale i tak najlepiej pamiętam tę awanturę, która nastąpiła potem.

– Jaką awanturę?

Julia sprawiała wrażenie, jakby była w posiadaniu wielkiej tajemnicy, i bardzo ją to cieszyło.

– Kiedy wyszliście, tata był bardzo wzburzony. Strasznie się wkurzył.

– Naprawdę? – zdziwiła się Micaela. Przypomniała sobie, co zobaczyła, kiedy odwróciła się wtedy w stronę domu: Rekke i jego żona wchodzą do środka objęci. Pamiętała to poczucie, że ona sama i jej koledzy na pewno byli dla niego czymś pobocznym, przystankiem w drodze do czegoś ważniejszego. – Sądziłam, że to był dla niego kolejny zwyczajny dzień w pracy.

– Nie, nie, w żadnym wypadku. Tata długo chodził tam i z powrotem jak w transie. Słyszałam, jak mrucał coś pod nosem. Potem poszedł do swojego pokoju i nie opuszczał go godzinami. Kilka razy zakradałam się do niego na górę, a on ciągle siedział i przez cały czas wpatrywał się w to samo.

– W co?

– W zwłoki. Patrzył na jakieś znaki na ciele, nie wiem dokładnie, ale chyba zestawiał je z czymś innym. Miał tam też różne dokumenty i przeglądał je, porównywał ślady na nadgarstkach. Dobrze to pamiętam. Potem zaklął, sięgnął po telefon i zadzwonił, a ja po ułamku sekundy wiedziałam, że rozmawia z Magnusem.

– Jego bratem z MSZ?

– Tak. On przybiera taki szczególny ton, kiedy gada z Magnusem. Z nikim innym nie mówi tak szybko, więc nie wszystko rozumiałam. Ale na pewno chodziło o tamtego sędziego i nie było wątpliwości, że Magnus świetnie się w całej sprawie orientuje.

– Pamiętasz może coś konkretnego z tamtej rozmowy?

– Pamiętam jedną rzecz.

– Co?

– Prison of Darkness.

– Prison of Darkness?

– Dokładnie tak, bo to była nazwa, która mnie przeraziła.

Micaela pochyliła się w napięciu nad stołem, poczuła impuls, żeby złapać Julię za rękę.

– Co to takiego? – zapytała.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to więzienie, gdzie sędzia był torturowany.

Micaela próbowała ogarnąć znaczenie tego faktu i połączyć go z tym, co już wiedziała o życiu Kabira.

– To było jedno z więzień talibów? – zapytała.

Julia chwilę milczała. Przygryzła wargę, ale równocześnie na jej twarzy znów pojawił się wyraz przekory.

– No dalej – powiedziała Micaela z nagłym przejęciem. – Mów.

CZTERNAŚCIE

Jonas Beijer nigdy nie zdradził swojej żony. Bywały jednak takie dni, kiedy marzył o jakiejś przygodzie, dzięki której serce szybciej by mu zabiło. W kuchni kłócili się jego synowie. Linda krzyknęła: „Nie obchodzi mnie, czyja to wina, po prostu przestańcie!”.

Nie miał na to siły. Czyż niedziela nie powinna być dniem odpoczynku? A u niego wręcz przeciwnie: on przez cały weekend tęsknił do poniedziałku. Nie żeby jego praca była szczególnie fascynująca, ale mimo wszystko stanowiła pewną normalność, coś w rodzaju cichej porażki.

Minęło dziesięć miesięcy od zabójstwa Kabira i śledztwo straciło impet. Może to nie było takie dziwne, ale żaden z jego kolegów nie zdawał się zauważać, że absolutnie nic w nim nie grało. Falkegren, ten oślizgły idiota, zanudzał ich swoim stałym tekstem: „Amerykanie nam pomogą, znam ich”, i rzeczywiście początkowo wyglądało to obiecująco.

Przedstawiciele CIA i amerykańskiej żandarmerii wojskowej w Kabulu zadzwonili i odbyli z nimi długą rozmowę, ale właściwie niewiele z niej wynikało. Dopiero kiedy Jonas na własną rękę skontaktował się z lokalną policją w mieście, odkrył, że Kabir wcale nie był jedynie sympatycznym pasjonatem piłki, który organizował turnieje. Mógł też mieć napady szału.

Czy powinien wyjść i pomóc żonie w kuchni? Ech, to mogło poczekać. Niedługo ma zawieźć Samuela na konie. Poszedł do sypialni, usiadł na łóżku i zaczął wertować swój czarny notes z telefonami. Ale nie znalazł nikogo, do kogo chciałby zadzwonić – zwłaszcza żadnej potencjalnej kochanki. Wtedy przypomniał sobie Micaelę i ogień, jaki wniosła w śledztwo. Ilekroć była w pobliżu, czuł, że musi prostować plecy i pracować jeszcze lepiej. Czy to nie wtedy, kiedy wyleciała z zespołu, jego życie zrobiło się takie nudne?

Nagle otworzyły się drzwi. Weszła Linda i zrugła go, że tylko siedzi i nic nie robi.

Julia dokończyła cappuccino, wpatrując się w czarne rozgorączkowane oczy Micaeli.

Czy naprawdę powinna to powiedzieć? Oczywiście, że nie powinna.

Najlepiej nie odzywać się już ani słowem, zmienić temat i stwierdzić, że Micaela musiała coś źle zrozumieć. Ale właśnie dlatego tak ją kusiło, żeby wszystko opowiedzieć. Może rzeczywiście chciała się zemścić: odegrać się za to, że jej ojciec jest takim cholernym samolubnym idiotą, że pozwolił, aby jego depresja zdominowała wszystko inne. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Micaeli. „Wcale nie jestem taka porządna, jak sobie wyobrażasz” – pomyślała.

– To było amerykańskie więzienie – rzuciła.

Micaela spojrzała na nią, jakby nie rozumiała.

– Co?

– To był jeden z tajnych obiektów CIA.

– Chyba żartujesz.

– Nie, przysięgam. To było jedno z tych więzień, które zorganizowali na szybko po jedenastym wrześniu, i trzymali tam podejrzanych o terroryzm.

Teraz Micaela naprawdę wyglądała na zszokowaną i Julia zaczęła się denerwować, że powiedziała za dużo, ale poczuła też smak władzy. Czyżby wiedziała coś, o czym nie mieli pojęcia nawet policyjni śledczy?

– On to powiedział, a wtedy Magnus się zezłościł. Słyszałam, jak tata go przekonywał.

Micaela potrząsnęła głową z oburzeniem.

– Przecież Amerykanie nie mogą torturować ludzi w ten sposób – stwierdziła.

– Sądzę, że... – zaczęła Julia, ale nie wiedziała, co chce powiedzieć.

– Bo przecież – ciągnęła Micaela wstrząśnięta – Kabir był całkiem spowinowierany. Miał ślady po łańcuchach na przegubach rąk, jakby siedział

w jakimś starodawnym lochu. Protokół sekcji stwierdził oznaki przemocy seksualnej. Miał też rozwaloną szczękę.

Julia przyjrzała się zaciętej, skoncentrowanej twarzy Micaeli. Zastanowiła się, co tak naprawdę wprawiła w ruch. Ale mimo wszystko ekscytacja jej nie opuszczała i żałowała, że nie ma więcej do powiedzenia, aby podtrzymać ten gniewny żar w oczach dziewczyny.

– Tata był bardzo zły, pamiętam – rzuciła.

– Ale dlaczego, do jasnej cholery, nic nam nie powiedział?! – Micaela złapała ją za rękę.

Julia poczuła chęć, aby iść do ojca i zapytać go o radę. Ale to by ją przecież zdradziło. Nagle zapragnęła zapalić jointa.

– Wydaje mi się, że jest związany różnymi klauzulami tajności – rzuciła defensywnie.

Micaela spojrzała na nią wzburzona, jakby to wszystko była jej wina, aż Julia instynktownie się cofnęła.

– Przecież nie może utrudniać śledztwa z tego powodu – prychnęła Micaela.

– Jestem przekonana... – Nie zdążyła dokończyć.

Micaela wstała z krzesła. Julia z fascynacją przyglądała się tej nagłej stanowczości w jej ruchach.

– Co chcesz zrobić? – zapytała.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Czekaj, może zasnął.

To oczywiście niewiele pomogło. Micaela po prostu poszła dalej, a jej ciało emanowało nową determinacją, więc Julia ruszyła za nią z rosnącym podekscytowaniem.

Hans Rekke leżał w łóżku. Odpalił właśnie płytę ze starym nagraniem ze stadionu Grimsta. Gdy tylko na ekranie pojawiał się Jamal Kabir, Rekke nachylał się bliżej, mrużąc oczy. Jak to możliwe, że wcześniej nie zafascynowały go ruchy sędziego? Gesty, które zdawały się dziwnie obce i nie na

miejscu. Choć też, paradoksalnie, sprawiały wrażenie tak dobrze znanych, jak echo ze świata, który był mu bardzo bliski, i pewnie dlatego dotychczas nie powiedział o tym ani słowa. Obawiał się, że to jego mania zwodzi go na manowce.

Ale teraz... teraz, kiedy i tak pogрузił się całkowicie w bagnie, co tam widział? To samo? Może. Choć przeważnie nic. Jego spojrzenie było martwe, jedyna wyraźna refleksja brzmiała: czy on sam kiedyś tak biegał, jak ci gracze na boisku? Czy kiedyś tak krzyczał i szalał z radości bez powodu – przez piłkę, która wpadła do bramki, przez deszcz, który właśnie spadł, czy rzut karny, który nie został zasądzony? Miał wrażenie, że nie. Wydawało mu się, że zawsze żył odcięty od spraw, które niepokoiły lub radowały innych ludzi.

Kilka razy wciągnął niespokojnie powietrze i wsłuchał się w odgłosy ulicy, próbując się zorientować, czy częstotliwość przejeżdżających samochodów mogłaby mu powiedzieć, jaki jest dzień i która godzina. Ale nie, miasto było nieme. Wszystko było nieme i dudniące równocześnie. Chociaż...

Kroki zbliżały się do jego pokoju, zdecydowane kroki. Utykające? Tak, nieznacznie. Co drugi krok uderzał trochę mocniej w podłogę. Ba-dam! – tak to brzmiało. Ba-dam! Czy słyszał to wtedy w Djursholmie? Chyba nie, to musiało być coś chwilowego, prawie niezauważalnego. Kiedy ukazała się w drzwiach, Rekke omiół ją spojrzeniem: od oczu aż po dziurę w rajstopach.

– Twoje biodro – powiedział.

– Co z nim? – zapytała, a on natychmiast zrozumiał, że ją zranił.

To nie było nowe obrażenie z ostatniej nocy, tylko źle zrosnięte złamanie, a ona myślała, że nikt tego nie zauważa. Może nawet wiązało się z jakąś traumą. Jej dłoń powędrowała do lewego boku ruchem, w którym było coś nawykowego, automatyzm, z którego na pewno nie zdawała sobie sprawy, ponieważ była – teraz widział to wyraźnie – wściekła.

– Nic – odparł. – W czym mogę ci pomóc?

– Posłuchaj jej. – Julia pokazała się za plecami Micaeli.

– Słucham – powiedział.

– Czy Jamal Kabir siedział w amerykańskim więzieniu w Kabulu?

Rekke zamknął oczy. „A więc ten idiota im nic o tym nie powiedział?” – pomyślał. Nagle zapragnął być gdzieś daleko, najlepiej pogрузić się we śnie.

– Nie mogę o tym mówić – stwierdził.

– Ależ oczywiście, że możesz. Ja już to wiem – oznajmiła Julia.

– Naprawdę?

– Słyszałam wtedy twoją rozmowę z Magnusem.

Otworzył oczy i pomyślał: „Właściwie dlaczego mnie to obchodzi i co mam tu do stracenia? Nic”.

– Tak, no więc tak... Siedział tam – przyznał.

– To dlaczego nam o tym nie powiedziałaś, do jasnej cholery?! – warknęła Micaela.

– Bo wtedy nikt o tym nie wiedział, oprócz paru wybrańców z amerykańskiej administracji oraz kilku osób z MSZ. Ale widocznie uznali, że nie ma potrzeby o tym mówić, skoro wszystko i tak sugerowało, że to był czyn popełniony w amoku przez ojca piłkarza.

– Przecież to bez sensu.

– Ależ nie – odparł. – To prawda.

– Jak mogliśmy dobrze wykonywać naszą pracę, jeśli nie dostaliśmy wszystkich informacji?

– Takie też było moje zdanie, rzecz jasna. Dlatego zadzwoniłem do waszego komendanta, Martina Falkegrena, i poinformowałem go o tym. Ale wszystko wskazuje na to, że on zachował tę wiadomość dla siebie.

– Kurwa mać!

– Przykro mi.

– Ale jednak tobie Amerykanie powiedzieli.

– Ależ skąd, absolutnie. Zdementowali te informacje i próbowali zastraszyć mnie w najbardziej czarujący sposób.

– No to jak się dowiedziałeś?

– *Mortui vivos docent.*

– Co?

– Martwi uczą żywych.

– O czym ty mówisz?

Wciągnął głęboko powietrze i pomyślał: „Wóz albo przewóz. Niech się dowiedzą, jaką mroczną wiedzą dysponuję, o czym muszę milczeć”.

Rekke odłożył komputer na nocny stolik i spojrzął na nie wzrokiem, który zdawał się przejaśniać. Jego suche wargi poruszały się bezgłośnie, jakby po cichu trenował wypowiedanie słów.

– W styczniu dwutysięcznego roku dostałem profesurę na Stanfordzie – zaczął wreszcie. – Przypuszczalnie zawdzięczałem tę nominację głównie swoim pracom o intuicji. Ale to, co pisałem o technice przesłuchiwania w czasie wojny, też odegrało pewną rolę i wzbudziło zainteresowanie nie tylko na uniwersytecie, lecz także w CIA.

– *War and the Art of Telling the Truth* – wtrąciła Micaela. – Czytałam tę książkę.

– O, doprawdy? – zdumiał się Rekke. – Niech mi Bóg wybaczy tych kilka zdań. Ale dzięki tej pracy oraz kilku zleceniom, które wykonałem dla policji z San Francisco, cieszyłem się sławą specjalisty od zeznań – mówił dalej. – Byłem nawet uznawany za wybitnego eksperta w tej dziedzinie. A potem, po jedenastym wrześniu... Jak pewnie się domyślacie, niebo runęło na głowę służbom wywiadowczym. CIA na gwałt potrzebowała ekspertów, a mnie zalały zeznania świadków, w większości z więzienia Guantanamo.

– Czyli z przesłuchań terrorystów – dodała Micaela.

Rekke uśmiechnął się ponuro do siebie.

– Tak, niektórzy byli rzeczywiście terrorystami. Ale większość z tych przesłuchań była po prostu niedorzeczna, tłumaczyłem, że nic nie mogę o nich powiedzieć, jeśli nie będę znał kontekstu. To było... jak by to powiedzieć... jakbym słuchał fałszywego śpiewu, nie wiedząc, czy ten fałsz to

efekt braku talentu, czy dłoni zaciśniętej na gardle. Wreszcie po różnych konfliktach i przepychankach dostałem więcej informacji. Dowiedziałem się o czymś, co określa się ładnie jako wzmocnione techniki przesłuchań: *enhanced interrogation techniques*.

– Co to takiego?

– Eufemizm na określenie tortur, proces, który rozpoczął się, kiedy prezydent Bush zdefiniował podejrzanych o terror jako nielegalnych kombatanów i w związku z tym uznał, że może obejść konwencję genewską i własne prawa zakazujące tortur. Oczywiście wiedziałem o tym. Ale nie miałem pojęcia o zasięgu tych działań i zabrakło mi fantazji, żeby wyobrazić sobie eskalację, jaka nieuchronnie musi nastąpić, kiedy naruszymy podstawową zasadę.

– Co to za eskalacja?

– Stopniowa normalizacja i nasilenie zjawiska. Muszę przyznać, że byłem zdumiony. A równocześnie bardzo dużo nauczyłem się o tych sprawach, głównie o białych torturach, jak się je określa: głośnie dźwięki, jasne światło przez całą dobę, zakłócanie snu, ekstremalne zimno oraz ciemność. Ale też o klasycznej brutalności, waterboardingu, przemocy seksualnej, czyli penetracji analnej czy rektalnym wprowadzaniu płynów. Wszystko to jest dość straszne, ale też, jak by to powiedzieć, charakterystyczne.

– W jakim sensie?

– Można było odnieść wrażenie, że szefowie przesłuchań chodzili do tej samej szkoły, więc nauczyłem się rozpoznawać ich metody i wzorce, całą kulturę, można by rzec. Sposoby postępowania oczywiście się różniły. Ale zawsze był jakiś wspólny mianownik, metodyka oparta na kilku podstawowych dokumentach, i to mnie zainteresowało. Byłem już dość odcytany w przedmiocie i wiedziałem, że tortury mają swoją specyfikę kulturową, swój odcisk palca. Można zidentyfikować nie tylko oprawcę, lecz także kontekst, w którym działa. Ideologia, która za tym stoi, zostawia ślady także na torturowanych ciałach. – Rekke wyciągnął rękę po szklanekę, która stała na nocnym stoliku. Była pusta, ale mimo to napił się z niej, jakby łykał powietrze.

Micaela pomyślała, że może powinna przynieść mu coś do picia. Ale odsunęła tę myśl i zapytała niecierpliwie:

– W jaki sposób?

– Talibowie na przykład wcześniej lubili procesy pokazowe – powiedział Rekke. – Gromadzili widzów na stadionach, jak wiecie, i publicznie mordowali lub okaleczali ludzi. Dlatego ich metody były bardziej spektakularne: używali batów, gwoździ wbijanych w dłonie, odcinali kończyny. Stany Zjednoczone tymczasem, jak wiadomo, postrzegały się jako kraj demokratyczny, w którym właściwie nie torturuje się swoich więźniów. Amerykańskie tortury były więc bardziej dyskretne, pomyślane tak, żeby nie było ich widać. Z tego też powodu dość wcześnie pomyślałem, że ślady na ciele Kabira, zwłaszcza odmrożenia na klatce piersiowej, wyglądają mi bardziej na CIA niż na mułłę Omara, i to pasowało również do mojej pierwotnej teorii.

– Jak ona brzmiała?

– Julio, skarbie, możesz mi przynieść wodę? – zwrócił się Rekke do córki i podniósł jeszcze raz szklankę stojącą na stoliku.

Julia skrzywiła się nieco teatralnie w stronę Micaeli.

– Właśnie taki on jest – powiedziała. – Przyzwyczajony, że ludzie przez cały czas wokół niego skaczą.

– Oczywiście jest mi wstyd.

– A potem cały czas jest mu wstyd.

Julia wyszła do kuchni i wróciła z butelką ramlösy, którą wlała do szklanki. Rekke wypił łąpczywie i popatrzył na Micaelę z tym samym smutkiem co przedtem.

– Powiedziałeś, że to się zgadzało z twoją pierwotną teorią – przypomniała.

– Nie mogłem się połapać w historii Kabira i wydaje mi się, że inni podobnie to odbierali – ciągnął Rekke. – Wiedziałem wystarczająco dużo o paranoi tamtych czasów, żeby rozumieć, że służby nigdy nie zostawiłyby takiego faceta w spokoju. Byłem przekonany, że został przesłuchany na wszelkie możliwe sposoby, jeśli nie tutaj, to gdzieś indziej. Dlatego prze-

czytałem dokumenty z Urzędu do spraw Migracji, przeglądałem protokół sekcji zwłok pięć czy dziesięć razy i byłem coraz bardziej pewny, że moje przypuszczenia są słuszne. Ten facet siedział w jednym z więzień CIA.

– I to wtedy zadzwoniłeś do Magnusa – wtrąciła Julia.

– Tak – przyznał Rekke. – Domyśliłem się, że Magnus zna ten przypadek, nie tylko dlatego, że była to nader delikatna sprawa, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Odciski na przegubie prawej dłoni Kabira wywoływały u mnie zimny dreszcz. Pamiętasz je, Micaelo?

– Oczywiście – przyznała. – Właśnie o nich mówiłam. Sine ślady po potężnym łańcuchu.

– Miałem wrażenie, że te ślady coś do mnie szepczą. Wydawały się podobne do innych śladów z miejsca zbrodni, na które natknąłem się wcześniej, instynktownie rozumiałem, że mogą mieć coś wspólnego z odmrożeniami. Dlatego zacząłem się rozglądać. Byłem jak w amoku, aż wreszcie do tego doszedłem. Takie same ślady i odmrożenia widziałem u innego niezjącego mężczyzny.

– U kogo?

– U więźnia, który nazywał się Gulman Ghazali. Przykuli go łańcuchami, nagiego od pasa w dół, w lodowatym pomieszczeniu. Ghazali skarżył się, że marznie tak bardzo, że nie może myśleć. Wtedy zdecydowano, że trzeba go jeszcze bardziej docisnąć. Był polewany zimną wodą i uniemożliwiano mu sen. Dwudziestego listopada dwa tysiące drugiego roku został znaleziony martwy w swojej celi, zamarznięty, z takimi samymi śladami na przegubach jak Kabir.

– O Boże.

– No właśnie. A więzienie, w którym przebywał, leży na północ od Kabulu i jest tak zwanym *black site*, tajnym miejscem dla najbardziej kontrowersyjnych operacji CIA. To miejsce określa się jako Salt Pit albo Cobalt. Ale ponieważ najbardziej znana tortura ze stosowanych tam metod to trzymanie więźniów w całkowitej ciemności, osadzeni określali to więzienie inaczej.

– Prison of Darkness – powiedziała Micaela.

– Albo Dark Prison – dodał Rekke. – Parę razy widziałem też nazwę Music Prison. Szefowie przesłuchań często puszczali w celach muzykę metalową albo hip-hop, na cały regulator i przez całą dobę. Więźniowie od tego wariują. Nie mają dnia ani nocy, tylko czarną pustkę wokół siebie. Często są przywiązani albo przykuci do ziemi, tak że nie mogą chodzić ani usiąść.

– I coś takiego robi USA?

– Niestety tak.

Micaela się zamyśliła. Nie żeby miała jakieś złudzenia na temat CIA, nie po tym, co opowiadał jej tata. Ale mimo wszystko...

– To jest bez sensu – rzuciła.

– Owszem. Ale chciałem powiedzieć, że Magnus bardzo niechętnie potwierdził informację, że Kabir siedział w tamtym więzieniu. To była dość drażliwa sprawa. Bo wiecie... – Rekke zawiesił głos i uśmiechnął się z rezygnacją. – Magnus sam jest w to dość mocno wplątany.

– W jaki sposób?

– Dawał zgodę na wywożenie z kraju Szwedów podejrzanych o terroryzm i torturowanie ich przez CIA w innych krajach. Dlatego zachowywał się w tej sprawie jak pies łańcuchowy. Kiedy spotkaliśmy się wtedy w Sturehofie, gdy nas widziałaś, Micaelo, posunął się nawet do dziecinnych gróźb.

– Rozumiem – powiedziała, choć już tak naprawdę nie słuchała. Widziała przed sobą Kabira, zmarzniętego i skutego łańcuchami w całkowicie zaciemnionym pomieszczeniu gdzieś daleko w Kabulu. Przedtem wyobrażała sobie mniej więcej ten sam scenariusz, ale na pewno nie z CIA w roli oprawców. To się po prostu nie mieściło w głowie.

– To jest polityczny dynamit, prawda?

– Można tak powiedzieć. Oczywiście oprócz Magnusa jest dużo więcej ludzi, którzy zrobią wszystko, żeby to nie wypłynęło.

Micaela rozważała te słowa przez chwilę. Wzdrygnęła się i w tej samej chwili przyszła jej do głowy inna myśl, która pojawiła się w ślad za pierw-

szą.

– A więc Kabir był raczej podejrzanym terrorystą, a nie bohaterem ludu? – zapytała.

– Najwyraźniej – przyznał Rekke. Spojrzał w górę na obraz z grającym chłopcem, który wisiał na ścianie. – Ale możemy chyba założyć, że był niewinny, skoro go wypuszczono – dokończył.

– Tak, to chyba jasne – zgodziła się Micaela.

– Choć właściwie też się nad tym zastanawiam.

– Dlaczego?

– Bo to jest w zasadzie niemożliwe, żeby ktoś się stamtąd wydostał. Niezależnie od jego winy.

– Więc do jakiego wniosku doszedłeś?

– Doszedłem do... – zaczął z ociąganiem Rekke – ...tego, że Kabir musiał mieć kilku nietypowych przyjaciół. Ale też...

– Co takiego?

– ...wielu wrogów.

– Dlaczego tak twierdzisz?

„Bo najwyraźniej uważam, że nadal potrafię wyciągać wnioski na temat ludzi” – pomyślał Rekke.

– Żeby mówić – powiedział głośno. – Po prostu żeby mówić.

PIĘTNAŚCIE

Micaela tylko spojrzała na niego i potrząsnęła głową. Jak on mógł zobaczyć tak dużo, mając tak mało do dyspozycji: kilka sinych blizn i parę zmian skórnych na piersiach i udach.

Wpatrywała się w oczy Rekkego, jakby odpowiedź na pytanie, dlaczego widział tak jasno, znajdowała się tam w środku, w matowym blasku jego spojrzenia. Ale czuła też coraz większe wzburzenie. Wcale nie dlatego, że zobaczyła brudną stronę polityki. To świadomość, że ukrywano przed nimi decydujące informacje, wywoływała w jej głowie ogłuszające pulsowanie.

– Przewracasz wszystko do góry nogami – rzuciła.

– Powinnaś to wiedzieć wcześniej. Nie sądziłem, że komendant policji może zatrzymać takie informacje dla siebie. Ale oczywiście byłem naiwny.

– Chyba go uduszę.

– To będziesz musiała potem udusić jeszcze dużo więcej osób. Na początek Kleebergera oraz mojego ukochanego brata.

Micaela zrobiła krok w stronę łóżka.

– Takie ukrywanie informacji w sprawie zabójstwa podlega karze sądowej – powiedziała.

Rekke popatrzył na nią, mrużąc oczy, i położył sobie rękę na czole. Wyglądał na wyczerpanego, jakby te wywody kosztowały go wszystkie siły.

– Bez wątplenia dużo ryzykowali, ukrywając to przed wami.

– Ale dlaczego to zrobili?

Popatrzył w dół na kołdrę.

– Jeśli chodzi o Falkegrena, to ktoś musiał mu wmówić, że moje spostrzeżenia były fałszywe. Ale jeśli cofniemy się trochę i prześledzimy losy

tej decyzji, to jasne jest, że CIA nie chce dopuścić do ujawnienia, że torturuje ludzi w ten sposób.

– Ale do jasnej cholery, oni nie mogą sabotować przez to śledztwa! – wykrzyknęła Micaela.

– Oni mogą zrobić dużo gorsze rzeczy – odparł Rekke. – Ale masz rację. Powinien istnieć jeszcze jakiś powód. Przecież faktycznie wypuścili Kabira ze swojego więzienia i załatwili, że nasz MSZ przyjął go w Szwecji. To nie był przypadek. Domyślam się, że coś się za tym kryje.

– A nie spróbowałbyś się w takim razie dowiedzieć co? – powiedziała Micaela nieco ostrzej, niż zamierzała. – Na przykład mógłbyś znów porozmawiać z twoim bratem.

Rekke zamyślił się, potem potrząsnął głową, zamknął oczy i zapadł się jeszcze głębiej w łóżko.

– Wydaje mi się, że Magnus już powiedział więcej, niż mógł.

– A tobie to wystarczy? – prychnęła Micaela.

Otworzył oczy. Przez chwilę na jego twarzy malowało się poczucie winy.

– Kiedyś może by mi nie wystarczyło. Ale teraz... nie jestem już osobą, na której można polegać.

Micaela poczuła, że krew uderza jej do głowy.

– Właśnie pokazałeś, że jednak można.

– Nie, nie – zaprotestował Rekke.

– Jakie „nie, nie”? Przecież z kilku blizn wywnioskowałeś, że on siedział w więzieniu.

– To były dawne wnioski. Teraz moje spojrzenie jest martwe, przykro mi, że cię rozczarowuję. – Zwrócił się do Julii: – Że was obie rozczarowuję. Ale teraz muszę spać. Bądźcie tak miłe i zgaście światło.

Micaela nie ruszała się z miejsca, myśli wirowały jej w głowie. Jakaś część jej osoby chciała potrząsnąć Rekkem, przywrócić go do życia, sprawić, żeby wziął się w garść, a inna chciała jak najszybciej wyjść i natychmiast zacząć działać.

– Spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej i trochę cię ożywić – powiedziała.

– Doprawdy? – rzucił zmęczonym głosem. – To oczywiście bardzo życzliwy zamiar, ale sądzę...

– Czy masz ten sam numer telefonu? – przerwała mu Micaela.

Rozłożył bezradnie ręce, jakby nie wiedział na pewno, więc zadowolona się tym i wyszła. Dotarła tylko do przedpokoju, po czym biegiem wróciła. W sypialni panował już mrok, jedynie smugi słabego światła przebijały się przez zasłony. Julia stała pochylona nad nim i poprawiała poduszki.

– Czy możesz z nim dzisiaj zostać?

– Właściwie nie – powiedziała Julia.

– Nikt nie musi ze mną zostawać – wymamrotał Rekke jak przez sen.

– Zadzwoń do pani Hansson.

– Nie, nie trzeba, oczywiście zostanę – rzuciła Julia.

– Dobrze – ucieszyła się Micaela. – Ja spadam. Odezwę się.

– Będzie nam bardzo przyjemnie – powiedział Rekke takim głosem, jakby był ledwie świadomy.

Micaela znów wyszła. Zjechała windą i stanęła na ulicy. Niebo było przejrzyste błękitne. Od wody zawiewało i przez chwilę poczuła się silna i zdecydowana, była przekonana, że zaraz zadzwoni do Jonasa Beijera i wszystko mu opowie.

Ale to postanowienie nie przetrwało długo, po kilku krokach uświadomiła sobie, że drażni ją słońce. Miała wrażenie, jakby wbijało jej igły w oczy, czuła ucisk w skroniach i w okolicy policzków. Było jej niedobrze i zaczęła wątpić, czy uda jej się dojsć do metra. Powinna zawrócić? Nie, nie. Nie chciała przyczołgać się z powrotem do tamtego mieszkania.

„Zadzwoń do Lucasa” – pomyślała i zatrzymała się z telefonem w dłoni. Tylko że on był ostatnią osobą, do której powinna dzwonić. Nic już nie było takie jak przedtem. „Dam radę, tylko się trochę pozbieram” – postanowiła i ruszyła dalej, ale wkrótce ziemia zaczęła się kołysać pod jej stopami. Osunęła się na kolana i jeszcze raz przed oczami przeleciała jej dramatyczna

scena z peronu metra. Siedziała teraz na chodniku, ciężko dysząc. Jakiś głos powiedział:

– Co się dzieje, moja droga?

Kobieta w średnim wieku o delikatnych rysach twarzy, ubrana w jasnoniebieski płaszcz, patrzyła na nią przyjaznym, współczującym wzrokiem. Micaela odebrała to jako kolejne ukłucie. Nikt tutaj na Östermalmie nie będzie się nad nią litował. Stała więc na chwiejnych nogach i odburknęła kobiecie jak przekorne dziecko:

– Dam sobie radę. Tylko muszę... – Nie dokończyła zdania, poszła niepewnie dalej, po czym skręciła w lewo w Riddargatan. Ale potem zabrakło jej siły. Ból rozsadzał jej głowę, oddychała z trudem. Przystanęła oparta o ścianę domu.

W tej samej chwili zadzwonił telefon w jej kieszeni. Micaela miała nadzieję, że to matka albo Vanessa. Odezwał się Lucas.

– Dzwoniłaś.

– Nie, nie – wyjąkała. – Może telefon sam w kieszeni.

– Brzmisz jak z dupy.

– Wszystko dobrze.

– Nie wierzę. Gdzie jesteś?

Absolutnie nie zamierzała mu tego mówić. A jednak wydusiła z siebie adres i usłyszała, jak stwierdza triumfująco:

– Przyjadę. Zajmę się tobą, siostra.

Julia została w pokoju. Oczy jej ojca jarzyły się słabym światłem w półmroku. Co się z nim dzieje? Przecież jeszcze chwilę temu wydawało się, że wrócił. Ale teraz... Podeszła cicho do okna sypialni, uchyliła zasłonę i spojrzała na podwórze. Dlaczego nie mógł się wziąć w garść? Przecież teraz miał coś do zrobienia.

– Wygląda na to, że nie możesz zasnąć – powiedziała.

– Słucham, co mówiłaś?

Na jego czole lśnił zimny pot.

– Nic – rzuciła.

– Ale o czymś myślałaś?

Oczywiście, że myślała, ale chodziło raczej o to, co powinna powiedzieć.

– Myślałam o tym więzieniu.

– Nie ma weselszych rzeczy, o których mogłabyś myśleć?

– Zastanawiałam się, jak tam było w środku.

– Nie powinienem był o tym mówić.

– Jak tam było, jak myślisz?

– Nie wiem – przyznał. – Ale pamiętam, że jeden z więźniów opisywał to jako mrok bez słów, nienazwaną grozę, i pamiętam, że mnie to zastanowiło.

– I do czego doszedłeś?

– Chyba do niczego.

– Powinieneś znów zająć się tym śledztwem. Dobrze by ci to zrobiło. – Poczula wręcz fizycznie, że ta sugestia wprawiała go w zakłopotanie.

– Wydaje mi się, że policja sama sobie z tym poradzi – stwierdził.

– Raczej na to nie wygląda.

– Nie mogłabyś zostawić mnie na chwilę w spokoju, kochana Julio?

Pomyślała o krokach Micaeli, która wyszła z tym swoim niesłychanym zdecydowaniem.

– Dlaczego sędzia siedział w tym więzieniu?

Mięśnie jego szczęk napięły się zauważalnie.

– Dlaczego? – powtórzyła Julia.

– Podejrzewano go o kontakty z talibami.

– Jakiego rodzaju kontakty?

– Tego Magnus nie chciał mi powiedzieć.

– I ty wtedy tak po prostu się tym zadowoliliś?

– Najwyraźniej.

– Bo popadłeś w depresję, czy tak? – dopytywała dalej.

– Podejrzewam, że tak.

– Więc zajmij się tym teraz – syknęła.

Ale wtedy on tylko zamknął oczy, jakby chciał znów zapaść się w siebie, w swoje własne Prison of Darkness.

W mroku bez słów. W nienazwanej grozie. Czy to właśnie tam był on sam? Zdawał sobie sprawę, że to patetyczne i aroganckie porównywać się z więźniami poddawanych torturom. A jednak miał wrażenie, że im zazdrości.

Zazdrościł konkretnych, namacalnych okoliczności ich cierpienia: łańcuchów, zimna, bicia, muzyki, która grzmiała naprawdę, a nie tylko jak atonalny łoskot w jego głowie. Ale przede wszystkim zazdrościł im prostego zakończenia ich udręki – wolności. Mogli uwolnić się od tych cierpień, opuszczając więzienie, podczas gdy mrok był częścią jego ciała, zawsze tkwił gdzieś w głębi, na dnie spojrzenia.

– Oczywiście masz rację – zwrócił się do Julii. – Powinienem... – Ale nie dokończył. Zobaczył przed sobą rozpędzony pociąg. Pamiętał, jak jego ciało się spięło, poczuł podmuch powietrza z tunelu. Pamiętał głos w swojej głowie: „Zrób to, nie wahaj się”. Ale przypomniał sobie też coś innego: kroki, które się zbliżały, stukające zdecydowane kroki, jakby dwie złowieszcze siły zmierzały ku niemu z dwóch różnych stron.

– Pójdę do kuchni, trochę się pouczę albo coś – powiedziała Julia.

Popatrzył na nią, próbując uwolnić się od strumienia wspomnień i ponurych skojarzeń, które nałożyły się na jego siatkówkę. Silniej niż zwykle czuł, że Julia nie powinna widzieć go w takim stanie. Powinna być zajęta swoją młodością, być szczęśliwa. Zaczął szukać w myślach jakiegoś zdania, czegokolwiek.

– Jak tam twoje studia?

– Niespecjalnie – odparła.

– Dalej omawiacie renesans?

– Co?

– Czy dalej się zajmujecie renesansem?

- O matko, to rzeczywiście najważniejsze pytanie w tej chwili.
- Tak, właśnie tak – powiedział i spróbował się uśmiechnąć, zapalając lampkę do czytania. – W rzeczy samej. Może w takim razie pomożesz ojcu i podpowiesz, o co powinien zapytać?
- Powinien opowiedzieć, co robił wczoraj.
- Upił się, tak jak mówił.
- I poderwał policjantkę z Husby.
- Nikogo nie podrywałem.
- Spałeś z nią?
- Naprawdę tego nie zrobiłem.
- A może to dawna kochanka? Pamiętam, że kiedyś odwiedziła nasz dom.
- Nie, nie, ona tylko była uprzejma i mi pomogła.
- Nie zdziwiłoby mnie, jeśli to byłby bunt przeciwko babci.
- Co ty, na litość boską, mówisz?
- Czy to nie świetny sposób, żeby ją wkurzyć: związać się z jakąś tandetną laską z blokowiska? Babcia pewnie dostałaby zawału.
- Przestań, kochanie, przestań. Naprawdę cię proszę. Ale może masz rację. Powinienem popatrzeć na to śledztwo – powiedział i wyciągnął rękę po komputer na nocnym stoliku.

Kiedy jednak położył go sobie na brzuchu, sprzęt wydał mu się obcy i groźny, więc Rekke wstał z łóżka z mocnym postanowieniem, by zająć się codziennymi sprawami niczym dzielny pacjent. Dlatego poszedł do łazienki i jeszcze dzielniej oparł się pokusie, by nałykać się kolejnych tabletek.

Wziął zimny prysznic, w ramach umartwiania się. Ogolił się, wyszorował zęby, uczesał włosy – wszystko to, co w dobrych czasach było tylko źródłem irytacji, przeszkadzało mu natychmiast zająć się rzeczami, które go interesowały, teraz zdawało się serią wyczynów, małych górskich szczytów zdobywanych po kolei. Zwłaszcza kiedy na koniec zapiął guziki koszuli, włożył dzinsy, granatowy kaszmirowy pulower i poszedł do kuchni.

Planował wypić espresso, jak każdy normalny człowiek w niedzielne przedpołudnie, przeczytać poranne gazety i sprawić, by jego córka uwierzyła, że ma prawie całkiem zwyczajnego ojca.

Lucas przyjechał swoim audi i zatrąbił na nią, a Micaela zakłęła cicho. Dlaczego właściwie miała się bawić w tę szaradę? Ale on już tu był, więc kiedy usiadła obok niego z przodu, mimo wszystko mu podziękowała, jak dobra siostra. Nie mogła tylko znieść jego spojrzeń, dlatego zamknęła oczy, żeby zasygnalizować, że nie ma siły rozmawiać.

– Kto to zrobił? – zapytał, wskazując jej policzek. Nie było wątpliwości, że jest wzburzony i włączył mu się tryb nikt nie może tknąć mojej siostry i tak dalej.

A jednak Micaela miała wrażenie, że bardziej był dumny z tego, że mógł ją zgarnąć i odegrać rolę wybawcy w nieszczęściu. Miał krótko obcięte włosy, był ubrany w niebieską koszulę i czarną nylonową kurtkę. Wyglądał jak porządny spokojny chłopak, choć nadal wyczuwało się w nim podskórną agresję. Jechali przez Vasastan w stronę mostu Sankt Eriksbron.

– Hej! – zawołała Micaela. – Dokąd jedziesz? Ja chcę do domu.

– Zabiorę cię do Natali – powiedział i choć początkowo próbowała protestować, w końcu zaakceptowała tę propozycję.

Natali była od roku jego dziewczyną, wynajmowała mieszkanie przy Kungsholmstorg, gdzie Lucas też pomieszkiwał, kiedy nie kręcił się po Husby czy Akalli. Jak na prawdziwego dżentelmena przystało, otworzył jej drzwi auta i pomógł wejść po schodach do windy. Natali czekała już na nich w drzwiach z przejętą miną.

Słodka niczym lalka, ubrana w kwiecistą sukienkę, która byłaby bardziej odpowiednia na letni dzień, jak zawsze wyglądała wręcz szokująco szwedzko i nienagannie, ze swoimi blond włosami i miłym uśmiechem. W pewien sposób stanowiła element wspinaczki Lucasa po szczeblach drabiny społecznej.

– Ojej, biedactwo – powiedziała Natali. – Co się stało?

– Szukała przygód na Östermalmie – wyjaśnił Lucas i umieścił Micaelę na sofie obok balkonu. Przykrył ją kocem, przyniósł szklankę wody i dwie tabletki przeciwbólowe, których nie wzięła. Potem usiadł naprzeciwko na czerwonym fotelu. Widać było, że z trudem ukrywał zaniepokojenie. Kręcił na palcu brelok z pękiem kluczy.

Z kuchni dobiegała piosenka *You Raise Me Up* Josha Grobana.

– A więc nie chcesz jechać na pogotowie, żeby ktoś na to popatrzył? – zapytał.

– Nie.

– I nie chcesz też, żebym z kimś porozmawiał?

Micaela spojrzała na niego zaniepokojona.

– O Jezu, nie.

– Dobrze – powiedział. – W takim razie słucham, siostra.

Jakby rozumiał to lepiej od niej samej, bo przecież nie chodziło jej tylko o to, żeby ją ratować, kiedy stała pod ścianą z komórką w ręce. Chciała z kimś porozmawiać, może zająć się pracą.

– Natknęłam się wczoraj na Maria Costę – powiedziała Micaela.

Zobaczyła nagłe ożywienie w oczach Lucasa i pomyślała, że brat pewnie zastanawia się, czy to nie Mario posiniaczył jej twarz. To byłby przeciwnik na poziomie.

– A co ten miał do powiedzenia?

– Był pijany.

– Czy zawodowi piłkarze nie powinni unikać alkoholu?

– Nie sądzę, żeby się tym przejmował.

– Spieprzy ten kontrakt z Marsylią. Mogę się założyć.

– Pytał o Kabira – mówiła dalej Micaela.

Lucas przestał kręcić kluczami.

– Wróciłaś do śledztwa? – zapytał.

– To śledztwo właściwie już padło.

– A więc nie wróciłaś.

– Po prostu znów się tym zainteresowałam. Mówiłeś, że ludzie gadali o Kabirze, że się czegoś bał.

Lucas popatrzył w stronę kuchni.

– Słyszałeś coś szczególnego? – ciągnęła Micaela.

Zastanawiał się chwilę nad jej pytaniem.

– Mówili, że się boi, że jacyś ludzie mogą go odszukać po tym reportażu w telewizji.

Micaela podjęła wysiłek, żeby usiąść, ale Lucas delikatnie przytrzymał ją w pozycji leżącej i poprawił koc.

– Ostrożnie, siostrzyczko. Żadnych gwałtownych ruchów.

– Kto miałby go odszukać?

Popatrzył na nią z tym swoim krzywym uśmiechem, który zdawał się mówić, że on wie coś, o czym nikt inny nie ma pojęcia, ale równie dobrze mógł służyć utrzymaniu przewagi, sprawiać, że ludzie czuli się niepewnie.

– Możesz zapytać tę dziennikarkę, Tove, która zrobiła reportaż.

– Tove Lehmann. Przesłuchiwana kilka razy.

– Może ma coś więcej do powiedzenia. Ktoś mówił, że twoi koledzy jej nie podpasowali.

– Okej – powiedziała Micaela. – Może to zrobię w takim razie.

– Wyglądasz jak kupa gówna.

– Czuję się też raczej do dupy – przyznała, i to była prawda.

Napłynęła nowa fala mdłości. Micaela popatrzyła w górę na Lucasa, który odwzajemnił jej spojrzenie z czymś w rodzaju miłości, a wtedy zamknęła oczy i odleciała.

SZESNAŚCIE

Lucas przyglądał się jej bladej i posiniaczonej twarzy, myśląc: „Prawdziwa z niej fajterka. Nieważne, ile ciosów dostanie. Zaciska zęby i idzie dalej, nie skarżąc się ani słowem”. To prawda, że czasem była z niej niezła suka. Ale właściwie zawsze był z niej dumny, wprost uwielbiał chodzić z nią do szkoły na wywiadówki. Nauczyciele rozpromieniali się na jej widok, co było całkowicie zrozumiałe. Wszystko pojmowała w lot, a ile rzeczy była w stanie zrobić! To było jak magia. Dostawała jakieś zadanie i rachciach, wszystko było załatwione. Przeważnie nie trzeba było nawet pytać. To się po prostu działo samo.

Jej oczy poruszały się niespokojnie pod powiekami. Zarys szczęki stał się wyraźniejszy, jak zawsze, kiedy była zdenerwowana. „Co się stało?” – pomyślał. „Kto cię skrzywdził?”

– Micaela – szepnął, głaszcząc ją po włosach i po zdrowym policzku.

Chciał zobaczyć w odpowiedzi jej uśmiech, potwierdzenie swojej życzliwości. Ale ona tylko skrzywiła się przez sen, a wtedy Lucas znów pomyślał, że ostatnio była taka dziwna i chłodna, sztywniała na jego widok. Jeszcze raz przypomniał sobie tamten letni dzień na placu, kiedy Micaela i Vanessa skończyły szkołę średnią. Wtedy też długo jej przedtem nie widział. Miała na sobie białą sukienkę, którą kupił jej na maturę, w ręce trzymała pomarańczę – rzucała ją do góry i znów łapała. „Ona promienieje” – pomyślał i z nadzieją zrobił kilka kroków w jej stronę. Ale kiedy Micaela się odwróciła, nie patrzyła na niego tak, jak się spodziewał. Lekkość i radosny wyraz twarzy zniknęły.

– Co jest? – zapytał.

– Zostanę policjantką – powiedziała i poszła do metra krokiem, w którym było widać jakąś nową przekorę.

Przez ostatnie miesiące często wracał myślami do tamtego wydarzenia. Wiedział, że sprawa z Franssonem i resztą tych palantów z policji to jedno, ale jeśli jego własna siostra miałyby zwrócić się przeciwko niemu, wtedy nie miałby szans. Uśmiechnął się do tej myśli, jakby to zwiększało jeszcze jego szacunek dla niej.

– Fajterka – powiedział i popatrzył na jej dłonie spoczywające na brzuchu przykrytym szarym kocem.

Pogłaskał ją też po poobijanym policzku, potem niżej – po szyi, jej szczupłej szyi, która stanowiła taki kontrast dla piersi i bioder. Nagle poczuł chęć, żeby nacisnąć, może lekko, ostrzegawczo, albo mocniej, żeby wymazać tę samodzielność, którą odkrył o wiele za późno.

Julia parzyła kolejne cappuccino w kuchni, wspominając tamten wrześnieowy dzień, tuż przed ostatnim wyjazdem ojca na Stanforda.

Właśnie zaczęła studiować historię sztuki na Uniwersytecie Sztokholmskim, ale dalej mieszkała w domu w Djursholmie. Między jej rodzicami – czy raczej po stronie mamy, która nie była w stanie znieść obojętności taty wobec wszystkiego, co było dla niej ważne: przyjęcia, dom, cała ta elegancja fasada – panowała napięta atmosfera. „Znów się tak zachowujesz, przez ciebie wszystko zmierza do katastrofy, a ja już nie daję rady!” – krzyczała z piętra tamtego ranka, a tata odpowiadał: „Nie, nie, przepraszam, wcale nie. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, kochanie?”.

W domu zagościł nastrój niepokoju i wkrótce pojawił się z wizytą tamten facet imieniem Charles, który wyglądał jak wysoki generał z białą, starannie przystrzyżoną brodą. Zawsze miała wrażenie, że Charles podziwiał jej ojca, ale wtedy w ich rozmowie było dużo irytacji, choć mama na różne sposoby próbowała rozluźnić atmosferę. Tata był nachmurzony i zabrał Charlesa do swojego biura na piętrze. Kiedy schodzili, Julia usłyszała ich rozmowę.

– Oczywiście rozumiem cię, Hans. Ale nie zapominaj, że ci faceci to bestie.

– Wiesz, co jest najgorsze w bestiach? – odparł jej ojciec. – Że robią też bestie z nas.

To oczywiście nie było nic specjalnego, tylko jedna z fraz, jakie czasami wyrzucał z siebie. Ale kiedy potem wszystko się popsuło i tatę wywalili ze Stanforda i ze Stanów, Julia zastanawiała się, czy te słowa to nie był początek jego upadku. Choć właściwie nigdy nie rozumiała go do końca. Na przykład teraz wstał z łóżka, ogarnął się, jakby chciał pokazać, że życie mimo wszystko toczy się dalej. Ale potem tylko opadł na krzesło przy kuchennym stole, zastygł w swoim kataleptycznym transie, jak to nazywała mama, i Julia znów miała ochotę tłuc pięściami w jego plecy. Zamiast tego podeszła do niego z filiżanką cappuccino i położyła mu dłoń na karku.

– O czym teraz myślisz?

Drgnął, jakby znów obudził się do życia.

– Sam nie wiem – rzucił.

– Uważam, że naprawdę powinieneś zadzwonić do Magnusa i przycisnąć go w sprawie tego sędziego.

– On nie będzie chciał rozmawiać na ten temat.

Julia spojrzała wyzywająco na ojca.

– W głowie mi się nie mieści, że tak mówisz.

– Dlaczego?

– Bo jesteś przecież słynnym ekspertem od przesłuchań. Potrafiłbyś wyciągnąć informacje nawet od ściany.

Skierował na nią spojrzenie.

– Ja, który nawet nie mogę zapytać swojej córki o jej chłopaka?

Słyszała, że starał się, żeby to zabrzmiało żartobliwie i czule. Ale te starania były zbyt wyraźne.

– To zadzwoń do niego i tylko się z nim nieco podrażnij – nie odpuszczaj Julia. – Może to cię trochę rozkręci.

Uśmiechnął się bez słowa, jakby uznał, że ten pomysł mimo wszystko nie był wcale zły. Albo jak gdyby rzeczywiście zamierzał zrobić to, co mu radziła, skoro był beznadziejnym ludzkim wrakiem.

Kiedy Micaela się obudziła, było wpół do drugiej po południu, a tam, gdzie przedtem siedział Lucas i się do niej uśmiechał, teraz była Natali. Podczas gdy Micaela spała, dziewczyna jej brata umalowała się, nałożyła szminkę i tusz do rzęs, zmieniła też sukienkę na ciemniejszą i bardziej elegancką. Sprawiała wrażenie, jakby pozowała do zdjęcia. Siedziała z nogami skrzyżowanymi po turecku i lekko skreconym tułowiem. Bez wątpienia miała figurę godną pozazdroszczenia.

– Cześć – powiedziała. – Jak się czujesz?

Micaela rozejrzała się po pokoju, jakby potrzebowała czasu, żeby odzyskać orientację i zrozumieć, dlaczego ta sytuacja jest taka dziwna. Za oknem ciemne chmury przesuwaly się po niebie. Na balkonie siedziały gołębie, nieruchome, jakby zastygłe w posągi.

– W porządku – odpowiedziała.

Ból głowy rozlał się po czole.

– Ale dostałaś uderzenie.

– To prawda.

– Co się stało?

– Upadłam. Gdzie jest Lucas?

– Musiał gdzieś iść. Ale poważnie, martwimy się o ciebie.

Micaela spojrzała na Natali jeszcze raz. Teraz odniosła wrażenie, że dziewczyna jest zdenerwowana.

– Wiesz, że zawsze masz w nas przyjaciół – ciągnęła Natali. – Jeśli coś się stanie, zawsze możesz tu przyjść. Lucas tęskni za tobą.

– Wcale nie musi – odparła Micaela. – Przecież tu jestem.

– Tylko że już od dawna nie widzieliśmy się wszyscy razem. Pomyślałam sobie, że może słyszałaś jakieś historie albo coś w tym rodzaju.

Micaela usiadła na sofie.

– W mojej pracy, o to chodzi?

– Miałam na myśli ogólnie.

Micaela pomyślała o pistolecie, który Lucas wyciągnął w lesie z za pasa.

– Myślicie, że co mogłam usłyszeć? – zapytała.

– Ech – rzuciła Natali zakłopotana. – Marzyłam o tym, że zostaniemy przyjaciółkami. Trochę jak siostry.

„No dalej” – pomyślała Micaela. „Dawaj”.

– Lucas nigdy mi nie opowiada o waszym dzieciństwie – ciągnęła Natali. – Ale naprawdę chciałabym się czegoś dowiedzieć. Ty i Lucas byliście przecież bardzo blisko. Zajmowaliście się wszystkim i tak dalej.

– Mogę ci kiedyś opowiedzieć – powiedziała Micaela i wstała z sofy, nieco demonstracyjnie czy nawet z irytacją. Skierowała się do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku i móc stąd wyjść.

Natali podążyła za nią jak zagubiony psiak, w przedpokoju złapała Micaelę za rękę. Ich oczy spotkały się z nieoczekiwaną intensywnością.

– Wiesz, co Lucas często mówi? – zapytała.

– Nie.

– Mówi, że ty zawsze byłaś ta porządna, a on ciągle pakował się w kłopoty i robił masę głupstw, ale właściwie powinno być odwrotnie.

– Dlaczego powinno tak być?

– Bo on pragnie tylko porządku i spokoju, podczas gdy ty w głębi duszy zawsze chciałaś łamać reguły i wywoływać problemy. Mówi, że jesteś jak wasz ojciec. Tak naprawdę chcesz robić na przekór i protestować – mówiła dalej Natali.

Micaela spróbowała mimo wszystko przemyśleć te słowa. Przypomniała sobie pisane przez ojca karteczki o obowiązku stawania przeciw niesprawiedliwości i podobnych rzeczach.

– Pieprzy głupoty – odparła. – Jestem porządną dziewczynką.

– Wydaje mi się... – zaczęła Natali.

Ale Micaela poklepała ją przyjaźnie po głowie i weszła do łazienki. Skropiła twarz zimną wodą i spróbowała zamaskować siniaki za pomocą kosmetyków Natali. Potem wyszła i objęła ją z przesadną serdecznością, jakby rzeczywiście były przyjaciółkami albo siostrami.

W drodze do domu czuła, że marznie, było jej niedobrze i starała się w miarę możliwości unikać spojrzeń mijanych ludzi. Na Hantverkargatan znów odrzuciła połączenie od Vanessy i zadzwoniła do Jonasa Beijera. Zaskoczyła ją radość w jego głosie.

Zadzwonił telefon. To znowu była mama, dzisiaj już trzeci raz, więc nie zamierzał odbierać. Przecież tu i tak nie o niego chodziło, tego mniej kochanego. Zawsze tylko o Hansa, a teraz, kiedy Hans miał nagły nawrót depresji, w rodzinie panował stan wyjątkowy. Nic innego nie zasługiwało na uwagę.

Trzeba było ratować najukochańszego syna. Magnus był już tym śmiertelnie zmęczony. Poszedł do kuchni i choć jeszcze nie było szczególnie późno, nalał sobie piwa po brzegi, usiadł na czerwonej sofie z widokiem na kościół Oskara i wychylił kufel. Kiedy alkohol uderzył mu do głowy, poczuł się trochę lepiej. Nawet uśmiechnął się na myśl o tej całej aferze. Nie żeby czuł *schadenfreude*, właściwie nie.

Sam był trochę winny takiego rozwoju sytuacji. A jednak miał ochotę powiedzieć: „A nie mówiłem?”. To nie mogło się skończyć inaczej, tylko źle. Nie po takim początku. Cały zespół analityków był jak zaczarowany i dał Hansowi o wiele za dużo. Nie mieli pojęcia, że dla niego to było coś więcej, niż po prostu wykonywanie zleconej roboty, i że nie potrafił potem trzymać gęby na kłódkę. Zawsze mógł wyskoczyć ze swoimi prawdami, a tym razem informacje, którymi dysponował, nie były błahe.

Dlaczego nie potrafił usiedzieć cicho?

Kiedy jednak pojawiły się pierwsze ostrzeżenia, Hans tylko wzruszał ramionami i był już myślami przy innych zleceniach. Wtedy wszyscy się do niego zwracali. Ale oczywiście potem jego mania minęła, przyszły paraliż i depresja. Właśnie wtedy, wiedzieli o tym, rozmawiał z Maureen Hamilton

z „The Washington Post”. Nikt właściwie nie sądził, że zdradził coś ważnego, bo gazeta by to opublikowała. Lecz narastał strach, że zacznie mówić, niewykluczone, że nawet sam Magnus przyczynił się do tego zaniepokojenia. Szepnął Charlesowi Brucknerowi kilka słów do ucha, a potem oni rzucili się na Hansa z całą swoją paranoją, z całą bezwzględnością. Właściwie to nic dziwnego, że rozłożyło go to na łopatki.

Magnus spojrział na zegarek. Była niedziela. Czekał na telefon francuskiego ministra spraw zagranicznych w sprawie koordynacji działań antyterrorystycznych. Miał zasadę, że zawsze lepiej, jeśli to on prowadzi takiego rodzaju rozmowy, a nie Kleeberger. Może powinien wziąć jeszcze jedno piwo? Lubił być lekko wstawiony, kiedy rozmawiał ze znajomymi dygnitarzami. Wtedy swobodniej mu się myślało. Właściwie dlaczego nie, szczerze powiedziawszy. Poszedł do kuchni. Wtedy telefon znów zadzwonił. Czyżby to już *monsieur* Chevalier? Nie, nie, to Hans, jego królewska mość we własnej osobie. Magnus od razu rozpoznał po tym, jak brat wciągnął powietrze: Hans nie był może zadowolony, ale też nie był całkiem załamany.

– Brzmisz trochę lepiej – powiedział.

– A ty za to piłeś.

– Wcale nie. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Jamal Kabir, który został zamordowany w lesie Grimsta. Jest coś, czego mi nie powiedziałaś o jego postępowaniu azyłowym?

Magnus zeszywniał i przejechał ręką po włosach. „Bądź ostrożny” – pomyślał.

– Powiedziałem ci o tym wszystko – odparł.

– To znaczy, że nie jesteś tak wszechwiedzący, jak zawsze sobie wyobrażałem. Coś w tej historii się nie zgadza.

– Dlaczego coś miałoby się nie zgadzać?

– Jest w niej coś wstydliwego, prawda? Jakaś forma umowy czy porozumienia z CIA?

– Nie zamierzam o tym z tobą dyskutować, a już na pewno nie przez niezabezpieczoną linię telefoniczną.

- Chyba nie są tacy bezczelni, żeby podsłuchiwać rozmowy ludzi?
 - Bardzo zabawne.
 - To drugie czy trzecie piwo?
 - Mama mówi, że nie odbierasz, kiedy dzwoni. Jest bardzo zaniepokojona.
 - Biedaczka.
 - Myśli, że zamierzasz skoczyć z mostu albo zrobić coś podobnego. Zaczęła znów głądzić o twoim załamaniu w Helsinkach.
 - Jeśli o to chodzi, może być całkiem spokojna.
 - Jeśli o co chodzi?
 - O cokolwiek.
 - A więc zacząłeś znów grzebać w tej starej historii? Nie masz nic innego do roboty?
 - Chciałbym też porozmawiać z samym maestro. Możesz nas umówić.
 - On nie wie więcej niż ja.
 - Powiedziałbym, że nawet mniej. Ale on ma bardziej elastyczną osobowość.
 - Nie możesz tak po prostu dostać cholernej audiencji u Kleebergera. Poza tym przysięgam ci, tam nic nie ma, w każdym razie nie na tym poziomie, jakiego się spodziewasz. To tylko choroba przez ciebie przemawia.
- Hans nie odzywał się przez chwilę i Magnus pomyślał, że to dobry znak.
- Dobrze – powiedział w końcu jego brat. – W takim razie dokładam do tego moją dwubiegunówkę jako zmienną równania. Ale może...
 - Co takiego?
 - Wy też powinniście zrobić to samo. Spójrzeć na mnie jak na czynnik ryzyka.
 - Do diabła, Hans.
 - Dziękuję, braciszku.
- Magnus rzucił słuchawką, klnąc głośno, po czym wypił szybko drugie piwo. Jego dobry humor się rozwiął i właśnie teraz, przed tą ważną rozmo-

wą z *monsieur* Chevalierem. Niech cię diabli wezmą, Hans! A Kabir? Dlaczego z tylu różnych spraw zajmujesz się akurat Kabirem? Dopiero co brzmiałeś jak półżywy. A teraz... co się stało?

Dowie się tego, bez wątpienia. Przez chwilę stał z telefonem w ręce, żeby zadzwonić do Kleebergera, ale zamiast tego zdecydował się udać do samego źródła.

– Nie próbuj ze mną pogrywać, Hans – wymamrotał. – Nie próbuj pogrywać.

Jonas Beijer właśnie wrócił ze stajni z Samuelem, kiedy zadzwoniła Micaela.

– Cześć! – zawołał uradowany i przypomniał sobie, że myślał o niej w nocy. Choć oczywiście nie było to coś, do czego mógłby się przyznać.

Już miał zapytać, jak się miewa, kiedy zwrócił uwagę, że miała dziwny głos. Potem powiedziała coś jeszcze dziwniejszego. Chyba jednak się przesłyszał. Postawił torbę w kuchni i powiedział Samuelowi, że ma ważny telefon z pracy. Poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Amerykanie torturowali Kabira.

– Nie, nie – zaprotestował. – To byli talibowie, przecież wiesz.

– To kłamstwo – odparła. – Możemy się spotkać?

Chętnie by się z nią zobaczył, przecież o tym marzył. Ale teraz czuł, że nie jest w stanie myśleć. Co ona takiego mówiła? Czyżby to agenci z USA skuli Kabira łańcuchami i torturowali?

– Amerykanie nie torturują ludzi w ten sposób – powiedział.

– Możemy się spotkać w tej kawiarni koło twojego domu?

– A czy ty nie jesteś przypadkiem pijana czy coś w tym rodzaju? Brzmisz jak...

– Zostaliśmy wprowadzeni w błąd – przerwała mu, a on miał ochotę zrużać ją, żeby przestała gadać bzdury.

Równocześnie w jego głowie działało się coś innego. Część jego umysłu nie chciała zbagatelizować słów Micaeli. Była w tym jakaś logika. Amerykanie w Kabulu byli tak cholernie śliscy, właśnie jakby ukrywali coś o decydującym znaczeniu.

– Kto tak twierdzi? – zapytał.

– MSZ to potwierdza, a Falkegren wiedział o wszystkim od zeszłego lata – wyjaśniła Micaela.

Jonas nic nie odpowiedział, tego było po prostu za dużo. Nie chciało mu się to pomieścić w głowie, powiedział tylko, że chętnie spotka się z nią za pół godziny tam gdzie zwykle.

„Chciałbym też porozmawiać z samym maestro. Możesz nas umówić”.

Jego tłumaczka Maria Ekselius tłumaczyła mu rozmowę, a Charles Bruckner mruzczał sam do siebie. To była niedziela, spocił się w ciuchach do biegania i czuł, że grozi mu skurcz łydki. Właściwie nie powinien tu wcale przychodzić. Ale znów był nadmiernie ambitny na treningu („Ten twój sposób na lęk przed śmiercią” – jak mówiła jego żona) i nie zadowolił się tylko rundą wokół Djurgården. Wpadł też do pracy i pakował na siłowni, kiedy mu przerwano.

Tak jak większość agentów z jego pokolenia – niedawno skończył pięćdziesiąt osiem lat – Charles został wyszkolony do walki w czasach zimnej wojny. Wcześniej znalazł miejsce w strukturach kontrwywiadu, został wysłany do Berlina, potem do Moskwy. Ale po upadku komunizmu jak wielu innych został na lodzie, więc z braku lepszej alternatywy postarał się o przyjęcie do wydziału terroryzmu bliskowschodniego i wylądował w Chartumie w Sudanie. Nie czuł się właściwą osobą na właściwym miejscu. Jednak po jedenastym września mimo wszystko dziękował swojej szczęśliwej gwiazdce. W Chartumie mieszkał ukrywający się Saudyjczyk, który walczył w Afganistanie i o którym Charles dość dużo słyszał. Mężczyzna nazywał się Osama bin Laden i w krótkim czasie Charles zasłynął jako posiadacz unikalnej insiderskiej wiedzy.

Wspinał się coraz wyżej i wciągał do pracy szereg ekspertów. A jednak zaledwie kilka lat później siedział na placówce w Sztokholmie jak na zesłaniu. Choć nie dlatego, że popełnił jakieś błędy. To żona miała już dość jego godzin pracy i nagłych wyjazdów na akcje, oświadczyła więc, że teraz przyszła kolej na nią, ona decyduje. Dlatego przenieśli się do Sztokholmu, gdzie Charlotte dostała gościnną profesurę w sztokholmskiej Wyższej Szkole Architektury, i zdarzało się nieraz, że przeklinał tę decyzję. Ale przynajmniej miał dość czasu na swoje treningi, a teraz dodatkowo zanosilo się na to, że będzie też trochę emocji.

Peter McDonnell z jego dawnej grupy z Langley zadzwonił i powiedział, że przechwycili rozmowę od „twojego profesora, tego twojego zaufanego geniusza”. Charles zrozumiał ten przytyk, po czym pobiegł do swojej tłumaczki Marii, żeby odsłuchać rozmowę, a teraz patrzył na nią pytająco i mamrotał, że to dziwne. Szczerze mówiąc, było to wręcz niezrozumiałe. Nie dalej jak wczoraj wszyscy byli przekonani, że podsłuchiwanie Rekkego nie ma sensu. Najwyraźniej nie stanowił już zagrożenia. Praktycznie nie dotykał komputera, przez telefon odpowiadał monosylabami, sprawiał wrażenie wyczerpanego, w stanie suicydalnym. Aż tu nagle chce się spotykać z ministrem spraw zagranicznych.

– Ale dlaczego, do jasnej cholery?! – wykrzyknął Charles.

– To nie musi być nic szczególnego. Chyba mają dość bliski kontakt? – odparła Maria defensywnie, jakby poczuła się oskarżana.

– Już nie – zaprzeczył Charles, włożył bluzę treningową i wyszedł na korytarz, nawet się nie zegnając.

Po przejściu zaledwie kilku metrów zmienił zdanie i pomyślał, czy nie powinien wrócić i włączyć Marii w to wszystko. W końcu to ona знаła język. Ale jednak nie, uznał i ruszył dalej. Musiał się zastanowić i ustalić, na ile poważna jest ta sytuacja. Mogła się przerodzić w prawdziwy kryzys, gdyby sprawy się źle potoczyły.

Associated Press opublikowała dłuższy reportaż na temat ich więzienia w Bagdadzie, Abu Ghraib. Artykuł nie wzbudził większego zainteresowania. Ludzie domyślali się, że w przypadku tych facetów normalne techniki

przesłuchań nic nie dają. Ale oczywiste było, że w obiegu znalazły się niepokojące informacje i jeśli Rekke ze swoją wiedzą i umiejętnością jasnego formułowania myśli miałaby zacząć gadać teraz, kiedy dziennikarze zwie-trzyli krew, byłoby to fatalne. W gruncie rzeczy jednak Charles w to nie wierzył. Mimo wszystko Hans był człowiekiem honoru, Bruckner nadal ce-nił sobie współpracę z nim.

„*Claritas*, Charlesie, nie widzisz, do czego to prowadzi?”

Uśmiechnął się na to wspomnienie, poszedł szybko do garażu i kliknię-ciem otworzył swojego forda, czarny samochód dyplomatyczny. Auto może trochę za bardzo zwracało uwagę, jak na jego gust, ale to miało też dobre strony: budziło pewien szacunek. Charles usiadł za kierownicą i właśnie wyjeżdżał z terenu ambasady, kiedy zadzwonił telefon. Widocznie nie tyl-ko jemu się śpieszyło.

– Magnus – powiedział do słuchawki. – Co tam u ciebie?

– Jakoś żyje się po trochu. A jak się miewa Charlotte?

– Wspaniale. To tylko ja tęsknię za domem i ciepłem.

– Zaraz przyjdzie wiosna. Sztokholm jest przyjemny wiosną.

– Dopiero w czerwcu robi się znośnie, moim zdaniem – odparł Charles. Wyjechał na Gärdesgatan, zastanawiając się w duchu, ile jeszcze potrwa, zanim Magnus przejdzie do konkretów.

– Trochę się martwię o mojego brata – powiedział ten w końcu.

A więc wcale nie tak długo.

– Doprawdy, a to dlaczego? – zapytał niewinnie Charles.

– Grzebie znowu w tej starej sprawie Kabira, a ja nie chcę, żeby wpako-wał się w jakieś kłopoty.

– Rodzina zawsze na pierwszym miejscu, prawda? – odparł Charles, nie-co sarkastycznie. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Pomyślałem, że mógłbyś mu przypomnieć, że to nie jest najlepszy po-mysł, biorąc pod uwagę sytuację prawną.

– A nie lepiej, żebyś sam mu to powiedział?

– Uznałem, że powinniśmy wziąć go w dwa ognie.

Charles wyjechał na Oxenstiernsgatan, rozmyślając, jakie ma możliwości działania. Może mógłby nawet wybrać się z wizytą?

– Co go znowu ruszyło? – zapytał.

– Musiał coś zobaczyć. Zbadam to jeszcze.

– A czego szuka?

– Po prostu chce wiedzieć, jak sędzę – powiedział Magnus. – Nie znosi nierozwiązanych spraw. To dla niego coś jak swędząca wysypka.

– Wiem o tym – przyznał Charles i postanowił zajrzeć tam na chwilę już teraz. Może niekoniecznie, aby porozmawiać, raczej po to, żeby dyskretnie zaznaczyć swoją obecność. Dlatego zawrócił i ruszył w stronę Grevgatan, myśląc o błękitnych oczach profesora, które zawsze widziały więcej, niż powinny, zarówno w tym świecie, jak i czasami w innych, alternatywnych wszechświatach.

Oczywiście Micaela nie powinna była tu przychodzić. Powinna pojechać do domu i położyć się spać, żeby się pozbyć bólu głowy. Ale teraz siedziała w ulubionej kawiarni Jonasa na Mariatorget i patrzyła na niego, mrużąc zmęczone oczy.

– Zawiozę cię do szpitala – zaproponował. – Z każdą sekundą robisz się coraz bardziej sina.

– Nic mi nie jest – odparła.

Jonas sprawiał wrażenie zakłopotanego. Pachniał koźmi. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i biały T-shirt, jakby chciał się wystylizować na rockmana. Wyglądał też na niewyspanego.

– Musisz mi przynajmniej powiedzieć, co się stało. Mam nadzieję, że nikt ci nie przyłożył?

– Byłam tylko niezdarna.

– Ale idziesz prosto z imprezy, tak?

Micaela popatrzyła nerwowo na swoją spódnicę, cuchnącą piwem bluzkę i poczuła, że te cholerne ciuchy nie pasowały nawet do Spy Baru.

– Mniej więcej – przyznała i zapragnęła schować się w swojej bluzie XL jak w pracy.

On chyba to zauważył. Położył rękę na jej dłoni i wymamrotał, że też powinien częściej wychodzić wieczorem. Ale potem spowaźniał.

– I wtedy potknęłaś się o sensacyjne odkrycie.

Micaela cofnęła dłoń.

– Można tak powiedzieć.

– A jak do tego doszło?

– Tak się po prostu złożyło.

– Na litość boską, Micaelo. Czy nie słyszysz, jak to brzmi?

Słyszała i zastanawiała się, ile może zdradzić.

– Ale ty nie byłeś chyba aż tak cholernie zszokowany tą informacją?

Potrząsnął głową.

– Naprawdę byłem w szoku. – Tu zrobił krótką przerwę. – Tylko nie mogę uwierzyć, że oni torturują ludzi jak jakieś średniowieczne...

– CIA zmieniła swoje metody przesłuchań po jedenastym września – przerwała mu Micaela.

– Gdzieś o tym czytałem. Ale, do kurwy nędzy, trzymać ludzi w całkowitej ciemności i zostawiać, żeby zamarзли?!

– To podobno wymknęło się spod kontroli, niepostrzeżenie.

– Nie wiem – rzucił Jonas – Sam nie wiem. Zresztą dlaczego Falkegren miałby to przed nami ukrywać?

– Musiał mieć swoje powody.

Jonas jeszcze mocniej potrząsnął głową. Za oknem na Sankt Paulsgatan stała śmieciarka i ładowała zawartość pojemników.

– Ale dobrze, w porządku – stwierdził. – W sumie to nie brzmi tak całkiem od czapy.

Micaela przyglądała się śmieciarce. Czuła mdłości.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała.

– Bo wszystko szło jak po grudzie. – Umilkł, jakby rozważał, ile może powiedzieć.

Ale Micaela ani przez sekundę nie wątpiła, że chce mówić. Było widać, że za bardzo go dręczy poczucie winy, żeby miał nie puścić pary.

– Dlaczego?

– Nie mieliśmy powodów, żeby wątpić, że Kabir był torturowany przez talibów. Miał odpowiednie papiery, a Urząd do spraw Migracji uznawał je za potwierdzone. Ale przedstawiciele Amerykanów w Kabulu, z którymi rozmawialiśmy, wypowiadali się bardzo ogólnikowo i nie dostarczyli nam żadnych konkretnych danych. Zwróciłem się więc do lokalnej policji, lecz i tu kontakty były niewiele lepsze, choć w końcu przefaksowali nam dokument, który postawił wszystko na głowie.

– Co w nim było?

– Że Kabir od czasu do czasu pracował dla talibów. Był luźno związany z jednym z ich ministerstw.

Micaela wpatrywała się w niego zaskoczona.

– Z jakim ministerstwem?

– Ma całkiem popieprzoną nazwę. Ministerstwo promowania cnót i zapobiegania występkom.

– Co dla nich robił?

– Najwyraźniej atakował ludzi łamiących reguły ustalone przez talibów, niektóre z nich w każdym razie.

– A miał być bohaterem ludu.

– Urząd do spraw Migracji spieprzył swoją robotę.

– My spieprzyliśmy swoją robotę.

– Może tak – mówił dalej Jonas, rozglądając się po kawiarni. – Choć właściwie nasz obraz jego osoby wcale nie był taki nieprawdziwy. Kabir był bardzo przedsiębiorczy i prawie wszyscy mówili o nim dobrze. Tylko że w tym wszystkim coś się nie zgadzało. Wielu twierdziło, że on nienawidził reżimu talibów. A jednak był blisko zaprzyjaźniony z mułłą Zakarią, wiesz, jednym z przywódców.

– Tym, co go zastrzelili w Kopenhadze?

– Właśnie tak. Oczywiście sprawdzaliśmy, czy mieli jeszcze ze sobą kontakt po upadku reżimu. Ale i tak najciekawszy jest atak szału, w który wpadł kiedyś Kabir. Znasz te wszystkie chore prawa, jakie stworzył reżim. Nie wolno było nic robić: czytać książek, oglądać filmów czy telewizji, słuchać ani grać muzyki, nawet trzymać w domu kanarka, a kobiety... Na pewno wiesz o tym. Zamknięto je w domach i odebrano im wszystkie prawa. Myśleliśmy, że on był przeciwny temu szaleństwu, ale wygląda na to, że dał się jednak wciągnąć, więc zastanawialiśmy się, czy nie uda nam się czegoś znaleźć. Może popełnił jakiś czyn, za który ktoś chciał się zemścić.

– I nie znaleźliście niczego?

– Coś tam znaleźliśmy, nic poważnego, przeważnie wandalizm, tak to można określić. Ale mimo wszystko to jest podejrzane. Wiesz, wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku talibowie zaczęli wielkie prześladowania muzyków, głównie tych wykształconych przez Rosjan podczas okupacji radzieckiej w latach osiemdziesiątych.

– Okej – powiedziała Micaela.

– Uważali, że muzyka prowadzi do zachowań niemoralnych. Instrumenty muzyczne, kasety i płyty gramofonowe były niszczone już od pierwszego dnia po przejęciu władzy przez talibów.

– Wiem – przyznała.

– I choć muzycy w ogóle byli postrzegani jako przestępcy, to najgorzej działało się tym, co grali zachodnią muzykę klasyczną i współpracowali z komunistami, bezbożnymi wrogami muzułmanów. Wielu z nich zaginęło albo zostało zamordowanych podczas tamtej pierwszej wiosny.

Micaela nachyliła się w jego stronę, chcąc strząsnąć z siebie ból głowy i mdłości.

– Chcesz powiedzieć, że Kabir miałby...

– Nie, nie, nie to mam na myśli. Nie mamy żadnych wskazówek, że popełnił jakąś zbrodnię.

– Ale jednak...

– Rozbijał instrumenty, między innymi klarnet i skrzypce. Zachowywał się, jakby wpadł w szal.

– To brzmi bardzo dziwnie – stwierdziła Micaela.

– Tak, trochę tak – przyznał Jonas. – Ale to do niczego nas nie doprowadziło.

Micaela mrugała powiekami, starając się utrzymać jasność myśli, ale ból głowy tylko się nasilał. Kiedy popatrzyła na śmieciarkę, jej kontury zdawały się rozmywać, a za chwilę wyostrzać.

– Nie masz żadnego nazwiska? – zapytała. – Kogoś, do kogo mogłabym zadzwonić?

Poczuła czyjąś dłoń na karku i zobaczyła przed sobą zatroskaną twarz Jonasa.

– Wiesz co – powiedział. – Zawiozę cię do szpitala.

– Nie, nie. Pytałam o nazwisko.

– Nie zaczynaj w tym grzebać. Tylko wkurzysz Franssona.

– Nazwisko.

– Emma Gulwal – poddał się w końcu. – Była jedną z osób zajmujących się muzyką w Kabulu, które atakował Kabir. Rozwalił jej klarnet i zachowywał się jak obłąkany. Gulwal mieszka teraz w Berlinie. Znajdziesz ją przez informację międzynarodową. Ale proszę cię, nie rób na razie niczego. Jeśli to, co mówisz o CIA, to prawda, obiecuję, że spróbuję cię znów wkręcić do śledztwa.

– W porządku – powiedziała Micaela, zdjęła jego dłoń ze swojego karku i zapisała nazwisko na serwetce.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– No dobra – odezwał się wreszcie Jonas. – Nie uda mi się zabrać cię do szpitala. Ale mogę cię zapytać o inną rzecz: czy to nie Rekke jest osobą, z którą rozmawiałaś?

Micaela wyjrzała na plac.

– Dlaczego pytasz?

Jonas też skierował wzrok na plac, ale zaraz zwrócił się do niej z nagłym ożywieniem:

– Bo tak czuję. A Falkegren...

– Tak?

– Ten kretyn wezwał mnie do siebie, tuż po tym, jak sąd zwolnił Costę – dokończył Jonas. – Już nawet nie pamiętam, czego wtedy chciał. Był chyba trochę wkurzony, że media tak po nas jada, tak mi się wydawało. Powiedziałem mu wtedy, że chcielibyśmy się znów zwrócić do Rekkego. Chyba nawet skomplementowałem go za to, że wcześniej wysłał materiały ze śledztwa profesorowi. Wydawało mi się, że go to ucieszy.

– Ale się nie ucieszył, prawda? – powiedziała Micaela.

Ku jej zdumieniu Jonas nie sprawiał już wrażenia zirytowanego czy nawet zmartwionego. Wręcz przeciwnie, uśmiechnął się szeroko, jakby sobie przypomniał coś zabawnego. Potem wstał, żeby przynieść jeszcze jedną herbatę, a Micaela siedziała pogrążona w myślach, walcząc z mdłościami, i po raz kolejny odrzuciła połączenie od Vanessy.

SIEDEMNAŚCIE

Naprawdę chciał się spotkać z Kleebergerem? Czy w ogóle to śledztwo go obchodziło? Teraz tak nie sądził. Przypuszczalnie chciał pokazać sobie samemu – a może jeszcze bardziej Julii – że nadal potrafi wykazać inicjatywę.

Nasłuchiwał odgłosów w mieszkaniu, czekał na jej kroki i teraz rzeczywiście ją usłyszał. Miała zaciekawioną minę. Odwrócił spojrzenie.

– I co powiedział? – zapytała.

– Głównie się wkurzył – odparł i wstał. Spojrzał na nią ponownie, z dumą, jak sądził, ale też z poczuciem obcości, jakby właśnie w tej chwili zrozumiał, że stała się całkowicie samodzielnym człowiekiem, a on nawet tego nie zauważył.

– Naprawdę myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś się tym zajął – oświadczyła córka.

– Być może – przyznał. – Ale najpierw pójdę się położyć. A ty nie zamierzasz dokądś iść i wykorzystać niedzieli na coś sensownego?

– Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś?

– Nie, co powiedziałem?

– Że to, co jest skrywane w mroku, się deformuje. Jak roślina, która się wykrzywia pod dachem.

– Tak poetycko się wyrażałem?

– Mówiłeś, że mrok nie tylko ukrywa, lecz także zmienia. Korumpuje.

– A morał z tego jest...

– Że powinieneś się dowiedzieć, co Magnus przed tobą ukrywa – dokończyła Julia. – Nie możesz tylko leżeć i zagłębiać w głęb siebie.

„Nie, nic dobrego z tego nie wyniknie” – pomyślał. *Horror vacui*. Nie ma nic straszniejszego niż pustka w nas. A z drugiej strony patrzenie na świat nie stanowiło większej różnicy. Wszędzie była ta sama ciemność. Ale naprawdę powinien wziąć się w garść ze względu na Julię. Choć najpierw musi... Poszedł do łazienki i zajrzał do szafki na lekarstwa, rozważając, co mógłby połknąć. „Jakie nędzne życie sobie stworzyłem” – pomyślał. „Ma beznadziejnego ojca”.

Znów przypomniał sobie pociąg pędzący ku niemu tunelem i kroki, ten tupot, który równocześnie zbliżał się z drugiej strony. Dwie siły ciągnące go w przeciwnych kierunkach, które nadal o niego walczyły, jak Bóg i Szatan. „Bzdury” – pomyślał. „Melodramatyczne brednie”. Zamknął szafkę, niepewnie, z lękiem.

Ale tamta myśl nie zniknęła. Zobaczył przed sobą Micaelę, jej oczy patrzące na niego tak, jakby ją głęboko rozczarował. Pomyślał o tej tłumionej sile kryjącej się w jej ciele. Głośno powiedział:

- Wszystko mi jedno.
- Co? – zawołała Julia.
- Nic takiego! – odkrzyknął.

Potem poszedł do gabinetu, do biurka i tej przeklętej figurki Rodina, dygającej dziewczynki, którą kiedyś kupił, bo mu się wydawała podobna do niego w wieku chłopięcym, ale teraz głównie sprawiała wrażenie, że po całych dniach dyga przed nim. Powinien ją usunąć i odstawić na strych. Niech sobie tam dyga w spokoju i marzy o lepszym życiu.

Czy nie miał tu gdzieś pod ręką dokumentów w sprawie Kabira? Dysk CD z meczem znalazł dziś rano, ale reszta... Nie pamiętał, co ma w komputerze, a co było wydrukowane na stertach papieru.

Poszukał materiałów w swoich tajnych folderach i coś tam znalazł. A może jednak powinien na to popatrzeć? Kiedyś nic nie potrafiło go tak uleczyć jak zagadki kryminalne. Zabierał się za nie z niejasnym przeczuciem, że uda mu się zrozumieć coś o sobie samym, jeśli tylko znajdzie rozwiązanie. Ale teraz, z tym czerwonym jazgotem w głowie, z jego niezdolno-

ścią do działania, to byłaby tylko męka. Jak gra na fortepianie z połamanymi palcami.

Mimo to przeglądał od niechcienia zapisy przesłuchań świadków, zdjęcia z sekcji zwłok, raport z miejsca zbrodni, nie mogąc się skoncentrować na niczym. Patrzył raczej w głąb siebie, niż na to, co znajdowało się przed jego oczami.

Kiedy zobaczył Kabira leżącego w lesie Grimsta z roztrzaskaną potylicą i ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej, miał wrażenie, że widzi siebie w alternatywnej rzeczywistości, kiedy udało mu się znaleźć na torach metra.

Powiększył zdjęcia na monitorze i to pomogło mu przebić się przez mgłę skojarzeń i wspomnień, które nakładały się na fotografie. Dał się im wciągnąć, jakby martwe ciało Kabira powoli dodawało mu życia.

„Co cię spotkało, nieszczęśniku?” – pomyślał. „I co takiego uczyniłeś, żeby zasłużyć na taki koniec?”

Jonas Beijer dopił herbatę, zachowując swój rozbawiony uśmiech. Śmieciarka stała teraz bardzo blisko kawiarni. Micaela położyła sobie rękę na czole. Ból głowy stanowił zaporę między nią i światem. Jasne było, że powinna jechać do domu.

– Sami chcieliśmy się z nim skontaktować – mówił Jonas. – Nawet Fransson zaakceptował ten pomysł. Ale nie udało się do niego dotrzeć, nie odpowiadał na maile ani nie odbierał telefonów. To dlatego zapytałem Falkegre-na. Myślałem, że może ma jakieś dojście do niego, którego my nie mamy. Ale kiedy zacząłem mówić o profesorze, zaczął kluczyć, ściemniać i zmienił temat, aż się w końcu wkurzyłem. Zażądałem, żeby mówił jasno i otwarcie, no i wtedy to wyszło.

– Co wyszło?

– Że amerykańska ambasada się z nim skontaktowała.

Micaela spojrzała na niego badawczo, mrużąc oczy, żeby zdusić ból głowy.

– A to z jakiego powodu? – zapytała.

– Znał jakąś szybę, która go ostrzegła przed angażowaniem Rekkego we wszystkie sprawy, które dotyczą amerykańskich interesów w Iraku i Afganistanie, ponieważ profesor ma w tych kwestiach własny kierunek postępowania.

– Co to miałoby znaczyć?

– Zrozumiałem to tak, że Amerykanie boją się Rekkego, i to też powiedziałem Falkegrenowi. A wtedy on się wkurzył. Odparł, że to była tylko taka dobra rada, a zresztą Rekke jest niestabilny psychicznie. Został zaangażowany do pewnego śledztwa w San Francisco i potem go wywalono, bo wygłaszał jakieś pokręcone wnioski.

– Co za pokręcone wnioski?

– Podobno sam się widział w roli sprawcy i mylił własne doświadczenia z przeżyciami innych. Ale jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Falkegren sprawiał wrażenie, jakby tylko gadał cokolwiek, żeby wzmocnić swoją pozycję, a teraz... Niech to szlag.

– Co? – zapytała Micaela, dotykając swojego policzka.

– Teraz oczywiście człowiek się zastanawia, czy jedno nie miało związku z drugim.

– Tak, można się nad tym zastanawiać – przyznała.

Jonas spojrział w dół na stolik. Potem podniósł na nią wzrok z tym samym wyrazem zatroskania co przedtem.

– Będę musiał to zbadać – powiedział. – Dopilnuję, żeby Falkegren się dowiedział, że Rekke żyje. Ale na litość boską, Micaelo... Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

Ona jednak znów zmrużyła oczy i próbowała skoncentrować się na tyśiącu i jednym pytaniu, jakie pojawiały się w jej głowie.

– A co z tamtym starszym facetem, który przeszedł obok? – zapytała.

– Złapaliśmy nie tego, już słyszałaś. Był w tym samym wieku, a świadkowie mieli całkowitą pewność. Tylko że on miał alibi mocne jak skała. Nie

było żadnych powiązań. Ale słuchaj... mówię poważnie: jeżeli nie chcesz do szpitala, zawiozę cię teraz do domu.

Kusiło ją, by skorzystać z tej oferty.

– Poradzę sobie – powiedziała.

– Nie jestem przekonany – stwierdził. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy to Rekkego spotkałaś?

– Nie, raczej nie bywamy w tych samych kręgach.

Na pożegnanie ścisnęła Jonasa trochę za długo, a potem poszła w stronę Swedenborgsgatan, nie chwiejąc się ani nie potykając. Długo tak jednak nie wytrzymała. Po chwili zabrakło jej sił i ledwie dała radę zejść do metra.

Co on wyprawiał? Może to był tylko sposób na samoleczenie. Zastępstwo morfiny i benzodiazepin. Ale udawał, że jest Jamalem Kabirem. Nawet wyobraził sobie, że jest martwy jako Kabir, leży w lesie Grimsta z roztrzaskaną czaszką i muchami bzyczącymi w ranie. Wstał.

Czy raczej wyobraził sobie, że Kabir wstał, obmył krew i błoto z głowy, z szyi, cofnął się w czasie i przestrzeni znów do życia, przez las, na ulicę Gulddragargränd, na teren stadionu. Wreszcie stanął tuż przed Costą i przyglądał się całemu zamieszaniu z obojętną miną, póki nie zobaczył kogoś – starego mężczyzny w zielonej kurtce, jak mówiła Micaela – kto sprawił, że jego twarz ledwo zauważalnie się skrzywiła.

Potem zszedł z boiska i znów ruszył na spotkanie śmierci. Wtedy na chwilę przestało padać, to było wiadomo, tylko lekko mżyło. Zaraz deszcz znów będzie siekł ziemię. Rekke domyślał się, że Kabir był nadal zdenerwowany i na pewno się bał. „Czy ktoś za mną idzie?” Musiał tak myśleć. Jak zeznali świadkowie, wyciągnął komórkę. Czyżby zamierzał skontaktować się z kimś i poprosić o pomoc?

Zamiast tego poszedł do lasu i tam nadal nasłuchiwał kroków. Był poruszony. Jego uwaga z pewnością była wyostrowana. Raczej nie mógłby przegapić żadnej zbliżającej się osoby. Musiał się odwrócić i zobaczyć sprawcę, po czym albo go to uspokoiło, albo zaufał swojemu autorytetowi i powie-

dział: „Spadaj, wynoś się stąd!”. Następnie poszedł dalej, dumny i wyprostowany. Tak mogło być. I właśnie wtedy padł pierwszy cios w potylicę, zadany małym ostrym kamieniem, chyba nie większym niż da się ukryć w dłoni.

Potem sprawca uderzał dalej – jeśli nie w napadzie szału, to metodycznie i bez końca. Ktoś bił i bił, jeszcze długo po tym, kiedy Kabir już dawno nie żył. Nie był to idealny sposób, żeby kogoś pozbawić życia. Łatwiej byłoby skorzystać z prawdziwej broni, na przykład noża. Co więc oznaczało użycie kamienia przez sprawcę? Czy to było pierwsze lepsze narzędzie? A może kryła się za tym jakaś myśl?

W każdym razie morderca raczej nie orientował się w terenie. Nie mógł wiedzieć, że dokona zbrodni właśnie tam. Z całą pewnością sprawca był zakrwawiony i ubłocony. Musiał szukać jakiegoś strumienia, kałuży, umyć ręce i prawdopodobnie musiał się przebrać w coś, co miał ze sobą w torbie czy raczej w plecaku – gdyż inaczej świadkowie w sąsiedztwie coś by zauważyli. O ile nie czekał na niego samochód, gdzieś blisko, przy Gulddraggränd.

Rekke widział przed sobą cały szereg scenariuszy i wchodził w nie, w te alternatywne rzeczywistości, które dzieliły się jeszcze na kolejne światy. Ale wkrótce zrozumiał, że jest to bardziej sen na jawie niż analiza, a to oczywiście oznaczało, że ma za mało informacji.

Znów popatrzył na zdjęcia zwłok leżących w lesie. Potem zaczął powiększać fotografię podłoża wokół ciała, kawałek po kawałku, już nie po to, żeby oczyścić spojrzenie z tych wszystkich śmieci pływających w jego myślach, ale żeby naprawdę drobiazgowo zbadać teren. Ktoś zadzwonił do drzwi. Nie przejmował się tym. Zobaczył coś żółtego w błocie tuż obok karku Kabira, kwiatek, jak się domyślił. Właściwie nic szczególnego, ale musiał go przeoczyć za pierwszym razem.

Był ledwo widoczny. Pokryty krwią i ziemią. A jednak w pewien sposób jarzył się jak mały płomyk, błysk piękna w tej całej okropności. Choć trudno było coś dojrzeć, zdawał się trochę za bardzo spłaszczony i bez życia, żeby całkowicie wpasować się w otaczającą roślinność. Czyżby był zasuszony?

Czy ktoś mógłby go tam położyć? Rekke jednak w to nie wierzył. A mimo to nie mógł oderwać od niego spojrzenia. Czyżby to był jakiś gatunek irysa? Możliwe. Kwiatek był żółty, liście fioletowe, ostro zakończone jak miecze.

Wszedł do internetu i zaczął przeglądać rośliny z rodziny kosaćcowatych. Już miał się poddać – było o wiele za dużo gatunków – kiedy zauważył zdjęcie *Iris darwasica*. Czy to mógł być ten sam? Nie, nie całkiem, a właściwie wcale nie. Szczerze mówiąc, sam nie wiedział, co robi. Powodowała nim jakaś daremna tęsknota za szczegółami niosącymi znaczenie. „Zostaw to” – pomyślał. „Idź się położyć”. Zza drzwi dobiegała rozmowa pani Hansson z Julią.

– Nie chciałam go niepokoić – mówiła sąsiadka.

Uśmiechnął się na te słowa, może dlatego, że nie mógł sobie wyobrazić, co takiego miałyby go zaniepokoić. Co mogłoby zrobić jakkolwiek różnicę? Z braku innego pomysłu nadal wpatrywał się w kosaćcowate. Kwiaty zdawały się sztywno szczerzyć do niego swoimi barwami, swoim pięknem. Pukanie do drzwi. Nie zareagował. Zauważył właśnie inny gatunek, który zdawał się lepiej pasować. *Iris afghanica*, taką nosił nazwę. Nie brzmiało to jak coś, co mogło rosnąć w lesie Grimsta. *Afghanica*... Szybko doczytał kilka informacji. Była to najwyraźniej roślina alpejska, która została odkryta i zidentyfikowana po raz pierwszy w 1964 roku w górach na północ od Kabulu. Znów ktoś zapukał, Rekke schował notatnik.

– Proszę – powiedział.

Drzwi się otworzyły. Pani Hansson patrzyła na niego z wyrazem twarzy, w którym było coś więcej niż tylko troska. „Chyba nic szczególnego się nie stało?” – pomyślał.

– Co robisz? – zapytała.

– Pracuję, można tak powiedzieć – odparł.

– Ależ to wspaniale, prawda? Julia mówiła, że siedzisz tu już kilka godzin.

– Tak długo to chyba nie.

– Znów jesteś na chodzie?

- W pewien sposób chyba tak.
- Bardzo mnie to cieszy, Hansie.
- To miło, że tak niewiele potrafi sprawić tyle radości. Ale chyba coś cię niepokoiło.
- Nic takiego, to na pewno nie ma żadnego związku z tobą.
- A może jednak?
- Tamten samochód dyplomatyczny z tymi okropnymi przyciemnianiymi szybami znów stoi przed domem.
- Ach tak – odparł. – Myślałem, że już mnie porzucił.
- Nie żartuj sobie. Nigdy mi się to nie podobało, wiesz przecież. Tam w środku siedzą ludzie i tylko czekają, tylko obserwują – powiedziała pani Hansson, a Rekke przypomniał sobie, jak rzucili się na niego na ulicy w Stanfordzie i wciągnęli do takiego auta.

Było to tak dramatyczne, że prawie się z tego śmiał. Ale w jakiś sposób tamta sytuacja musiała się utrwalić w jego ciele. Poczul to teraz, kiedy Sigrid mówiła o tym cholernym wozie dyplomatycznym, który stał tam głównie po to, żeby go irytować i potęgować jego klaustrofobię. Przecież nie był osobą, która wymaga obserwacji. Siedział tylko w domu i zagłębiał się w siebie. Zresztą czy naprawdę to robił? Przecież rozmawiał z Magnusem i szukał informacji w internecie. Czy to mogło mieć jakiś związek z tym autem?

- Powinienem korzystać z szyfrowania – mruknął do siebie.
- Co mówisz?
- Nic takiego. Ale co ja bym zrobił bez ciebie, Sigrid. Ty widzisz i słyszysz wszystko.
- Niepokoję się o ciebie, Hansie.
- Wcale nie musisz. Ani trochę, moja droga. Czuję się teraz lepiej, sama widzisz – powiedział i wstał z mocnym postanowieniem, żeby od razu zająć się tą sprawą.

Może nawet mógłby zejść i porozmawiać z nimi. Nie można było wykluczyć, że to sam Charles chciał mu przypomnieć o swoim istnieniu. Ale jed-

nak tego nie zrobił. Zamiast tego skierował się do łazienki i znów otworzył apteczkę, po czym usłyszał śpiew syren z tunelu i pociąg.

OSIEMNAŚCIE

Kiedy Micaela wreszcie dotarła do domu, poszła chwiejnie do łazienki, a potem w ubraniu rzuciła się na łóżko. Była przekonana, że od razu zasnie. Ale jej serce zbyt mocno biło, więc usiadła, ciężko oddychając. „Muszę się uspokoić” – pomyślała. „Muszę zwolnić oddech”. To było jednak niemożliwe. Przyszło jej nawet do głowy, że może popełniła błąd, rozmawiając z Jonaszem. Może w ten sposób naraziła Rekkego na ryzyko. Ale nie, śledztwo powinno być dla niej priorytetem, nawet jeśli ona sama nie stanowiła priorytetu dla śledztwa.

Wstała z łóżka, pokój się zakołysał. Ruszyła na sztywnych nogach do kuchni i sięgnęła do kieszeni kurtki. Coś tam było schowane: serwetka, na której zanotowała dwa słowa. Po upływie dwóch sekund przypomniała sobie, co to było. Imię i nazwisko: Emma Gulwal, kobieta, której klarnet Kabir roztrzaskał w Kabulu.

Micaela otworzyła lodówkę i łapczywie napiła się soku z butelki. To było dziwne. Dlaczego sędzia piłkarski poświęcał swój wolny czas, żeby niszczyć instrumenty muzyczne? Dlaczego człowiek, który walczył o prawo do gry w piłkę w islamskim kraju, miałby zaangażować się w działania propagandy przeciw występkom? Poszła do pokoju dziennego i usiadła przy biurku, które stanowił blat z Ikei przymocowany do ściany. „Coś musi się za tym kryć” – pomyślała. Człowiek, który roztrzaskuje instrumenty muzyczne – w ataku szału, jak mówił Jonas – musi być też zdolny do innych rzeczy.

Włączyła komputer – jak zwykle trwało to całą wieczność, zanim się odpalił. Przez chwilę wydawał dźwięk, jakby pokasływał. Kiedy wreszcie ruszył, Micaela weszła na stronę wyszukiwarki AltaVista i wpisała nazwisko: Emma Gulwal. Po chwili zobaczyła zdjęcia kobiety w okrągłych okularach,

z włosami obciętymi na pazia. Gulwal miała nieco surowy wygląd, sprawiała wrażenie niezwykle zdeterminowanej osoby ze swoimi podkreślonymi brwiami i małymi zmrużonymi oczami. Poniżej na stronie znajdowało się jej zdjęcie na wielkiej scenie, z orkiestrą za plecami. Wyglądało bardzo profesjonalnie. A mimo to najwyraźniej zakończyła karierę muzyczną i teraz pracowała jako pielęgniarka w Berlinie. Micaela rozważała, czy się z nią skontaktować. Oczywiście nie powinna tego robić. Czuła się fatalnie. Musi wziąć prysznic i znów położyć się do łóżka. Ledwie się ruszyła, zadzwonił Jonas Beijer.

– Chciałem tylko usłyszeć, czy dotarłaś do domu – powiedział.

– Sprawdzam tę Emmę Gulwal, o której wspominałeś.

– Zostaw to – rzucił Jonas. – Powinnaś leżeć spokojnie w zaciemnionym pokoju. Masz w domu tabletki przeciwbólowe?

– Nie biorę tabletek przeciwbólowych. Zastanawia mnie, dlaczego Kabir był tak wrogo nastawiony do muzyki?

Jonas najwyraźniej namyślał się chwilę.

– Wielu tak miało wtedy. To dziedzictwo wahabizmu z Arabii Saudyjskiej, to chyba wiesz? Saudowie zakazali muzyki już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, Chomeini zrobił to samo w Iranie rok później. Muzyka była uznawana za diabelską pokusę.

– Tylko że Kabir poza tym nie sprawiał wrażenia ekstremisty.

– Na pewno był oportunistą, zdecydowanie. Robił wszystko, żeby tylko pozwolili mu dalej zajmować się piłką. Może chciał się pokazać przed swoim przyjacielem mułłą Zakarią, jaki jest prawomyślny.

Micaela pomyślała przez chwilę o spokojnym leżeniu w zaciemnionym pokoju. To brzmiało jak całkiem niezły pomysł.

– Dziwne też jest to – powiedziała – że on był z nim zakumplowany, akurat z nim. To nie całkiem pasuje do obrazu sympatycznego fana piłki nożnej.

– No nie, nie do końca.

– A niszczenie instrumentów muzycznych? – ciągnęła Micaela. – To mi wygląda na coś więcej niż oportunizm.

– Może był tam też aspekt klasowy, wręcz klasowa nienawiść?

– W jakim sensie?

– Ci wszyscy muzycy, których atakował, należeli do dawnej elity Kabulu mającej kontakty z Zachodem.

Micaela podeszła do łóżka.

– A nie mówiłeś, że muzycy byli też mordowani?

– Albo po prostu znikali.

Położyła się na plecach.

– Nie sprawdzaliście dokładniej tych przypadków? – zapytała.

– Właściwie nie. Ale wtedy, tamtej wiosny, w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku zdarzyła się jedna historia, która nas trochę mocniej zainteresowała. Pewna skrzypaczka została zabita strzałem w tył głowy, w środku nocy, kiedy grała w swojej piwnicy. Była zaprzyjaźniona z Emmą Gulwal. Obydwie studiowały w radzieckim konserwatorium w Kabulu w latach osiemdziesiątych.

– Tak? – zdziwiła się Micaela. – A więc się znali?

– I to dość blisko, jak sądzę. Ale nic nie sugeruje, żeby Kabir był zamieszany w to morderstwo.

Micaela zamknęła oczy.

– Skąd macie taką pewność?

– Właściwie niczego nie jesteśmy pewni – odparł Jonas. – Ale wszystko wskazuje na to, że tamta kobieta знаła swojego mordercę. Sądząc z okoliczności, sama go wpuściła do domu i pokazała mu swoje skrzypce, które były ukryte w piwnicy. To nie było też morderstwo usankcjonowane przez talibów. Pasowało do ich linii, do polityki prześladowań, ale było poza protokołem. Nie ma również żadnych śladów, że tamta skrzypaczka i Kabir się znali, wręcz przeciwnie. To była primadonna, dziewczyna z klasy wyższej. A on był mechanikiem motocyklowym z małej wioski pod Kandaharem.

– Rozumiem – mruknęła Micaela i przykryła się kołdrą. – Więc co wy w ogóle macie?

– Mamy trochę otwartych wątków, a ostatnio pojawił się u nas nie kto inny jak Costa i oświadczył, że jednak pamięta jakiegoś tajemniczego mężczyznę z Grimsty. Ale jego zeznania były tak mętne, że nie bardzo możemy coś z tym zrobić.

– Brzmi, jakbyście spartaczyli sprawę.

Jonas westchnął do słuchawki.

– To była prawdziwa orka na ugorze.

– Może istnieje jakieś wytłumaczenie.

Przez chwilę milczał.

– Myślisz, że Amerykanie kłamią nam w żywe oczy?

– Nie można tego wykluczyć.

– Miałbym ochotę zatłuc Falkegrena, jeśli to on...

Gdy Jonas szukał odpowiednich słów, Micaela już chciała powiedzieć, że powinni ustalić powody, dlaczego Kabir wylądował w Prison of Darkness. Potem pomyślała jednak, że lepiej będzie zająć się tym z Rekkem.

– Czułam prawie to samo – wyznała.

– Sprawdzę to jutro z samego rana.

Micaela znów pomyślała, że powinna trzymać buzię na kłódkę, przynajmniej na razie.

– Okej. A teraz chciałabym trochę pospać.

– To brzmi rozsądnie. Musisz dbać o siebie.

Naciągnęła kołdrę na głowę i spróbowała uporządkować myśli. Nie bardzo jej się to udawało, więc zwinęła się w pozycji embrionalnej, podczas gdy w jej głowie przesuwaly się migotliwe sekwencje obrazów. Potem musiała zasnąć. Niejasno zarejestrowała, że dzwoni telefon. Odgłos stał się w jej śnie wyjątkowym sygnałem ostrzegawczym i musiał rozbrzmiewać chyba przez kilka godzin. Potem nagle się obudziła i przez chwilę nie wiedziała,

co ją wyrwało ze snu. Czy to był telefon, czy może hałas na placu za oknem? Nie, to było łomotanie do drzwi.

Ktoś chciał wejść do środka.

Było wpół do dziewiątej w poniedziałkowy poranek, a Rekke był kompletnie ubrany, w koszulę, sweter i całą resztę. Zdumiewało go to. Siedział przy kuchennym stole, nawet nie wiedząc, jak się tam znalazł. Droga z łóżka, którą musiał odbyć, wydawała mu się czarną dziurą, nie była to zresztą jedyna czarna dziura ostatnio. Miał jakieś wymieszane wspomnienia z ostatniej nocy. Były to jednak wspomnienia, których wolałby się pozbyć. Między innymi leżał na posadzce w łazience i próbował wymiotować. Poza tym ostatnie dwanaście godzin spowijała mgła. Teraz wcale nie było lepiej, kiedy siedział przy stole, obejmując głowę dłońmi, i próbował przywołać to, co się zdarzyło. Dopiero co był na nogach, grał na fortepianie, przeglądał materiały z dawnego śledztwa. Odbierał to niczym krótkie wtrącenie w nawiasie, nie całkiem rzeczywiste. A teraz znów był w punkcie wyjścia: z poczuciem beznadziei i paraliżu, i w gruncie rzeczy to było dość naturalne. Dlaczego nagle miałby umieć się otrząsnąć i zacząć działać?

Wyprostował plecy, jak tylko się dało, i spojrzał na swoje dłonie, które spoczywały na stole. Wyglądały obco, pajęczo. Dziwiło go, że w ogóle go słuchają, kiedy zagrał na bławie stołu pierwsze takty *Appassionaty* Beethovena. Gdzieś z tyłu tykał zegar w przedpokoju, pachniało kawą. Czyjeś kroki zbliżyły się do niego, podniósł głowę, mrużąc oczy. Stała przed nim pani Hansson.

– Wielki Boże, Hans. Nie powinieneś jeszcze wstawać.

– Może nie. Ale wstałem i oto jestem – powiedział tonem, który miał być żartobliwy.

– Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co się zdarzyło wczoraj?

– Ależ tak, pamiętam, że byłaś bardzo miła oczywiście, a ja nie byłem w stanie odpowiedzieć w ten sam sposób. Bardzo mi przykro z tego powodu. Dziękuję, droga Sigrid...

– Byłeś w strasznym stanie – przerwała mu pani Hansson. – Padłeś jak długi w ubraniu.

– To wiele tłumaczy. Właśnie się zastanawiałem, co to za dziwaczny poranny strój. – Uśmiechnął się najlepiej, jak potrafił.

– Nie żartuj w ten sposób. Byłam niesłychanie zaniepokojona.

– Ależ oczywiście. Nie będę żartował. Zresztą nie czuję się wcale wielkim wesółkiem. Dlatego posłucham chyba twojej rady. Wycofuję się. Kapituluję wobec okoliczności – oznajmił tym samym sztucznym, przeciągłym głosem, następnie poszedł chwiejnym krokiem do łazienki i połknął kolejną garść tabletek.

Potem doczłapał do łóżka i padł dokładnie tak jak Kabir w lesie, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Poczuł, jak ogarnia go ciężki, niespokojny mrok, jak fala na morzu.

– *De profundis clamavi ad te, Domine* – wymamrotał, może jako kolejny kiepski żart, choć przypuszczalnie jednak nie.

– To najbardziej popieprzona historia, jaką słyszałam w życiu – stwierdziła Vanessa. – I co potem zrobiłaś?

– Poszłam z nim do jego domu.

– A on jest okropnie bogaty.

– Ma ogromne mieszkanie, i wszędzie książki.

– Czy nie byłaś przedtem troszkę na niego napalona?

– Absolutnie nie. Tylko po prostu myślałam, że on ma wszystko.

Było dziesięć po ósmej rano. Ale cały dzień już stał na głowie. Micaela zasnęła po południu jeszcze raz i obudziła się o czwartej nad ranem. Obok niej w łóżku leżała Vanessa i to było dla niej zagadkowe. Potem przypomniała sobie, że Vanessa łomotała do drzwi, że w końcu ją wpuściła i od razu została zalana falą wyrzutów. Jej przyjaciółka dzwoniła „jakieś siedemset razy” i była „tak samo zaniepokojona jak moja cholerna matka”. Najwyraźniej potem stanęło na tym, że Vanessa zostanie na noc.

– I co robiliście? Umrę, jeśli się okaże, że z nim spałaś.

– Daj spokój – prychnęła Micaela. – On próbował odebrać sobie życie. To nie jest optymalna sytuacja, żeby się z kimś przespać.

– No to co robiliście?

Micaela pożałowała, że w ogóle o tym opowiedziała. Teraz miała wrażenie, że wszystko, co mówiła, brzmiało nie tak.

Siedziały w kuchni naprzeciwko siebie. Za oknem świeciło słońce, a może było to odbicie kuchennej lampy w szybie. Micaela nie do końca potrafiła to określić. Ból głowy nadal oddzielał ją od świata jak bariera i jeśli w ogóle czegoś chciała, poza tym, by znów się położyć, to lepiej zrozumieć, co Kabir robił dla talibów. Ale niewiele wynikło z tych przypadkowych poszukiwań w internecie, które przeprowadziła dzisiaj rano. Dowiedziała się tylko, że Emma Gulwal, której klarnet roztrzaskał Kabir, studiowała na uczelni, która nazywała się Radziecko-Afgański Uniwersytet Przyjaźni Muzyki Klasycznej.

– Myślę, że jednak powinniśmy pojechać na pogotowie – powiedziała Vanessa.

– Muszę do pracy – zaprotestowała Micaela.

– Na pewno nie pójdziesz do pracy. Na co tam patrzysz przez cały czas?

Micaela oderwała wzrok od monitora.

– Na tę sprawę sędziego piłkarskiego.

Vanessa drgnęła.

– Czy to z powodu Rekkego?

Micaela poczuła się przyłapana.

– Tylko sprawdziłam kilka rzeczy – przyznała.

– Na przykład jakich?

– Wydaje mi się, że to morderstwo mogło być zemstą za jakiś szajs, którego Kabir narobił w Afganistanie.

– Myślałam, że to był porządny facet.

– Też tak myślałam. Ale co my tam wiemy.

– Właśnie, co my wiemy – powiedziała Vanessa i z jakiegoś powodu się zaśmiała. Kiedy przyjaciółka nie odpowiedziała śmiechem, zaczęła znów nalegać, żeby pojechały do szpitala.

Micaela nie słuchała jej zbyt uważnie. Nadal zastanawiała się, dlaczego Kabir prześladował muzyków. Nie pasowało jej to do niego. Ale z drugiej strony przecież w ogóle nie rozumiała talibów. Wyłączyła komputer, wstała od stołu i o mało nie upadła. Słońce na dworze jarzyło się promieniami, które ją raniły.

– *Shit!* – zawołała Vanessa i zerwała się, żeby jej pomóc.

– W porządku – uspokoiła ją Micaela.

– Naprawdę kiepsko z tobą.

– Ech – prychnęła, uwolniła się z ramion Vanessy i poszła do łazienki.

„Aż tak koszmarnie nie jest” – pomyślała. Miała przekrwione oczy, a policzek wyglądał okropnie. Ale da się temu zaradzić. Pokryła zasinienia warstwą podkładu w kremie i wyszła z łazienki. Vanessa siedziała w pokoju dziennym przed włączonym telewizorem. Jakiś brodaty ekspert z porannego programu TV4 mówił, że minął już rok, a nadal nie znaleziono broni chemicznej w Iraku. „Cała sytuacja jest głęboko niepokojąca” – tłumaczył ekspert. „To tak, jakby otworzyli puszkę Pandory”.

– Cała ta wojna jest popieprzona – powiedziała Micaela. – Mieli zwalczać terror, ale w gruncie rzeczy stworzyli trzy razy więcej terrorystów.

– Co? – zapytała Vanessa.

– Czy oni niczego się nie nauczyli na swoich starych błędach?

– Mówisz znowu o Pinochecie i Chile?

– Mówię tak ogólnie.

– Musisz trochę wyluzować. Zabraniam ci iść do pracy.

– Muszę sprawdzić jedną rzecz.

Vanessa wydała głębokie westchnienie.

– Jesteś stuknięta.

– Ty sama też masz chyba klientów.

– Elena może ich przejąć.

Elena była współniczką Vanessy, razem prowadziły salon fryzjerski.

– Spotkałam wczoraj Lucasa – powiedziała Micaela.

Vanessa podniosła na nią oczy z wyrazem zainteresowania. Ona i Lucas byli zawsze dość blisko zaprzyjaźnieni.

– I co powiedział?

– Mówił, że sędzia się czegoś bał.

– Kurczę, znowu się tym nakręcasz.

– Oni tak fatalnie poprowadzili to śledztwo.

– Ale chyba się nie pali. Możemy na przykład wypożyczyć sobie jakiś film...

– Jestem za bardzo rozkojarzona.

– Powinnaś pogadać z Beppem.

– Dlaczego miałabym z nim rozmawiać?

– Bo Mario powiedział, że on zaczyna sobie przypominać różne rzeczy związane z tym morderstwem.

– Słyszałam o tym.

– Masz za dużo podkładu na policzku.

– Dobra – mruknęła Micaela, wzięła pęk zapasowych kluczy z szafki w przedpokoju i rzuciła je na stolik przy sofie, tuż przed Vanessą.

Potem wyszła do pracy, ale już w drodze do metra zastanawiała się, czy nie zawrócić. Ile dni właściwie była na chorobowym przez całe swoje życie? Ani jednego, nie mogła sobie przypomnieć żadnego zwolnienia. Chętnie obejrzałaby film, pogadała o Rekkem albo po prostu spałaby całą dobę, żeby się pozbyć bólu głowy. Szła jednak dalej, jakby miała jakiś nieunikniony obowiązek do spełnienia.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Jonas nie powiedział ani słowa komisarzowi Franssonowi, choć był to jego bezpośredni zwierzchnik. Od razu poprosił o rozmowę u komendanta Martina Falkegrena, nie mówiąc, jaką ma sprawę. Pochodząca z Finlandii sekretarka Falkegrena odpowiedziała: „Żadnych szans, on nie ma czasu”, ale w końcu znalazła dla niego piętnaście minut o dziesiątej rano.

Teraz, za pięć dziesiąta, Jonas nadal siedział przy swoim biurku w ich sali open space, gdy z daleka zobaczył przechodzącą Micaelę. Nie wyglądało na to, żeby dzisiaj czuła się lepiej. Jonas zapragnął podbiec do dziewczyny i ją objąć. Choć równocześnie był na nią trochę zły.

Jej poturbowana i uparta osoba przypomniała mu tylko, jaką klęskę ponieśli ze śledztwem. Wstał, z tłumioną złością podszedł do windy i nacisnął guzik z dziewiątką. „Już ja pokażę tej oślizgłej kanalii” – myślał. „Zaraz zobaczy”. Ale kiedy dotarł na dziewiąte piętro, odwaga go opuściła i już nie miał pewności, czy rzeczywiście wierzy w opowieści Micaeli.

Czy to Amerykanie skuli Kabira łańcuchami i prawie pozwolili mu zamarznąć? I czy naprawdę szwedzki MSZ miałby to ukrywać i sabotować śledztwo w sprawie morderstwa, a w dodatku wpuściłby do kraju ewentualnego terrorystę? Ta myśl wydała mu się jeszcze bardziej niesłychana niż przedtem. Zatrzymał się przed drzwiami Falkegrena i zapukał, ale dyskretniej, niż początkowo zamierzał.

Drzwi się otworzyły, naprzeciwko niego stał komendant z wyrazem niepewności na twarzy. Zaraz potem rozjaśnił się w szerokim uśmiechu.

– Jonas – powiedział. – Jak miło. Dużo dobrego o tobie ostatnio słyszałem.

– Nic o tym nie wiem – mruknął z zażenowaniem Beijer. – Przeważnie mam poczucie, że nie wystarczam.

– Czyż to nie jest cecha wyróżniająca dobrego policjanta? Ciągłe wątpliwości w sobie.

„W takim razie jestem fantastycznym policjantem” – pomyślał Jonas, ale tego nie powiedział. Usiadł, patrzył na Falkegrena i zastanawiał się, czy komendant domyśla się, jaką ma do niego sprawę. Może te pochlebstwa to była tylko taktyka, próba rozbrojenia go? Jednak nie, przecież on nie mógł tego wiedzieć. Falkegren, ubrany w dżinsy i świeżo wyprasowaną niebieską koszulę, wyciągnął w jego stronę miseczkę z lukrecjowymi żelkami.

Jonas potrząsnął głową.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał komendant.

– Przeglądałem akta sprawy Kabira przez cały ranek – zaczął Jonas.

– Czy nie zostawiliście już tego? Nie mamy dość innych problemów na swoim terenie?

Jonas zdecydował się jednak wziąć jednego żelka.

– To też się zdarzyło na naszym terenie – powiedział.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Chyba nie całkiem – odparł Jonas. – A wczoraj usłyszałem dość sensacyjne informacje.

Martin Falkegren popatrzył na niego skoncentrowany i odchylił się na oparcie krzesła.

– I czego one dotyczyły?

Jonas skończył przeżuwać żelka. Pomyślał, że teraz Falkegren sprawia wrażenie zdenerwowanego.

– Tego, że Kabir siedział w amerykańskiej niewoli w Kabulu i był poddawany ciężkim torturom. Dowiedziałem się, że ty otrzymałeś te same informacje, tylko o wiele wcześniej, bo zeszłego lata.

Martin Falkegren zaczął poruszać ustami, ale trudno było to zinterpretować. Otworzył i zamknął szufladę w biurku.

– Tak jest, to prawda – powiedział, co zabrzmiało nieco po wojskowemu.

– No i?

Komendant usiadł wyprostowany. Próbował sprawiać wrażenie tak samo pewnego siebie i zadowolonego jak na początku rozmowy.

– Oczywiście potraktowałem to niesłychanie poważnie. Ale dość szybko udało mi się zdementować te informacje. Mam pewne źródła.

– Masz kontakty w ambasadzie amerykańskiej? – zapytał Jonas.

– Owszem. To osoba znakomicie zorientowana, dość szybko ustaliliśmy, że te informacje to była lewicowa propaganda. USA dość surowo traktują podejrzanych o terroryzm, zresztą całkiem słusznie, ale nikogo nie torturują w ten sposób.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy sami mogli sprawdzić te informacje.

Falkegren potrząsnął głową i nerwowo poruszył językiem.

– Dlaczego miałbym obciążać was fałszywymi informacjami? Mielicie przecież tyle innej roboty.

Jonas starał się wykazać profesjonalizmem.

– Tak, oczywiście, ale jeśli ta informacja nie byłaby fałszywa, wtedy jest to bardzo poważna sprawa, nie? To wywraca do góry nogami całe nasze śledztwo.

– Ale to nie była prawda – stwierdził Falkegren.

– Może nie, ale wczoraj słyszałem, przez osoby trzecie co prawda, że MSZ potwierdza te informacje.

Martin Falkegren drgnął wyraźnie.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł, zauważalnie zakłopotany.

– Na pewno działałeś w dobrej wierze – powiedział Jonas bardziej defensywnie, niż zamierzał.

– Właśnie, w rzeczy samej. Te informacje nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

– Chciałbym mimo wszystko usłyszeć, ile wiedziałeś i jak to do ciebie dotarło. Czy to Rekke się z tobą skontaktował?

Falkegren przybrał minę pełną urazy.

– Ten człowiek nie jest wiarygodny – stwierdził.

– Ty tak mówiłeś.

– Ale teraz to jest ewidentne. Czy wiesz, że został wydalony z USA, bo uznano go za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa?

– Naprawdę? – Jonas znów poczuł niepewność. – Ale oczywiście i tak muszę to sprawdzić w naszym MSZ – ciągnął.

– Nie, nie. Lepiej, żebym ja się tym zajął. Znam sekretarza gabinetu.

– Masz na myśli brata Rekkego?

– Tak. To jest dość delikatna sytuacja – wyjaśnił Falkegren.

Jonas pokiwał twierdząco głową, nie wspominając, że już zwrócił się z tą sprawą do sekretarki Kleebergera, Leny Tideman.

– Świetnie, a więc jesteśmy zgodni co do tego – stwierdził Falkegren.

– Nie wiem tak do końca, ale mam jeszcze jedną sprawę. Uważam, że powinniśmy znów włączyć Vargas do śledztwa.

– Co? Ale dlaczego? – Falkegren sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, co mówi. Był pochłonięty niespokojnymi myślami, więc Jonas postanowił omówić to bezpośrednio z Franssonem.

Micaela siedziała przy biurku i zastanawiała się, czy nie powinna choć udawać, że zajmuje się swoimi obowiązkami. Miała problemy z koncentracją. W oddali zobaczyła Jonasa Beijera wychodzącego z windy. Wyglądał na sfrustrowanego.

Wstała i poszła w stronę schodów. Zadzwonił jej telefon.

– Halo, czy to Micaela? – odezwał się głos w słuchawce.

– Tak.

– Mówi Sigrid Hansson – kontynuował głos. – Niepokoję się o Hansa.

– Co się stało? – zapytała Micaela i odwróciła się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słucha.

– Połknął całą masę tabletek – powiedziała pani Hansson. – Nie sędzę, żeby istniało poważne zagrożenie, ale jest ledwo żywy. Siedzę tu i czuwam nad nim.

– Oj, to kiepsko – rzuciła Micaela i zaczęła schodzić po schodach.

– Udało ci się osiągnąć coś wspaniałego. Był wczoraj na nogach i znów pracował. Potrafiłaś go ożywić.

Micaela przypomniała sobie Rekkego leżącego w łóżku, z tym matowym blaskiem w oczach, gdy mówił o rysach na zegarku Franssona.

– To raczej bliskość śmierci tak go ożywiła.

– Co ty mówisz?

– To jego własne sformułowanie – wyjaśniła Micaela.

– Być może, ale nie sędzę, żeby tak było. Spotkaliście się wcześniej, prawda? Pracowaliście nad jedną z tych jego zagadek. Od razu poczułam, że twoje towarzystwo dobrze mu robi.

– Tego nie wiem.

– Ależ tak, ja widzę takie rzeczy. Kiedy ma depresję, nie jest w stanie znieść niczyjej obecności. A ty zapaliłaś w nim tę iskierkę.

– Czy nie mówiłaś, że właśnie znów mu się pogorszyło?

– No tak, niestety. Ale to częściowo moja wina. Opowiedziałam mu o tym okropnym samochodzie dyplomatycznym, który stoi na ulicy przed naszym domem. Bo wiesz, obawiam się, że znów go obserwują.

– Obserwują? – powtórzyła Micaela i zrobiło jej się nieswojo.

– No tak i zapewniam, że nie jestem ani wariatką, ani paranoiczką. To auto było tam już wcześniej. Mogło się pojawić, akurat kiedy się wprowadził, i było jasne, że przypomina mu o czymś strasznym, co stało się w USA.

– Co to mogło być?

– Podejrzewam, że zna tajemnice, których oni się boją. Chcą pokazać, że mają go na oku. Dlatego muszę o coś zapytać... Jak zrozumiałam, mieszkaś sama.

Micaela podskoczyła zdumiona.

– Skąd to wiesz?

– Trochę zasięgnęłam języka. Nie bądź zła. Nie miałam zamiaru wści-
biać nosa w nie swoje sprawy. Ale pomyślałam, że mogłabyś go odwiedzić
znowu i może nawet...

– Co takiego? – Micaela wyszła z komendy i zastanawiała się, czy nie po-
winna pojechać do śródmieścia.

– Nic. Ale powinnaś wiedzieć, że serce mi pękało, gdy patrzyłam, w ja-
kim stanie był przez ostatnie miesiące. Leżał tylko bezwładnie na łóżku.
Kiedy ty tam byłaś, nagle znów stał się choć trochę aktywny, cudowny wi-
dok.

– Cieszy mnie to.

– No właśnie, dlatego chciałam powiedzieć... – tu pani Hansson na chwi-
lę się zawahała – ...że mogłabyś traktować jego mieszkanie jako coś w ro-
dzaju drugiego domu. Jesteś tu zawsze mile widziana, kiedy tylko chcesz,
a najlepiej zaraz, szczerze mówiąc.

Micaela zatrzymała się w marszu, owładnięta poczuciem, że czegoś tu
do końca nie rozumie. Częściowo to była irytacja – nie mów mi, co mam
robić – lecz także zaskoczenie. Przecież kiedyś desperacko próbowała się
z nim skontaktować, potem myślała, że Rekke nie ma czasu dla takich osób
jak ona, a teraz została poproszona, by odwiedzała go tak często, jak tylko
może.

– Wpadnę dzisiaj trochę później – zdecydowała. – Jest jedna sprawa, któ-
rą chciałabym z nim przedyskutować.

– To byłoby fantastyczne. A więc na razie mi to wystarczy – powiedziała
pani Hansson z rozczarowaniem w głosie, jakby liczyła na więcej.

– A skąd wy się znacie z Rekkem? – zapytała Micaela, głównie po to, żeby
zmienić temat.

– Pomagam ich rodzinie już prawie pół wieku. Widziałam, jak chłopcy
dorastali, i z oczywistych względów Hans stał się mi najbliższy, zwłaszcza
kiedy przeżył załamanie na koncercie w Helsinkach.

– Co się wtedy stało?

– Po występie miał kryzys... Stał na balkonie, właściwie na barierce balkonu. To mogło się skończyć bardzo źle. Od tamtego czasu już nie dawał koncertów.

– Nigdy? – zapytała Micaela, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Ale czasem wydaje mi się, że to teraz jest jeszcze gorsze, w dodatku wszystko potoczyło się tak szybko – ciągnęła pani Hansson. – Musiał opuścić USA. Rozwiódł się.

– Dlaczego się rozwiódł?

– Właściwie to chyba Lovisa już nie mogła tego wytrzymać. Ona jest... – Pani Hansson się zawahała. – Nie jest taka jak Hans. Na pierwszy rzut oka oczywiście idealna partnerka: też zamożna, piękna jak z obrazka, z rodziny z tradycjami, jej przodkowie zasiadali w Domu Rycerstwa, świetnie wykształcona, kulturalna, interesuje się muzyką. Ale...

– Tak?

– Jeśli mogę coś powiedzieć, to moim zdaniem ona jest za bardzo skoncentrowana na sprawach powierzchownych, na pięknej fasadzie, podczas gdy Hans, na pewno to zauważyłaś, żyje w swoim własnym świecie. Poszukuje stymulacji dla swoich niespokojnych myśli, a to denerwowało Lovisę. Wydaje mi się, że Hans robił z niej coraz większą perfekcjonistkę. Jak gdyby chciała tym zrekompensować jego braki.

– Naprawdę?

– Mój Boże, jeszcze jak! Powinnaś zobaczyć ich dom w Djursholmie. Możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało, kiedy Lovisa zapraszała swoich twornych przyjaciół. Hans był tak znudzony, że zaczynał się przechadzać tam i z powrotem albo, to było najgorsze, wygłaszał uwagi, o które nikt nie prosił.

– Mogę to sobie wyobrazić – przyznała Micaela.

– A sama Lovisa, ojej, chyba wszystko wygadam... Zaczęła spotykać się z innymi mężczyznami i właściwie nie można mieć o to do niej pretensji. Hans nie jest łatwym człowiekiem. Ale kiedy zaczęła się dogadywać z Magnusem, wtedy przekroczyła granicę...

– Chcesz powiedzieć, że Lovisa i brat Hansa...?

– Nie, nie, nie to miałam na myśli, właściwie nie, tak tylko gadam. Ale chciałam powiedzieć, że Hans pilnie potrzebował mieszkania, a nie był w najlepszym stanie, żeby chodzić po pośrednikach i oglądać lokale. Dlatego poradziłam mu, że to poddasze, tuż nade mną, jest na sprzedaż, a nie było chętnych, bo jest tak... jak by to ująć... zawile. A Hans kupił je nawet bez oglądania.

– To dziwne – stwierdziła Micaela.

– Wcale nie, on taki jest. I rozumiesz chyba, jak bardzo się ucieszyłam, że mogę go mieć tak blisko siebie. Początkowo był w całkiem niezłym stanie, ale potem miałam wrażenie, jakby jakiś demon nim zawładnął. Czułam to na odległość, jakby go coś zatruwało. Często leżał całymi dniami w łóżku, na wpół sparaliżowany. Dzwoniłam, do kogo tylko mogłam: jego rodziny, przyjaciół, lekarza, to znaczy tego dobrego lekarza. Bo ma też złego doktora. Wybacz, znów jestem zbyt szczerą. Ale o czym to mówiłam? Ach tak, no więc było z nim coraz gorzej, a teraz... znów pojawił się ten okropny samochód... Zaczynam się bać, nie tylko tego, że on sobie coś zrobi.

– Ale że ktoś może zrobić coś jemu, o to chodzi?

– Sama nie wiem – odparła pani Hansson. – Naprawdę już nie wiem. Może tylko niepotrzebnie się stresuję. W każdym razie nie zaszkodziłaby obecność policjantki w domu.

– Przyjdę, gdy tylko będę mogła – zapewniła Micaela.

Zakończyła rozmowę i zeszła do metra. Znalazła się na peronie pod pomalowanym na czerwono sklepionym dachem. Pociąg miał nadjechać za sześć minut, jak informowała tablica świetlna, więc postanowiła zadzwonić jeszcze do telewizji SVT. W centrali poprosiła o połączenie z reporterką Tove Lehmann, jak sugerował Lucas.

Tove Lehmann raczej niechętnie zgodziła się z nią spotkać za godzinę w restauracji lunchowej w budynku telewizji.

Sigrid Hansson potrząsnęła głową. Nie rozumiała, co w nią wstąpiło. Przecież nawet nie знаła tej dziewczyny. A mimo to już sobie wymarzyła, że Micaela się tu wprowadzi i pomoże jej postawić Hansa z powrotem na nogi. To było dziwne, czyż nie? Ale w Micaeli było coś takiego, że czuła się przy niej bezpiecznie, jakby w jej obecności wszystkie sprawy miały się same rozwiązać. Wzięła kawałek szwajcarskiej czekolady z kredensu, otworzyła lodówkę i naląła szklanek wody gazowanej.

Wróciła do sypialni i po odcieniu twarzy mężczyzny poznała, że z Hanssem jest gorzej. Tak jak przedtem leżał na brzuchu, całkowicie ubrany, z ramionami skrzyżowanymi pod klatką piersiową. Ale teraz oddychał z większym wysiłkiem, a jego czoło i policzki były szare jak popiół. Sigrid Hansson zaklęła głośno i rzuciła się w stronę łóżka.

– Hans, obudź się! – zawołała i zaczęła nim potrząsać.

Nie było żadnej reakcji, nawet mruknięcia, żadnego ruchu, nic. Tylko leżał, półprzytomny, z otwartymi ustami, oczy miał zamknięte. Pani Hansson wymierzyła mu kilka policzków, ale to też nie pomogło. Miała ochotę zacząć krzyczeć i wyzywać go od najgorszych, natychmiast dzwonić do doktora Richtera. Tylko najpierw, wiedziała to doskonale, musiała sama opanować sytuację i zażegnać najgorsze.

– Hans – powiedziała głośno. – Musisz się czegoś napić. Wyglądasz na całkiem odwodnionego.

Ale gdy próbowała wlać mu trochę ramlösy do ust, woda tylko spływała mu po wargach i po brodzie. W końcu pani Hansson ochlapała jego twarz ostatnimi kroplami, zarówno z desperacji, jak i ze złości. Jak on mógł być takim idiotą? Jak ostatni bezmyślny narkoman.

Kiedy i to nie pomogło, sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do doktora Richtera, lecz coś ją powstrzymało. Początkowo nie rozumiała co. Po chwili uświadomiła sobie, że słyszy kroki na klatce schodowej. Potem zgrzyt zamka w drzwiach.

Ktoś wszedł do mieszkania z własnymi kluczami. To musiała być Julia. Nie, kroki były cięższe, należały do mężczyzny. Teraz zatrzymały się nagle.

Powinna się odezwać, zapytać, kto tam jest. Zamiast tego poczuła niewytłumaczalny lęk.

W tych krokach było coś niezrozumiałego. Przecież nie zatrzymujesz się nagle w całkowitej ciszy, kiedy jesteś w obcym mieszkaniu. Na pewno coś tu było nie tak. W skupieniu nasłuchiwała odgłosów z mieszkania. Jedy-
nym dźwiękiem, jaki odbierała wyraźnie, było tykanie pozłacanego waha-
dła w zegarze ściennym, a od tego czuła się tylko jeszcze bardziej nieswojo;
zrozumiała, że musi coś zrobić. Wstała i w tej właśnie chwili znów usłysza-
ła tamte kroki, zdecydowane i stanowcze, zawołała więc:

– Halo, kto tam jest?

Nie dostała odpowiedzi, oby Bóg miał ją w opiece. Kroki nadal się zbliża-
ły. Zaczęła potrząsać ramionami Hansa, choć on ciągle nie dawał znaku ży-
cia.

– Obudź się! – zawołała. – Obudź się, ktoś jest w mieszkaniu!

DWADZIEŚCIA

– Lubiłam go – powiedziała Tove. – Nadal go lubię.

– Jak to nadal?

– Był przedtem bohaterem, prawda? A teraz nagle wydaje się jakąś podejrzaną figurą, czy nie? Przecież wy wszyscy tak myślicie?

Tove Lehmann miała co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Wyglądała jak pływaczka, którą zresztą kiedyś była, szeroka w ramionach, szczupła, z dużymi zmysłowymi ustami i małymi, blisko osadzonymi oczami. Lecz najbardziej charakterystyczną jej cechą był w tym momencie nieco urażony wyraz twarzy. Zeszła na dół do restauracji otoczona gwiazdorskim nimbem i witała się z ludźmi, jakby czyniła im zaszczyt. Tove awansowała na prowadzącą, komentowała też jako ekspertka zawody pływackie – i to wszystko było widać w mowie jej ciała, przydawało jej uśmiechu gwiazdy filmowej. Ale kiedy usiadła obok Micaeli, wyraz jej twarzy w ciągu sekundy się zmienił. W oczach zamigotała irytacja.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać – powiedziała Micaela.

– Myślałam, że już zostawiliście tę sprawę – stwierdziła Tove.

– Morderstwa nie da się tak łatwo zostawić.

– Miałam na myśli, że mnie zostawiliście w spokoju. Nie żebym liczyła, ale jestem pewna, że przeproszałam już co najmniej dziesięć razy.

Micaela postanowiła wyłożyć karty na stół.

– Ja już nie pracuję przy tym śledztwie.

Tove popatrzyła na nią zdumiona.

– To co tu robisz w takim razie?

– Dostałam pewne nowe informacje. Chciałabym sprawdzić kilka faktów.

– Powiedziałałam już wszystko, co wiem.

– Ale nie mnie. A za co przepraszałaś?

– Nic takiego.– No powiedz. Lubiałaś go, przecież tak powiedziałaś.

– Ale co to ma do rzeczy?

– Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy zrobili wszystko, co się da, żeby posłać za kratki jego mordercę?

Tove zwlekała z odpowiedzią, najwyraźniej zbierała myśli.

– Nie powiedziałałam wszystkiego na samym początku, okej? To było głupie, przepraszam – rzuciła, nadal tak samo skwaszona.

– Czego nie powiedziałaś?

– Że zadzwonił do mnie na drugi dzień po emisji reportażu.

– Dlaczego to zrobił?

– Mówił, że się niepokoi. Nie sądził, że będzie z tego taka wielka rzecz. Trochę mi go było żal, a tamtego dnia miałam akurat wolne, więc zapytałam go, czy nie napiłby się kawy albo piwa. Potem spotkaliśmy się w Löwenbräu, to knajpa u mnie za rogiem, przy Fridhemsplan.

– I jaki był na tym spotkaniu?

Tove Lehmann rozejrzała się po sali, jakby nie wiedziała, czy ma odpowiedzieć, czy nie. Dało się zauważyć, jak bardzo ją ta sprawa męczy. Jej spojrzenie błędziło niespokojnie. Jasne było, że to nie są wspomnienia, do których chętnie wraca.

– Miał ciemne okulary i czapkę, jakby chciał się zamaskować. Ewidentnie był zdenerwowany.

– Jak się zachowywał?

– Nie w podejrzany sposób, tylko tak uroczo, jakby był bardzo nieśmiały.

– Dobrze mówił po angielsku?

– Tak, owszem, zauważyłam to już wtedy, kiedy nagrywaliśmy materiał. Ale i tak zaangażowaliśmy tłumacza, on chciał koniecznie wypowiadać się

w paszto.

– Co ci powiedział?

– Że był idiotą, bo za dużo gadał w tym reportażu. Nie rozumiał, co go napadło. Stwierdził, że to było przeze mnie. Bo jestem taka wspaniała. Mówił, że wyglądam jak amazonka i takie tam, aż przez chwilę myślałam, że chce mnie poderwać, w ten swój nieporadny, nieśmiały sposób. Ale potem zrozumiałam: jemu chodziło o coś innego.

– O co?

– Nie chciał, żeby reportaż był powtarzany ani pokazywany w innych krajach.

– Dlaczego?

– To chyba wy wiecie lepiej ode mnie. Czegoś się obawiał.

– Masz jakieś podejrzenia, czego mógł się bać?

– Chyba talibów. Przecież go torturowali i tak dalej.

– Albo raczej on sam do nich należał?

Tove popatrzyła na nią sceptycznie.

– No nie, nie opowiadaj – zaprotestowała.

– Dlaczego to miałoby być takie nieprawdopodobne?

Tove zamyśliła się na chwilę.

– On nie sprawiał wrażenia fanatyka. Na przykład potrafił porządnie wypić.

„A więc piliście razem – pomyślała Micaela – i ty to przed nami zataiłaś”. Starła się jednak nie okazywać złości. Nie chciała jeszcze bardziej prowokować mechanizmów obronnych Tove, dlatego uśmiechnęła się tylko, jakby to była zabawna informacja.

– Co pił?

– Najpierw piwo, a potem chciał wódki. Nie wyglądało na to, żeby zama-
wiał ją po raz pierwszy.

– O czym rozmawialiście?

Tove Lehmann wróciła w myślach do tamtego spotkania i starannie wazyła każde słowo.

– O różnych rzeczach, jak mu się podoba w Szwecji i tym podobne. Potem gadaliśmy o piłce nożnej: ulubiony gracz i takie tam, opowiadał, jak kupił swój strój sędziowski na targu w Kabulu. Pochodził z lat pięćdziesiątych czy coś takiego. Uwielbiał go, bo był taki retro. On naprawdę był... dość niezwykły, wiedział takie rzeczy, że opadała mi szczęka.

– Na przykład?

– Czytał Dostojewskiego, w każdym razie tak twierdził. Potem trochę odpłynął i zaczął opowiadać o strasznych rzeczach, które widział w Afganistanie. Był tam jakiś prezydent, którego talibowie powiesili na latarni i odcięli mu fiuta. I jeszcze jakaś kobieta, której strzelili w tył głowy. Musiał być świadkiem tej egzekucji.

Micaela przypomniała sobie morderstwo skrzypaczki, o którym opowiadał Jonas, ale potem pomyślała, że talibowie rzeczywiście rozstrzeliwali kobiety w publicznych egzekucjach i zganiiali ludzi, żeby się temu przyglądali. Sama oglądała jakieś straszne nagranie wideo ze stadionu Ghazi w Kabulu.

– Jak sądzisz, dlaczego o tym opowiadał?

– Nie wiem – przyznała Tove. – Był dość pijany i już tak dobrze wszystkiego nie pamiętam. Ale miałam wrażenie, że znajdował się bardzo blisko. Mówił, że tamta kobieta była bardzo chuda. Widział jej łopatki pod bluzką.

– Bluzką?

– Czy raczej burką. Już nie pamiętam. Ale zapamiętałam, że patrzył na mnie z wielką intensywnością, kiedy o tym mówił. Jakby to bardzo głęboko w niego zapadło.

– Dlaczego nam o tym nie opowiedziałaś?

Tove Lehmann rozejrzała się po sali i znów sprawiała wrażenie, jakby chciała stąd uciec.

– Bo zadzwonił do mnie znowu, kilka dni po tym naszym spotkaniu, i był wściekły.

– A dlaczego?

– Bo reportaż był powtarzany w porannym paśmie, a agencja AFP wyko-
rzystała fragmenty wywiadu w materiale o piłce nożnej pod rządami tali-
bów. Tamten materiał pokazało jakieś piętnaście krajów.

– A więc nie udało ci się zatrzymać dalszego rozpowszechniania.

– Kiedy reportaż zostaje wyemitowany, nie mamy nad nim już prawie
żadnej kontroli.

– Jemu też to powiedziałaś?

Tove popatrzyła na swoje dłonie.

– Może nie tak otwarcie.

– A więc był rozczarowany?

– Powiedział, że oni teraz po niego przyjdą. Krzyczał, że go oszukałam
i całą masę różnych bzdur, a ja odparowałam: „Skoro tak się ich boisz, to
dlaczego w ogóle zgodziłeś się wystąpić?”. Wtedy rzucił słuchawką. To był
nasz ostatni kontakt.

– No a potem został zamordowany.

Tove wyrzała przez okno. Mięśnie jej szczęk były napięte.

– A ty się przestraszyłaś, że to właśnie ty zwabiłaś tu jego wrogów, więc
nie puściłaś pary z ust o waszym spotkaniu – ciągnęła Micaela.

– Ale co powinnam zrobić twoim zdaniem? Wsiąść do jakiegoś pieprzo-
nego wehikułu czasu, wrócić tam i wszystko naprawić?

Micaela mimo wszystko spojrzała na nią pojednawczo.

– Jeśli coś ci to da, to mogę ci powiedzieć, że to my spieprzyliśmy śledz-
two, nie ty.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo.

– Czy mogę zapytać, co się stało z twoją twarzą? – powiedziała Tove.

– Upadłam.

– Wygląda na to, że dzisiaj powinnaś była zostać w domu.

– Nie mówisz poważnie – stwierdziła Micaela. – A tamta kobieta, której
strzelono w głowę, czy Kabir nic więcej o niej nie mówił?

– Nie – odparła Tove. – Ale jak tak pomyśle... sama nie wiem.

Micaela nachyliła się bliżej.

– O co chodzi?

– Miałam wrażenie, że był podekscytowany, kiedy o niej mówił. Miał w oczach *schadenfreude*, jak by to powiedział mój ojciec.

Kroki się zbliżały, aż wreszcie Sigrid zobaczyła w drzwiach sylwetkę mężczyzny. Była tak przerażona, że dopiero po chwili rozpoznała Magnusa.

– Święty Boże, Magnus! Ale mnie wystraszyłeś! – wykrzyknęła i poczuła ochotę, aby go zrugać. Powinien przecież zapukać albo przynajmniej zareagować na jej wołanie.

Ale nie doszło do tego. Coś w jego spojrzeniu, jego spięta, nachylona do przodu sylwetka sprawiły, że nie mogła się odprężyć. Magnus miał na sobie dwurzędowy garnitur i czerwony krawat, jego oczy błędziły niespokojnie dokoła, jakby czegoś szukał. Wyglądał, jakby utył od ostatniego razu, co potęgowało wrażenie buldogowatości jego ciała.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – zapytał.

„Co ty, u diabła, sam wyprawiasz?!“ – chciała zakrzyknąć pani Hansson.

– Z twoim bratem źle się dzieje – wyjaśniła.

– O nie – jęknął Magnus, podbiegł do łóżka i uniósł powiekę Hansa. Spoliczkował go kilka razy.

Hans zaczął cicho pojękiwać, nawet zdawał się mamrotać jakieś niejasne zdania.

– Nic mu nie jest. Zaraz stanie na nogi – stwierdził Magnus.

– Uważam, że mimo wszystko powinniśmy zadzwonić do doktora Richtera.

– Ech, daj mu się wyspać. Ale o co właściwie chodzi z tym całym cyrkiem?

– Co masz na myśli? – zapytała pani Hansson, przepelniona poczuciem winy.

– Dopiero co był taki zadziorny i prowokujący, a teraz leży tu całkiem zaćpany – ciągnął Magnus.

– On ma nawrót depresji, przecież wiesz, Magnusie.

– Jasne, oczywiście. Ale normalnie trzyma się tylko jednego stanu na raz – mówił dalej Magnus głosem, który wydał się pani Hansson zimny.

Chciała zapytać, czy miał coś wspólnego z tym samochodem dyplomatycznym na ulicy. Chyba się tego domyślił. Poklepał ją po ramieniu i oświadczył, że Hans ma ogromne szczęście, że ona jest przy nim.

– Jesteś jak opoka, Sigrid. Ale idź i zrób mu kawę, a ja się rozejrzę. Chciałbym wiedzieć, jak się tu urządził.

Potem wyszedł z sypialni, z tą swoją nachyloną do przodu sylwetką, nieco agresywnym krokiem, a pani Hanssen przez chwilę nie wiedziała, co ma zrobić. W końcu poszła za nim i zrozumiała, że Magnus szuka czegoś konkretnego.

– Nie umiem się zorientować w tej norze, to prawdziwy labirynt – pomstował.

– Czego szukasz?

– Jego gabinetu.

– Jest po lewej, ale... – Nie zdążyła dokończyć zdania.

Magnus rzucił się do pokoju, potem prosto do biurka i zaczął przeszukiwać papiery brata z jakąś niecierpliwą energią pełną irytacji. Wtedy pani Hansson poczuła w trzewiach, że to było niewłaściwe, on nie miał prawa tego robić.

– Naprawdę nie sędzę, żeby... – zaczęła.

– *Iris afghanica*. – Magnus odczytał na głos notatkę w bloku na biurku. – Zajmuje się jakimis̄ badaniami botanicznymi?

– Ależ drogi Magnusie... – spróbowała znów pani Hansson.

– Znasz hasło do jego komputera?

– Muszę cię poprosić, żebyś stąd wyszedł.

– Ech, przecież my nie mamy przed sobą żadnych tajemnic – powiedział, całkowicie ignorując jej słowa, i włączył komputer.

Pani Hansson zastanawiała się, czy nie powinna przyjaźnie, acz zdecydowanie wypchnąć go z tego pokoju. Ale w tej samej chwili rozległy się kroki, posuwiste, coraz bliższe, i słowa:

– Powiedziałbym raczej, że mamy przed sobą same tajemnice. Tylko czasami trochę uchylamy ich rąbka i udajemy szczerłość.

– Hans! – zawołała pani Hansson i odwróciła się w jego stronę. – Nie powinienś wstawać! – I to była prawda.

Wyglądał przerażająco: spocony i półprzytomny, z wilgotnymi włosami przyklejonymi do policzka. Z trudem utrzymywał się na nogach. Oparł się o framugę drzwi, zdyszany, najwyraźniej zmagając się z mdłościami. Ale przynajmniej wstał i to musiało znaczyć, że sytuacja nie była dramatyczna.

– A więc, innymi słowy, wynoś się stąd, Magnusie – zakończył.

– Tak, tak, oczywiście. Byłem tylko trochę niespokojny, kiedy zacząłeś znów gadać o Kabirze. Czy nie zgromadziłeś już wystarczająco dużo wrogów?

– Ja ich kolekcjonuję. Wyjdź – syknął Hans i przez krótką chwilę wyglądało na to, że bracia zaraz rzucają się na siebie.

Potem jednak Magnus się uśmiechnął, na jego twarzy pojawiło się nawet pewne ciepło, i zwrócił się do Sigrid:

– No widzisz, nic mu nie dolega.

Wychodząc z gabinetu, poklepał Hansa przyjaźnie po plecach. To mogło się wydawać niemal wzruszające.

Hans odpowiedział krzywym uśmiechem, jakby przez sekundę był raczej ubawiony niż wściekły, a pani Hansson przypomniała sobie sceny z ich dzieciństwa, kiedy kłócili się w taki sam sposób i w jednej chwili potrafili się pogodzić. Chociaż... tym razem to było tylko powierzchowne. Coś niewypowiedzianego i groźnego nadal wisiało w powietrzu.

Magnus przyglądał się ruchom swojego brata, jakby naradzał się sam ze sobą.

– I oczywiście możesz się zajmować wszystkim, czym tylko chcesz – powiedział.

– Jakie to wspałałomyślne z twojej strony.

– Tylko będę zmartwiony, jeśli wyniki twoich badań trafią bezpośrednio do komendy policji w Solnie.

Hans spojrzał zdumiony na brata, jakby nie zrozumiał albo raczej jakby nagle odpłynęła z niego cała krew.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Właśnie miałem telefon od komendanta Falkegrena, który był mocno zestresowany. Zapytał, czy to prawda, że potwierdziliśmy twoje wnioski na temat obrażeń Kabira.

Hans nie odpowiedział. Ruszył tylko w stronę salonu, ale zaraz się zachwiał. Magnus podbiegł do niego i zaprowadził go na sofę. Hans dyszał ciężko. Zamknął oczy i usiadł, jakby tamten wybuch kosztował go wszystkie siły. Magnus czujnie go obserwował.

– Czy wiesz coś o tym, dlaczego komendant nagle się obudził i popadł w paranoję? – ciągnął.

– Może na przykład dlatego, że ukrywacie prawdę.

– To nie jest takie proste, sam przecież wiesz.

– Zwłaszcza kiedy tak nam zależy, żeby zginać kark przed obcym mocarstwem – wymamrotał Hans.

– Ty już się w tym nie orientujesz – parsknął Magnus. – Ale chętnie ci to wytłumaczymy. Kleeberger może cię przyjąć dzisiaj o trzeciej.

Hans przyłożył sobie dłoń do czoła.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Więc może powinieneś zapomnieć o tej historii i pójść na odwyk?

– Może tak.

Sigrid od razu zauważyła, że ta odpowiedź ucieszyła Magnusa, nawet jeśli ze wszystkich sił starał się to ukryć.

– To i tak nie jest sprawa, która mogłaby cię stymulować.

– Rzeczywiście, chyba nie.

– Co takiego się stało, że znów się tym zajmiesz? – pytał dalej Magnus, pozornie z roztargnieniem, ale Sigrid nagle stała się czujna.

Nawet jeśli nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, w tej chwili dwie rzeczy były dla niej jasne: jedna, że odpowiedź na pytanie Magnusa brzmiała „Micaela” – to dzięki niej Hans zajął się jakimś starym śledztwem – a druga, że Magnus coś ukrywa i nie chce, żeby Hans w tym grzebał. Normalnie nie wątpiłaby ani przez chwilę, że Hans widzi tę sytuację o wiele jaśniej niż ona, ale teraz nie była taka pewna i zaniepokoiła się, że on może powiedzieć o kilka słów za dużo.

– Wydaje mi się, że Hans potrzebuje odpoczynku – rzekła.

– Nie wtrącaj się w to, Sigrid. To nie są sprawy, o których masz pojęcie. – Potem Magnus znów zwrócił się do brata: – Z kim rozmawiałeś?

– Spotkałem pewną osobę w metrze – odpowiedział Hans, jakby niczego nie podejrzewał, a nawet nie był do końca przytomny.

– W metrze?

– Właśnie. Ciągle próbuję nowych rozrywek. – Popatrzył przymrużonymi oczami na wielkie okno i może nawet się uśmiechnął.

„To chyba dobry znak” – pomyślała Sigrid.

– A kto to był?

– Chyba wtedy też musiałem być pod wpływem – mówił Hans powoli. – Nie pamiętam tak dobrze.

– Nie wygłupiaj się.

– Ależ skąd, jestem poważny jak zawsze. Ale może ucieszy cię wiadomość, że nie dam rady dzisiaj rozmawiać z Kleebergerem. Macie więc swoje intrygi na szczytach władzy tylko dla siebie.

– Mądra decyzja – pochwalił Magnus.

Miał przy tym tak zadowoloną minę, że Sigrid chciała krzyknąć do Hansa: „Nie wycofuj się teraz, spotkaj się z Kleebergerem, postaw ich pod ścianą!”.

Ale może to było tylko prymitywne pragnienie zemsty za to, że Magnus tak ją wystraszył, bo przecież poza tym nie miała z tym nic wspólnego. Odprowadziła gościa do drzwi.

Micaela wyszła z budynku telewizji pogrążona w myślach o Kabirze. Kim on właściwie był? Nadal tego nie wiedziała, a ból głowy też nie odpuszczał. Przecież mogła zostać w domu z Vanessą. Nie powinna przez cały czas udawać, że jest taka silna. Głupotą było wierzyć, że uda jej się coś, na czym cały zespół śledczy połamał sobie zęby.

Kawałek dalej na Oxenstiernsgatan odbywały się zdjęcia do filmu, omięła je, idąc drugą stroną ulicy i skierowała się w stronę Strandvägen. Był już kwiecień. W powietrzu jednak nie czuło się wiosny. Niebo było ciemne. Micaela szczerzej otuliła się kurtką. Wydawało jej się, że przy moście Djurgårdsbron widzi Julię. Przypuszczalnie się pomyliła. Z daleka większość dziewczyn tutaj wyglądała jak Julia: zwiewne, piękne, dobrze ubrane. Jakie to mogło być uczucie dorastać jako córka Rekkego?

Czy boisz się wtedy, że nie sprostasz jego oczekiwaniom i go rozczarujesz? A może zakładasz, że wybitną inteligencję dostaniesz za darmo, jako część przywilejów, z którymi się urodziłaś? Micaela pozwoliła myślom błądzić swobodnie, aż doprowadziły ją do Prison of Darkness, więzienia o nazwie jak z ponurej baśni.

Informacja o tym więzieniu nie tylko wywróciła do góry nogami całe śledztwo. Zmieniła także jej sposób widzenia Kabira. Tortury postrzegala zawsze bardzo emocjonalnie. Jej ojciec był torturowany w Chile – tamte wydarzenia stały się niejako częścią jego osobowości. Może dlatego od razu tak się zaangażowała w sprawę Kabira. Wierzyła, że on, tak samo jak jej ojciec, był torturowany za swoje przekonania. Ale teraz... teraz trochę więziennego mroku przeszło też na niego.

Nadal był ofiarą tortur. Może nawet gorszych, niż im się początkowo wydawało. A jednak teraz dwa obrazy zderzały się ze sobą w jej wyobraźni: Kabir jako ofiara oraz Kabir jako ewentualny sprawca czegoś nienazwanego, do czego doszło w Kabulu. Nie próbowała spekulować na ten temat,

przynajmniej zanim nie porozmawia z Rekkem. Już nie miała daleko do jego mieszkania.

Czy powinna od razu wjechać na górę, czy najpierw zadzwonić? Żadna z tych możliwości nie była pociągająca. Bardzo chciała się z nim zobaczyć i opowiedzieć, czego się dowiedziała od Jonasa Beijera. Jej ciało spięło się w oczekiwaniu, ale równocześnie wróciły dawne kompleksy. Dlaczego była taka niemądra? Odsunęła w myślach obraz Rekkego w Djursholmie i zamiast tego przypomniała sobie, jak wyglądał na peronie metra. To dodało jej trochę siły, więc wybrała jego numer. Ale oczywiście nie odebrał. Micaela zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak wrócić do domu, może Vanessa jeszcze tam jest. Wtedy Rekke oddzwonił, a ona aż podskoczyła.

– Cześć – powiedziała.

– Jak się czujesz?

Miał zmęczony głos.

– W porządku – odparła. – Masz zmęczony głos.

– Nie jest tak źle.

– Mam nowe informacje – rzuciła Micaela.

– To świetnie – stwierdził takim tonem, jakby go to nie obchodziło albo wręcz jakby nie słuchał.

Micaela pomyślała więc, że może jednak powinna go zostawić w spokoju. Ale potem postanowiła to wyjawić.

– Kabir, on...

– Gdzie jesteś? – przerwał jej Rekke.

– Całkiem niedaleko.

– No to zajrzyj do mnie – powiedział.

Jego głos brzmiał trochę bełkotliwie, ale Micaela nie zaprzętała sobie tym głowy, tylko skrzyła w Grevgatan i podeszła do żółtej bramy z numerem 2B.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Martin Falkegren siedział przy biurku i czuł, że zaczyna panikować. Czy naprawdę to Amerykanie torturowali Kabira? Czyżby profesor Rekke mimo wszystko miał rację?

Prawie tak to wyglądało, kiedy rozmawiał z jego bratem. Czyżby wszystko teraz ponownie zważyło im się na głowy? Wystarczająco ciężko było, kiedy wypuścili Giuseppe Costę, a teraz... Co się mogło zdarzyć? Nowa nagonka w prasie była pewna.

Odepchnął te myśli i przypomniał sobie swoje spotkanie z Rekkem, jego wykład na uniwersytecie. Tyle było szumu wokół niego, że Falkegren był bardzo dumny, kiedy udało mu się go wciągnąć do śledztwa. „Jakiż to genialny pomysł” – myślał wtedy. „Jakie sprytne posunięcie”. Ale potem... wszystko się odwróciło.

Charles Bruckner z ambasady amerykańskiej – którego wtedy właśnie poznał, zupełnie przypadkiem, jak sądził – zadzwonił i powiedział, że profesorowi nie można ufać, no a on okazał się idiotą i dał się przekonać. Ale teraz, jasny szlag by to trafił, musiał zadać sobie pytanie, czy Charles go nie wykorzystał i nie nakłamał mu prosto w oczy.

Nie, nie... Martin nie mógł w to uwierzyć. Przecież Amerykanie nie mogli skuć łańcuchami sędziego i torturować go jak jacyś barbarzyńcy. To chyba nie było możliwe? Mimo to musiał zacząć działać. Zjadł ostatnie lukrecjowe żelki z miseczki na stole i zadzwonił do Franssona. Ten odebrał po pierwszym sygnale i powiedział, że to bardzo dobrze, że Falkegren dzwoni.

– Dlaczego bardzo dobrze?

– Bo rozważamy, czy nie przyjąć znowu Vargas do zespołu – wyjaśnił Fransson.

Martin pamiętał, że Jonas Beijer o tym wspominał, i zastanawiał się, czy to miało coś wspólnego z tymi nowymi informacjami.

– Nigdy w życiu – powiedział kategorycznie. – Jej brat jest przecież kimś w rodzaju mafioza, prawda?

– Właściwie to tak – przyznał Fransson. – Ale potrzebujemy w tej sprawie świeżej energii, a ostatnio okazało się, że Vargas potrafi docierać do nowych informacji.

– Doprawdy? – odparł Martin, pełen złych przeczuć.

– Poza tym ona i tak grzebie w tej historii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właśnie dzwoniła do mnie Tove Lehmann, wiesz, ta reporterka, która zrobiła materiał o Kabirze dla „Echa Sportu”. Vargas rozmawiała z nią z własnej inicjatywy.

– Więc chyba nie należy jej za to nagradzać?

– Może nie. Ale wydaje mi się, że lepiej jest mieć ją pod ręką na tym etapie.

Falkegren próbował uporządkować myśli, bo w jego głowie właśnie rozpętała się burza.

– Czy to Jonas przyszedł z tą propozycją?

Fransson zawahał się chwilę.

– Tak, on.

– Czy mówił, że rozmawiał ze mną?

– Chyba nie.

„No to dobrze, mimo wszystko” – pomyślał Martin. Zdecydował, że zadzwoni do Magnusa Rekkego i zmusi go, żeby ten porozmawiał z nim otwarcie.

Micaela odwróciła się na pięcie. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, ale zobaczyła jedynie młodego mężczyznę, który stał przed bramą sąsiedniej kamienicy i spoglądał na zatokę. „Wydawało mi się” – pomyślała i wsiadła do windy.

Pani Hansson czekała na nią w drzwiach. Rozmawiała właśnie przez telefon i gestami wytłumaczyła jej, że Rekke leży w łóżku. Micaela zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku, a potem przeszła przez salon, obok fortepianu. Kroczenie po parkiecie miało w sobie coś uroczystego. Nadal miała poczucie, jakby wkraczała w obcy i zakazany świat. Przypomniała sobie swojego ojca i wszystkie książki, jakie były w domu za jego czasów. Lucas potem się ich pozbył, jakby chciał pokazać, że to on teraz przejął władzę.

– Halo, dzień dobry, mogę wejść? – zawołała, zbliżając się do sypialni.

– Witaj – powiedział Rekke.

Znów poczuła, jak bardzo chce się z nim podzielić tym wszystkim, czego się właśnie dowiedziała. Ale jej oczekiwania się rozwiały, kiedy go zobaczyła. Siedział na łóżku w pełni ubrany. Wszystko w nim było zwiędłe i blade, z trudem udawało mu się utrzymać otwarte powieki. Lepiej wyglądał wtedy, gdy stał na peronie.

– Dobry wieczór – powiedział.

– Dopiero zaczyna się popołudnie – odparła Micaela.

– No właśnie, tak – wymamrotał. – A jak tam twój ból głowy?

– Nagle ustąpił, kiedy cię zobaczyłam.

– A więc już coś osiągnąłem.

– Co ty zrobiłeś? – zapytała Micaela.

– Nie byłem rozsądny.

– Powinam była wyrzucić twoje tabletki. Może nawet zrobię to teraz.

Rekke uśmiechnął się słabo. Poruszył wargami, jakby chciał powiedzieć o tym kilka żartobliwych słów. Ale widocznie zabrakło mu siły. Jego twarz się zapadła, drżącą dłonią wytarł pot z czoła.

– Powinieneś się ogarnąć – rzuciła Micaela z pasją, która ją zaskoczyła.

– To prawda – przyznał.

– Pani Hansson mówi, że zaczęli cię obserwować. Podobno jakiś podejrzany samochód stoi na ulicy.

– To raczej nic szczególnego.

Micaela popatrzyła na niego uważnie: był całkiem zgaszony. Musiała się zastanowić, jak sformułować wypowiedź.

– Mam nowe informacje – zaczęła i odczekała chwilę w nadziei, że zapyta jakie.

Ale on tylko spojrzął na nią zrezygnowany. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zniknąć jej z oczu.

– Tak mówiłaś – wymamrotał.

– Kabir miał rzeczywiście powiązania z talibami.

– Ach tak? – powiedział bez zainteresowania.

– Był zaprzyjaźniony z mułłą Zakarią, tym egipskim bezpieczeństwa, jednym z najwyższych przywódców talibów. Zakaria został zastrzelony w zeszłym roku w Kopenhadze przez duńskie służby.

Rekke skinął głową. Micaela była pewna, że w końcu udało jej się przykuć jego uwagę, ale on tylko zamknął oczy i zmarszczył czoło.

– Przykro mi. Muszę odpocząć. Może jutro znów porozmawiamy – powiedział.

Miała ochotę na niego krzyknąć, tylko że to nic by nie dało. Usiadła więc znów w brązowym fotelu, zastanawiając się, czy powinna poczekać, aż Rekke się obudzi, czy po prostu pójść do domu. Nie miała ochoty na nic. Nagle poczuła się samotna. Tak bardzo się cieszyła na rozmowę z nim, może nawet miała nadzieję, że znów dostrzeże coś, czego nikt inny przedtem nie zauważył. Ale on leżał tylko z wyrazem udręczenia na twarzy i wyglądał jak Simón albo inne ćpuny, z którymi zetknęła się w pracy. Znów było trochę tak jak na peronie. Cały jej dawny podziw dla niego gdzieś się rozplynął i zamiast błyskotliwego naukowca i odkrywcy prawdy widziała wrak, człowieka, który nie był w stanie utrzymać się w pionie. Siedziała więc tylko, a jej myśli błądziły bez celu.

Usłyszała, że Rekke wzdycha, wierci się na łóżku, i z braku lepszego pomysłu powiedziała:

– On prześladował muzyków. Rozbijał ich instrumenty.

Rekke otworzył oczy i popatrzył na sufit.

– Słucham?

– Kabir dostał szału i w ataku agresji rozwalil między innymi klarnet i skrzypce – ciągnęła Micaela, a Rekke powoli odwracał się w jej stronę.

Potem jednak znów zamknął oczy i oddychał ciężko. „Nie opłaca się z nim gadać” – pomyślała. Gdzieś dalej, na Strandvägen zawyła karetka. Wiatr uderzał w szyby. Micaela wstała z fotela, żeby iść do domu, a może tylko zajrzeć do kuchni i zobaczyć, czy pani Hansson już skończyła rozmawiać przez telefon.

I właśnie wtedy, kiedy już prawie wyszła z pokoju, Rekke znowu się poruszył. Jego oczy przesuwaly się pod powiekami, jakby miał sen albo nagle coś zobaczył przed sobą, ciało zesztyniało, całe wyczerpanie nagle przeszło w ogromne napięcie. Potem prawą ręką wykonał niespodziewany zamaszysty gest, który Micaeli wydał się dziwnie znajomy. Przypominał pełen gracji ruch taneczny.

– Co to było? – zapytała.

– Czy możesz mi pomóc? – powiedział Rekke. – Potrzebuję... – Wyciągnął do niej rękę, a ona szarpnięciem pomogła mu wstać z łóżka.

– Czego potrzebujesz? – zapytała.

– Czegoś, co rozproszy mgłę. Muszę pomyśleć – odparł i poczłapał do łazienki.

Carl Fransson chciał pobiec do komendanta policji i zrobić mu awanturę. Czuł się jednak zbyt ociężały na takie gwałtowne akcje, naprawdę powinien schudnąć. Tyle rzeczy powinien. Ale na to przyjdzie czas później, latem. Teraz był bardzo zajęty, a przed nim siedział Jonas Beijer, który wyglądał dość wyzywająco. „Nie!” – chciał zakrzyknąć komisarz. „Nie chcę Vargas przy tym śledztwie, nigdy w życiu. Ona nam nie ufa i nie mogę na

niej polegać”. Tylko że... to był drobiazg w tej całej sytuacji. Jediną naprawdę ważną rzeczą było to, co Jonas Beijer opowiadał o Falkegrenie.

– Jak on mógł ukryć coś takiego? – zapytał Fransson.

Jonas rozłożył bezradnie ręce.

– Ktoś z amerykańskiej ambasady to zdementował, a może on sam też w to nie wierzył. Ma duży szacunek dla USA jako państwa prawa.

Fransson był jeszcze bardziej wściekły.

– To się praktycznie nadaje do prokuratury – prychnął.

– Tak, kiepsko to wygląda.

– I co my mamy teraz zrobić?

– Na początek powinniśmy sprawdzić, czy to prawda. Ale nie mogę złapać nikogo z MSZ, kto by się orientował.

– Więc gdzie w takim razie Vargas mogła to usłyszeć?

Jonas miał minę, jakby wiedział więcej, niż chce powiedzieć, i to rozdrażniło Franssona.

– Wiedziałem, że Kabir był kimś w rodzaju terrorysty – wymamrotał.

– Wiedziałaś? – upewnił się Jonas.

– Od samego początku – odparł Fransson, co nie całkiem się zgadzało, ale też nie było całkowicie nieprawdziwe.

Już przedtem był sceptycznie nastawiony do Kabira, kiedy inni go wychwalali, a im dłużej zajmował się śledztwem, tym bardziej potwierdzały się jego przeczucia. To prawda, że nadal niewiele o nim wiedzieli, ale zdobywanie informacji z tamtego kraju to nie była bułka z masłem. Nie chodziło tylko o język czy łącza telefoniczne ani o całą tę niemrawą biurokrację w Kabulu. Było tam też coś podejrzanego, pewnego rodzaju opór.

– Nie powinniśmy tak bardzo ufać Amerykanom z Kabulu – powiedział Beijer.

– A co innego mogliśmy zrobić? – rzucił rozeźlony Fransson. – Lokalna policja jest przecież całkiem skorumpowana.

– Nie jestem taki pewien.

– No dobra, to teraz zmykaj i zobacz, czy uda ci się potwierdzić te rewelacje – burknął Fransson, po czym z jakiegoś powodu przypomniała mu się Lovisa Rekke.

Czasem pojawiała się w jego myślach, kiedy czuł się szczególnie zagrożony, więc dla pewności kazał Jonasowi się pośpieszyć.

Rekke otworzył apteczkę w łazience, zastanawiając się, co powinien wziąć. Potrzebował czegoś, co da mu kopa. Desperacko potrzebował rozjaśnienia myśli.

Przeszukał szafkę i w końcu zdecydował się na fiolkę Attentinu, po czym łyknął całą garść. Może trochę przesadził, ale koniecznie musiał coś zrozumieć.

Znalazł Micaelę na sofie obok fortepianu. Wyglądała na zaniepokojoną i równocześnie zaciekawioną, więc starał się ze wszystkich sił stawiać kroki prosto i porządnie. Potem usiadł naprzeciwko niej na fotelu i przyjrzał się jej siniakowi.

– A więc Kabir niszczył instrumenty muzyczne – powiedział.

– Najwyraźniej w napadach wściekłości – dodała Micaela.

– Na własną rękę?

– Nie, wygląda na to, że brał udział w prześladowaniach muzyków prowadzonych przez talibów. Był luźno powiązany z jednym z ministerstw.

Rekke zastanawiał się nad czymś jeszcze przez chwilę.

– Mówiłaś o klarncie i skrzypcach. To nie są szczególnie popularne instrumenty w tamtych krajach.

Micaela spojrzała na niego intensywnie, niemal z nadzieją.

– To się działo na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku – powiedziała. – Talibowie urządzali polowania na ludzi wykonujących zachodnią muzykę klasyczną, którzy zostali wykształceni przez Rosjan. Zdarzały się także morderstwa, jak mówił mój kolega, między innymi pewnej uzdolnionej skrzypaczki.

– To ciekawe – skomentował profesor i zamknął oczy.

Rekke wyglądał, jakby wprawiał się w rodzaj transu. Jego ciało się spięło, a pod powiekami znów było widać poruszające się gałki oczne. Może będzie miał atak? Micaela miała takie przeczucie. Ale nagle otworzył oczy, a jego lewa noga zaczęła podskakiwać.

– Co się dzieje? – zapytała.

Rekke odwrócił się do niej.

– Jak mam to powiedzieć, żeby nie wyjść na wariata? Wcześniej zwróciłem uwagę na to, jak Kabir porusza się na boisku.

– My też. Te ruchy są niezwykle.

– Są niezwykle. Ale ja widziałem tam coś bardziej konkretnego. Przynajmniej przez pewien czas tak myślałem. Potem to odrzuciłem, uznałem, że to tylko projekcja, oznaka mojej *déformation professionnelle*.

– Czego? – zapytała Micaela.

– Myślałem, że dawny zawód wpływa na mój ogląd. Kiedy jestem w fazie manii, to jest trochę tak, jakbym patrzył w lustro. Dostrzegam swoją własną rzeczywistość w innych.

– Co w takim razie widziałeś w ruchach Kabira?

– Widziałem technikę, która zdawała się przeniesiona z jednego świata do innego. Ale przede wszystkim widziałem siebie w Juilliardzie. Widziałem to, czego nigdy nie udało mi się opanować.

– Co to takiego?

– Ruch wznoszący dla crescendo, łagodzący dla diminuendo. Wydawało mi się, że widzę krótkie gwałtowne ruchy dla staccato, potem jeden długi i powłóczysty dla legato. Wydawało mi się, że widzę poczucie władzy u osoby, która każe grać i potem przestać.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Że były momenty na stadionie Grimsta, kiedy ruchy Kabira wydawały się wyćwiczone, zachowane w jego ciele, jakby powtarzał je przez całe godziny, dni i lata, ale nie po to, żeby sędziować mecze, tylko żeby stać przed orkiestrą. Miałem po prostu wrażenie, że Kabir był dyrygentem. Albo przy-

najmniej marzył o tym i ćwiczył w tym celu. Wydawało mi się nawet, że rozpoznaję rosyjskie naleciałości w jego technice. Coś z Musina i Bielińskiego.

– To brzmi... dziwnie.

– Tak – przyznał Rekke w zamyśleniu. – Nie spodziewasz się tego po mechaniku motocyklowym z małej wioski pod Kandaharem.

– A jednak w to wierzysz?

– Wierzę, że może nie do końca postradałem rozum.

Micaelę przeszedł zimny dreszcz, taki sam jak wtedy, kiedy Rekke mówił o obrażeniach Kabira.

– A więc chcesz powiedzieć – zaczęła – że ta nienawiść do muzyki może kiedyś przedtem...

– ...była miłością? – dokończył Rekke.

– Boże, co my możemy z tym zrobić?

– Powinniśmy przyrzeć się bliżej prześladowaniom muzyków i zrozumieć, dlaczego Kabir brał w nich udział. Czy nie mówiłaś, że zamordowano też jakąś skrzypaczkę?

– Tak.

– A więc dowiemy się więcej o tej sprawie i zidentyfikujemy środowisko, które zajmowało się zachodnią muzyką klasyczną w Kabulu podczas okupacji rosyjskiej.

Micaela popatrzyła w kierunku pianina i uśmiechnęła się sama do siebie, jakby właśnie coś odzyskała, choć wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że to zgubiła.

DWADZIEŚCIA DWA

Micaela wyszła do kuchni, żeby pomyśleć. Przypomniała sobie, kiedy sama po raz pierwszy zwróciła uwagę na gesty Kabira na boisku.

To było podczas jej pierwszego tygodnia w zespole śledczym. Często nie miała wtedy jeszcze konkretnych zadań. Przeważnie siedziała i czekała, aż poproszą ją o załatwienie jakiejś drobnej sprawy czy szybkie zweryfikowanie faktów dla kogoś innego. Dlatego mogła w tajemnicy robić różne rzeczy z własnej inicjatywy i czasem zajmować się czymś, co niekoniecznie było ważne, ale w danej chwili wydawało jej się interesujące.

W jeden z takich poranków oglądała nagranie meczu z Grimsty zrobione dla klubu Brommapojkarna. Głównie po to, aby zobaczyć, jak Beppe znienacka wpada na pole karne pod koniec meczu, ale też żeby bez uprzedzeń przyjrzeć się sytuacji na boisku. I wtedy właśnie okazało się, że nie może oderwać wzroku od Kabira. Najpierw sama nie wiedziała, co ją tak zafascynowało, zresztą sędzia nie pojawiał się często na ekranie. Po chwili zrozumiała, że zainteresowała ją nie tylko poważna, naznaczona smutkiem twarz mężczyzny, lecz także jego ruchy. Nie dlatego, że były dziwne i urywane. Chodziło też o timing.

– Kabir dziwnie gestykuluje – powiedziała do Jonasa Beijera, który akurat przechodził obok.

Jonas uśmiechnął się krzywo.

– Wiem – przyznał. – Jak mały Napoleon.

Micaela nie uważała, że porównanie do Napoleona jest trafne. Te ruchy były zarówno nagłe i szybkie, jak i łagodnie falujące, niczym pieszczota. Jakby Kabir nie tylko sędziował mecz, lecz także wyobrażał sobie, że zawiaduje samą grą. „Tutaj, tutaj” – zdawały się mówić jego ręce, kiedy drużyny

zmieniały ustawienie. „Naprzód, naprzód” – machał, kiedy gracze ruszali do ataku.

Potem próbowała rozmawiać o tym z Franssonem. „Tak, tak” – powiedział. „Dość niezwykle, owszem, ale to nic, czym należałoby się przejmować. Każdy ma inny sposób gestykulacji” – i oczywiście miał rację. A jednak ta pozornie mało istotna myśl pozostała w jej pamięci. Czasem zastanawiała się nad tym i doszła do wniosku, że te gesty wzmacniały autorytet Kabi-
ra. Ale dyrygent... Czy to w ogóle możliwe?

– Jak bardzo jesteś pewny? – zapytała Micaela, powróciwszy z kuchni ze szklanką wody.

Rekke siedział zgięty w pół, z głową w dłoniach. Wiatr uderzał w wielkie okno.

– Jak bardzo jesteś pewny, że on był dyrygentem? – powtórzyła.

Profesor zgiął się jeszcze bardziej.

– Wcale nie jestem – odpowiedział. – Jak mówiłem, nie jestem już osobą, na której można polegać.

– Ale... – zaczęła Micaela i usiadła obok niego.

– Ale to jasne – ciągnął Rekke, jakby chciał uczynić zadość jej woli. – Kiedy sformułujesz taką myśl, zaraz pojawiają się okoliczności, które za nią przemawiają. Światło zaczyna inaczej padać.

– I to właśnie teraz się dzieje, to masz na myśli?

– Tak, trochę tak, choć powinienem popatrzeć jeszcze raz na zdjęcia z obdukcji.

– Co chcesz tam znaleźć?

– Na razie wolę o tym nie mówić. Ale mogę powiedzieć tyle, że jeśli naprawdę był dyrygentem albo przynajmniej ćwiczył w tym kierunku, musiał też na czymś grać. Nikt nie zostaje dyrygentem bez opanowania jakiegoś instrumentu. Dawno temu mogłem często, czy też wydawało mi się, że mogę... – Urwał i położył sobie dłonie na czole.

– Co ci się wydawało?

– Nic. Właściwie nic takiego.

Przez cały czas zdawał się poruszać między rezygnacją i nadzieją. Micaela poczuła nagły impuls, żeby złapać go mocno za przeguby dłoni albo najchętniej potrząsnąć nim jak szmacianą lalką.

– I tak będziemy musieli to sprawdzić – stwierdziła. – Powiedziałeś, że powinniśmy się przyjrzeć kręgowi ludzi, którzy grali muzykę klasyczną pod okupacją radziecką.

– Tak – przyznał – i może sytuacja wyjściowa jest mimo wszystko całkiem niezła.

– Co masz na myśli?

– Afganistan ma zupełnie inne dziedzictwo muzyczne. Mają inne tradycje i inne instrumenty. Jeśli mówimy tam o muzyce klasycznej, to prawie zawsze chodzi o hindustańską, styl muzyki klasycznej z północnych Indii.

– Co to oznacza?

Zamrugnął i złożył ramiona na piersiach.

– Że to jest coś zupełnie innego. Podczas gdy nasza muzyka klasyczna ma pięćset lat historii, tamta tradycja muzyczna datuje się na trzy tysiące lat wstecz, jest także blisko powiązana z religią. Muzyka hindustańska ma dwanaście półtonów, tak samo jak muzyka zachodnia. Tylko odstęp między nimi nie są takie same i nie rozróżnia się dur i moll. Nie mają też akordów ani głosów, a melodie często są improwizowane.

– Okej – powiedziała Micaela. – Ale co to oznacza dla nas?

– Że prawie wszyscy muzycy klasyczni w Afganistanie zajmują się właśnie muzyką hindustańską. Tych, którzy grali na klarncie czy na skrzypcach według wzorca zachodniego albo dyrygowali w taki sposób, jaki da się rozpoznać u Kabira, nie może być zbyt dużo. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby istniał jakiś inny system wyższego kształcenia takich ludzi niż pod kierunkiem Rosjan.

– Czyli chcesz powiedzieć, że obszar poszukiwań jest ograniczony?

– Bez wątplenia. Sądzę też, że ci, którzy grali klasyczną muzykę tradycji zachodniej, musieli w pewien sposób dorastać pod brytyjskim lub europejskim wpływem.

Micaela milczała, próbując uporządkować myśli. Czy właśnie ponosiła ich wyobraźnia, czy jednak teorie Rekkego mogły się potwierdzić? Nie wiedziała. Ale jeśli okazałyby się prawdą, Kabir musiał być zupełnie inną osobą, niż dotychczas myśleli, przypuszczalnie miał też inne nazwisko.

Przypomniała sobie, co mówiła Tove Lehmann: że Kabir mówił dobrze po angielsku, twierdził, że czytał rosyjskich pisarzy. Poza tym... Ożywiła się nagle.

– Czy mogę cię zapytać o coś zupełnie innego?

Rekke skinął głową.

– Jasne – powiedział.

– *Schadenfreude* – rzuciła Micaela. – Co to za wyrażenie?

Spojrzał na nią zaskoczony, tak niespodziewane było to pytanie.

– To niemieckie słowo – wyjaśnił. – Od *Schaden*, szkoda, i *Freude*, radość. Zawsze wolałem je niż szwedzkie słowo oznaczające to samo, czyli radość z cudzego nieszczęścia. A dlaczego pytasz?

– Rozmawiałam z tą dziennikarką sportową, która zrobiła reportaż o Kabirze. Mówił jej, że był świadkiem, jak zastrzelono kobietę w Kabulu. Tove twierdziła, że opowiadał o tym z *schadenfreude*.

– To dość rzadkie, że młodzi ludzie używają tego zwrotu.

– Wydaje mi się, że ojciec Tove jest Niemcem.

– Ach tak, a więc to ma sens.

– Ale co ty o tym sądzisz?

– Cóż, trudno powiedzieć. Ale zwykle powtarzam, że wszyscy czujemy pewną *schadenfreude*, kiedy widzimy, że obcych ludzi spotyka coś złego. Instynktownie myślimy: „Co za szczęście, że to nie byłem ja”. Często to uczucie występuje wraz z innymi, bardziej empatycznymi emocjami.

– W tym wypadku to chyba coś więcej.

– No tak, są też inne wytłumaczenia.

– Na przykład?

Rekke nerwowym ruchem przejechał dłonią po włosach.

– Co mogę powiedzieć? Nie wszystko w człowieku jest proste czy szlachetne. Czasem, kiedy widzimy, że cierpi ktoś, kogo nie lubimy, następuje wzmocnienie poczucia wspólnoty z podobnymi do nas. Utwierdzamy się w swoich ocenach i podkreślamy status grupy. Jest w tym trochę radości linczującego tłumu: zadowolenie, kiedy widzimy, że ktoś inny niż my ponosi karę za to, że odstaje.

– Rozumiem – powiedziała Micaela.

– Innym znów razem mamy poczucie, że życie samo zaprowadza sprawiedliwość, że ci, którzy nas skrzywdzili albo po prostu zachowali się paśkudnie, ponoszą karę. Tutaj często chodzi o słodczy zemsty. Poza tym możemy odnieść ewolucyjne korzyści z tego, że coś złego spotyka naszego rywala albo konkurenta. Cieszymy się, że nasza pozycja w stadzie się umocniła kosztem kogoś innego.

– Nieprzyjemne.

– A jednak całkowicie ludzkie.

– Mniej lub bardziej.

– No a czasami jest to po prostu czysty sadyzm.

– Pytałam głównie dlatego – pośpieszyła z wyjaśnieniem Micaela – że egzekucja z opowieści Kabira, wspomniana przez Tove Lehmann, zdaje się przypominać morderstwo tej skrzypaczki, o której mówiłam.

Rekke popatrzył na nią skoncentrowany.

– A to ciekawe. Jak się nazywa ta skrzypaczka?

Micaela trochę się zawstydziała.

– Nie wiem – przyznała. – Ale zaraz to ustalę.

Wyjęła z kieszeni swoją nokię i posłała Jonasowi Beijerowi SMS. Natychmiast dostała odpowiedź. „Latifa Sarwani” – napisał. „Zastrzelona w 1997 w Kabulu. Chyba uda się wkręcić cię do śledztwa. Fransson właśnie mięknie”.

Mięknie to było trochę za dużo powiedziane. Przy Vargas czuł się niepewnie, nie ufał jej też – jakaś cholerna laska z Husby z braćmi kryminalistami.

To była ostatnia osoba na świecie, przez którą chciał być pouczany. Ale Fransson nie był do tego stopnia głupi, żeby nie rozumieć, że potrzebują pomocy, a Vargas najwyraźniej miała własne kanały. Poza tym mógł ponownie podjąć próbę skłonienia jej, żeby opowiedziała co nieco o swoim braciszku. Ktoś zapukał do drzwi. Co znowu? Oczywiście to był Beijer.

– Czego chcesz tym razem? – zapytał Fransson.

– Dostałem potwierdzenie z MSZ – powiedział Jonas.

– Potwierdzenie czego?

– Kabir rzeczywiście był torturowany przez CIA. Siedział w tym więzieniu, o którym nikt nie wie. Salt Pit albo Prison of Darkness, jak mówią więźniowie.

– Ożeż kurwa! – zaklął Fransson.

– A najgorsze ze wszystkiego... Wiesz, co w tym jest najgorsze? – zapytał Jonas.

– Nie, naprawdę nie wiem.

– To, że CIA na pewno zarzuca mu o wiele więcej rzeczy, o których nie mamy pojęcia.

Fransson poczuł, że już nie daje rady. Nie mógł znieść tego całego cyrku wokół śledztwa ani uczucia, że niczego nie wie na pewno, nad niczym nie ma kontroli.

– Co by to miało być?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli torturowali go tak bardzo, musieli chyba go o coś podejrzewać. A całkiem niedawno... – Jonas urwał, usiadł na krześle dla interesantów Franssona i zaczął się niespokojnie kręcić.

– Tak?

– Jestem prawie pewien, że Micaela siedzi teraz gdzieś tam razem z Rekkem.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Bo takie odniosłem wrażenie, kiedy się z nią spotkałem.

– Ale jak, do cholery, oni mieliby trafić na siebie?

– Nie mam pojęcia. Moim zdaniem jednak mają materiały, do których my nie mamy dostępu.

– Rzeczywiście można tak sądzić.

– Mam wrażenie, że tu chodzi o coś więcej niż ta sprawa z CIA, te tortury.

– Dlaczego tak myślisz?

– Kilka minut temu dostałem SMS od Micaeli. Pytała o nazwisko skrzy-paczki, która została zastrzelona w swojej piwnicy w Kabulu.

– Po co jej to potrzebne? Wiemy przecież, że Kabir nie miał z tym nic wspólnego.

– Wiemy – powtórzył Jonas, ale bez tego przekonania, na jakie Fransson liczył.

Komisarzowi znów przypomniała się Lovisa Rekke i muzyka skrzypcowa rozbrzmiewająca w tamtym wielkim domu w Djursholmie.

Przez chwilę zdawało mu się, że rozumie, dlaczego ludzie chcą niszczyć rzeczy, które leżą poza ich zasięgiem. Zaraz jednak odsunął tę myśl i powiedział Jonasowi, że ma jeszcze dużo pracy.

Poszli do jego gabinetu i wpisali nazwisko do wyszukiwarki. Nie było szczególnie dużo trafień, ale trochę się znalazło, między innymi strona MySpace, coś w rodzaju fanpage'a. Rekke kliknął link i powoli, bardzo powoli na ekran wypłynęło zdjęcie. Najpierw było widać włosy – kruczoczarne, rozpuszczone, opadały jak skrzydło, potem pojawiło się czoło, potem oczy. „Ojej – pomyślała Micaela – nieźle”.

Oczy były duże, ciemne, mocno umalowane i gorejące. „Było w niej coś przekornego – pomyślała – dzikiego, jakby ta młoda kobieta chciała powiedzieć: MNIE NIE SPĘTACIE. MNIE NIE ZWYCIEŻYCIE. Właściwie to nie dziwi, że talibowie ją zamordowali”. Dziewczyna wyglądała tak, że każdy mógł przy niej stracić opanowanie. Ale była to oczywiście spontaniczna głupia myśl. Micaela prawie się jej zawstydziła. Nie mogła jednak przestać

sobie wyobrazać, jakie uczucia musiała wzbudzać taka osoba w facetach, którzy chcieli zamykać i wykluczać kobiety.

Dziewczyna na zdjęciu nieodparcie przyciągała wzrok Micaeli. Zdecydowanie była piękna. Może nie do końca tradycyjną urodą – jej nos i oczy były nieproporcjonalnie duże. Ale ona promieniała. Usta miała wydatne, pomalowane na czerwono, wargi lekko rozchylone. W lewej dłoni trzymała skrzypce, wznosząc je dramatycznym ruchem. Przypuszczalnie w tym momencie odrzuciła głowę gwałtownie do tyłu. Pewnie dlatego jej włosy ułożyły się na podobieństwo skrzydła.

– Ile ona może mieć lat na tym zdjęciu, jak myślisz? – zapytała Micaela.

Rekke odwrócił się do niej.

– Może siedemnaście.

– Nie więcej?

– Odgrywa rolę dojrzałej kobiety. To jest coś w rodzaju scenicznej osoby, tak przypuszczam.

Przewinął ekran i odkrył inne zdjęcia, prawie wszystkie z czasów, kiedy Latifa była bardzo młoda, i choć były bardzo różne, na wszystkich dostrzeżało się w niej tę samą przekorną i żarliwą jasność. Zdjęcia były podpisane po arabsku, a może w paszto. Ale tu i ówdzie były też informacje po angielsku i linki do artykułów, a nawet – opatrzona ostrzegawczym komunikatem – fotografia zwłok. Dziewczyna leżała na podłodze niewielkiego piwnicznego pomieszczenia, z jej głowy sączyła się krew, obok było przewrócone krzesło. Miała na sobie zielony szal i ciemnobrązową bluzkę.

Micaela pomyślała, że Rekke zatrzyma się na tym zdjęciu. Ale on przewijał dalej, aż zebrali podstawowe informacje o życiu Latify Sarwani. Urodziła się w lutym 1968 roku w Kabulu, zginęła od strzału w tył głowy w nocy z czwartego na piątego kwietnia 1997 roku, podczas apogeum nagonki talibów na muzyków.

A jednak nic nie wskazywało na to, żeby jej morderstwo było, jak to określił Jonas Beijer, usankcjonowane przez reżim, nawet jeśli musiało mieć związek z prześladowaniami. Reżim nie zajął się również wyjaśnieniem tej

zbrodni, tylko uznał ją raczej za konsekwencję występku Latify wobec Allaha i jego proroka. Jediną rzeczą, która zdawała się pewna, był fakt, że ofiara musiała znać zabójcę. Najwidoczniej sama wpuściła go do domu w środku nocy i zeszła z nim do piwnicy, gdzie pod deskami podłogi ukryła swoje skrzypce, gagliano z osiemnastego wieku.

Ponieważ krzesło, które było przewrócone, zostało przeniesione ze swojego miejsca pod ścianą, zakładano, że tamtej nocy Latifa na nim siedziała i grała, zwłaszcza że skrzypce, rozbite i podeptane, leżały obok jej martwego ciała. „The Guardian” podawał, że została zastrzelona z bliskiej odległości ze starego radzieckiego pistoletu typu TT.

Domyślili się, że Latifa wcześniej była postrzegana jako cudowne dziecko. W wieku szesnastu lat została przyjęta do moskiewskiego konserwatorium, ale nie dane jej było dokończyć studia. Kiedy Rosjanie wycofali swoje oddziały z Afganistanu i wymiana kulturalna między obydwoma krajami ustała, Latifa została zmuszona do powrotu do Kabulu. Nie znaleźli konkretnych informacji o tym, co się z nią działo przez kolejne lata, ale nie było wątpliwości, że jej życie musiało się drastycznie zmienić.

Podczas okupacji radzieckiej było wiele możliwości zawodowych dla skrzypaczki. Już jednak w 1992 roku, za prezydentury Rabbaniego, zakazano kobietom występów. Kariera Latify musiała się wówczas skończyć, a potem... Micaela próbowała sobie to wyobrazić: talibowie przejęli władzę i to, co wcześniej było niedozwolone, teraz stało się naprawdę niebezpieczne. Zwłaszcza dla kobiety, która zarówno zajmowała się muzyką, jak i współpracowała z bezbożnymi komunistami.

– Dlaczego ona nie wyjechała z kraju? – zastanawiała się głośno.

– No właśnie, to wydaje się dziwne – przyznał Rekke. – Co powiesz na to, żebyśmy jej posłuchali?

Pod jednym ze zdjęć z młodości był umieszczony link. Kiedy Micaela skinęła głową, Rekke kliknął w niego i odchylił się na krześle. Nadal wyglądał na wyczerpanego: zlany zimnym potem, blady, z zamglonym spojrzeniem przymrużonych oczu. Skierował wzrok na posąg dygającej dziewczynki z brązu. Ale zdawał się jej nie widzieć, był zamknięty w swoim wnętrzu.

Smutne dźwięki skrzypiec przecięły ciszę w pokoju. Brzmiały jak płacz, od razu poruszyły Micaelę.

Latifa grała, jakby chodziło o jej życie, Micaela nie mogła się uwolnić od myśli, że ten utwór to była pieśń żałobna o tym, co spotkało Latifę, jakby opłakiwała własną śmierć wiele lat przedtem. Wkrótce sama pogrążyła się w muzyce, owładnięta uczuciem, że coś, co nieodwołalnie zniknęło, właśnie budzi się do życia. Dopiero kiedy dźwięki ucichły, zapytała:

– Co ona tu gra?

Rekke posłał jej spojrzenie, jakby jeszcze nie do końca był obecny.

– *Adagio z Koncertu skrzypcowego* Brucha.

– To było piękne, nieprawdaż?

– To było wspaniałe – przyznał. – Zagrane z ekspresją i temperamentem. Ale też trochę niedbale.

– Niedbale?

– To nie jest gra perfekcjonistki. Raczej kobiety, która wierzy w siebie i ma odwagę grać trochę niestarannie. Nie jest szczególnie uległa czy wykształcona. Ma świadomość swojego talentu i nie boi się wielkich emocji. To jest piękne, to prawda. Ale też trochę melodramatyczne. Chyba jeszcze nie przeżyła większych trosk, jak się domyślam, tylko zrećźnie udaje. Ma uzdolnienia aktorskie, tak właśnie sądziłem po obejrzeniu zdjęć. Impulsywna, ze skłonnością do przekraczania granic. Podejrzewam, że niełatwo było nią sterować.

– I to wszystko tak po prostu tu usłyszałeś?

Rekke rozłożył ręce.

– Sądzę, że tak. Ale ze skrzypkami to zawsze niełatwa sprawa. Czasem rozpoznajesz wyraźnie osobowość w ich muzyce, ale okazuje się, że jednak się mylisz. Słyszysz coś, co pojawia się tylko wtedy, kiedy mają w dłoniach instrument, a poza tym jest niewidoczne. Odbierasz po prostu to, co oni zwykle trzymają w ukryciu, jak małą tajemną namiętność w sercu. Tutaj zaś... co mogę powiedzieć? Wyczuwam wpływy szkoły rosyjskiej, dokładnie jak się spodziewałem, ale równocześnie... Żaden Europejczyk nie przecho-

dziłby tak między tonami. Tu widać wyraźny wpływ muzyki qawwali i hindustańskiej. Wyobrażam sobie, że brała salę w posiadanie jak królowa.

– Rozumiesz, jakie to chore, że potrafisz wygłaszać takie spostrzeżenia po wysłuchaniu zaledwie jednego utworu?

– Być może tak. Z drugiej strony dużo mówię, lecz nie to, o czym właściwie myślę.

– A o czym myślisz?

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy przyjrzeć się jej trochę bliżej, oraz innym, którzy grali zachodnią muzykę klasyczną w Kabulu w tamtym czasie. Może gdzieś tam pojawi się Kabir, w takiej czy innej postaci. Jeśli nie mylę się całkowicie.

– Masz jakieś doświadczenia? – zapytała Micaela.

– Tak, mam, w rzeczy samej – odparł i popatrzył na zegarek. Wstał niespodziewanie i ruszył w stronę drzwi, jakby bardzo mu się śpieszyło. Nagle odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią zaskakująco skoncentrowanym wzrokiem. – Wiesz co? Przywróciłaś mnie trochę do życia.

Micaela była całkiem oszołomiona.

– Zaczynam się prawie do tego przyzwyczajać – odparła.

Rekke podniósł rękę, jakby chciał ją pogłaskać po policzku, ale zaraz się cofnął.

– Mój brat był tu dzisiaj – mówił dalej. – Umówił mnie na spotkanie. Ale wtedy nie czułem się na siłach, aby tam pójść.

– A teraz tak się czujesz, czy co?

– Tak, chyba tak. Tylko najpierw muszę jeszcze... – Potrząsnął głową i znów poszedł do łazienki.

Micaela była prawie pewna, że będzie przeszukiwał swoją apteczkę. Tym razem jednak nie zamierzała go powstrzymać. Może dlatego, że pokazał ducha walki.

Kiedy wrócił, miał wilgotne włosy i policzki, jakby właśnie spryskał twarz wodą. Ze zmrużonymi oczami wymamrotał, że musi zatelefonować. „Przepraszam” – powiedział. Chwilę później Micaela usłyszała jego głos do-

biegający z kuchni. Brzmiała w nim irytacja i choć nie rozumiała, o co chodziło, dotarło do niej, że brakowało czasu. „Tak, tak, będę się streszczał” – rzucił do słuchawki.

Po chwili wrócił i powiedział, że odzyskał swój termin, choć miał tylko dziesięć, maksymalnie piętnaście minut. „Powinno wystarczyć” – stwierdził. Poza tym niczego nie tłumaczył. Poszedł tylko do salonu i usiadł przy fortepianie, całkiem nieruchomo, jakby szukał inspiracji albo znów zatopił się w myślach.

Potem jego palce zaczęły biegać po klawiaturze – początkowo były to dziwne, lękliwe dźwięki, jakby świadomie grał źle i niepokojąco. Ale stopniowo zarysowała się w tym chwiejna melodia, może ta sama, co w utworze Brucha. Micaela nie miała pewności. Melodia zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, zastąpiła ją całkiem inna fraza. To brzmiało – Micaela nie potrafiła tego lepiej określić – jakby Rekke szukał czegoś także pośród dźwięków.

DWADZIEŚCIA TRZY

Julia słyszała go już w windzie. Błądził, przeskakiwał między tonacjami, fragmentami utworów i swobodną improwizacją. To wszystko brzmiało tak, jakby gdzieś się zagubił i szukał drogi wyjścia. Jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

Tamte słowa o samobójstwie, które rzuciła pani Hansson, a które potem on i Micaela bagatelizowali, wracały do niej i nie pozwalały zasnąć. Cholerny głupi tata. Potrafił być taki cudowny, z umysłem ostrym jak brzytwa, potrafił widzieć ją lepiej niż ktokolwiek na świecie, ale innym razem, tak jak teraz, był tylko wrakiem i pozwalał różnym ludziom się wykorzystywać.

Słyszała, że Magnus tu był i myszkował, co ją rozwścieczyło, bo nawet jeśli Magnus udawał najlepszego kumpla, w rzeczywistości zawiść aż go rozsadyła od środka. Była o tym absolutnie przekonana i nie wątpiła ani przez chwilę, że on zniszczyłby jej ojca, gdyby tylko miał okazję. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. W przedpokoju spotkała panią Hansson, która mimo wszystko miała całkiem zadowoloną minę.

– Co się dzieje? – zapytała Julia, wskazując w stronę salonu i źródła dźwięków.

– Nie wiem do końca. Micaela tu jest – odparła pani Hansson, jakby to było coś oczywistego, na co Julia mruknęła do siebie:

– Kurczę blade, jacy nierozłączni się nagle stali.

Idąc do salonu, przystanęła. Przypomniało się jej, że przed chwilą wypaliła jointa. Wyjęła z kieszeni spodni kawałek miętowej gumy do żucia i zaczęła intensywnie żuć. Potem podeszła do fortepianu, skinęła Micaeli głową i położyła rękę na plecach ojca, który lekko pociągnął nosem. Julia była

pewna, że zaraz ją zdemaskuje. Ale kiedy skończył grać i odwrócił się do niej, wyglądał, jakby znajdował się w innym świecie.

– Co robisz? – zapytała.

– Myślę, jak sądzę – odparł.

Cofnęła się trochę dla pewności.

– Pani Hansson mówi, że Magnus tu był i szperał.

– Był na tyle uprzejmy, żeby mnie odwiedzić i okazać pewne zainteresowanie.

– Możesz dać spokój z tą cholerną ironią?

– Będę się starał. Która jest godzina?

– Za piętnaście trzecia – powiedziała poirytowana.

– W takim razie muszę się pośpieszyć.

– Dokąd się wybierasz?

– Idzie na spotkanie – powiedziała Micaela, która dotychczas stała obok i sprawiała wrażenie nieco spiętej.

– Dlaczego nagle musisz iść na jakieś spotkanie?

– Potrzebuję kilku odpowiedzi.

Julia spojrzała na niego jeszcze raz, na włosy przyklejone do policzka i pot lśniący na czole.

– Musisz wziąć prysznic – stwierdziła.

– Nie zdążę.

– To przynajmniej się przebierz. Wyglądasz fatalnie.

Spojrzał w dół na swoje dłonie, na spodnie, jakby chciał skontrolować wygląd.

– Może trochę. Ale daj mi tylko jakiś płaszcz i porządną marynarkę, wtedy jakoś to ujdzie.

– Która pasuje do tej koszuli?

– Która pasuje do wszystkiego.

– Wyglądasz, jakbyś w niej spał.

– Spałem w niej.

– Z kim się spotykasz?

– Z Kleebergerem.

– Spotkasz się z Kleebergerem? – powtórzyła Micaela zdumiona i podeszła bliżej, jeszcze bardziej spięta. – Czy to nie będzie ryzykowne? – ciągnęła. – Biorąc pod uwagę...

– Nie, nie – przerwał jej Rekke. – Chciałem tylko sprawdzić, czy uda mi się doprowadzić do tego, żeby razem z Magnusem wyłożyli wreszcie kawę na ławę.

– O tym sędzim piłkarskim? – zapytała Julia.

– Właśnie tak. Chciałaś przecież, żebym się trochę rozruszał. Ale przepraszam, mogłabyś się pośpieszyć? Naszła mnie przedtem niezwykła myśl, zapomniałem o upływającym czasie.

– Jasne, już idę – powiedziała Julia i poszła do jego garderoby, która była większa, niż potrzebował. Nie mogła powiedzieć, by zbyt prędko przejęła się swoim zadaniem. Sięgnęła po pierwszą z brzegu granatową wzorzystą marynarkę, która definitywnie nie pasowała do MSZ, do tego szary, prosty płaszcz wiosenny i wróciła do gabinetu, gdzie jej tata i Micaela najwyraźniej rozmawiali o Kleebergerze. Ale oboje umilkli, gdy weszła, i nie odzywali się, kiedy zakładała na niego ubrania i poprawiała mu włosy.

– Tak będzie dobrze. Znowu prezentujesz się niemal godnie.

– Niemal godnie, to wystarczy – powiedział Rekke.

– Tylko że dalej wyglądasz, jakbyś się czegoś nałykał.

– Wydaje mi się, że właśnie próbowałem wyrównać to jakimś podkręca-czem – stwierdziła Micaela.

– Noż kurde, tato.

– A tak w ogóle, czy ty nie paliłaś przed chwilą jointa?

– Wcale nie.

– Musisz przestać.

– Nie masz prawa mi nic mówić – prychnęła, na co Rekke drgnął, jakby te słowa naprawdę do niego dotarły.

Potem potrząsnął głową i powiedział: *Alea iacta est*. Następnie pocałował Julię w policzek, skinieniem pożegnał Micaelę i wyszedł, choć nie całkiem pewnym krokiem. Julia stała chwilę w milczeniu, zajęta własnymi myślami. W końcu zwróciła się do Micaeli:

– A więc to spotkanie ma coś wspólnego z Prison of Darkness?

– Tak przypuszczam – przyznała Micaela.

– Magnus to wąż.

– Będę o tym pamiętać.

– Tata mówił przedtem, że miał jakąś niezwykłą myśl.

– Można tak powiedzieć.

– Co to było?

Micaela nie odpowiedziała od razu. Potem rzuciła, jakby chciała uniknąć wcześniejszego pytania:

– Mówiłaś, że może się mylić bardziej niż ktokolwiek inny?

– Tak mówiłam?

Julia była lekko zirytowana, że Micaela zmieniła temat, przypuszczalnie też zła, że jej ojciec i ta dziewczyna w tak krótkim czasie dość mocno się do siebie zbliżyli, więc rozważała, czy nie powinna zignorować tego pytania. Ale było jasne, że czasem tata po prostu wyrzucał z siebie różne stwierdzenia – testował jakieś wyszukane teorie albo coś zupełnie od czapy. Czasem nie dało się rozpoznać, czy mówi poważnie, czy tylko żartuje, a z kolei innym razem mogło się wydawać, że ma halucynacje.

– Chwilami ma niezłe odjazdy – powiedziała wreszcie. – Sprawia wrażenie całkiem szalonego. Wydaje mi się, że jego mózg źle znosi brak porządku.

– Dlatego tworzy swój własny porządek.

– Dostrzega wzory tam, gdzie ich nie ma. Potrafi dodać dwa do dwóch i wyjdzie mu trzy. O czym on przedtem mówił?

Micaela wciąż zwlekała z odpowiedzią. Przejechała dłonią po włosach, jakby zastanawiała się, ile może ujawnić.

– On... – zaczęła.

Julia nadstawiła uszu, naprawdę chciała to wiedzieć. Ale właśnie w tej chwili odezwała się komórka Micaeli, a kiedy ta zobaczyła, kto dzwoni, jej mowa ciała się zmieniła, aż Julia bezwiednie cofnęła się o krok.

– Muszę odebrać – powiedziała młoda policjantka. – Zobaczymy się niedługo.

– Na pewno – przyznała Julia i poczuła się nieswojo.

Nie tylko dlatego, że spojrzenie Micaeli pociemniało. Uświadomiła sobie coś: boi się, że Magnus i Kleeberger zastawili na jej ojca coś w rodzaju pułapki, może na Micaelę również, skoro dała się w to wciągnąć. Przez sekundę rozważała, czy jej nie ostrzec, ale dziewczyna już wyszła.

Rekke czuł się ociężały, zarówno na ciele, jak i w myślach. Nie wiedział, czy Kleeberger i Magnus zdecydowali się go przyjąć, bo się bali, czy może przeciwnie – nie dostrzegali w nim zagrożenia. Wkrótce miało się okazać. Od wody zawiewał wiatr, a on szedł w dół Strandvägen. „Widziałem coś rosyjskiego w technice Kabira” – powiedział. Czy tylko tak palnął, czy może naprawdę coś w tym było? Nie wiedział. To, co jeszcze przed chwilą wydawało mu się całkowicie jasne, teraz znów było zmętniałe, jakby wyjęte ze snu. Jak gdyby cofnął się w rozwoju.

Jako mały chłopiec często przesiadywał na przyjęciach lub koncertach i wyobrażał sobie, jakie życie mają ludzie, którzy siedzą obok niego. Przyglądał się ich dłoniom, ubiorom, twarzom, studiował ich gesty oraz manierę. Przeważnie jego wnioski były rozsądne i realistyczne. Ale czasem zaczynał fantazjować i potem nigdy nie miał pewności, kiedy to się zaczęło: kiedy świat rzeczywisty albo możliwy zmieniał się w fikcję. Teraz może było tak samo. Może znalazł jakieś powiązanie istniejące tylko w jego wyobraźni, upragniony trop, który zdawał się prowadzić go nie tylko naprzód w śledztwie, lecz także do tyłu, do bolesnych momentów jego własnego życia. Może po prostu znów wariował? A zresztą... czy to było takie ważne?

Najważniejsze, że coś się w nim zapaliło. Świat znów go wciągnął na swoją orbitę.

Gdzieś w pobliżu zatrafił samochód. Ruch uliczny był już dość intensywny. Rekke opuścił wzrok i kolejny raz pomyślał o Micaeli, o jej oczach, tupocie jej kroków, które zbliżały się na peronie. „Powinieneś się ogarnąć” – tak powiedziała. Powinien...

Nagły brutalny dźwięk przeciął miasto. Domyślił się, że gdzieś w pobliżu młot pneumatyczny zaczął kruszyć asfalt. Jeszcze większy niepokój przebił się przez ociężałość i chwiejność jego ciała. Może to efekt amfetaminowego kopa.

Odwrócił się. Czyżby ktoś go śledził? Tak mu się wydało.

– Bzdura – mruknął do siebie. – To tylko paranoja.

Był już w parku Kungsträdgården, kierował się w stronę opery i placu Gustawa Adolfa. Przyszedł SMS. Nienawidził SMS-ów, tego cholernego klikania każdej małej literki. Ale Magnus najwyraźniej opanował tę sztukę i nie szczędził słów.

„Chyba nie zamierzasz się spóźnić, do jasnej cholery?” – napisał.

Rekke nie zawracał sobie głowy odpowiedzią, ale przyśpieszył kroku.

To nie Lucas dzwonił. To był Simón. Micaela naprawdę nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale ogarnęły ją złe przeczucia. Ostatnio Simón prawie się nie odzywał, jeśli nie był do tego zmuszony. Ich matka twierdziła, że wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Micaela oddzwoniła, gdy tylko znalazła się na ulicy.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Zawsze muszę czegoś chcieć?

Miał schrypnięty głos.

– Możesz gadać o pogodzie, jeśli masz ochotę. Ale od razu słyszę, że jest jakiś powód.

– Lucas twierdzi, że ktoś ci nastukał.

– Nikt mi nie nastukał.

- Podobno masz całą facjatę siną.
 - To już zniknęło – skłamała.
 - No i zastanawia się, dlaczego znów się zajmujesz tym sędzią piłkarskim.
 - A dlaczego go to tak martwi?
 - On przecież zawsze się martwi o wszystko.
 - O co mu chodzi?
 - Może to nie jest dla niego takie łatwe mieć siostrę glinę.
- Micaela zatrzymała się na skrzyżowaniu z Riddargatan.
- A więc to on cię prosił, żebyś mnie wysondował.
- Simón nie odpowiedział.
- Gdzie teraz jesteś? – zapytała Micaela.
 - A bo co?
 - Powinniśmy się zobaczyć.
 - Jestem w Husby. U Mustafy.
 - To czekam na ciebie pod blokiem za czterdzieści minut – powiedziała i rozłączyła się, żeby nie zaczął ściemniać.

Pewnie nie miał nic ważnego do powiedzenia, ale nie zaszkodziło się z nim zobaczyć. Przy okazji mogła też zajrzeć do matki.

Idąc w stronę Karlaplan, rozważała, czy nie wybrać z bankomatu małej sumki pieniędzy dla niego, choć prawie na pewno dostawał o wiele za dużo od Lucasa. Przy kościele Oskara znów wyjęła telefon. Powinna zadzwonić do Jonasa? Zadzwoniła. Kiedy nie odebrał, poczuła rozczarowanie. Ale właściwie dlaczego on miałby siedzieć i czekać na jej telefon?

Teraz szła trochę szybciej. Wiał przenikliwy wiatr i pogoda przypominała bardziej listopad niż kwiecień. Gdzieś niedaleko odezwały się syreny, stłumione wycie, które zdawało się zamierać i potem znienacka znów rozbrzmiewało. Ale to już nie były syreny, tylko jej telefon, którego sygnał mieszał się z dźwiękami miasta.

- Halo.

– Miałś rację z tym więzieniem – odezwał się Jonas Beijer. – Powinno mi się udać wręcić cię z powrotem do śledztwa.

Micaela uniosła triumfalnie dłoń zaciśniętą w pięść, ale zaraz nabrała wątpliwości.

– A co na to Fransson?

– On ma teraz inne rzeczy na głowie. Mamy tu prawdziwą rewolucję. Nawet komendant główny się zaangażował i dzwonił do ministra spraw zagranicznych.

Micaela pomyślała, że Rekke właśnie był w drodze do MSZ i Kleebergera. Ale odsunęła tę myśl i zamknęła oczy. To ona dostarczyła kluczowych informacji.

– Słuchaj, Micaelo, teraz możesz być ze mną szczerą. To Rekke szepnął ci o tym do ucha, prawda?

Micaela chwilę zwlekała, rozglądając się po Narvavägen.

– Tak – przyznała w końcu.

– Jak się spotkaliście?

– Potem ci opowiem.

Teraz on odczekał moment.

– Moglibyśmy się spotkać na piwo.

– Moglibyśmy.

Ta odpowiedź najwyraźniej go zadowoliła.

– A mogę zapytać, po co wam było nazwisko tamtej skrzypaczki?

– Zastanawiamy się... – zaczęła i urwała, nie do końca wiedząc, co chce powiedzieć.

– Nad czym?

– Czy Kabir też nie zajmował się muzyką klasyczną.

Jonas Beijer milczał przez chwilę, jakby go zatkało po tej informacji.

– Chyba ześwirowaliście – powiedział wreszcie.

– To tylko taki trop – broniła się Micaela.

– Jak do tego doszliście? Bo porozwalał kilka instrumentów?

Czy powinna powiedzieć, że wywnioskowali to z jego gestów na boisku? Nie, zdecydowała. To brzmiało jak totalny odlot.

– A sami nie znaleźliście żadnych przesłanek?

Znów milczał przez chwilę.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. Tak szczerze, to nigdy nawet o tym nie pomyślałem.

– A więc żadnych oznak, że wiedział coś na temat skal i tonacji?

– Zdecydowanie nie.

Micaela weszła na stację Karlaplan i jechała schodami do bramek.

– I Kabir nie znał Latify Sarwani?

– Nie, już ci mówiłem. Oni byli z dwóch różnych światów.

– Ale mogli się spotkać mimo to?

– Jasne. Tylko my to naprawdę sprawdzaliśmy. Nie mieli ze sobą w ogóle do czynienia, ani w Kabulu, ani w żadnym innym miejscu w Afganistanie.

– Nie mogli się spotkać poza krajem? Sarwani przecież studiowała w Moskwie.

– Tylko że on nie. On był pieprzonym mechanikiem motocyklowym.

To prawda. Micaela zatrzymała się przy tej myśli przez krótką chwilę – nie była pewna, czy Rekke mimo wszystko nie był trochę stuknięty.

– Znał też języki – dodała jeszcze.

– Mówił lepiej po angielsku, niż się spodziewaliśmy, to prawda.

– Może znał się też lepiej na innych rzeczach?

– Mógł się znać, oczywiście. Ale dalej do niczego nie doszliśmy.

– Choć wygląda na to, że nienawidził muzyki.

– Możliwe.

– A ta nienawiść musiała się chyba skądś brać?

Jonas zamilkł.

– Nienawiść nie zawsze daje się tak łatwo wytłumaczyć – odparł po chwili.

Micaela zamyśliła się nad tymi słowami.

– Chciałam tylko powiedzieć, że musieliście coś przegapić.

– Jasne jak pieprzone słońce, że coś przegapiliśmy. W przeciwnym razie już dawno byśmy tę sprawę wyjaśnili, nie?

– To prawda – przyznała zdumiona jego nagłym atakiem złości. – Pogadamy jeszcze. Teraz zjeżdżam do metra.

– Pogadamy – zgodził się. – Przykro mi, że się wkurzyłem. Cieszę się na to wspólne piwo.

– Najpierw dopilnuj, żeby mnie znów przyjęli.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– I przekaz Franssonowi, że tym razem nie będzie żadnych warunków.

– Okej – powiedział lekko zdezorientowany.

Micaela rozłączyła się i weszła na peron.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Minister spraw zagranicznych Szwecji Mats Kleeberger rozejrzał się po swoim przestronnym gabinecie, po czym rzucił niezadowolone spojrzenie w stronę lustra nad kominkiem. Czy nie wiedział, że sprawa Kabira to wrzód, który prędzej czy później musiał pęknąć?

Za oknem wznosił się Pałac Królewski i siedziba Riksdagu. Patrzył na nie niewidzącym wzrokiem i klął cicho. Nie rozumiał, jak to się stało, że na to poszedł. Choć zamachy terrorystyczne stanowiły oczywisty powód. Po jedenastym wrześniu wszystko było już tylko czarne lub białe, a on nie był jedyną osobą, która ugięła się pod naciskami. Niewielu jego kolegów w Europie potrafiło się przeciwstawić. Czego się nie robi, żeby zwalczać terroryzm? „Prawie wszystko” – odpowiedzieli jak karni żołnierze. Ale łatwo być mądrym po szkodzie. Wtedy nagle zapanowało poczucie wyższej konieczności, więc nikt nie powinien stawiać zbyt wielu pytań, i to właśnie zamierzał też powiedzieć Rekkemu: „Czy byłoby lepiej, gdyby nas wysadzili w powietrze?”.

Popatrzył na zegarek i pomyślał, że Hans już powinien tu być. Miał zaraz przyjść, jak mówił, a z Grevgatan nie było daleko. Cholerny waśniak. Kleeberger przypomniał sobie, że jego ojciec zwykł mawiać: „Z niektórymi ludźmi chcesz tylko milczeć, a z innymi nie możesz przestać gadać” – i długo tak właśnie było z Hansem. Kleeberger czuł przy nim, że budzi się do życia, napotykał spojrzenie, które zdawało się go rozumieć, zanim jeszcze zdążył sformułować zdanie.

Ale potem... Potem Hans się zmienił i przestał zważać na uwarunkowania polityczne. Po prostu wypowiadał te swoje przekłete prawdy i nic dziwnego, że wkrótce zaczęto go postrzegać jako zagrożenie. „To takie niemą-

dre – myślał Kleeberger – takie prowokujące”. Naprawdę zamierzał dać mu w kość, nastraszyć go, żeby siedział cicho. Nawet tego nie ukrywał.

To powinno się udać. Teraz mogli dotrzeć do Rekkego na wiele sposobów. Ale najgorsze było to, że człowiek nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać, nawet jeśli miał nawrót depresji. No i jeszcze ten Magnus, kawał szczwanego lisa. Kleeberger nie poradziłby sobie bez niego. Właściwie minister nie do końca wiedział, czy Magnus jest po stronie brata, czy wręcz przeciwnie. Przypuszczałnie jedno i drugie... Chciał go uziemić i uratować za jednym zamachem. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Profesor Rekke właśnie przyszedł – powiedziała Lena, jego sekretarka.

Kleeberger się wyprostował i przybrał wyraz twarzy, który jego zdaniem miał ukazywać zarówno autorytet, jak i współczucie. Jak natychmiast zauważył, pasował do okoliczności.

To nie był ten sam Rekke co zawsze. Stał przed nim wyblakły i bardzo zmęczony człowiek w wymiętej koszuli, a ta marynarka... Na litość boską! Czy to miał być jakiś żart? Przypominał arlekina, i te włosy... Czy on nie mógł się przynajmniej uczesać?

– Siadaj, przyjacielu – powiedział Kleeberger.

Rekke usiadł w żółtym fotelu przed biurkiem i wytarł z czoła kroplę potu. Jego oczy błędziły po ścianach pełnych złotych zdobień i po portretach dawnych ministrów. Dłoń lekko mu drżała. Bez wątplenia wyglądało to obiecująco.

– Przepraszam, że to mówię, Hans, ale wyglądasz na zmęczonego.

– Bywałem już w lepszej formie – odparł gość z wymuszonym uśmiechem, a Kleeberger prawie zaczął mu współczuć.

Z pewnym wysiłkiem Rekke podniósł głowę i obrzucił go wzrokiem.

– Ale cieszę się, że ty jesteś w lepszej formie – mówił dalej. – Dużo grasz w tenisa, jak widzę.

– Ach tak? To widać?

– Twój mięsień ramiennie-promieniowy. Bardziej widoczny na prawej ręce, nawet jeśli stosujesz oburęczny backhand, prawda?

– Dokładnie tak, przejąłem go od Björna Borga w latach siedemdziesiątych. Ale przejdźmy do rzeczy. Niestety, nie mam zbyt dużo czasu.

Rekke skinął, a Kleeberger zadzwonił na numer wewnętrzny.

Do gabinetu wszedł Magnus z teczką w dłoni. Kleeberger rzucił mu szybkie badawcze spojrzenie, żeby zobaczyć, czy bardzo jest wystraszony. Ale Magnus jak zwykle emanował aurą światowca. Wydawał się gotowy do starcia, podczas gdy jego brat jeszcze bardziej zapadł się w sobie, siedział apatyczny, miał pusty wzrok. „Na pewno wszystko dobrze pójdzie” – przekonywał się Kleeberger.

– A więc już zaczęliście? – zapytał Magnus.

– Twój brat chwali moją tenisową muskulaturę.

– Ach tak, no właśnie, zawsze był zafascynowany fizycznością.

– Dobrze. – Kleeberger zwrócił się teraz do Hansa. – Magnus mówi, że potrzebujesz pomocy.

Hans zakłopotany położył dłoń na czole i usadowił się wygodniej w fotelu.

– Tak, to prawda. Otóż jestem trochę zdezorientowany – zaczął.

– Czyż wszyscy nie jesteśmy? – rzucił Kleeberger wspaniałomyślnie.

– Ale u Hansa to wygląda trochę gorzej – powiedział Magnus i usiadł obok brata.

– Słyszałem – mówił dalej Kleeberger. – Nasi amerykańscy przyjaciele najwyraźniej się na ciebie pogniewali, choć nie do końca rozumiem dlaczego. Możesz to krótko wyjaśnić?

Hans zgarbił się, jakby nie palił się do mówienia, więc Magnus przejął pałeczkę.

– Zaczęło się od chłopaka, który siedział w Guantanamo, bo jego wuj zadzwonił do niego z telefonu satelitarnego Osamy bin Ladena. Oczywiście stał się podejrzanym. Ale chłopak nie miał pojęcia o Al-Kaidzie. A potem nagle wiedział już o nich wszystko. Charles Bruckner z CIA, który był wtedy w Langley, chciał, żeby Hans rzucił okiem na zapis przesłuchań.

– I do jakich wniosków doszedłeś? – zwrócił się do Rekkego Kleeberger.

– Hans stwierdził, że chłopak nie mówił tego, co wie, tylko to, co uważa za konieczne, żeby uniknąć tortur – tłumaczył dalej Magnus.

– Ojej – wtrącił Kleeberger. – Niedobrze.

– Potem CIA zarzuciło go protokołami przesłuchań, żeby Hans mógł wykryć, co w nich było prawdą, a co nie, a on stawał się coraz bardziej... Jak to określić? Skonfundowany, to chyba dobre słowo, prawda, Hans? A może nawet wściekły?

Rekke tylko wzruszył ramionami.

– Dobrze, to nie jest takie ważne. Rzecz w tym, że wskazał szereg badań, które pokazują, że przemoc nie jest najlepszym sposobem zdobywania informacji, zwłaszcza kiedy prowadzący przesłuchanie są niepewni co do winy podejrzanego albo nie wiedzą dobrze, czego szukają. Hans zrozumiał oczywiście, że w tak burzliwych czasach kuszące było, żeby samo przesłuchanie uczynić częścią kary. Ale hołdowanie moralnym impulsom zamiast naukowej empirii rzadko daje korzyści intelektualne, jak powiedział.

– Powinni umieć to przyjąć.

– I początkowo przyjęli to bardzo dobrze – ciągnął Magnus. – Ale krok po kroku on posuwał się coraz dalej. Mówił, że nigdy nie słyszał takiej kakofonii sprzecznych i wymuszonych wypowiedzi, że cały system nacisków nie tylko był nieprzemyślany, lecz także przeciwnie skuteczny. Zamiast zmiażdżyć przeciwnika, tworzył coraz więcej wrogów. Hans ostrzegał, że jeśli to wyjdzie na jaw, będzie miało katastrofalne konsekwencje dla wizerunku USA w świecie.

– Rozumiem – mruknął Kleeberger.

– Ale przede wszystkim – mówił Magnus – konkretnie punktował problemy, mówił, że CIA ryzykuje przeoczenie naprawdę poważnego zagrożenia, jeśli będą zalewani tak ogromną masą bezwartościowych informacji

Rekke popatrzył na swojego brata, jakby ten opowiadał same brednie.

– I sytuacji wcale nie poprawił fakt, że Hans skontaktował się z „The Washington Post” – ciągnął Magnus.

– Właśnie, coś na ten temat słyszałem – dodał Kleeberger.

– To „The Washington Post” skontaktował się ze mną, chciałem nadmienić z całą skromnością – wtrącił Hans.

– Może tak było – zgodził się Magnus – i nie sądzę też, żeby powiedział dziennikarzom więcej niż parę ogólnych prawd. Jednak nasi przyjaciele z CIA byli bardzo zaniepokojeni i postanowili cię zdyskredytować, zanim ty zdyskredytujesz ich, rozpętując aferę w prasie. Czy to było dobre podsumowanie, Hans?

– Nieszczególnie.

– No cóż, może i tak. Ale chyba udało mi się uchwycić część prawdy.

– Czy teraz też zamierzasz rozpętać aferę? – zapytał Kleeberger z ostrożnym uśmiechem.

Hans nie odpowiedział tym samym, tylko spuścił wzrok na swoje smukłe dłonie. Kleeberger nadal uważał, że wszystko wygląda obiecująco. Nie widział w profesorze nawet śladu dawnej przenikliwości, nic nie zostało z jego blasku.

– Nie sądzę, żebym miał taką władzę.

– To znaczy, że nie siedzisz tu i nie zastanawiasz się, czy masz się trzymać prawa, czy raczej słuchać głosu sumienia? – zapytał minister, świadomie prowokująco.

– Nie jestem pewien, co mówi ten głos. Moje ambicje są o wiele skromniejsze. Chcę tylko paru informacji – odparł Hans.

– O Kabirze? – zapytał Magnus.

– Właśnie o nim – przyznał Hans, a wtedy Kleeberger spojrzał na Magnusa wzrokiem, który mówił: „Powiedz to teraz, zdziel go tym po głowie”.

– Właśnie rozmawiałem z Brucknerem – oświadczył Magnus.

– Dobrze wiedzieć, że w kryzysie trzymacie się razem, to daje poczucie bezpieczeństwa – skomentował Hans.

– Charles podkreślił zdecydowanie, że w twojej klauzuli tajności jest napisane, iż do swoich dalszych badań nie możesz wykorzystywać wiedzy, którą zdobyłeś podczas pracy dla CIA.

– Czy to nie znaczy, że ryzykujesz pozew, jeśli to zrobisz? – dodał Kleeberger. – A nawet wydanie w ręce USA?

– Nie jestem taki pewny – odparł Hans ze spokojem, który mimo wszystko wprowadził Kleebergera w lekkie zdenerwowanie. – *Leges sine moribus vanae*.

– Cóż warte prawa bez obyczajów – przetłumaczył Magnus.

– Poza tym poruszamy się w szarej strefie, gdzie prawo i władza polityczna nie są tak ściśle rozdzielone, jak byśmy sobie życzyli, dlatego też, mimo wszystko, jestem przekonany, że mi pomożecie – mówił dalej Hans Rekke.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

– Bo to jest w waszym interesie, rzecz jasna. To całkiem proste. Czy mam jeszcze raz streścić moją sprawę?

– Nie ma takiej potrzeby, naprawdę.

– A jednak to zrobię – powiedział Hans, jakby nagle zaczął rosnąć.

Wyglądało to trochę tak, jakby właśnie wrócił dawny Hans, który z pewnym zakłopotaniem, niemal wbrew własnej woli, potrafił przeforsować swoją wersję prawdy. Kleeberger posłał Magnusowi kolejne zaniepokojone spojrzenie.

– Dwudziestego drugiego sierpnia dwa tysiące drugiego roku przybywa do Szwecji mężczyzna, który przedstawia się jako Jamal Kabir – kontynuował Hans – ale należy przypuszczać, że właściwie nazywa się zupełnie inaczej. Przybywa bezpośrednio z tajnego ośrodka na północ od Kabulu, opatrzonego kryptonimem Cobalt albo Salt Pit, w którym był torturowany przy użyciu zimna i ciemności oraz głośnej muzyki.

– Tak, tak? – powiedział niecierpliwie Magnus i przygryzł wargę.

Tymczasem Kleebergera naszała nieprzyjemna myśl, że bracia, każdy na swój sposób, wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia. Zaraz jednak odrzucił to podejrzenie.

– Samo to jest już dziwne, nieprawdaż? – ciągnął Hans. – Jak często zdarza się, że więźniowie z tego rodzaju instytucji są wypuszczani na wolność i wielkodusznie wysyłani samolotem w inne miejsca?

– Niezbyt często.

– Ale i tak najciekawszy jest tu fakt, że ani policja, ani Urząd do spraw Migracji nie zostały o tym powiadomione.

– Policja była poinformowana, do diabła, jasne, że była – rzucił Kleeberger, nagle oburzony, bo nie tylko upewnił się, że te informacje rzeczywiście dotarły do szefostwa policji, lecz także zdawał sobie sprawę, że to była najbardziej drażliwa kwestia w całej tej historii.

– To ja poinformowałem Falkegrena – stwierdził sucho Rekke. – Ale informacja nie została przekazana niższemu szczeblom w ramach służb.

– To raczej nie nasza wina.

– Obawiam się, że tak – odparł Rekke. – Ktoś musiał zdementować te informacje Falkegrenowi. W przeciwnym razie nie odważyłby się ich przemilczeć.

Magnus skinął, jakby dokładnie wiedział, kto co zdementował, a Kleeberger poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

– No więc? – rzucił poirytowany. – Mów dalej.

– Nie powiadomić o wszystkim organów śledczych, kiedy pracują nad wyjaśnieniem morderstwa, to oczywiście skandal, jeszcze do tego wróć – powiedział Rekke. – Ale najpierw chciałem omówić logikę, jaka się za tym kryje. Dlaczego nie chcieliście przekazać informacji, które posiadacie? Nasuwa się oczywista odpowiedź, że byliście poddawani naciskom. Amerykanie nie chcieli, aby wyszło na jaw, że torturowano w ten sposób człowieka, i ryzykować, że opinia publiczna dowie się o więzieniu, którego istnienie trzymali w tajemnicy. Na pewno tak było. Ale wydaje mi się, że nie są to wystarczające powody.

Kleeberger skrzyżował ręce na brzuchu.

– Nie są? – powtórzył.

– Nie, musiało temu towarzyszyć też coś w rodzaju umowy. Nie wiem, co to za deal, więc mogę was uspokoić w tej kwestii.

„To dobrze – pomyślał Kleeberger – jednak dobrze”.

– Ale oczywiście mam swoje teorie. Na przykład wiem, że wielu przywódców talibów z Kabulu nigdy nie schwytano, a kilku z nich nawet nie mamy na zdjęciach. Mogę sobie wyobrazić, że zadaniem Kabira w Szwecji było zidentyfikowanie któregoś z nich. Na przykład mułła Zakaria przebywał przez jakiś czas w Norsborgu, zanim uciekł do Kopenhagi, gdzie został zastrzelony. Ale zostawmy to, bo nie to mnie interesuje w tej chwili.

– A co cię interesuje?

– Samo ukrywanie informacji. Utajnianie faktów.

Kleeberger jeszcze raz spojrzął z niepokojem na Magnusa.

– W jakim sensie?

– Od czego zacząć? Nie wiemy, dlaczego Kabira zamordowano. Prawdopodobnie jedną z przyczyn zbrodni było to, że nikt postronny nie mógł wiedzieć, że życie Kabira jest zagrożone.

– Sądzę... – zaczął Kleeberger.

– Przede wszystkim jednak – przerwał mu Hans – wpłynęło to na policyjne śledztwo. Aresztowano niewinnego człowieka tylko dlatego, że śledczy nie dysponowali wszystkimi informacjami. A to pozwoliło sprawcy zyskać na czasie. Można nawet pójść dalej i powiedzieć, że ci, którzy wpuścili Kabira do kraju, nie chcieli, żeby jego zabójstwo zostało wyjaśnione, bo wyjaśnienie tej zbrodni postawiłoby ich w złym świetle.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Kleeberger.

– Chcę, jak już mówiłem, zaproponować wam przysługę za przysługę. Pewnie tak samo załatwialiście sprawy z CIA.

– No to mów.

– Nie rozpętam afery, jak to ładnie określił Magnus, jeśli powiecie mi, co Kabir robił w czasach reżimu talibów i dlaczego wylądował w Salt Pit pod Kabulem. Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego ktoś miał powód, by go zabić.

– A skąd mielibyśmy to wiedzieć?

– Bo musieliście dostać jego akta albo przynajmniej ich część od CIA. W przeciwnym razie nigdy nie zgodzilibyście się go wpuścić.

Kleeberger posłał Magnusowi pytające spojrzenie i na chwilę w gabinecie zapadła cisza. Dało się nawet słyszeć odgłosy ulicy. A potem rozległ się śmiech. To był Magnus, który zdawał się nagle ubawiony całą tą sytuacją.

– Okej – rzucił.

– Ale co okej? – zapytał niepewnie Kleeberger.

– Myślę, że możemy pójść mu na rękę. Inaczej nigdy nie odpuści – wyjaśnił Magnus.

– Czy to naprawdę będzie bezpieczne... – zaczął Kleeberger, ale nie dokończył zdania. Czuł, że brakuje mu sił.

– Sprawdziłem ten kwiat, który oglądałeś – powiedział Magnus, jakby nie zwrócił uwagi na wątpliwości ministra.

– O jakim kwiecie mówimy? – zapytał Kleeberger.

– *Iris afghanica*. Rośnie na wzgórzach wokół Kabulu. Żywotny piękny kwiatek. Jest uznawany za symbol walki z przeciwnościami. – Magnus zwrócił się do Rekkego: – Czy on ma coś wspólnego z morderstwem?

– Nie wiem. Ale wiem, że to morderstwo miało konkretny powód – powiedział Hans nieobecny głosem.

W tym momencie Kleeberger uznał, że musi odzyskać autorytet.

– Dobrze, dobrze – powiedział obcesowo i wstał z fotela. – Wygrałeś, przynajmniej na razie. Przyjmij moje gratulacje. Ale nie zamierzam przekazywać ci dokumentów z klauzulą tajności. Poproszę naszego prawnika, żeby wszystko obejrzał, a Magnus może ci jutro dostarczyć te rzeczy, którymi możemy się podzielić.

– To wystarczy – powiedział Hans i też się podniósł. Ucisnął im ręce i wyszedł z nieoczekiwanym pośpiechem

Mats Kleeberger zacisnął pod biurkiem dłoń w pięści, nie wiedząc, czy robi to ze strachu, czy może po prostu chce odwzajemnić cios.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Simón nie przyszedł i choć Micaela dzwoniła, gdzie tylko mogła, nie udało jej się go złapać. Mustafa twierdził, że jej brata wcale u niego nie było. Dość szybko się poddała i wjechała windą na górę do matki. Idąc galerią, pomyślała, że matka powinna się stąd wyprowadzić dawno temu, po czym zadzwoniła do drzwi.

Mama otworzyła ubrana w sukienkę w stylu flower power z czerwonymi i zielonymi kwiatami na piersiach i brzuchu. Znowu wyglądała jak hippiska, jej długie czarno-białe włosy były rozpuszczone i trochę potargane. Micaela już miała zapytać, co to ma znaczyć, kiedy jej matka szeroko otworzyła oczy i zawołała:

– Co ty zrobiłaś?!

– O co ci chodzi?

– Twój policzek!

– To wygląda gorzej niż jest naprawdę – wyjaśniła Micaela. – Zaczęłaś znowu malować?

– Dlaczego miałabym znowu malować? – zdumiała się mama, zapraszając ją do środka przesadnymi gestami.

– Bo się tak ubrałaś – wyjaśniła Micaela i wskazała jej sukienkę.

Nie było nic wyjątkowego w tym, że jej matka paradowała w nowych lub starych zdobyczach z second-handu, ale to działo się głównie wtedy, kiedy wyjmowała swoje farby olejne, żeby powrócić do dawnych szczęśliwych hippisowskich czasów za rządów Allendego.

– Co? A, nie. Tylko przymierzam. Na pewno jesteś głodna.

Micaela usiadła na skórzanej sofie w salonie i właśnie miała powiedzieć, że wcale nie chce jej się jeść, kiedy matka zniknęła w kuchni, po czym wy-

szła z porcją pierożków empanadas i yerba mate.

– Dziękuję, mamó. To naprawdę nie było konieczne. Wyglądasz, jakbyś lepiej sypiała.

– Ech, kto teraz sypia dobrze.

Micaela nakryła się kocem na sofie i znów zaczęła się przyglądać sukience matki. Naprawdę wyglądała, jakby zaraz miała zacząć wykrzykiwać *peace and love* jak kiedyś.

– Miałam się spotkać z Simónem. Ale on się nie pojawił.

– Nie pojawił się? Czy on w ogóle kiedykolwiek się pojawia? Przez niego już całkiem osiwiłam – powiedziała i chwyciła pasmo włosów, żeby to zademonstrować. – Ale powiedz, na Boga, chyba nikt cię nie pobił?

Micaela potrząsnęła głową.

– Po prostu się przewróciłam. Byłam w knajpie z Vanessą.

– Nie rozumiem, czemu zamiast tego nie poszukasz sobie męża – oznajmiła jej mama zupełnie niespodziewanie.

– Czyli gdybym miała męża, to by tam był i mnie złapał?

Matka popatrzyła na nią, jakby się zastanawiała, czy rzeczywiście o to jej chodziło.

– Gdybyś miała męża, nie musiałabyś latać po knajpach z Vanessą. Ta dziewczyna jest o wiele za ładna, żeby to było dla niej dobre. Wiesz, co mówił wasz ojciec?

– Co tata mówił? – zapytała Micaela, zadowolona, że szykowała się zmiana tematu.

– On mówił, że piękne dziewczyny robią się leniwe.

– Dlaczego miałyby być leniwe?

– Bo wcale nie muszą się starać. Ale takie jak my...

– Jak miło, że to mówisz, mamó – przerwała jej Micaela.

– Jesteś o wiele ładniejsza, niż myślisz, kochanie. Ale takie jak my, które nie rozumieją, jakie są wspaniałe, muszą walczyć i starać się przez cały czas. Dla nas nic nie jest dane raz na zawsze.

– No i jak świetnie nam idzie.

– Co ty mówisz? Oczywiście, że ci świetnie idzie. Tylko musisz przestać tak czesać na dół tę grzywkę. Wyglądasz, jakbyś się chciała ukryć.

– A teraz mówisz jak Lucas.

– I co w tym złego?

Micaela westchnęła.

– A nie masz nic weselszego do powiedzenia? Jakies plotki? Oprócz tego, że znów zostałam hippiską.

– Nigdy nie lubiłam tego słowa, przecież wiesz. Teraz wszyscy będą plotkować o tobie i twojej twarzy, jestem pewna. Choć czekaj... – Rozpromieniła się. – Wiesz, kto znowu siedzi i pije piwo w Husby Krog?

– Kto? – zapytała Micaela.

– Beppe. Wrócił, jakby nigdy nic. Siedzi tam i znów udaje ważniaka, przechwala się Mariem. Carlos był tu przed chwilą i mi opowiadał.

Micaela zastanowiła się krótko. Zdjęła z siebie koc i zaczęła go składać.

– Wiesz co, mamó? Pójdę i z nim pogadam.

Matka spojrzała na nią tak samo zszokowana, jak przed chwilą w drzwiach.

– Co ty mówisz?

– Nie widziałam go, odkąd był w areszcie.

Teraz matka była urażona.

– Na Boga, przecież dopiero co przyszłaś. Nie wypijesz przynajmniej mate?

Micaela wstała.

– Przykro mi.

– A więc wolisz się spotkać z tym pijaczną niż z własną matką. – Nie dała za wygraną.

– Znów zaczęłam pracować nad tamtym śledztwem.

– Ale odkąd to Beppe ma coś mądrego do powiedzenia? On tylko kłamie.

– Został niesprawiedliwie potraktowany.

– Jesteś gorsza niż Simón – stwierdziła matka. – Tylko przychodzisz i zaraz znikasz. To już Lucas jest lepszy. On zawsze ma trochę czasu.

– Tak, tak – powiedziała Micaela i uściskała matkę jeszcze raz.

Poszła do przedpokoju, wyjęła portfel i położyła trzy banknoty stukorowane na stoliku przy drzwiach. Potem wyszła na galerię, zjechała windą na dół i znalazła się na podwórku. Zrobiło się chłodniej, niebo było bardziej zachmurzone. Micaela szła wzdłuż biało-zielonych bloków ozdobionych galeriami i antenami satelitarnymi.

Skierowała się na ścieżkę Edvarda Griega prowadzącą do centrum, do miasta – jak mówili kiedyś – choć miasto stanowiły tu jedynie plac i kilka sklepów. Oczywiście wszystkich tu знаła, a nawet jeśli pojawiło się trochę nowych twarzy, to na pewno też już słyszeli, że była gliną. Widziała to w ich oczach. Aby to zasygnalizować, schyliła się po kawałki rozbitej butelki przed wejściem do metra i spojrzała na grupkę chłopaków, którzy siedzieli na zielonej ławce pod spożywczakiem ICA i szczerzyli się do niej.

– Wszystko w porządku?

– W porzo. Mamy trochę interesów z twoim bratem – powiedział najwyższy z nich, imieniem Fadi.

– Uważaj tylko, żeby cię nikt nie naciągnął.

– Spoko. Mam kontrolę nad wszystkim – odparł, poklepał kieszenie spodni i porozumiewawczo rozejrzał się po twarzach kumpli.

Micaela odpowiedziała fałszywym uśmiechem i poszła dalej w stronę baru. Wnętrze Husby Krog było słabo oświetlone, widziała sylwetki kilku mężczyzn. Wzięła głęboki oddech, jakby ponowne spotkanie z nim oznaczało dla niej duży wysiłek.

Ale w środku było prawie pusto, żaden z facetów, których widziała przez okno, nie był Beppem. Pomyślała, że on na pewno już poszedł albo nigdy go tu nie było. Skinęła głową Yusufowi za barem i miała wyjść, kiedy usłyszała wołanie:

– Micaela!

Odwróciła się i go zobaczyła. Siedział z Amirem w najdalszym kącie po prawej stronie i patrzył na nią z radością. Prawie go nie poznała. Był o wiele za bardzo odstrzelony i za mało pijany, choć całkiem trzeźwy też oczywiście nie był. Włożył brązowy garnitur, miał świeżo obcięte włosy, ogoloną twarz, na górnej wardze widniała drobna ranka, a jego policzki były zaczerwienione jak zawsze. Ale i tak wyglądał zaskakująco dobrze.

– Beppe – powiedziała Micaela. – Witaj w domu.

– Czasem mężczyzna musi wrócić na stare śmieci. – Uśmiechnął się. – Usiądź z nami. Znasz Amira? Wybieramy się oblewać transfer Maria. Klub nas zaprosił.

Micaela usiadła i przyjrzała mu się, żeby ocenić, czy naprawdę był tak zadowolony, na jakiego wyglądał. Przecież musiał przejść piekło. Połowa Husby nadal sądziła, że jest winny. Micaela słyszała nawet, że na jego drzwiach ktoś napisał „morderca”, aż w końcu Beppe spakował manatki i wyniósł się do Kristinebergu.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała.

Rozłożył ręce i wypiął klatkę piersiową, jakby chciał potwierdzić jej słowa.

– Wiesz – zwrócił się do Amira – gdyby nie Micaela, toby mnie tu dzisiaj nie było.

– Byłbyś, spokojnie. Nic na ciebie nie mieliśmy. Wyszliśmy na durniów.

– Ale nie ty. Ty o mnie walczyłaś. – Nachylił się, żeby ją objąć. Potem wzdrygnął się, gdy zauważył jej policzek. – Co ci się stało?

– Przewróciłam się – wyjaśniła Micaela. – Chodźmy się przespacerować.

Popatrzył na nią, jakby nie do końca zrozumiał, może nawet był trochę zaniepokojony.

– Ale właśnie zamówiliśmy następną kolejkę – powiedział.

Spojrzała głęboko w jego zmatowiałe oczy.

– To nie będzie najlepiej wyglądało, jak przyjdiesz na imprezę nawalony.

– Kto mówi o tym, żeby się nawalić?

– Przepraszam cię, Amir, zaraz wrócimy.

Beppe skinął głową i podniósł się z ociąganiem. Po drodze szepnął jej do ucha:

– Ale nie chcesz mnie w nic wrobić?

– Nie, możesz być spokojny.

Chwilę się nad tym namyślał.

– Słyszałem, że spotkałaś się z Mariem. Chyba się nie wygłupił, co?

– Był tylko milutki – odparła Micaela.

Wyszli na plac i od razu poczuła, że ściągają na siebie wszystkie spojrzenia. Ludzie szeptali za ich plecami. Beppe zareagował tak samo jak zawsze: wyprostował się i szedł jak kowboj, kołysząc ramionami.

– Widzisz, jak się gapią? – rzucił. – Na pewno myślą, że chcesz mnie aresztować.

Micaela uśmiechała się do otaczających ich ludzi, żeby pokazać, że po prostu sobie spaceruje z Beppem, jak to czasem robią dawni sąsiedzi.

– Olej ich – powiedziała. – Możesz być dumny. Mario odniósł sukces.

Rozpromienił się i podszedł krok bliżej. Nie dało się nie zauważyć tej brutalnej siły, którą emanowało ciało Beppego. To, że mógł być winny, nie zdawało się tak całkiem nieprawdopodobne.

– Ale ja walczyłem razem z nim. Chyba pamiętasz, co nie? Codziennie staliśmy na boisku, ćwiczyliśmy strzały i drybling. W każdą zasraną pogodę. Czasem w śniegu po kolana.

– Pamiętam – przyznała Micaela, choć nie mogła sobie przypomnieć ani jednego razu, żeby widziała ich razem na boisku, a już na pewno nie w zimie.

– Będzie gwiazdą światowej klasy.

– Na pewno.

– Dokonałiśmy tego razem, on i ja. Wiesz, co mu zawsze powtarzałem?

– Co mu zawsze powtarzałeś, Beppe?

– Nigdy nie przestawaj walczyć. Nigdy w życiu.

– To musiała być cenna mądrość.

– Bo najważniejsza jest psychika – powiedział i wskazał palcem swoje czoło. – Psychika.

Micaela uśmiechnęła się do niego. Miała wielką ochotę skomentować jego własną psychikę, ale oparła się tej pokusie.

– Chodź, pójdziemy na boisko – poprosiła. – Będziesz mógł mi pokazać, co robiliście.

Kiwnął głową i poszli w stronę kościoła i meczetu. Napotkana po drodze grupka nastolatków przyglądała im się natarczywie, jakby młodzi ludzie chcieli podejść, ale oni zasygnalizowali, że są zajęci. Micaela przypominała sobie tamten moment, kiedy pierwszy raz usłyszała o morderstwie u siebie na podwórku. Pamiętała to rozgorączkowanie w powietrzu, ożywione twarze, głosy, które się przekrzykiwały. „*Schadenfreude*” – pomyślała.

– Kurde – odezwał Beppe. – Tak się cieszę, że cię widzę. Bo wiesz... przez chwilę byłem już załatwiony. Sam prawie zaczynałem wierzyć, że to zrobiłem.

– Przepraszam – rzuciła Micaela.

– No co ty! Jesteś moją bohaterką. Jak się miewa Lucas?

– Jak zwykle.

– Taki trochę gangster z niego, co nie?

– Nie sędzę, żeby było aż tak źle – stwierdziła Micaela.

Beppe zatrzymał się na chwilę z zamyślnym wyrazem twarzy. Podobnie jak Mario w Spy Barze, sprawiał wrażenie, jakby chciał coś dla niej zrobić w ramach spłaty długu.

– Pamiętasz, jak pytałaś mnie o tamten rap, który odstawiliśmy na podwórku z Simónem?

– Jasne.

– Przypomniała mi się jedna rzecz na ten temat.

Micaela spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Co takiego?

- Śpiewaliśmy o waszym ojcu i całej katastrofie.
- Coś mi świta.
- Pamiętam jeden wers – ciągnął Beppe.
- Jaki wers?
- „Mój brat, on chciał tu zostać szefem. Więc się posłużył pewnym blefem”.

Micaela krótko rozważała w myślach te słowa.

- Czy to ma się odnosić do Lucasa?
- A do kogo innego?
- Wszyscy zawsze myślą o nim same najgorsze rzeczy.
- Nie, co ty... Przecież ja nie – zaprotestował Beppe. – Pamiętam, jak się tobą opiekował. Z jego powodu nikt nie odważył się ciebie tknąć. Przez pewien czas byłaś w Husby prawdziwą księżniczką.

– Wcale nie – obruszyła się Micaela. – Słyszałam, że zaczynasz sobie przypominać trochę więcej z Grimsty.

– Że co? – zdziwił się Beppe. – No, może tak. Ale to Mario najwięcej o tym gada. Gliny... – Skrzywił się.

– Co z nimi?

– Ech, nic takiego. Ale mam teraz terapeutkę.

Micaela popatrzyła na niego ze zdumieniem. Nie знаła nikogo, kto chodziłby na terapię, a jeśli miałyby typować, kto mógłby zacząć, na pewno nie pomyślałaby o Beppem.

– Kiedy wyszedłem z aresztu, skierowali mnie do takiej jednej babki – wyjaśnił. – Żeby zrobić coś z tą moją złością.

– To chyba dobrze.

– Nie znośm tego. Baba chyba myślała, że jestem winny. Ale po jakimś czasie nawet mi się spodobało, dotarło do mnie, że nigdy tego nie rozkminiałem. Na przesłuchaniach chciałem tylko oddawać ciosy.

– I wtedy sobie przypomniałeś, że ktoś tam był.

– Przypomniałem sobie, że widziałem kogoś tam na Gulddragargränd.

– Kto to mógł być?

Popatrzył na nią wodnistymi oczami, jakby nie był pewny, czy sam w to wierzy.

– To wszystko było takie podejrzane – ciągnął. – Ty wiesz to przecież nawet lepiej niż ja.

– Nie wiem. Wiem, że byłeś pijany i wpadłeś do rowu.

– Byłem cały w błocie, wyszedłem na drogę i zobaczyłem tego gówniarza, co mnie potem zidentyfikował.

– Filipa Grundströma – rzuciła Micaela.

– W dodatku padało i wiało, próbowałem dzwonić do Maria, żeby się dowiedzieć, gdzie jest. Ale telefon był mokry i nie mogłem go uruchomić, więc kłąłem i szedłem dalej. Potem droga znów skręca, co nie, i tam zobaczyłem faceta, który nie był w stanie iść prosto. Jakby też był pijany.

– Co to był za facet?

– Nie wiem za dobrze. Tyle się wcześniej zdarzyło, bolał mnie łokieć i chciałem tylko wrócić do domu. Przecież nie myślałem wtedy, że powinienem zapamiętać to, co widzę. Ale może parę rzeczy zauważyłem.

– Na przykład co?

– Był dość młody i silny, zniknął na drodze prowadzącej do Vällingby.

– Dość młody, mówisz?

– W każdym razie to nie był żaden stary facet. Zdecydowanie nie ten dziadek, o którym oni ciągle gadali.

– To ciekawe. Pamiętasz coś jeszcze?

– Przez cały czas się otrzępywał, jakby obsypał go jakieś śmiecie. Wydaje mi się, że coś mruczał do siebie, prawie jakby śpiewał. Wyglądał trochę dziwnie.

– Ale nie widziałeś jego twarzy?

– Nie, tylko plecy. Miał plecak, szary plecak i chyba tatuaż na karku.

– Jaki tatuaż?

– To mógł też być brud. Sam nie wiem.

Nagle jego twarz się rozjaśniła, był tak rozradowany, że Micaela chciała go ofuknąć: „Co w tym takiego fajnego, że nic nie pamiętasz?!”.

– To było tam – powiedział.

– Co takiego?

– Tam staliśmy, ja i Mario, i ćwiczyliśmy strzały i drybling. – Wskazywał boisko sportowe w dolinie, ogrodzone siatką.

Micaela przez chwilę nie rozumiała, na co patrzy. Nadal stała w deszczu na Gulddragargränd.

– Jesteś pewien, że nie siedziałeś wtedy raczej w Husby Krog? – zapytała.

– Kurde, Micaela, przecież sama to widziałaś.

– Byłeś trochę stuknięty w tamtym czasie, wiesz o tym?

Beppe był urażony.

– Daj spokój – powiedział. – Przysięgam ci, to ja stworzyłem tego chłopaka. Mario sam to dobrze wie. „Dziękuję, tato”, mówi do mnie. „Dziękuję, tato, że byłeś dla mnie taki surowy i konsekwentny”.

– Jasne, Beppe. Na pewno tak było. W każdym razie miał ten sam urok co ty, kiedy się z nim widziałam.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie. Ten sam niezdarny wdzięk.

– Micaela, ty jesteś taka fajna laska. – Zabrzmiało to, jakby był bardziej pijany, niż się spodziewała.

– Dzięki – powiedziała z lekką irytacją.

– Nie znalazłaś sobie jeszcze faceta? – Teraz gadał zupełnie jak jej matka. – Kogoś, kto się tobą zaopiekuje?

– Nie, a ty znalazłeś? – odparła Micaela. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Rekkego, żeby się dowiedzieć, jak mu poszło z Kleebergerem. Miała złe przeczucia na temat tego spotkania, ale w końcu zdecydowała się nie telefonować.

Kiedy Rekke wyszedł z budynku MSZ i ruszył w stronę domu, był tak pograżony w myślach, że nie zwrócił uwagi na samochód dyplomatyczny, który powoli toczył się za jego plecami po Kungsträdgårdsgatan. Dlatego nawet nie przypuszczał, że Charles Bruckner i jego kolega Henry Lamar zastanawiają się, czy nie wciągnąć go do auta i trochę nie nastraszyć.

Był w tej chwili daleko od miasta, po którym się poruszał. Ale to nie znaczyło, że jego wewnętrzny świat miał przez to szczególnie wyraziste kontury. Czuł się oszołomiony lekami i ciężki, pomyślał nawet, czy nie zostawić tej całej historii do czasu, aż będzie w lepszym stanie.

Coś ważnego ciągle zdawało się umykać jego uwadze, coś tam było, tuż przed jego oczami, ale przez cały czas pozostawało niezauważone. Skreślił w stronę Hamngatan i Nybroplan, przy czym o mało nie wpadł pod tramwaj. Potem jakiś kierowca samochodu jeszcze na niego zatrąbił. Rekke myślał o Kabirze i jego gestykulacji na boisku. Nie miał wątpliwości, że kryła się za tym jakaś zupełnie inna historia niż ta powszechnie znana. Ale czy to było to, co przypuszczał? Dużo przemawiało oczywiście przeciwko jego tezie. Już sam fakt, że widział siebie w tej historii, był sygnałem ostrzegawczym. Chociaż... coś tam było. „Wiktor – pomyślał Rekke – stary, poczciwy Wiktor. Czy on nie mógłby pomóc?”. Znalazł go w swoich kontaktach i wysłał SMS.

Wiktor Malikow był – przynajmniej kiedy ostatnio się słyszeli – wykładowcą harmonii w Konserwatorium Moskiewskim, w którym uczyła się także Latifa Sarwani z Kabulu. Ale Wiktor pojawił się w jego myślach również z innego powodu. Mieli wtedy zaledwie po siedemnaście lat i obaj studiowali w Julliardzie. Spędzili raz wieczór, pijąc wino w Kings Theater z filharmonikami brooklińskimi. Już wtedy Wiktor upijał się, ilekroć nadarzyła się okazja. Był uchodźcą i dysydem, odkąd w bardzo młodym wieku dostał szansę dołączenia do światowej orkiestry młodzieżowej Leonarda Bernsteina, i bardzo wyczerpywało go nerwowo wypatrywanie agentów KGB na każdym rogu. Nieustannie uskarżał się na jakieś rzeczywiste albo wymyślone choroby i dolegliwości. Ale trzeba mu było oddać, że narzekał w wielkim stylu. Jak każdy porządny hipochondryk był bardzo odczytany na

temat chorób i sypał anegdotami o słynnych ludziach, którzy cierpieli na to samo. Tamtego wieczoru miał jakieś problemy z plecami i ramionami. „Już prawie przyrosłem do tego cholernego fortepianu” – powiedział. „Robię się tak samo kanciasty”.

Rekkemu spodobała się ta myśl, że długie godziny ćwiczeń zostawiają ślady na ciele, i wkrótce zaczął się bawić zgadywaniem, na czym dana osoba gra, zanim jeszcze zajęła swoje miejsce w orkiestrze. Oczywiście nigdy nie była to szczegółowa wiedza. Ale coraz bardziej zagłębiał się w te analizy, maniakalnie wypatrywał stwardnień na dłoniach, okruchów kalafonii, odcisków na skórze, blizn, drobnych, ale rozwiniętych mięśni, pęknięć na opuszkach palców, warg trębacza i wszystkich podobnych oznak. Patrzył na postawę i spojrzenie, zdradzające status muzyka w grupie. Z czasem zrobiło się z tego coś w rodzaju sztuki dla sztuki.

Idąc teraz przez miasto do domu, rozmyślał o Kabirze, języku jego ciała, i coraz bardziej był pewien, że ma rację. Nie, Kabir nie był dyrygentem, wręcz przeciwnie. Jego ruchy były zbyt wysilone i teatralne jak na profesjonalistę. Niemniej były to gesty dyrygenta. Musiała się w nim kryć wielka ambicja i jeśli to była prawda, to ten facet na pewno grał też na jakimś instrumencie, jak Rekke wspomniał Micaeli. Nikt nie może poważnie myśleć o dyrygowaniu orkiestrą, jeśli sam nie grał godzina za godziną, rok za rokiem. Tylko na czym? Na Strandvägen Rekke przyśpieszył kroku. Zobaczył, że Wiktor już odpowiedział:

„Bracie, jakie to święto dostać od ciebie jakiś znak. Czyżby od ostatniego razu minęło sto lat, czy tylko dziesięć?”

Rekke nie był zachwycony jego podniosłym tonem. Wolał utrzymać rozmowę w rzeczowej formie. Równocześnie ta odpowiedź sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej zmotywowany – jakby taka prosta sprawa jak wysłanie wiadomości tekstowej i otrzymanie odpowiedzi była dowodem na to, że jest aktywny, że wyrwał się z apatii.

Skręcił w Grevgatan, zadowolony, że zapamiętał kod do bramy. Tutaj również nie zwrócił uwagi na samochód, który skręcił za nim w ulicę. Poje-

chał na górę windą, znów mając przed oczami spojrzenie Micaeli, surowe i potępiające, jakby pozbawił ją wielkiego i pięknego złudzenia.

„Powinieneś się ogarnąć” – powiedziała.

„Powiniennem się ogarnąć, do jasnej cholery” – pomyślał.

Winda zdawała się wlec wolniej niż zwykle i był to oczywiście dobry znak. Chciał iść naprzód, a nie się cofać, popadać w marazm. Nagle podjął drastyczną decyzję. Może wynikało to z pośpiechu, może z tego, że jego odbicie w lustrze windy wyglądało fatalnie. Najprawdopodobniej jednak głównym powodem tej decyzji były Micaela i Julia.

Po wejściu do mieszkania skierował się od razu do łazienki i otworzył apteczkę. Wyjął wszystkie tabletki, fiolki i słoiczki, włożył do reklamówki, a następnie – nie czekając, aż zmieni zdanie – wyszedł na klatkę schodową i wrzucił wszystko do zsypu na śmieci. Powróciwszy do mieszkania, natknął się na panią Hansson. „Do diabła – pomyślał – czy człowiek nie może być ani chwili sam?”

– Przepraszam, Hans, jak się czujesz?

– Wyrzuciłem swoje tabletki do śmieci – powiedział.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy to dobra, czy zła wiadomość. Ale w końcu się uśmiechnęła.

– Ona dobrze na ciebie wpływa, ta dziewczyna, prawda?

– Jaka dziewczyna?

– Micaela oczywiście.

– Może, może tak – przyznał.

– Jesteście do siebie podobni, zauważyłeś to? – ciągnęła.

– Droga Sigrid, nie jesteśmy ani trochę podobni. Ona jest młoda i silna.

– Ty też taki jesteś. Tylko wmawiasz sobie, że jesteś słaby.

– Jasne, jasne – rzucił.

– Poza tym ona też przeżyła niejedno. To widzę nawet ja.

– To możliwe.

– Nawet nie zapytasz...

Ale Rekke już nie słuchał, tylko poszedł do kuchni i zastanawiał się, czy nie powinien teraz zacząć się upijać. Do tego jednak też nie był w formie. Pani Hansson znów znalazła się za jego plecami.

– Tylko się nie złość, że tyle mówię – zaczęła. – Ale musisz coś zjeść. Jesteś tak zajęty swoimi myślami, że zapominasz o posiłkach.

– Oczywiście masz rację – przyznał i sięgnął do patery z owocami na barowym blacie.

– To jest cytryna, Hans.

– Słucham? Ach tak, właśnie. Mój ulubiony owoc. My, młodzi i silni mężczyźni uważamy cytrynę za nową pomarańczę.

– Ugotuję ci coś na obiad.

– Nie powinnaś tego robić. Zejdź do siebie i odpocznij – poprosił i poszedł do swojego gabinetu. Usiadł przy komputerze i otworzył zdjęcia z obdukcji zwłok Kabira.

Skrzywił się, jakby to znów on sam tam leżał, bezsilny, z roztrzaskaną czaszką. Szybko jednak oprzytomniał, powrócił jak do opustoszałego miejsca, po którym się przedtem rozglądał, do innego czasu. Do lepszego czasu, kiedy jego spojrzenie rejestrowało więcej niż teraz. Długo siedział tylko i patrzył na ślady dawnych obrażeń, które kiedyś zaprowadziły go do Prison of Darkness. A potem skoncentrował się na dłoniach.

To były dłonie człowieka pracy, mechanika. Nosiły ślady smaru, brudu, miały drobne blizny, zadrapania, ale też... Powiększył zdjęcia i wpatrywał się w opuszki palców, na których dostrzegł słabe, prawie niewidoczne kreski biegnące w poprzek linii papilarnych. Nie był jednak pewien, jak ma je interpretować. Odstępy między tymi kreskami były za duże. Potrząsnął głową. To mu się nie zgadzało, zresztą może w ogóle uległ złudzeniu.

Miał poczucie, że tropi ślady na piasku. Szuka czegoś, co fale splukały już wiele, wiele razy.

Wstał od biurka, mruczając coś ledwo słyszalnie pod nosem. W jego głowie pojawiło się kilka fraz z *Wielkiej Fugi* Beethovena, może jako niepokojący akompaniament do zdjęć z sekcji, a może też... Zastygł na chwilę,

uchwycił się tej myśli, wszedł do internetu, żeby znaleźć materiał porównawczy.

Nic nie pasowało, więc nadal pozostawał w niepewności. A jednak poczuł, że wraca mu chęć do życia, jakby drzwi do innego świata nagle się uchylły. Napisał odpowiedź Wiktorowi Malikowi.

– *Claritas, claritas* – mruczał do siebie.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Ugotowała makaron z sosem pomidorowym. Na dworze mżyło, choć niebo było trochę jaśniejsze – zapowiadał się ładny wieczór. Micaela siedziała w kuchni przy jedzeniu i myślała o tym, co Rekke powiedział o ruchach Kabira. Właściwie te spostrzeżenia niczego im nie wyjaśniły. Ale było to coś niesamowitego, dlatego pomyślała, że powinna zadzwonić do Jonasa Beijera. Nie chciała mu jednak przeszkadzać, jeśliby się okazało, że właśnie rozstrzyga się, czy przyjmą ją z powrotem do zespołu.

Poszła do pokoju dziennego, usiadła przy komputerze i otworzyła zdjęcia Latify Sarwani. Znowu poczuła magnetyzm wzroku Latify. Jej oczy miały niesłychaną hipnotyczną siłę. Micaela zastanawiała się, czy Kabir kiedykolwiek napotkał spojrzenie tych oczu i co mógł wtedy czuć?

Czy był w niej zakochany i przeżył rozczarowanie? A może go ignorowała, więc chciał zniszczyć to, czego nie mógł mieć? Nie można było się niczego dowiedzieć, przynajmniej na razie, być może nie miało to nic wspólnego z całą sprawą. Choć... Kliknęła zdjęcie martwej Latify, które z niezrozumiałych powodów znalazło się na stronie, zobaczyła przewrócone krzesło i skulone ciało, z ręką wyciągniętą w stronę zmiażdżonych skrzypiec.

Obok leżały kawałki instrumentu, które musiały rozprysnąć się na boki podczas jego rozdeptywania, i bardzo drobne grudki ziemi lub gliny. Strumień krwi wypływał z tyłu głowy nakrytej szalem, barwiąc go na ciemnobrązowy kolor. Trudno było pojąć, że to ta sama osoba, której oczy na innych zdjęciach lśniły buntowniczo i z taką dumą. Ale na tym ostatnim zdjęciu nie było widać twarzy, tylko mocno wychudzone ciało: nogi, biodra, smukłą szyję i plecy, których łopatki odznaczały się pod bluzką. Łopatki... Micaela przypomniała sobie rozmowę z Tove Lehmann. Czy to możliwe, żeby Kabir opowiadał jej o Latifie?

Zadzwoił telefon. Lucas. Był w swoim najlepszym humorze i chciał się dowiedzieć, czy jego siostra lepiej się czuje. Tak, powiedziała, że czuje się lepiej, i przypomniała sobie, co Beppe opowiadał o tekście piosenki Simóna. „Ale to by tylko rozdrażniło Lucasa” – pomyślała, zwłaszcza teraz, kiedy był w takim dobrym nastroju. Dlatego pogawędziła z nim krótko o wszystkim i o niczym. Potem podziękowała za pomoc, jakiej udzielił jej ostatnio, na co Lucas, nagle czujny, zapytał, dlaczego znów tak się interesuje sprawą Kabira. Wtedy Micaela wyrwało się, że spotkała pewnego profesora, który przekazał jej nowe informacje na ten temat. Zaraz jednak pożałowała tego wyznania.

– Czy to ten Rekke? – zapytał jej brat.

Zesztywniała na dźwięk tego nazwiska.

– Skąd o nim wiesz?

– Dużo się o nim mówiło jakiś czas temu. Czy on nie jest bogaty?

Micaela odparła, że nie wie, i dodała, że jednak jest zmęczona i ból głowy jeszcze nie minął. Jej brat stwierdził, że to rozumie. Miał zamiar wybrać się do niej jutro.

– Najlepiej nie – wymamrotała.

Ale on już się rozłączył, a Micaela tylko zaklęła. Pieprzona Vanessa! To ona musiała wszystko wychłapać. Lucas od dawna jej imponował. Zresztą ona zawsze za dużo gadała. Choć z drugiej strony to było jasne, że pół roku temu, kiedy Micaela miała największą potrzebę mówienia o Rekkem, żadna z nich się nie spodziewała, że jego nazwisko stanie się kiedyś tak wrażliwą informacją. „Chyba nie ma się czym martwić” – pomyślała i z braku lepszego zajęcia jeszcze raz otworzyła zdjęcia Latify Sarwani. Ale i tym razem nie dane jej było się w nie zagłębić. Znów zadzwonił telefon. To był Jonas Beijer, bardzo podekscytowany.

Rekke siedział w swoim gabinecie i zastanawiał się, czy naprawdę go podsłuchują. Domyślał się, że tak, i przez chwilę rozważał skorzystanie z telefonu pani Hansson. Nie, jednak nie chciał jej w to wciągać. Zamiast tego jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom z obdukcji i tym ledwo widocznym li-

niom na palcach Kabira. Czyżby miał rację? Tak sądził, dlatego postanowił napisać mail do Wiktora Malikowa.

„Jak się miewasz ostatnio?”

Odpowiedź przyszła natychmiast, jakby Wiktor siedział przy komputerze i tylko na to czekał.

„Co się odpowiada człowiekowi, który przeświała wszystkie frazy, i mówi o nim, że potrafi zdemaskować nawet samego diabła?”

Rekke odpisał w podobnym, nieco przesadnym stylu.

„Podaje mu się kilka przygotowanych wcześniej faktów. On tak niewiele potrzebuje”.

Wiktor znów szybko odpowiedział.

„Zaczynam żałować, że wróciłem na łono ojczyzny. Wygląda na to, że tym razem demokracja też nam się nie uda. Ale ożeniłem się z baletnicą i mam czworo dzieci. Już nie grywam tak często, tylko tyle, co na zajęciach. Nie jestem jednak nadmiernie zgorzkniały. Dużo czytam i dużo piję, oczywiście ciągle mnie coś boli w niezidentyfikowanych miejscach. I czasem czuję, że mi Ciebie brak. Ktoś mi szepnął, że straciłeś robotę”.

„Robotę mam dalej” – odpisał Rekke. „Ale wyrzucili mnie z kraju i nałożyli kaganiec”.

„Ojej, a co takiego się stało?”

„Mogę do Ciebie zadzwonić?”

„Zdecydowanie powinieneś”.

Rekke siedział jeszcze chwilę i zastanawiał się, czy powinien w rozmowie przekazać jakąś wiadomość dla CIA, o ile go podsłuchują. Wreszcie po prostu zadzwonił, wzięwszy przedtem głęboki oddech, żeby przygotować się do odegrania pewnej roli towarzyskiej. Nie dlatego, żeby Wiktor nie wiedział o jego depresyjnej stronie, po prostu było lepiej, kiedy Rekke potrafił dopasować się do rubasznego uroku kolegi.

– Wspaniale słyszeć twój głos! – zawołał Wiktor. – Ale co ty opowiadasz? Wywalili Cię z USA?

– To wcale nie jest takie straszne – odparł Rekke. – Radzę sobie. Czasem nie potrafię tylko trzymać gęby na kłódkę.

– Wiem, bracie, wiem o tym.

– Pamiętasz, jak zgadywaliśmy, na jakim instrumencie grają różni muzycy?

– Jasne.

– Wróciłem do tej dyscypliny. Ale najpierw potrzebuję kilku informacji.

– Opowiadaj, opowiadaj. Jestem bardzo zainteresowany.

Rekke zaczerpnął powietrza i zaczął:

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś o afgańskich muzykach studiujących na rosyjskich uczelniach w latach osiemdziesiątych. Właściwie szukam faceta, który później nazywał się Jamal Kabir. Ale może lepiej będzie zacząć od dziewczyny. Jak się domyślam, starsi u was mogą ją jeszcze pamiętać. Sasza Bieliński na pewno.

– Saszy zaczyna się już wszystko mieszać.

– Ale może mamy szczęście i odnajdzie ją w pamięci. Studiowała w konserwatorium od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego do osiemdziesiątego dziewiątego. Wybitnie uzdolniona. Lubiła trochę dramatyzować. Znała swoją wartość, na pewno budziła różne skrajne uczucia. Nazywała się Latifa Sarwani i pochodziła z Kabulu.

– Co się z nią stało?

– Zginęła od strzału w tył głowy w Kabulu piątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego, w czasach, kiedy talibowie prześladowali muzyków.

– Boże Wszechmocny, wiedziałem, że zaserwujesz mi jakąś historię detektywistyczną. Czyż nie robiłeś tego zawsze?

Rekke uśmiechnął się trochę wbrew sobie.

– Może próbowałem. Ale chciałbym wiedzieć o niej, ile tylko się da, i poznać jej otoczenie, ludzi z jej kraju.

– Szukasz kogoś szczególnego?

– Czy nie tak jest w historiach detektywistycznych?

– No właśnie.

– Chodzi o tego faceta, wspomniałem już. Wtedy był bardzo młody, jej rówieśnik albo trochę młodszy, ciemnowłosy, mocno zbudowany, raczej niski, regularne rysy. Podałem ci kilka zdjęć i krótki opis, tylko nie mam nazwiska, w każdym razie nie sądzę, żeby było aktualne.

– Na czym grał?

– Grał na... – zaczął Rekke, ale postanowił jeszcze z tym poczekać. – Nie wiem – powiedział ostatecznie.

– To nie brzmi jak mój Rekke.

– Twój Rekke już nie istnieje.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Jesteś nazbyt uprzejmy, Wiktorze. Wydaje mi się jeszcze, że on miał poważne ambicje, żeby zostać dyrygentem.

– Też jakaś gwiazda, tak?

– Nie jestem pewien. Widzę u niego raczej pychę i przesadne mniemanie o sobie. Ale może powinienem się ostrożniej wypowiadać.

– Na Boga, wcale nie musisz. Możesz spekulować, ile tylko chcesz. To właśnie jest dla mnie w tobie najwspanialsze.

Rekke znów się uśmiechnął. Nagle poczuł chęć podzielenia się swoimi teoriami, ale oparł się tej pokusie.

– Trochę za mało mam informacji – powiedział. – Czy mogę mieć nadzieję, że zaczniesz działać?

– Zrobię, co w mojej mocy. Ubarwiłem mój dzień.

Potem, kiedy się już pożegnali, Rekke pozamykał zdjęcia z obdukcji i zaczął rozważać, czy przeszukać mieszkanie i zobaczyć, czy nie schował gdzieś jeszcze jakichś tabletek. A może powinien po prostu zadzwonić do swojego dawnego dilera Freddiego.

Czyżby Kabir też grał muzykę klasyczną? Słowa Micaeli wydawały się mu początkowo niedorzeczne. Ale potem oswoił się z tą informacją i nie był już tego taki pewien. Jedna po drugiej przypominały się drobne kwestie, okrucy, nad którymi się właściwie nie zastanawiał, ale teraz ukazały się znowu w zupełnie innym świetle.

Między innymi zeznania Emmy Gulwal, klarncistki. Sam ją przesłuchiwał w Berlinie i pamiętał, że najpierw była do niego nastawiona raczej wrogo. Szybko się to zmieniło. Uznał, że to typowa niechęć, jaką wiele osób odczuwa przy kontaktach z policją.

Tamtego wieczoru, o który ją pytał, odwiedziło ją trzech przedstawicieli policji religijnej w Kabulu. To było 24 marca 1997 roku, późnym wieczorem. Dwoje jej dzieci już spało. Jak opowiadała, od dawna żyła w lęku. Nastrój w mieście był coraz bardziej wrogi, więc aż zamarła ze strachu, kiedy wpadli do ich mieszkania. Ale potem poczuła ulgę, bo zobaczyła, że jednym z nich był Kabir. Jonas zapytał dlaczego. Powiedziała, że słyszała o Kabirze dużo dobrego. Że należał do umiarkowanych, zajmował się piłką nożną. Robił też inne dobre rzeczy. Dlatego niemal od razu wyjęła swój klarnet z szuflady w szafie i podała mu, żeby „nie musieli przewracać do góry nogami całego domu”.

– Obiecał, że się nim zaopiekuje, przecież i tak zabronili mi grać – opowiadała, a Jonas uznał, że to zabrzmiało logicznie.

Panowała wtedy taka atmosfera, że ludzie byli gotowi zrobić wszystko, żeby tylko się nie narażać na ataki czy uprowadzenie. Początkowo, jak mówiła, wszystko wyglądało dobrze. Kabir pogładził instrument ręką i uniósł go, „jakby chciał na nim zagrać”. Potem w ułamku sekundy się zmienił. Jego oczy pociemniały i uderzył klarnetem we framugę drzwi, „jakby chciał pomścić całe swoje życie”, i to właśnie te słowa teraz powróciły w pamięci Jonasa. Z tego też powodu zadzwonił do Micaeli, kiedy tylko wrócił do domu na Swedenborgsgatan i zamknął się w sypialni, żeby uniknąć sprzeczek z Lindą i chłopcami.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Dobrze – odparła Micaela. – Masz jakieś wiadomości?

– Jeszcze nie. Ale możesz być spokojna, że się nie poddam, póki znów cię nie przyjmą do zespołu. Chciałem tylko powiedzieć, że... kurczę... trochę się wstydzę.

– Czego się wstydzisz?

– Nie umieliśmy oderwać spojrzenia od ziemi. Czasem myślę, że chyba daliśmy się zdemoralizować.

– Co masz na myśli?

Poczuł pewien wewnętrzny opór, ale równocześnie pilną potrzebę, żeby się tym z kimś podzielić.

– Przez cały czas, odkąd Costa wyszedł z aresztu, mieliśmy wrażenie, że szefostwo nie traktuje tego śledztwa priorytetowo, i pozwoliliśmy, żeby to wpływało na nas. Może dlatego, że wszystko szło tak opornie tam, w Kabulu, a przedstawiciele Amerykanów, którzy mieli nam pomagać, nie wnieśli niczego wartościowego. W pewien sposób czuliśmy coś w rodzaju ulgi, że nie musimy się z tym wszystkim użerać.

– Ale do czego zmierzasz?

– Może macie rację, że Kabir mógł mieć do czynienia z muzyką.

Słyszał, że Micaela wyraźnie się zainteresowała.

– Co się stało, że tak mówisz?

– Bo zaczynam myśleć, że Emma Gulwal znała Kabira z dawnych czasów. A głównie dlatego, że dziwnie obszedł się z jej klarnetem.

Opowiedział jej o zeznaniach Emmy, a Micaela zamyśliła się na chwilę.

– Tylko dlaczego miałyby przemilczeć fakt, że znała go z dawnych czasów? – zapytała.

– Tego nie wiem – odparł Jonas. – Nie wiem. Może spotkalibyśmy się teraz na piwo i przegadali to?

– Za bardzo boli mnie głowa – oświadczyła Micaela, a on, choć zdawał sobie sprawę, że to była przypuszczalnie prawda, z jakiegoś powodu odebrał to osobiście.

Potem usiadł nad aktami śledztwa i czytał do wpół do drugiej w nocy.

To była bezsenna noc. Rekke nie spodziewał się niczego innego. Poczł się jednak silniejszy, kiedy przetrwał do świtu, nawet jeśli z poprzednich razów wiedział, że pierwszy dzień odwyku to jeszcze nic. Dopiero siódmego czy ósmego miało się rozpętać prawdziwe piekło. Próbował na razie o tym nie myśleć. Wszedł z domu i biegał po Djurgården, wrócił całkowicie wykończony, tak że prawie nie czuł rozdygotania wywołanego niepokojem. Przykucnął tylko pod prysznicem i dyszał. Potem ubrał się w niebieską koszulę i szary garnitur, a następnie usiadł do komputera, żeby sprawdzić pocztę. Wiktor wysłał mu coś wczoraj o godzinie 2.48, prawdopodobnie zdjęcia, i prosił o telefon „jak najszybciej, byle tylko było po dziewiątej, żebym zdążył się napić kawy, bo przez całą cholerną noc piłem wino i wódkę z twojego powodu”.

Rekke spojrział na zegarek i dodał dwie godziny. W Moskwie było dwadzieścia po ósmej, czyli innymi słowy zbliżała się dziewiąta. Zadzwoił i po piątym sygnale w słuchawce usłyszał mruknięcie.

– Co się dzieje? – powiedział Wiktor po rosyjsku.

– Obudź się, a ja przez ten czas pooglądam twoje zdjęcia – powitał go Rekke, zerkając na przesłane pliki.

Były to przede wszystkim fotografie portretowe studentów trzeciego roku Konserwatorium Moskiewskiego w 1987 roku. Nie potrzebował dużo czasu na znalezienie Latify. Patrzyła prosto na niego z przedostatniego rzędu po prawej stronie i wyglądała mniej więcej tak, jak na poprzednich zdjęciach: piękna, dumna, z nieproporcjonalnie wielkimi oczami i spojrzeniem, które nie zamierzało za nic przeproszać. Może tylko – przyjrzał się nieco dokładniej – było tu coś nowego, czego nie widział na zdjęciach z młodości w Kabulu, jakieś asymetryczne i trochę niepokojące światło, które sprawiało, że trudniej było zinterpretować jej emocje.

– A niech to diabli, czy już jest dziewiąta? – zapytał Wiktor.

– Mniej lub bardziej tak. Z kim piłeś?

– Z Bielińskim. Jeszcze daje radę. Robi się zdziadziały, ale pije, jakby jutra miało nie być. Twierdzi, że to on dyrygował, kiedy grałeś Ravela w Ber-

nie.

– Straszne wspomnienia, choć bez Saszy chyba bym wtedy nie przeżył. Macie coś przynajmniej?

– O wiele za dużo. Bieliński nie chciał przestać gadać o tej twojej skrzypaczce. Prawie jakby był w niej zabujany. „Niesłychany talent”, mówił. Czasem ją tak ponosiło, że wióry leciały, niebezpiecznie blisko szmiry. Ale innym razem czas stawał w miejscu, kiedy grała. Bieliński miał łzy w oczach, kiedy o niej opowiadał. „Najlepsza z moich uczennic zastrzelona”. Jak to świadczy o naszych czasach?

– Też się nad tym zastanawiam.

– „Grała jak anioł”, to jego słowa – ciągnął Wiktor. – Przeważnie Brahmsa, Sibeliusa, Paganiniego. Ciągle ćwiczyła. Ale wcale nie była z tego powodu grzeczną, pilną dziewczynką. Miała niesamowite humory. Potrafiła trzasnąć drzwiami i z niczego rozpętać awanturę. Była wiecznym epicentrum, jak mówił, ludzie ciągle o niej gadali, oczywiście dużo bzdur. Zawistnicy utrzymywali, że zgrywa diwę i jest przeceniana. Byli nawet tacy, co cynicznie twierdzili, że nic dziwnego, że ją zastrzelono. Bieliński z kolei nie mógł pojąć, jak to możliwe, że ktoś, a zwłaszcza talibowie, mógł ją uciszyć. Był przekonany, że ona przetrwa wszystko.

– Znalazłeś innych afgańskich muzyków z jej kręgu?

– Na zdjęciu klasowym trzy rzędy wyżej, trochę bardziej w prawo, to jest Darman Dirani, widzisz go?

Rekke widział. Młody człowiek, też około dziewiętnasto-, dwudziestoletni, ciemne kręcone włosy, małe oczy i duży haczykowaty nos oraz pewna nieśmiałość w spojrzeniu. Miał na sobie czarną koszulę rozpiętą pod szyją i okulary w okrągłych oprawkach.

– Darman był jej rodakiem i rówieśnikiem, też skrzypek – mówił dalej Wiktor. – On i Latifa równocześnie pojawili się w konserwatorium, przyjaźnili się od kilku lat. Chodzili do tej samej nauczycielki w Kabul, może nawet byli parą przez jakiś czas, nie wiem na pewno. Ale Darman nie miał łatwo. Popatrz na inne zdjęcie, które ci wysłałem, z ich kwartetem smyczkowym. Widzisz, jak on na nią patrzy? Z podziwem, prawda, ale też z nie-

pewnością, jakby sam był nic nie wart. Darman kochał ją, to oczywiste, ale Latifa raczej nie kochała go tak bardzo.

– Czy on żyje?

– Mieszka teraz w Kolonii.

– W Kolonii – mruknął Rekke.

– Właśnie, jest drugim skrzypkiem w Filharmonii Kolońskiej. Jestem przekonany, że rozmowa z nim może coś dać. On podobno zawsze na nią patrzył. Ciągłe śledził ją wzrokiem. Ale naprawdę ciekawe jest coś innego.

Rekke znów zerknął na zdjęcie klasowe z Latifą i próbował wyczytać z niego, co się w niej zmieniło. Miał wrażenie, jakby już wtedy coś jej odebrano.

– Czy ona nie była chora? – zapytał.

Wiktor, który właśnie się przymierzał, żeby opowiedzieć coś innego, musiał się teraz nie bez pewnych trudności przestawić.

– Że co? A tak, prawda... Najwyraźniej były podejrzenia epilepsji. Dostała ataku, kiedy grała na kursie mistrzowskim. Choć ja chciałem o czymś innym: otóż Latifa i Darman Dirani pochodzili z uczelni w Kabulu, która działała pod nieco skomplikowaną nazwą Radziecko-Afgański Uniwersytet Przyjaźni Muzyki Klasycznej – ciągnął. – Kierowała nim Jelena Drugowa, znasz ją?

– Nigdy nie słyszałem.

– Właściwie skąd miałbyś ją znać. To dawna wiolonczelistka i dyrygentka z Nowosybirsk. Ale przede wszystkim miała misjonarski zapał i była ogromnie zaangażowana. Nie sądzę, żeby partia musiała wysłać ją do Kabulu. Pojechała na własną rękę i otworzyła tam swoją szkołę. Oczywiście rozumiesz, jaka myśl się za tym kryła. Wojnę należało wygrać nie tylko bronią, lecz także za pomocą kultury i marksizmu-leninizmu. Jej szkoła nigdy nie cieszyła się szczególną popularnością w Kabulu. A jednak zaskakująco dużo studentów do niej przyjeżdżało, nawet z zagranicy, może kilku zagorzałych komunistów. Większość stanowili młodzi ludzie, którzy chcieli mieć szansę grać utwory zachodnich kompozytorów i rozwijać się muzycz-

nie. W dość krótkim czasie szkoła zyskała dobrą opinię, wiadomo było, że Jelena dysponuje solidnym budżetem na stypendia. Mogła wysyłać swoich najlepszych studentów do Związku Radzieckiego, przeważnie do naszego konserwatorium. Nikt inny nie dostał takiej szansy jak Latifa i Darman, ale wielu miało możliwość krótszego pobytu, grania i nauki pod opieką specjalistów w Moskwie. I tutaj robi się trochę strasznie.

– W jakim sensie?

– Wielu z tych stypendystów zniknęło potem podczas rządów talibów. Jedna osoba, Latifa, została znaleziona martwa, zastrzelona w swoim domu. Ale inni po prostu rozwalili się w powietrzu i nikt ich nigdy więcej nie widział.

– To ciekawe – przyznał Rekke.

– Oczywiście można powiedzieć, że byli w strefie ryzyka – mówił dalej Wiktor. – Mieli kontakty z sowieckim okupantem. Praktykowali coś, czego reżim zakazywał, co kojarzono z Zachodem. Ale i tak uważam, że to wygląda podejrzanie. Oczywiście w Afganistanie muzycy byli prześladowani, trochę o tym przeczytałem. Ich instrumenty niszczone, byli chłostani, maltretowani. Bywali też zabijani.

– Choć to nie było takie powszechne.

– Ale tych tutaj było trochę za dużo. To statystycznie niepokojące zjawisko, jak sądzę. Dostałem przecież zlecenie, żeby pobawić się w detektywa.

Rekke nie odpowiadał, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Pani Hansson pojawiła się w pobliżu, trochę przejęta, jakby chciała coś powiedzieć. Czuł ucisk w piersiach, promieniujący na ramię i okolice serca. Pomyślał o Latifie Sarwani i udało mu się zapomnieć o pani Hansson, która zakłopotana odeszła.

– Ci stypendyści z Kabulu – powiedział. – Macie jakąś listę z nazwiskami?

– Mam nazwiska tych, którzy u nas byli przez te lata.

– Świetnie. Jesteś opoką, Wiktorze. Czy Jelena Drugowa żyje?

– Zmarła na raka szyjki macicy w sierpniu dwa tysiące pierwszego. Ale mówi się, że pod koniec życia niepokoiła się, że ktoś chce skrzywdzić jej dawnych studentów.

– To ciekawe.

– A to zdjęcie sędziego piłkarskiego, które ci posłałem? Czy nikt go nie rozpoznał? – zapytał Rekke.

– Ano właśnie... zapomniałem powiedzieć. Bieliński wziął je ze sobą wczoraj. Powiedział, że od tej fotografii kręci mu się w głowie.

– Bo tamten człowiek wyglądał znajomo?

– Nie wiem, czy tak powinienem to rozumieć. Mówił, że to zdjęcie wydaje mu się dziwne. Może dlatego, że tamten facet miał na sobie ten cudaczny strój.

– Możesz przekazać Saszy, że on chyba grał na altówce, tak sędzę. Może to mu odświeży pamięć – dodał Rekke.

Wiktor się zaśmiał.

– A więc jednak wykombinowałeś, na czym grał. Przecież wiedziałem.

– Przeprowadziłem małe studia porównawcze, ale nie jestem całkiem pewien.

– Czy twój oddech nie jest trochę za ciężki, tak poza tym?

– Nie sędzę. Ale to była doskonała robota, Wiktorze. Wkrótce odezwę się znowu.

– Chyba nie chcesz się już rozłączyć? Jeszcze się dobrze nie przywitaliśmy.

– Rozłączam się. Teraz odeśpij kaca, usłyszemy się niedługo – powiedział Rekke, kończąc rozmowę, i zauważył, że rzeczywiście ciężko oddycha. Jego ciało zadygotało jak rażone prądem, a on mruknął do siebie: – Co to za głupie pomysły? Po co to samoudręczenie?

Potem wybrał numer Freddiego Nilssona. Nie miał czasu na jakiś cholerny odwyk. Ale nawet się nie połączył. Do pokoju weszła pani Hansson i powiedziała, że Micaela zaraz tu będzie, więc postanowił odłożyć na jakiś czas powrót do nałogu.

Później znów przyglądał się fotografii klasowej Latify. Nie bardzo mu to wychodziło. Jego spojrzenie tylko błędziło, utracił ostrość widzenia. W końcu jednak dostrzegł to, co go przedtem tak zaniepokoiło. To było lewe oko Latify: było tam coś, co kiedyś płonęło, a teraz zgasło.

Micaela spała dziesięć godzin i obudziła się we wtorek o ósmej rano z poczuciem, że opuściło ją napięcie. Za oknem padał deszcz, oczyszczający wiosenny deszcz. Przez chwilę leżała na plecach z dłońmi na brzuchu, jeszcze raz przeżywając wczorajszy wieczór, i zrozumiała, dlaczego ten poranek budził nadzieję.

Ustał ból głowy, poza tym zrobili kolejny krok w śledztwie. Czuła się tak, jakby odzyskała coś utraconego, i zastanawiała się, co powinna zrobić. Czy ma zadzwonić do Vanessy i ją opieprzyć, że za dużo gada? Jednak nie, zdecydowała po chwili, właściwie to nie robiło żadnej różnicy, czy Lucas wie, z kim się spotkała, poza tym ktoś z komendy też mógł zdradzić taką informację. Więc tylko błędziła myślami bez celu. Przypomniała sobie, co Jonas Beijer mówił o Emmie Gulwal: że Kabir głąskał jej klarnet „niemal z czułością, jakby chciał na nim zagrać”, ale sekundę później zachowywał się jak szalenciec i rozwalił instrument o framugę, „jakby chciał pomścić całe swoje życie”.

To oczywiście nie musiało nic znaczyć. Ale też nie przemawiało przeciwko temu, że Kabir również był muzykiem klasycznym. Wstała i poszła do łazienki, a w jej głowie rozbrzmiewało kilka dźwięków. To było *Adagio* z koncertu Brucha, nuciła sobie fragment i zastanawiała się, czy naprawdę pozwolą jej wrócić do śledztwa. Pozostawało tylko cierpliwie czekać. W każdym razie chciała już dzisiaj popracować nad tą sprawą. Obejrzała w lustrze swoją posiniaczoną twarz. Czuła się lepiej, ale dalej wyglądała nieszczęśliwie. „To nawet dobrze” – ucieszyła się i zanim naszły ją wątpliwości oraz poczucie obowiązku, zadzwoniła do pracy, żeby wziąć chorobowe.

– Czuję się fatalnie – oświadczyła.

Jej szef najwidoczniej nie wątpił w to ani przez chwilę. Powiedział: „Ależ tak, oczywiście, naprawdę cię rozumiem” i to było to, co policjantka na wagarach chciała usłyszeć. Potem przyglądała się sobie w lustrze jeszcze przez chwilę, myśląc: „Ciekawe, co Rekke o mnie sądzi?”, „Jak on mnie widzi? Kim ja dla niego jestem?”.

Te pytania nie poprawiły jej humoru. Przeciwnie, zaczęła szukać u siebie wad. Spróbowała zaczesać grzywkę do góry i odsłonić czoło, jak wszyscy jej sugerowali, i rzeczywiście wyglądała lepiej. Ale i tak nie zamierzała posłuchać tych rad. Powinna za to obciąć włosy. Sięgały już do ramion, a jej oczy były... Co mogła o nich powiedzieć? Zbyt poważne. Spróbowała się zaśmiać, stanęła jak modelka, przybierając idiotyczne pozy. Na szczęście musiała to zaraz przerwać, bo odezwał się jej telefon. Dzwoniła pani Hansson, oczywiście na początek przeprosiła, że przeszkadza.

– Czy coś się stało? – zapytała Micaela.

– Wyrzucił wszystkie swoje tabletki i nie zmrużył w ogóle oka. Słyszałam, jak chodzi nade mną tam i z powrotem przez całą noc.

– Czy to było rozsądne?

– Oczywiście, że nie. Na pewno dopadną go najgorsze objawy odstawienia. Ale to świadczy o tym, że ma trochę hartu ducha. Dokonałaś cudu, Micaelo. Nie przyszłabyś tu, zanim znowu coś strzeli mu do głowy?

– Nie lepiej, żebym z nim najpierw porozmawiała?

– Teraz telefonuje. Wydaje mi się, że w tej sprawie, którą się właśnie zajmujecie. Czy nie chodziło tam o muzyków z Afganistanu, których spotkało coś strasznego?

– Tak.

– No to w takim razie?

– To przyjdę – zgodziła się Micaela.

A jednak jeszcze trochę potrwało, zanim wyszła z domu. Przymierzała jeden ciuch po drugim, nawet buty na obcasach, choć i tak stanęło jak zwykle na dzinsach, adidasach i sportowej bluzie, do tego ani mniej, ani więcej makijażu niż normalnie. Ale po raz pierwszy od tamtej soboty miała w so-

bie lekkość. Zbiegła po schodach. Dlatego nawet nie usłyszała znajomych kroków z piętra poniżej.

Charles Bruckner siedział w swoim samochodzie na Grevgatan. Był prawie pewny, że znowu będą musieli uderzyć w Rekkego. Nie było już żadnych wątpliwości, że profesor stanowi czynnik ryzyka. Powinni wpaść do niego jak najszybciej i zabrać go ze sobą. Chociaż... Charles wolał być cierpliwy, chciał się przekonać, czy da się zebrać więcej obciążających informacji. Jak zwykle należało poczekać na najlepszy moment.

Czasem Charles tęsknił za swoim dawnym życiem. Nie uczestniczył w żadnej większej operacji od czasu, kiedy zastrzelili Gamala Zakarię w Kopenhadze. Wtedy się okazało, że mimo wszystko Hassan Barozai – czy raczej Kabir, jak przeważnie o sobie mówił – naprawdę dostarczył im wartościowych informacji, a wypuszczenie go na wolność wcale nie było szaleństwem.

Zresztą Charles właściwie nigdy nie sądził, żeby to było szaleństwo. Tylko teraz, w tym całym zamieszaniu, trochę zwątpił. Ale w gruncie rzeczy nadal uważał, że to był niezły numer: wypuścili małego łotra, żeby dopaść większego. Nic dziwnego, zwyczajna logika wojenna. Choć to prawda, że nie do końca wiedzieli, co Kabir robił w Kabulu. Nie udało im się go całkiem złamać podczas przesłuchań. Pozostało kilka znaków zapytania i to było niepokojące, bo nikt – a już na pewno nie szwedzki MSZ – nie chciał wpuścić do kraju mordercy i terrorysty.

Nie wyglądałoby to dobrze, zwłaszcza teraz, kiedy na horyzoncie zaczęły się zbierać chmury. Zarówno CBS, jak i „The New Yorker” przygotowywały publikację kompromitujących materiałów, właściwie nic nowego. Agencja AP wypuściła długi artykuł na ten temat jeszcze w listopadzie zeszłego roku. Oczywiście mieli powód do zmartwień. Podobno dziennikarze dysponowali fotografiami Arabów w kapturach na głowach, z elektrodami umieszczonymi na ciele, nagich mężczyzn prowadzonych na smyczy albo związanych w nienaturalnych pozycjach, czasem wysmarowanych odchodami, czasem leżących stosami jeden na drugim, podczas gdy amerykań-

szy żołnierze stojący obok szczyrzyli zęby i pokazywali uniesiony kciuk. To z pewnością narobiłoby wielkich szkód.

A jednak... można było obwiniać pojedyncze osoby, zwyrodniałe jednostki. Nic z tego nie działało na rozkaz ludzi z najwyższego szczebla. To były nieprawidłowości, a odpowiedzialni za nie mieli ponieść karę. Nie świadczyło to w żaden sposób o nadrzędnej strategii, dlatego byłoby fatalnie, gdyby równocześnie do mediów przedostały się informacje o Salt Pit. Pieprzony Rekke. Zadzwoił telefon. To był Henry Lamar z ambasady.

– I jak tam? – zapytał.

– Rekke czeka na wizytę jakiejś kobiety, Micaeli – odpowiedział Charles. – Sprawdzimy, kim ona jest. Będą mówić o skrzypaczce Sarwani, która została zastrzelona w Kabulu w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Rekke zbiera właśnie informacje na jej temat.

– Czy Kabir miał z nią do czynienia? – zapytał Henry.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział Charles. – Słuchaj... – Wyjrzał na Grevgatan. – Zdzwoniemy się później. Zobaczyłem coś.

Widział młodą kobietę na chodniku po drugiej stronie ulicy. Mogła to być Micaela. Głos w komórce pani Hansson brzmiał młodo i dość niepewnie, a zbliżająca się dziewczyna nie miała jeszcze trzydziestki i była Latynoską. Może nie jakaś piękność, ale bez wątpienia interesująca, z czarnymi niespokojnymi oczami, siniakiem na policzku oraz pewną czujnością i napięciem w postawie.

Obok niej szedł starszy chłopak, też Latynos, nawet dość podobny, zapewne krewny: ciemny, wybuchowy, z blizną przecinającą czoło. „Kryminalista – pomyślał Charles – wysoko w hierarchii”. Jego myśli przyspieszyły niespokojnie, bo uświadomił sobie, że oni na pewno zacierają do Rekkego. Rozpoznał to po sposobie, w jaki dziewczyna spojrzała na jego samochód. Był w tym zarówno pewien profesjonalizm, jak i nerwowość, jakby od razu się domyśliła, dlaczego on tu stoi.

Sięgnął po telefon, zadzwonił do Henry’ego Lamara i polecił mu zidentyfikować tę Micaelę oraz zlecić jej obserwację. Ale i teraz nie mogli długo

rozmawiać, bo Charles zauważył, że między nią i towarzyszącym jej mężczyzną nie działa się dobrze. Było tam napięcie, niemal groźba wybuchu.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Dla osoby takiej jak Rekke śledztwo kryło w sobie wiele pułapek. Jedną z nich polegała na tym, że jakiś trop mógł go za bardzo zainteresować, nie dlatego, że był ważny dla wyjaśnienia sprawy, ale coś w nim poruszał. Zastanawiał się teraz, czy w przypadku Latify Sarwani właśnie tak nie było.

Ale mimo to nabierał coraz większej pewności, że tę zbrodnię i zabójstwo Kabira coś łączyło. Wiele drobnych spostrzeżeń, jakie Rekke poczynił ostatniej nocy, uważał za przekonujące. Od Wiktora dostał też kolejny kawałek puzzli, w sumie nic szczególnego, ale zawsze coś. Dlatego siedział teraz wpatrzony w aktualne zdjęcie Darmana Diraniego, przyjaciela Latify z konserwatorium w Moskwie. Dirani wyglądał tu bardziej dystyngowanie niż w młodości. Miał teraz trzydzieści dziewięć lat i w jego oczach nie było śladu dawnej nieśmiałości czy zahukania. Sprawiał raczej wrażenie dumnego, nieco nadętego. W przeciwieństwie do Latify dokończył studia i wyjechał do Europy, co było oczywiście mądrym posunięciem.

I podczas gdy życie jego przyjaciółki w Kabulu było coraz bardziej ograniczane, on przebijał się w Europie, aż w końcu objął stanowisko drugiego skrzypka w Filharmonii Kolońskiej, rzeczywiście imponujące osiągnięcie. Czy Rekke powinien z nim porozmawiać? Nie miał ochoty. Na nic nie miał ochoty, ale nie mógł się teraz poddawać. Dlatego wziął głęboki oddech i wybrał numer. Po dwóch, trzech sygnałach usłyszał głos, schrypnięty i trochę piskliwy.

– Darman.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – odezwał się po niemiecku profesor. – Nazywam się Hans Rekke.

– Ten pianista?

- Dawno temu.
 - Mimo wszystko to zaszczyt. Dlaczego pan przestał grać?
 - Nie byłem w najlepszej formie psychicznej pod koniec, no i miałem mały epizod w Helsinkach.
 - Wydaje mi się, że coś o tym słyszałem.
 - Cieszę się, że ktoś o mnie pamięta. Ale teraz jestem psychologiem i czasami pracuję jako konsultant w sprawach kryminalnych. Pracowałem na przykład nad morderstwem pańskiego rodaka, Jamala Kabira, w Sztokholmie.
 - Ach tak, doprawdy? – powiedział Darman nieco ostrzejszym tonem.
 - Może nawet słyszał pan o tej zbrodni.
 - Tak, coś obilo mi się o uszy.
 - To świetnie – stwierdził Rekke. – Właściwie najbardziej interesuje mnie teraz wojna, jaką talibowie wypowiedzieli muzykom. Dotknęła ona wiele osób, które pan znał, nieprawdaż?
 - Tak, to prawda.
 - Czy dawni uczniowie ze szkoły profesor Drugowej, do których pan należał, byli szczególnie narażeni?
 - Byliśmy dla nich nie tylko muzykami. Postrzegano nas jako zdrajców, bezbożnych wrogów islamu.
- Przez chwilę Rekke rozważał te słowa.
- Ale nikogo nie spotkał tak straszny los jak pańską przyjaciółkę, Latifę?
 - Tak – przyznał. – To było coś strasznego.
- Rekke postanowił zmienić ton.
- To trudne, nieprawdaż, z naszej zachodniej perspektywy, pojąć motywy talibów. Ta chęć niszczenia wszystkiego, co daje innym taką radość... Ale przecież wielu z tych młodych mężczyzn nie otrzymało innej edukacji niż szkoły koraniczne, które nauczały islamu ściśle według pisma i wpajały pragnienie powrotu do wieku siódmego. Nawet nie poświęcili czasu, żeby poznać swojego wroga, zrozumieć, co chcą zniszczyć w tym świętym szale.

– To prawda – potwierdził Darman. – To byli barbarzyńcy.

– A jednak... – podjął wątek Rekke. – Osoba, którą Latifa wpuściła do domu w nocy piątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego, zdawała się, wręcz przeciwnie, zaznajomiona z jej światem.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Pokazała mordercy swoje skrzypce, które razem z ojcem starannie ukryła w piwnicy.

– To chyba równie dobrze mogło nastąpić wskutek gróźb? – zasugerował Darman.

– Jak najbardziej – przyznał Rekke. – Ale wygląda na to, że grała dla zabójcy. Nie tylko położenie skrzypiec i jej ciała wskazują na to, że trzymała instrument, kiedy do niej strzelono. Przeczytałem dzisiaj w nocy na portalu Al-Dżaziry, że tamtej nocy z jej domu dobiegała muzyka skrzypcowa. Jeden z sąsiadów opisywał ją jako piękną i smutną. Tak, wiem, Sarwani mogła też zostać zmuszona groźbami do grania. Ale to znaczy, że... morderca chciał to usłyszeć. Podjął ryzyko, musiał być zainteresowany, może nawet za tym tęsknił.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Możliwe, że Latifę Sarwani zabił nie tylko religijny fanatyzm, lecz także... – Tutaj zrobił zamierzoną przerwę. Równocześnie poczuł, że wracają mu drgawki.

– Co takiego? – zapytał Darman.

– Myślałem, że pan pomoże mi to ustalić. Mam wrażenie, że zabójca mógł być osobą dobrze obeznaną z waszą szkołą.

– Jest taka możliwość, oczywiście.

– Ale nie miałby pan tutaj żadnej wskazówki?

– Jakiej wskazówki?

– Na temat osoby z waszego kręgu, która byłaby zdolna zrobić coś takiego.

– Nie, naprawdę nie – odparł Dirani urażonym tonem. – Gdyby tak było, powiedziałbym to już dawno temu.

Drgawki znów się pojawiły. Rekke zastanawiał się, czy nie powinien zejść na dół i sprawdzić w zsypie, czy jego leki jeszcze tam są. Z pewnym wysiłkiem powiedział:

– Był pan blisko zaprzyjaźniony z Latifą, prawda?

– W latach osiemdziesiątych tak.

– Ale później już nie?

– Próbowaliśmy utrzymać kontakt, ale na odległość to było trudne. Razem z kilkoma przyjaciółmi staraliśmy się przez jakiś czas wydostać ją z kraju. Ale w końcu okazało się, że ona już nie chce. Była bardzo przygnębiona i schorowana przez ostatnie lata.

– Przykro to słyszeć. Czytałem, że wyszła za męża.

– To było aranżowane małżeństwo. Za rządów talibów nie można było żyć samotnie. Ale jej ojciec zapłacił temu facetowi, żeby trzymał się z daleka.

– A więc kto był blisko niej pod koniec życia?

– Jej ojciec i brat Taisir. Choć czasem z Taisirem były problemy.

– Jakiego rodzaju?

– Taisir był bardziej konserwatywny niż ich ojciec, nie podobał mu się ten układ z małżeństwem.

– Musiał być w jej cieniu przez całe życie.

– Pewnie tak.

– Kto jeszcze widywał Latifę?

– Niewiele osób. Izolowała się albo leżała w łóżku, przynajmniej pod koniec. Straciła na wadze, wypadaly jej włosy. Była w bardzo złym stanie.

– To musiało być duże ryzyko, trzymać skrzypce ukryte w domu – powiedział Rekke.

– Co innego mogła z nimi zrobić? – zapytał Darman. – To była najcenniejsza rzecz, jaką jej rodzina posiadała.

– Gagliano, prawda?

– Tak. Stworzone przez Niccolò Gagliano pod koniec osiemnastego wieku.

– I były schowane pod dwiema deskami w piwnicy?

– Mohammad, jej ojciec, czasem wyjmował instrument i go doglądał. Ale poza tym był schowany w piwnicy. Powiedzieli wszystkim, że sprzedali skrzypce do Europy.

Rekke wstał, żeby odbyć jeszcze jedną nadaremną turę po mieszkaniu i sprawdzić, czy w jakimś schowku nie znajdzie choć kilku tabletek morfiny.

– Oglądałem fotografie zwłok Latify – powiedział.

– Ach tak?

– Jestem ciekaw, kto zrobił te zdjęcia – ciągnął, przetrząsając poduszki na sofie w salonie z nadzieją, że jakieś tabletki może wpadły pomiędzy nie. – Nie wyglądało na to, żeby pochodziły z oględzin miejsca zbrodni.

– Mohammad, jej ojciec, mimo szoku. Wiedział, że talibowie nie pomogą wyjaśnić tej zbrodni. Chciał mieć wszystko udokumentowane.

Rekke poszedł do sypialni.

– Żeby zabezpieczyć dowody?

– Chciał tylko sprawiedliwości.

Rekke schylił się i zajrzał pod łóżko. Czy tam czasem coś nie leżało? Nie, cholera, to był rodzynek. Jak rodzynek mógł się tam znaleźć?

– Oczywiście – przyznał. – Czy pan kochał Latifę?

Dirani był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

– Wszyscy ją kochaliśmy w pewnym sensie. Wiem, że niewiele nagrań się zachowało, ale powinien ją pan usłyszeć. Grała tak, że człowiek miał ochotę dziękować Bogu.

– Ale była też trochę trudna, prawda? Wymagająca, przekonana o swojej wyjątkowości, typowa solistka.

– Łatwo się jej wszystko wybaczało.

– A więc nie sądzi pan, żeby mogła mieć wrogów z powodu swojej osobowości?

– To oczywiście możliwe.

– Czy mimo wszystko nie przychodzi panu do głowy nikt konkretny? Jakaś osoba, z którą mogliście się zetknąć w trakcie kształcenia?

– Oczywiście dużo o tym myślałem, ale jak mówiłem: nie. Nikt, kto mógłby posunąć się do czegoś takiego.

– Mówił pan, że w pewnym sensie wszyscy ją kochaliście?

– Posiadała ten dar.

– Więc może jeden z tych, co ją kochali, mógł ją też zabić? – zasugerował Rekke.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– A jednak nie byłoby to całkiem nielogiczne, prawda?

– Co pan ma na myśli?

– Potrzeba dużej pasji, żeby coś zniszczyć, nie sądzi pan?

– Tak. Może tak.

– A przede wszystkim wy wszyscy, którzy ją kochaliście, musieliście próbować się dowiedzieć, kto ją zabił.

– To jasne.

– I do czego doszliście?

– Jedynie do tego, że najwyższą odpowiedzialną instancją był mułła Zakaria. To on rozpętał kampanię nienawiści przeciw muzykom, przeciwko kobietom takim jak ona. Czasem nawet nie potrzebował wysyłać własnych patroli. On sprawiał, że ludzie sami chcieli wymierzać sprawiedliwość.

– A więc nie było wątpliwości co do zagrożenia.

– Nie.

– A mimo to...

– Co takiego?

– ...Latifa była w domu sama tamtej nocy.

– Złościła się, kiedy jej ojciec i brat ciągle u niej przesiadywali. Chciała mieć własne życie.

– Może chciała być sama z kimś innym w tę noc?

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Przez ostatni okres żyła w całkowitej izolacji.

– A jednak jest coś, czego pan nie mówi, nieprawdaż? – Teraz Rekke starał się wypowiadać najspokojniej, jak tylko mógł.

Dirani zamilkł.

– W jakim sensie? – zapytał po chwili.

– Przeważnie mam na myśli coś, co potrafię usłyszeć.

– Pan to słyszy?

– To taki specyficzny rodzaj muzykalności, tak bym powiedział – ciągnął Rekke. – Ale myślę też o splocie przypadków w tej historii.

– Jakich przypadków?

– Pan, ojciec i brat Latify mieszkacie teraz w tym samym mieście.

Dirani westchnął, jakby poczuł się urażony.

– Kiedy się żyje na emigracji, człowiek chętnie trzyma się blisko swoich rodaków.

– Czy Latifa nie doznała w Moskwie uszkodzenia nerwu wzrokowego?

– Skąd pan to może wiedzieć? – Dirani był zdumiony.

– Oko, które widzi trochę gorzej, inaczej też wygląda. Trochę jak lustro, które nikogo nie odbija.

– Ach tak, doprawdy – rzucił niepewnie Dirani. – Latifa miała atak epilepsji podczas ostatniego roku w Moskwie, uderzyła się w potylicę. Był to jeden z powodów, dla których nie dokończyła studiów, choć profesor Biełliński był gotów jej pomóc.

Rekke zajrzał do poczty w komputerze i zobaczył, że dostał wiadomość od Wiktora, wyglądało to na jakąś listę. Wydrukował ją na drukarce.

– I jeszcze jedna rzecz – dodał. – Do konserwatorium przyjeżdżali też inni studenci z Kabulu, którzy mieli krótsze stypendia.

– To prawda – przyznał Darman. – Często im współczułem.

– Dlaczego?

– Nie mieli zbyt dobrej opieki, zresztą rzadko też osiągnęli wymagany poziom. To był tylko element gry politycznej.

– Mam tu listę sześciu nazwisk, sześciu młodych Afgańczyków, którzy byli w konserwatorium przez krótki czas mniej więcej wtedy, kiedy wy tam byliście. Mógłby pan popatrzeć na te nazwiska i zobaczyć, czy coś się panu nie przypomni?

– Może mógłbym – zgodził się Darman. – Ale teraz muszę iść poćwiczyć.

– Co pan ćwiczy?

– Dworzaka.

– *Dziwiątą symfonia*?

– Dokładnie tak. Trochę żeby się przypodobać publiczności.

– Ależ co pan mówi? – zawołał Rekke. – Fantastyczne *molto vivace*. Zakładam, że się jeszcze usłyszymy.

– Być może – odparł Darman, a Rekke nagle poczuł chęć, żeby znów odwiedzić Kolonię.

Micaela właściwie nie była zaskoczona, kiedy zobaczyła Lucasa na dole przy bramie. Kiedyś bywało, że odwiedzał ją rano, bez żadnego konkretnego powodu, więc pomyślała z nadzieją: „Może chce tylko zobaczyć, jak się czuję. Chce tylko wyczuć sprawę”.

– Cześć – powiedziała, przyglądając się badawczo jego twarzy.

Nie podobał jej się uśmiech brata ani sposób, w jaki się poruszał. Był spięty, a jego koszula wydawała się za ciasna na piersiach. Oczy miał zimne, wyrachowane, a blizna przecinająca czoło poruszała się bardziej niż zwykle, jakby nagle ożyła. Coś na pewno było nie tak. A mimo to udawała radosne zaskoczenie.

– Jaka miła wizyta – rzuciła.

– Miła albo i nie – odparł.

Powiedziała, że jest już spóźniona i właśnie wychodzi.

– Idziesz do pracy? – zapytał, a ona jak kompletna idiotka zwlekała z odpowiedzią o sekundę za długo.

– Idę do miasta – wydusiła wreszcie.

– To pójdę z tobą – oświadczył i razem pobiegli przez deszcz do metra.

Jak zwykle o tej porze dnia w dole na peronie metra spotykały się dwa światy: mieszkańcy Kisty, którzy opuszczali swoją dzielnicę, i ci, którzy wypadali z wagonów metra, by popędzić do swoich biur w firmach branży high-tech w Science City. Jedni, co byli w drodze, oraz drudzy, co zostali, jak nieco melodramatycznie mówiła Micaela. Lucas przyciągnął ją do siebie. Nie bardzo wiedziała, jak ma rozumieć jego zachowanie. Pachniał wodą kolońską.

– Wydaje mi się, że matka znów zaczęła malować – powiedziała.

Lucas nie wydawał się zainteresowany jej słowami. Zamiast tego zaczął komentować jej wygląd, kiedy wsiadali do wagonu.

– Wyperfumowałaś się? – zapytał.

Micaela potrząsnęła głową.

– Podejrzewam, że twoja *eau de cologne* pachnie tak, że wystarczy na nas oboje – odparła.

Nie był zachwycony tym komentarzem.

– Czego chcesz? – zapytała Micaela.

– Znów jedziesz na Östermalm?

– Może tak.

– Myślę, że ten facet nie jest dla ciebie dobry – powiedział Lucas, a ona przeczesła pamięć w nadziei, że może brat jednak ma na myśli kogoś innego niż Rekke.

– O co ci chodzi?

– Myślę, że każe ci grzebać w jakimś syfie, który nie jest dla ciebie dobry.

Micaela poczuła złość.

– Będę grzebać w tym, co mi się podoba.

Lucas ujął przeguby jej dłoni.

– Musisz zrozumieć, jak to dla mnie wygląda. Spotykasz jakiegoś dziwnego gościa na Östermalmie, a potem wracasz do domu cała posiniaczona.

– To nie ma z nim nic wspólnego – powiedziała, cofając ręce.

Potem siedzieli w milczeniu na swoich miejscach. Kiedy pociąg wjechał na stację T-Centralen, gdzie miała się przesiąść na linię do Ropsten, rozważała, czy nie wyskoczyć w ostatniej chwili i nie zostawić go samego. Postanowiła jednak, że spróbuje uspokoić emocje. Podziękowała mu za troskę i obiecała, że będzie ostrożna. Potem wstała, a on zrobił to samo. Zostaw mnie w spokoju, chciała warknąć na niego, ale nie powiedziała nic.

– Po prostu się o ciebie troszczę – zapewnił ją.

– Tak, wiem – przyznała. – Ale nie możemy się spotkać później?

– Pojadę z tobą jeszcze kawałek – zdecydował, więc wsiedli razem do kolejnego pociągu metra.

Jego oczy były teraz trochę bardziej przyjazne, zdawał się rozluźniony, dlatego dopiero kiedy wyszli z metra i skręcili z Karlaplan w Strandvägen, Micaela zaczęła się niepokoić na dobre.

– Dziękuję – powiedziała. – Dalej sama sobie dam radę.

– Pewnie, że dasz – zgodził się, ale wyraźnie nie miał zamiaru zostawić jej w spokoju.

Poczuła impuls, żeby go odepchnąć. Zamiast tego pomyślała: „Na pewno nie będzie lazył ze mną całą drogę. Chyba nie jest taki głupi”. Ale nic nie wskazywało na to, żeby Lucas zamierzał odejść, więc przy Riddargatan, mniej więcej tam, gdzie ją ostatnio odebrał, postanowiła zmienić kierunek i odciągnąć go od Rekkego. Ale oczywiście jej brat nie dał się oszukać.

– Czy on nie mieszka przy Grevgatan? – zapytał nieco groźnym tonem.

Micaela zrozumiała, że musiał sprawdzić Rekkego, w każdym razie znał jego adres.

– Musisz spadać – powiedziała. – Nie możesz mi tego zrobić.

– Odprowadzę cię do bramy – oświadczył, a ona pomyślała: „Okej, ale ani kroku dalej”.

W końcu poszli więc na Grevgatan. Micaela zobaczyła samochód dyplomatyczny z przyciemnianymi szybami i wzdrygnęła się na jego widok. Lucas oczywiście to zauważył.

– Jesteś cała spięta – rzucił.

– Jestem spięta, bo się wtrącasz w moje sprawy – odparła, a on potrząsnął głową, jakby jej nie uwierzył.

Też przyjrzał się autu, po czym oświadczył, że wejdzie z nią na górę i się przywita.

– Nigdy w życiu! – zawołała Micaela i pomyślała, że chyba rzeczywiście powinna go uderzyć w twarz.

Ale to byłoby oczywiście szaleństwo, więc zamiast tego popadła w pewnego rodzaju myślenie życzeniowe: „Wszystko na pewno dobrze pójdzie” – powtarzała sobie. Może nawet Lucas będzie pod wrażeniem. Na pewno nie zechce zostać. Będzie czuł się zagubiony tam na poddaszu, pośród tych wszystkich książek i obrazów. Potem weszła do budynku i wjechała windą na samą górę razem ze swoim bratem i z poczuciem, że właśnie dzieje się coś niedobrego.

DWADZIEŚCIA OSIEM

– Bardzo przepraszam – powiedziała w drzwiach. – Ale mój brat chciał cię poznać.

Rekke trzymał jakiś papier w dłoni, zdawał się zamyślony. Jednak gdy tylko zobaczył Lucasa, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Bardzo mi miło – odezwał się. – Proszę wejść, nazywam się Hans Rekke.

W jego głosie było ciepło, „ta cholerna swoboda klasy wyższej” – pomyślała Micaela, ale Lucas oczywiście umiał się odpowiednio zachować. On też był profesjonalistą w zawieraniu znajomości. Przedstawił się, a potem zaciekawiony obejrzał mieszkanie i rzucił kilka nonszalanckich uwag, jakby na okrągło bywał w domach podobnych do tego.

– To miło poznać innych członków waszej rodziny – oświadczył Rekke. – Mogę was zaprosić na śniadanie? Sam jestem głodny jak wilk.

– Nie zostanę. Chciałem tylko powiedzieć, że Micaela jest dla mnie ważna. Jeśli coś jej się stanie...

Umilkł i przez krótką chwilę Micaela miała wrażenie, że rozpoznaje jego mowę ciała z lasu w Husby. Zaczęła się bać, że brat użyje siły, może nawet wyciągnie broń.

– Właśnie, właśnie. – Rekke się uśmiechnął. – Rozumiem to doskonale. Jest was troje rodzeństwa, nieprawdaż, a pan jest najstarszy? Był pan mężczyzną w domu, który musiał się opiekować swoją młodszą siostrą?

– Nadal się nią opiekuję.

Rekke podszedł krok bliżej i choć wciąż się uśmiechał, mowa jego ciała też się zmieniła. Zdawał się mieć na baczności. Jego ramiona były sztywne.

– Właśnie tak należy – powiedział. – Ale też zajmuje się pan innymi, prawda? Jako mężczyzna, który wie, co to odpowiedzialność.

– Może – rzucił Lucas.

– Niech pan nie będzie taki skromny. Ma pan autorytet, a to cenny i trochę niebezpieczny dar.

– Robię to, co muszę.

– W to nie wątpię – odparł Rekke i popatrzył mu prosto w oczy, nadal uśmiechnięty, ale z ciałem całkiem nieruchomym. – Jestem pod wrażeniem – dodał.

– Ale czego?

– Pańskiej umiejętności przemawiania bez słów.

– To dobrze, że się poznaliśmy – oświadczył Lucas.

– To była prawdziwa przyjemność. Ale chyba pan już nie wychodzi?

Lucas rozejrzał się dokoła jeszcze raz, potem rzucił Micaeli szybkie, ostre spojrzenie.

– Wydaje mi się, że pan zrozumiał, profesorze.

– Zrozumiałem. Mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać – odparł Rekke i uśmiechnął się szeroko. I zaraz potem się zatrząś.

Coś się zapaliło i równie szybko zgasło. A może to nie było nic takiego, bo za chwilę uścisnęli sobie ręce, a Rekke zaofiarował się, że odprowadzi Lucasa do windy. Nie było go trochę dłużej, niżby należało, i dopiero kiedy wrócił, Micaela uświadomiła sobie, jak bardzo się denerwowała. Miała wrażenie, że zaraz padnie bez sił na łóżko albo sofę. Wzięła głęboki oddech, podczas gdy Rekke przyglądał się jej skoncentrowany. „Nie patrz tak na mnie!” – chciała zakrzyknąć.

– Lucas może zgrywa trochę ważniaka, ale jest w porządku. Po prostu zależy mu na mnie.

Rekke nadal przypatrywał się jej z taką samą koncentracją.

– Jest interesujący – odparł. – Ale twoje źrenice są bardzo zwężone.

– Co... co takiego?

– Mogę cię wziąć za rękę?

– Zdecydowanie nie – rzuciła, poszła do salonu i z zamkniętymi oczami usiadła na sofie przed pianinem.

Usłyszała, że Rekke siada naprzeciwko niej. Miała ochotę powiedzieć mu kilka słów, może przede wszystkim wytłumaczyć, jak to się stało, że przyprowadziła tu ze sobą Lucasa. Nie zdążyła jednak otworzyć ust. Ktoś zapukał do drzwi, pani Hansson weszła, mówiąc, żeby sobie nie przeszkadzali. Micaela pomyślała, że może popada w paranoję, ale nasunęło jej się podejrzenie, że pani Hansson mogła spotkać na dole Lucasa i się zaniepokoić.

– Zamierzam się czegoś napić – oświadczył Rekke. – Dotrzymasz mi towarzystwa?

Micaela popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała.

– Czy przed chwilą nie mówiliśmy o śniadaniu?

– To prawda – przyznał. – Proszę o wybaczenie. Moja abstynencja zaburza poczucie czasu.

– A może wydaje ci się, że to ja potrzebuję czegoś mocniejszego?

– Wydaje mi się... – zaczął, ale nie dokończył zdania, i właściwie nie musiał, bo Micaela niechętnie przyznała przed sobą, że Rekke miał rację.

Bardzo potrzebowała alkoholu, wszystko jedno jak wcześniej jeszcze było.

– Masz piwo? – zapytała.

– Mam kilka heinekenów, o ile mój okropny brat ich nie wyżłopał.

– To wystarczy.

– Sigrid, moja droga, wybacz, że się tobą tak wysługuję, ale czy mogłabyś przynieść kilka zimnych piw dla Micaeli i dla mnie? – zawołał w powietrze.

Micaela nie rozumiała, dlaczego nie poszedł po piwo sam, skoro i tak musiał przeproszać za swoją prośbę.

„Nie stawiaj pochopnej diagnozy” – pomyślał Rekke. „Już przedtem dałeś się oszukać”. Ale miał wrażenie, że w ciemnych oczach jej brata dostrzega narcyzm, psychopatię i machiawelizm, całą tę ciemną triadę. Czuł się, jakby patrzył w czyste najczarniejsze zło, pustkę zimnych kalkulacji. Równocześnie wiedział, że Micaela musiała dostrzegać to samo i żyć z tym, tylko nie miała odwagi nazwać tego po imieniu.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie w Djursholmie. Przyciągała jego spojrzenie. Jakby nosiła w sobie wielki ciężar, który jednak jej nie załamywał, a wręcz przeciwnie – czynił ją silniejszą, jakby czerpała siłę z samej ucieczki przed traumą. „Było w tym coś zdumiewająco pociągającego” – pomyślał, swego rodzaju antyteza jego własnej ucieczki w depresję.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Wypiła swoje piwo prawie do końca.

– Dobrze – odparła.

Domyślał się, że pewnie zawsze tak odpowiadała na podobne pytania.

– A ty? – zapytała.

– Jak na to zasługuję, tak mi się wydaje. Ale uważam, że nasze śledztwo robi się coraz bardziej interesujące.

Nachyliła się ku niemu.

– A więc nadal myślisz, że on był muzykiem klasycznym?

– Tak – przyznał. – Myślę nawet, że morderstwa Latify Sarwani i Kabira coś łączy.

Popatrzyła na niego skoncentrowana, a on znów poczuł, jak pociąga go mrok w jej oczach i tłumiona siła, którą emanowało jej ciało. Chciał zapytać: „Wiesz, że twój brat jest śmiertelnie niebezpieczny?”. Ale wybrał milczenie na ten temat. Zamiast tego opowiedział jej o swoich rozmowach z Wiktoorem i Darmanem Diranim. Potem siedzieli chwilę w ciszy, dopijając resztki ze szklanek.

– Sądzisz, że Kabir i Sarwani mogli grać razem? – zapytała wreszcie Micaela.

– Rzekłbym, że to nie jest niemożliwe.

– Dostrzegłeś coś nowego?

Skinął głową, po czym przeniósł wzrok na swój fortepian.

– Przyjrzałem się jego dłoniom – powiedział. Znów miał przed oczami opuszki palców Kabira. – Był tam zaschnięty smar, pęknięcia, drobne skaleczenia, znaki, że był mechanikiem motocyklowym, dokładnie jak mówił.

– To raczej nie kojarzy się z dyrygentem we fraku i ze spinkami w mankietach.

– Nie – przyznał Rekke. – Ale najciekawsze jest to, że było widać też ślady czegoś innego. Kiedy przyglądałem się powiększeniu jego opuszków, zauważyłem blade odciski, które przecinały w poprzek linie papilarne.

– I co miałyby oznaczać?

– Dla mnie wyglądało to tak, jakby palce przyciskały struny przez tak długi czas, że powstały blizny.

– Jakie struny?

– Moją pierwszą myślą były struny skrzypiec – wyjaśniał Rekke. – Widziałem takie linie u wielu skrzypków. Ale potem zacząłem wątpić. Wydawało mi się, że te odciski nie były dość drobne, więc myślałem o czymś większym, jak wiolonczela. Później jednak wykluczyłem też wiolonczelę, bo zauważyłem, albo tak mi się wydawało, zmiany w okolicy szyi od długiego i regularnego nacisku. Wtedy zacząłem... – Zawahał się, znów niepewny, czy się nie myli.

– Co zacząłeś? – dopytywała Micaela.

– Zacząłem myśleć o altówce. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że wszystko pasuje.

– Co pasuje?

Jej ramiona były spięte, oczy się zwęziły, jakby spodziewała się jakiegoś przełomu. I może to był przełom. Jeśli okazałoby się, że Rekke ma rację, wtedy na pewno Kabira dałoby się zidentyfikować.

– Altówka jest większa – mówił dalej, spoglądając na swoje dłonie. – Jej gryf jest nieco szerszy, struny dłuższe i są między nimi większe odstępy. Potrzeba więcej siły, żeby na niej grać, dlatego też bardziej prawdopodob-

ne jest, że ślady po tym instrumencie dłużej się utrzymują. Ale myślałem też o innych rzeczach, może to było jeszcze bardziej spekulatywne, lecz pasowało do obrazu całości.

– Co takiego?

Poczuł, jak fala niepokoju opływa jego ciało. Potem odpowiedział powoli, z wahaniem:

– Wydaje mi się, że Kabir przeżył jakieś rozczarowanie albo porażkę.

– Sprawiał wrażenie smutnego.

– Właśnie – przyznał Rekke. – Ale w jego sposobie mówienia wyczuwam też pewien rewanżyzm. Naprawdę nie mam uprzedzeń wobec altówki. Lubię tę twardość, jej nieco rzewne brzmienie, darzyłem sympatią prawie wszystkich altowiolistów, których spotkałem w życiu. Ale altówka to nie jest instrument, od którego zaczynasz, o którym marzysz od początku. Większość przechodzi na altówkę, bo nie są dość dobrzy na skrzypcach. Jest w tym coś w rodzaju piętna.

– Jak to?

Rekke starał się ważyć słowa, jakby się bał, że jakiś altowiolista siedzi tu ukryty i ich podsłuchuje.

– Dlatego, że to nie jest instrument, który wręcza się komuś, kto zapowiada się na gwiazdę orkiestry. Dostają go muzycy, których widzi się raczej w tle, przy akompaniamencie albo jako drugi głos w kwartetach smyczkowych, i oczywiście wielu się tym zadowala, ale chyba nie wszyscy. Altowiolisci znajdują się dość daleko od dyrygentów i solistów, jest to też instrument, o którym krąży najwięcej złośliwych żartów.

– Na przykład?

Rekke uśmiechnął się, a potem zachichotał, jakby zawstydzony.

– Na szczęście większość zapomniałem. Ale na przykład coś takiego: dlaczego altowiolista nigdy nie bawi się w chowanego?

– Dlaczego?

– Bo wie, że nikt go nie będzie szukał. Albo: czym się różni altówka od pizzy?

– No czym?

– Pizzą można wyżywić czteroosobową rodzinę. – Jego wzrok powędrował w stronę fortepianu. – Nie żeby rozsądni ludzie traktowali takie dowcipy poważnie – mówił dalej. – Ale mimo wszystko one gdzieś tam są, odciskają ślad. Wydaje mi się, że dużo mogło się wydarzyć między takimi osobami jak Latifa i Kabir.

– Co masz na myśli?

– Między osobą, która błyszczała, miała niesamowity talent, i taką jak Kabir...

– ...który może chciał błyszczeć, ale nigdy mu się to nie udało – dopowiedziała Micaela.

– Właśnie, tak mogło być – stwierdził Rekke i poszedł do kuchni po kolejne piwo.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Październik 1987, Mała Gruziańska 26,

budynek numer 1, Moskwa

Obudził się ze łzami w oczach i nie mógł tego zrozumieć. „Co się ze mną dzieje?” – myślał. „Przecież nigdy nie płaczę”. Ale może to nie było takie dziwne. Ćwiczył dzień i noc, aż jego palce były całkiem obolałe i poranione, a teraz wreszcie tu był. Towarzyszyło mu ogromne napięcie.

W mroku widział szary kształt lampki nocnej, a na samym końcu, już w ciemności, na białej ścianie portret młodego Czajkowskiego. Przyjechał tu późnym wieczorem poprzedniego dnia i padł na łóżko. Bolała go głowa, więc postanowił spać dalej. Lecz to się nie udawało.

Łzy nadal płynęły. „Może śniło mi się coś dziwnego” – pomyślał. W takim razie to nie mogło być smutne, bo równocześnie się uśmiechał, jakby był szczęśliwy, dlatego znów zamknął oczy w nadziei, że uda mu się powrócić do snu sprzed chwili. Jednak zamiast tego poczuł się jeszcze bardziej wybudzony. Uświadomił sobie, że słyszy muzykę. Gdzieś w pobliżu grały samotne skrzypce, a on naraz zrozumiał, że nic mu się nie śniło. To skrzypce przeniknęły do niego przez sen i poruszyły jego emocje.

„Zapomnij” – pomyślał. „Śpij dalej i zbieraj siły. Będziesz ich potrzebował”. Ale dźwięki wyciągnęły go z łóżka. Poszukał kontaktu, założył spodnie i bluzę, potem wyszedł na korytarz. Od razu zabłądził. Wszystkie drzwi wyglądały tak samo i wkrótce nie wiedział już, czy przyszedł z prawej, czy z lewej strony. Jeszcze nie do końca przytomny szedł przed siebie, aż w końcu stanął przed pokojem, z którego najwyraźniej dobiegała muzyka. Nawet nie zapukał, tylko otworzył drzwi i wszedł.

W środku, tuż obok niepościelonego łóżka siedziała młoda dziewczyna ze skrzypcami. Jej łopatki poruszały się pod cienką białą bluzką. Czarne włosy miała rozpuszczone i przerzucone przez prawe ramię. Zabrakło mu tchu. Dziewczynę zdawało się otaczać jakieś pole magnetyczne, jej muzyka zawładnęła nim całkowicie. Zagubił się w niej, cofnął w przeszłość, do kołysanek swojej matki. Na pewno za głośno oddychał. Dziewczyna odwróciła się, początkowo wystraszona. Natychmiast zrozumiała jednak, że jest niegroźny, i grała dalej. Wydawała mu się w tym tak niesłychanie piękna, iż sam już nie wiedział, co jest nią, a co muzyką.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Ty płaczesz – powiedziała po angielsku i przestała grać.

– Nie, nie, wcale nie – odparł i próbował obmyślić jakieś dobre wytłumaczenie. W tej samej chwili zrozumiał: to była ta dziewczyna z Kabulu. Nigdy jej nie spotkał, widział tylko zdjęcia i słyszał opowieści. Była dumą profesor Drugowej. Była dumą całej szkoły, a teraz on stał tu przed nią, zagubiony i ze łzami w oczach, i wcale nie było lepiej, kiedy znów zaczęła grać. Nawet nie miała stnika pod bluzką.

– Mogłeś zapukać – powiedziała.

– Co grałaś? – odpowiedział w paszto, dalej całkiem oszołomiony.

Obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów.

– *Medytację* z opery *Thaïs* Masseneta. Czy to Jelena cię tu wysłała?

– Przypomniałem sobie... – wyjąkał. Właściwie nie wiedział, co sobie przypominał. Jakby chodził przez sen i dopiero teraz się obudził, nagi i bezbronny, a kiedy ona wstała i wyciągnęła do niego rękę, nie wytrzymał. Po prostu wypadł stamtąd, nie zwracając uwagi na jej głos, który wołał za nim:

– Zaczekaj, zaczekaj!

Kiedy Rekke poszedł do kuchni, Micaela przypomniała sobie tego paleontologa, o którym mówiła Julia, odtwarzającego zaginione światy na podstawie kilku odłamków kości. Czy teraz też mieli tak mało? Dzięki kilku dawnym bliznom na palcach pewnego mężczyzny Rekke wyznaczył zupełnie

nowy kierunek śledztwa. Swoją drogą, czy nie tak właśnie wyglądała praca policji kryminalnej? Na podstawie rzeczy małych odnajdywali te duże, straszne. Może dlatego zdecydowała się zostać policjantką, jeśli nie... Znów zobaczyła przed sobą Lucasa i tamto spojrzenie, jakie rzucił profesorowi. Odsunęła to od siebie.

Rekke wrócił i wręczył jej kolejnego heinekena, potem zajął miejsce w fotelu.

– Czyżby twoja gospodyni zniknęła?

– Uhm, tak – przytaknął. – Jest spokojniejsza, kiedy ty tu jesteś. Udało ci się szybko zrobić na niej dobre wrażenie.

– My, służba, zawsze łatwo nawiązujemy stosunki.

– Czy naprawdę takie ze mnie straszne panisko?

Micaela milczała, choć chciała powiedzieć: „Tak, do cholery, pewnie, że tak. Nawet sposób, w jaki siadasz w fotelu, o tym świadczy”.

– Miałeś ten luksus, że mogłeś być słaby – stwierdziła.

– To prawda, rzeczywiście.

– Julia opowiadała, że w waszej rodzinie to było uważane za coś wytwornego.

– Chyba zrobiliśmy cnotę z konieczności.

– U nas trzeba było być twardym.

– I ty się taka stałaś?

– Słabość to była najgorsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić. Lucas powiedział kiedyś, że nikim tak nie gardzi jak ludźmi słabymi.

Rekke się zasępił.

– To dość typowe w...

Umilkł.

– Gdzie?

– Nigdzie – powiedział szybko.

Micaela popatrzyła na niego gniewnie.

– Widziałeś Lucasa może przez dwie sekundy i uważasz, że już coś o nim wiesz?

– Niewątpliwie masz tutaj rację.

Jak najszybciej chciała zmienić temat.

– Jeszcze tylko jedna rzecz mnie zastanawia – rzuciła. – Emma Gulwal, klarncistka, powiedziała, że знаła Kabira, ale tylko przez piłkę nożną. Czy to nie jest trochę dziwne? Jeśli naprawdę grał na altówce, a krąg ludzi zajmujących się muzyką klasyczną w Afganistanie był tak mały, to chyba powinna wiedzieć, kim on jest, ona i inni muzycy, których atakował.

– Tak można by pomyśleć – zgodził się Rekke.

– Może on nie pochodził z Afganistanu?

Wpatrywał się w nią swoim intensywnym spojrzeniem.

– Mógł być jednym z wielu obcokrajowców, których przyciągał ruch talibów, jednym z tych, którzy przez lata zjeżdżali się do Kabulu, żeby przyłączyć się do walki.

– Może właśnie zwalczanie muzyki go pociągało – dodała.

– Może – przyznał Rekke i wychylił resztkę piwa. Jego oczy nerwowo błędziły po pokoju, skrzyżował ramiona na piersiach.

– Wszystko w porządku? – zapytała Micaela.

– Pacjent bardzo pragnie swoich leków. Ale chyba sobie poradzi.

– Dlaczego musiałeś wywalić wszystkie na raz?

– Pewnie z powodu tej samej lekkomyślności, dla której zacząłem je brać.

– Mówiłeś, że wydawało ci się, że Darman Dirani coś ukrywał podczas waszej rozmowy telefonicznej.

Chwilę się namyślał.

– Nie był zbyt zainteresowany zabójstwem kobiety, którą kiedyś kochał. Miałem wrażenie, że on już zna odpowiedzi.

– Czy to nie znaczy, że powinniśmy się mu bliżej przyjrzeć?

– Bez wątpienia.

– A potem... – Micaela nachyliła się i poczuła, że ma ochotę położyć dłoń na karku Rekkego. Zaraz odrzuciła tę myśl. – Potem znów pomyślałam o Emmie Gulwal.

– Dlaczego o niej pomyślałaś?

– Opowiadała, że Kabir niemal czule patrzył na jej instrument, jakby chciał na nim zagrać. A chwilę później roztrzaskał go w napadzie wściekłości. „To wyglądało, jakby chciał pomścić całe swoje życie”, tak powiedziała.

– Brzmi interesująco – stwierdził Rekke.

– Jak byś to wytłumaczył?

Uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem.

– Oczywiście natychmiast czuję pokusę, żeby powiedzieć coś wstrząsającego. Miłość i szaleństwo to słynna, nieszczęsna para. Ale powinienem poczekać z takimi wnioskami. Musimy najpierw trochę więcej się dowiedzieć.

– To od czego zaczniemy?

Wyciągnął rękę i wziął ze stolika kartkę papieru, którą trzymał w dłoni, kiedy Micaela weszła tu z Lucasem.

– Może od tego? – zaproponował.

– Mogę zobaczyć?

Podał jej papier, Micaela przyjrzała mu się szybko. Zawierał sześć nazwisk. Jak zrozumiała, była to lista sześciu osób ze szkoły muzycznej Jeleny Drugowej w Kabulu, które wyjeżdżały na krótsze stypendia do Konserwatorium Moskiewskiego od 1985 do 1988 roku.

– Emma Gulwal też tu jest – zauważyła.

Rekke skinął głową.

Pozostałe nazwiska brzmiały:

Gedi Afridi

Jabroot Safi

Pazir Lohani

Hassan Barozai

Taara Jadun

– Może od razu się nimi zajmiemy i sprawdzimy, czy ktoś z nich wie, kim naprawdę był Kabir – powiedziała.

Rekke kręcił się niepewnie na fotelu, znów splótł ręce na piersi i właśnie miał coś powiedzieć, ale nie zdążył wydobyć z siebie słowa. Rozdzwoniły się telefony. Najpierw Micaeli, potem jego.

Profesor Aleksander Bieliński wychował wielu wybitnych skrzypków, jednak największe nadzieje pokładał w Latifie Sarwani. Żaden z jego uczniów tak go nie poruszał swoją grą, i wcale nie dlatego, że był w niej potajemnie zakochany. Grała tak, że przywracała mu wiarę w życie.

– Śniła mi się w nocy Latifa – opowiadał. – A może to było już nad ranem.

– Właśnie, raczej to drugie.

– Nie możesz podpuszczać starego człowieka, żeby się tak upijał. Nawet jeśli dzięki temu ma szansę na chwilę nostalgii i szczęścia – ciągnął Bieliński.

Wiktor Malikow siedział naprzeciwko niego w gabinecie profesora w konserwatorium i uśmiechał się przyjaźnie, choć może też trochę niecierpliwie. Był niezwykle starannie ubrany: w tweedowy garnitur w szarą kratę i czarny kapelusz, który teraz trzymał na kolanach. Ale dzięki Bogu po nim też było widać, że solidnie zalał pałę. Jego podwójny podbródek uwidaczniał się bardziej niż zwykle. Oczy miał zaczerwienione i szkliste.

– Zapominasz, że jestem niegodziwcem – powiedział. – Wciąganie starców w otchłań zepsucia to moja specjalność. Ale na swoją obronę powiem tylko, że wczoraj miałeś mnóstwo sił witalnych. A co takiego ci się śniło?

– Że biegnę korytarzem i próbuję ją zatrzymać. Widziałem, jak jej plecy stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż zniknęła mi z oczu, pochłonęła ją ciemność.

– Chyba nietrudno to wytłumaczyć.

– Pewnie nie – zgodził się Sasza. – Ale przez cały czas myślę o jej śmierci.

– Rozumiem.

– Czy wiesz, że siedziała i grała w swojej piwnicy w środku nocy, kiedy ją zastrzelili?

– Mówiłeś wczoraj. Potworne. Można sobie wyobrazić najgorsze rzeczy.

Sasza przez moment znów miał ją przed oczami z zaskakującą wyrazistością: siedziała w jego klasie, poruszyła się tak, że jej włosy zafalowały. Była niesłychanie piękna. Niemal słyszał, jak ludzie szepczą i pomrukują za jej plecami, zazdrośni, pożądlivi, zachwyceni.

– Rekke prosił mnie, żebym ci przekazał jeszcze jedną rzecz. Facet na tym zdjęciu, które dostałeś, grał na altówce – mówił dalej Wiktor.

– W tym stroju? – zapytał Sasza i to nie miał być żart. Czuł się dezorientowany, odkąd zobaczył zdjęcie młodego mężczyzny stojącego na boisku piłkarskim w dziwacznym stroju w biało-czarne paski. – Nie sądzę, żeby grał na altówce w tym kostiumie.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Jak Rekke na to wpadł?

– Właśnie na takie rzeczy on wpada sam z siebie.

Sasza przypomniał sobie, jak Hans siedział rozdygotany w swojej łoży w Bernie.

– A nie byłoby lepiej, gdyby wpadł na to, żeby się zająć sobą?

– Nie mamy wyjścia, musimy Rekkego akceptować z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ale czy gdzieś coś ci nie dzwoni?

Sasza wziął do ręki zdjęcie, które przyniósł ze sobą do konserwatorium, żeby zobaczyć, czy ktoś inny nie rozpozna tego mężczyzny, i które teraz wylądowało na jego zagraconym biurku. Czy on nie wyglądał znajomo? Nie sądził, chociaż... Popatrzył jeszcze raz, próbując nie zwracać uwagi na krzywą szczękę po urazie, i nagle zobaczył w nim pewien smutek, niekoniernie widoczny na zdjęciu, bardziej istniejący w jego własnej głowie.

– Nie wiem – powiedział. – Może.

Wiktor rozpromienił się, jakby owo „może” oznaczało wspaniałą obietnicę, a to zachęciło Saszę, żeby jednak próbować sobie coś przypomnieć.

Z tym człowiekiem wiązał się jakiś smutek. Czy on nie przeżył jakiegoś bolesnego rozczarowania?

– Nie mówiłeś, że ten facet wymachiwał rękami jak dyrygent?

– Rekke twierdzi, że tak.

– Dziwne.

– Co w tym dziwnego?

– Takie wymachiwanie na boisku piłkarskim. Czy graczom to nie szkadzało?

– Tak, bardzo. Wszyscy zaczęli biegać do taktu.

– Naprawdę?

– To był żart, Sasza, żartowałem.

– Rozumiem. – Bieliński poczuł się zażenowany i niemądry, ale zaraz znów spowaźniał i ponownie zobaczył drobną przygarbioną postać, która weszła do klasy.

– Naprawdę coś sobie przypomniałem – oświadczył.

TRZYDZIEŚCI

Micaela podskoczyła na dźwięk telefonu. Pomyślała, że to Lucas. Ale dzwonił podekscytowany Jonas Beijer, więc wyszła do przedpokoju. Po drodze zauważyła, że Rekke skierował się w drugą stronę, też miał telefon przy uchu.

– Mam dobre wiadomości – zaczął Jonas.

– Jakie?

– Wracasz do śledztwa.

Micaela spodziewała się, że ogarnie ją radość. Ale w rzeczywistości poczuła raczej niepokój, jakby ta informacja mogła zepsuć to, co już osiągnęła.

– Czy to jest zatwierdzone? – zapytała. Słyszała, jak w dalszej części mieszkania Rekke chodzi tam i z powrotem, jakby był zdenerwowany.

– Będziesz musiała przekazać swoje obowiązki – ciągnął Jonas – i trzymać rękę na pulsie. Już dawno nikt z nas nie mógł się zajmować tą sprawą w pełnym wymiarze. Ale wiesz, organizujemy się na nowo. A! I jest coś jeszcze.

– Co takiego? – zapytała.

– Chcemy znów zatrudnić Rekkego.

Micaela pokiwała głową sama do siebie.

– Dobrze pomyslane.

– Czy wiesz, ile on bierze za konsultację?

– Nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że może być zainteresowany. Chyba nawet tego potrzebuje.

Jonas milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wygląda na to, że nagle całkiem dobrze go znasz.

– No tak, może trochę.

– Micaela...

– Tak?

– Ale ty chyba z nim nie sypiasz?

– Nie no, kurwa, co ty!

– To było rzeczywiście mocne dementi.

Micaela przewróciła oczami.

– Zapytam go – zaproponowała.

– Jeśli przyjmie propozycję, może przyszlubicie od razu jutro rano, to zostaniecie wprowadzeni w sprawę. Sam się tym zajmę. Fransson będzie chyba chciał trzymać się jak najdalej.

– A co mówi Falkegren?

– On nie bardzo teraz ma odwagę cokolwiek powiedzieć – odparł Jonas po krótkiej chwili. – Fransson trąbił coś o jego odejściu. Ale myślę, że to się jakoś ułoży.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Mam wrażenie, jakby w śledztwie przeskoczyła iskra, znów się coś dzieje. Chcemy to wreszcie rozwiązać. Jak tam twoje bóle głowy?

– Lepiej – powiedziała Micaela, nasłuchując, jak Rekke przechadza się po kuchni tam i z powrotem.

– No to zobaczymy się jutro.

Zamknęła oczy.

– Tak – potwierdziła. – Do jutra.

Jonas jeszcze się nie rozłączył, zaśmiał się krótko.

– Kurczę, Micaela... Wchodzisz oknem i stawiasz wszystko na głowie.

Ona też się zaśmiała, choć nadal nie przetrawiła tych wiadomości. Chciała się gdzieś ukryć i przemyśleć wszystko, nawet nie była do końca świadoma, czy się z nim pożegnała. Wiedziała tylko, że stoi w bezruchu i próbuje ogarnąć sytuację, kiedy nagle w jej myślach znów pojawił się Lu-

cas: groźny, niepokojący, ze świdrującym spojrzeniem. Z kuchni dobiegł ją głos Rekkego.

– Ale czy nie jest wręcz zdumiewające, że to trwało tak długo?

Poszła z powrotem do salonu i poczuła, że musi zająć czymś myśli. Na stoliku kawowym leżała kartka. To była lista afgańskich stypendystów, którzy gościli w Konserwatorium Moskiewskim w latach osiemdziesiątych. Może powinna się do tego zabrać od razu? To byłoby coś sensownego. „Zajmij się czymś” – mówił jej wewnętrzny głos. „Nie myśl o Lucasie”. Ale potrzebowała do tego komputera, więc usiadła na sofie i postanowiła zaczekać na Rekkego.

Mirpur, Pakistan 1978

Był małym chłopcem samotnie kopiącym piłkę na podwórku przed przybudówką, w której mieszkała jego rodzina. Ojciec pracował jako szofer u państwa Lumleyów, którzy zajmowali dużą wiktoriańską willę po sąsiedzku. Jego matka prowadziła im dom i przez całe swoje krótkie życie – miał osiem lat – czuł się jak syn w obu domach, a najbardziej na świecie kochał piłkę nożną.

Stephen Lumley, najstarszy syn, uczył go grać. Pewnego wieczoru trenował strzały na ścianę garażu. Bum! – dudniła piłka – bum! Był w swoim własnym świecie. Strzelał bramki w finale mistrzostw świata. Był Mariem Kempesem z Argentyny. Był wszystkimi graczami równocześnie i prawie słyszał szaleństwo na widowni. Ale w końcu coś innego przebiło się przez te dźwięki. To była oczywiście muzyka. Lumleyowie nieustannie słuchali muzyki. „Dom, który boi się ciszy” – jak mówił o nich jego ojciec z pewną niechęcią. „Trzeba też móc usłyszeć Allacha. Czekać na jego głos w ciemności”.

On sam nie przejmował się ani Allahem, ani muzyką. Żył dla piłki. Był chłopcem, który miał tylko jedną myśl w głowie na raz, jak mawiała jego matka, a jednak zatrzymał się na chwilę i posłuchał. Głównie dlatego, że jak się domyślił, to nie był adapter ani córki ćwiczące na instrumentach. Muzyka brzmiała jak z telewizora, a telewizor zawsze go przyciągał, nie tylko dlatego, że jego rodzina czegoś takiego nie posiadała. Lumleyowie mieli też kamerę wideo, cza-

sem przywozili filmy i nagrania z Anglii, w których widział migawki z innego, większego świata. Dlatego kopnął piłkę gdzieś w dal i ruszył do willi. Wszedł, nawet nie pukając do drzwi, potem wbiegł schodami na górę i do salonu, gdzie wszyscy już siedzieli. Przywitali go z pewnym roztargnieniem: „Cześć, Hassan, grałeś w piłkę?”.

Potem najwyraźniej o nim zapomnieli, a on zapomniał o nich. Patrzył jak urzeczony w telewizor, a tam był jakiś facet z jasnymi, dziko rozwichrzonymi włosami, w czarnym garniturze długim jak płaszcz, który wymachiwał rękami przed orkiestrą. Najpierw Hassan nie wiedział, co go bardziej zafascynowało: czy to była muzyka, czy ten mężczyzna. Zaraz jednak zrozumiał, że jedno i drugie razem – oni byli połączeni. „Czarodziej, to musi być jakiś czarodziej” – pomyślał, nie tylko dlatego, że tamten trzymał w prawej dłoni różdżkę. Za każdym razem, gdy wykonywał nią gwałtowny ruch, coś się działo z muzyką. Jak gdyby wyzarowywał dźwięki i zrastał się z nimi. Kiedy skończył, na widowni wybuchła burza oklasków, a wtedy mężczyzna odwrócił się i skłonił przed ludźmi. Wszyscy wstali i klaskali w dłonie ze łzami w oczach.

Hassan wpatrywał się w tę scenę jak zaczarowany, jakby właśnie zrozumiał coś nowego i wielkiego o życiu, i przez kolejne dni nie myślał prawie o niczym innym. Często stał w ogrodzie i wywijał jakąś gałązką, jakby prowadził orkiestrę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że rodzina Lumleyów zaczęła mówić o nim ze szczególnym zainteresowaniem.

– Ale czy nie jest wręcz zdumiewające, że to trwało tak długo?

Charles Bruckner, który słuchał tłumaczenia rozmowy Rekkego, poczuł, że ma ochotę włączyć się do tej konwersacji i wysyczeć: „Łatwo ci mówić, ty pieprzony idioto”.

Zaraz jednak się uspokoił i spróbował popatrzeć na to wszystko trzeźwo. Zapowiadała się potężna burza, a wtedy problem Rekkego i Kabira byłby tylko częścią wielkiego chaosu. Z tego, co słyszał, to była kwestia dni, może nawet godzin, zanim „The New Yorker” i CBS opublikują swoje reportaże o torturach i poniżaniu więźniów w Abu Ghraib w Bagdadzie. To bez wąt-

pienia narobi ogromnych szkód, ale ani on, ani nikt inny nie mógł stąd nic zdziałać.

Musieli skoncentrować się na tym, żeby zatkać gębę Rekkemu i tej jego latynoskiej policjantce, o której nikt z nich niczego nie wiedział. Nazywała się Vargas, była skuteczna, jak słyszeli, i bystra, z pozoru grzeczna dziewczynka, ale pod spodem najeżona i niepokorna. W dodatku siostra – jak Charles podejrzewał – poważnego kryminalisty, któremu najwyraźniej wybitnie się nie podobało, że dziewczyna spotyka się z Rekkem. Zresztą chyba każdy gangster tak by zareagował.

Nikt jednak nie był w stanie się dowiedzieć, jak oni się spotkali, poza tym, że naturalnie musieli być w kontakcie, kiedy Vargas pracowała przedtem przy śledztwie. Charles miał niepokojącą pewność, że dzielili się ze sobą informacjami. Czyli innymi słowy: problem Rekkego się zdublował. Ale kto mówił, że będzie łatwo? Musieli po prostu zwiększyć naciski, pomyślał, i trochę przyspieszyć. Pozostawała tylko kwestia jak i kiedy. Charles usłyszał, że Rekke kończy rozmowę. Henry Lamar, młody współpracownik, odwrócił się do niego. Jego oczy niespokojnie biegały po pokoju.

– To co robimy? – zapytał.

– Zdejmiemy ich oboje – powiedział Charles. – Musimy ich porządnie przycisnąć.

Lamar spojrzał na niego bez entuzjazmu.

– Czy nie ryzykujemy pogorszenia sprawy? – zapytał.

– Nie, jeśli będziemy twardzi. Nie możemy siedzieć spokojnie w łódce w tej sytuacji – tłumaczył Charles pewnym głosem, choć tak naprawdę już zaczął się denerwować na myśl, jaki następny ruch zaplanował Rekke.

Już samo to, że otwarcie rozmawiał przez telefon, było dziwne, jakby chciał im przekazać jakiś komunikat. A może był tylko niedbały, może wróciła jego faza maniakalna? Charles miał taką nadzieję.

Kiedy Rekke wreszcie wrócił do salonu, przyniósł ze sobą dwa piwa. Micaela podziękowała, więc najwyraźniej zamierzał wypić obydwie sam.

– Wyglądasz, jakbyś dostała jakieś wiadomości – powiedział.

– Wracam do śledztwa.

Wzniósł szklankę.

– W takim razie muszę pogratulować... – Urwał na moment.

– Dziękuję – wtrąciła Micaela.

– Chciałem powiedzieć: pogratulować im, zespołowi śledczemu.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Chcą zaangażować też ciebie – oświadczyła.

– No proszę. – Jego ciało znów zadygotało, sygnalizując objawy odstawienia.

– Pytają, jakie jest twoje honorarium.

– Hm, co by to mogło być?

„Nowe dragi – pomyślała Micaela – nowe tabletki”.

– Chyba najbardziej mi zależy, żeby tym razem poluźnili ci trochę wódze – powiedział Rekke.

– Ale ty też się włączysz?

– Zrobię, co w mojej mocy.

Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– A z kim ty rozmawiałeś? – zapytała.

– Z moim bratem.

– Denerwuje się, że sprawa Kabira może wypłynąć?

– Na pewno jest zdenerwowany, ale też ożywiony, jak zawsze przed publicznymi aferami.

– Mówiłeś przez telefon, że to dziwne, że coś wcześniej nie wyciekło.

Rekke otworzył drugie piwo.

– Wygląda na to, że zrzędzeniem losu staliśmy się częścią większego dramatu. Media właśnie mają ujawnić stosowanie brutalnych tortur i poniżanie ludzi przez CIA. I to całkowicie bez mojego udziału.

Micaela nachyliła się ku niemu z zainteresowaniem.

– W jaki sposób?

– Seymour Hersh, *the grand old man*, który opisał masakrę w Mĩ Lai w Wietnamie, zamierza wkrótce opublikować duży reportaż w „New Yorkerze”.

– Naprawdę? – rzuciła Micaela z poczuciem, jakby wielki świat właśnie trochę się przybliżył.

– Ale oczywiście Magnusa interesuje głównie, jak to wpłynie na niego i MSZ. Bo wiesz – ciągnął – on i Kleeberger są dość mocno umoczeni. Pozwalali na wywożenie podejrzanych z kraju i torturowanie ich przez CIA na obcym terenie. To błoto ich też ochlapie.

Micaela się zamyśliła.

– Czyli przyjmując Kabira, wpuścili do kraju ewentualnego mordercę i terrorystę.

– Tak sędzę.

– Paskudna sprawa.

– Tak – zgodził się Rekke.

Micaela siedziała chwilę pogrążona w milczeniu. W końcu wstała i poszła do kuchni, stanęła przy oknie wychodzącym na Grevgatan i popatrzyła, czy nadal stoi tam ten czarny samochód albo czy nie kroi się coś innego. Niczego nie zobaczyła, jedynie jakaś starsza pani z białym pieskiem szła chodnikiem. Kiedy wróciła do salonu, Rekke popatrzył na nią ze zmartwioną miną.

– Przykro mi – powiedział.

– Ale z jakiego powodu?

– Jeszcze nie wiem – odparł.

Spojrzała mu w oczy, usiłując strząsnąć z siebie nagłe poczucie niepokoju.

– Mówiłeś, że odkrycie prawdziwej tożsamości Kabira nie powinno być takie trudne, jeśli naprawdę był altowiolistą.

– Właśnie – przyznał.

– To może powinniśmy ruszyć sprawę tej listy, którą ci wysłał twój przyjaciel.

Rekke odstawił drugą butelkę piwa na stolik.

– Co powiesz na to, żebyśmy zaczęli jutro? – zapytał.

– No nie, teraz – zaprotestowała Micaela.

– Muszę się najpierw trochę pozbierać. – Spojrzał na nią z nieoczekiwanym żarem w oczach.

– W takim razie zrobię to sama – stwierdziła, wzięła kartkę ze stolika, wstała z lekkim wahaniem, rozważając, czy jednak nie powinna zostać tu z nim. – Masz jakiś komputer, z którego mogłabym skorzystać? – zapytała.

– Jasne. – On też wstał, sprawiał wrażenie rozczarowanego, a może tylko pełnego lęku.

Popatrzył na fortepian, jak gdyby znów chciał coś zagrać. Potem poprowadził ją przez całe mieszkanie do pokoju, którego nigdy przedtem nie widziała – stał w nim jeszcze jeden komputer. Zalogował się i wyszedł, zostawiając ją samą.

Micaela rozejrzała się po pomieszczeniu. Oczywiście tutaj też był regał z książkami, łóżko dla gości i obraz przedstawiający dziewczynę w błękitnej sukni z mandoliną w dłoni, ale właściwie nie zwróciła uwagi na wyposażenie pokoju. Myślała o Rekkem i jego oczach. W końcu popatrzyła na kartkę z listą nazwisk.

Emma Gulwal

Gedi Afridi

Jabroot Safi

Pazir Lohani

Hassan Barozai

Taara Jadun

Od kogo powinna zacząć? Wybrała Gediego Afridiego i dowiedziała się, że był on pianistą i pedagogiem muzycznym, który zginął w marcu 1997, co było oczywiście interesujące. Tej wiosny zaczęły się ataki na muzyków

w Kabulu. Dzielnica Kharabat, gdzie mieszkali, umilkła, byli wtrącani do więzienia, karani chłostą, a ich instrumenty rozdeptywano i palono. Micaela wolała jednak zacząć od kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, o ile było to możliwe bez tłumacza.

Postanowiła też zostawić Emmę Gulwal na później, kiedy będzie miała więcej informacji, dlatego zajęła się nazwiskiem Jabroot Safi – brzmiało dość oryginalnie, ale nie znalazła żadnych śladów takiej osoby. Potem wpiisała do wyszukiwarki Pazira Lohaniego i tu pojawiły się jakieś informacje, ale nie mogła ich odczytać. Wszystko było w języku paszto.

Hassan Barozai miał więcej trafień, częściowo po angielsku, ale żadne z nich nie pasowało do osoby, która mogła studiować w Konserwatorium Moskiewskim. Był tam Hassan Barozai lekarz chorób wewnętrznych, inny Hassan Barozai służył jako pułkownik w armii pakistańskiej, kolejny był biznesmenem w Dżalalabadzie, jego firma oferowała „inteligentne rozwiązania cyfrowe”, oraz kilka innych trafień, których nie rozumiała, między innymi coś z Mirpur AJK. „To też na pewno jakaś firma” – pomyślała. Ale nic nie pasowało, wyszła więc z pokoju i jakimś cudem trafiła z powrotem do salonu. Jednak Rekkego tam już nie było.

Sasza Bieliński został sam w swoim pokoju i powoli tamto zaczęło do niego wracać – trochę zamglone, ale wystarczająco wyraźne, żeby z grubsza mógł sobie przypomnieć dawne wydarzenia. To musiał być rok 1986, może 1987. Latifa była już uznawana za wschodzącą gwiazdę, miała na sobie coś czerwonego i spoglądała w stronę tego nowego ucznia, którego Sasza nigdy przedtem nie widział. Jej wzrok zdradzał ciekawość, może nawet było w nim widać jakieś oznaki zadurzenia. Na pewno tylko dlatego Bieliński zapamiętał tego ucznia. Chciał wiedzieć, na kogo Latifa patrzy z takim zainteresowaniem, dlatego najlepiej potrafił przypomnieć sobie tamtego jako odbicie w jej oczach, poruszenie jej spiętego ciała. Pamiętał też leżącą obok niego altówkę, jego dumny i skoncentrowany wyraz twarzy, który skojarzył mu się z mężczyzną w stroju sędziego piłkarskiego. Chłopak emanował

czymś, co zasugerowało Saszy, że on też jest wybitnie utalentowany. Światło w oczach Latify potwierdzało jego oczekiwania.

Musiały to być kursy mistrzowskie. Pamiętał, że uczniowie grali po kolei i w końcu nadszedł nieunikniony moment, kiedy zwrócił się do nowego ucznia z prośbą, żeby coś zaprezentował. W tamtej chwili w chłopaku zaszła zmiana. Wcale nie wyglądał już tak dumnie i pewnie, był raczej wylęknięty, zerknął szybko na Latifę. Między tą dwójką istniała jakaś wyraźna więź, bez wątpienia Latifa dobrze mu życzyła.

Nie była jak zwykle zajęta sobą, tylko wpatrywała się intensywnie w chłopaka. Sasza pamiętał, że to napięcie udzieliło się również jemu. Skinął na Jelenę, żeby mu akompaniowała na fortepianie. To zawsze była szczególna sytuacja, kiedy uczeń, którego nikt wcześniej nie słyszał, miał grać pierwszy raz. W sali zapanowała cisza. Już pierwsze dźwięki zdradzały nerwość i sztywność w prowadzeniu smyczka, ale zamiast zacząć od nowa i wziąć drugi oddech, chłopak grał dalej, i dalej było tylko gorzej.

W jego grze brakowało życia, była kanciasta, czasem nawet fałszował. Było widać, jak on się męczy, jak Latifa się męczy, choć przedtem wyglądało na to, że zamierzała go zasypać komplementami. Ale takiego wykonania nie dało się zaakceptować, nawet przy najlepszych chęciach. Bieliński nie wiedział, co się potem stało. Skąd miałby wiedzieć? Przecież mimo wszystko to nie była żadna katastrofa, tylko nieudany występ, nic więcej. Ale zapamiętał to i teraz przypominał sobie dlaczego. Widział tego chłopaka ponownie, gdy tamten był pijany w sztok, zakrwawiony i mamrotał jak dziecko, że chce stąd wyjechać, że chce do domu.

Micaela znalazła Rekkego w jego gabinecie, obok posągu z brązu. Siedział przy komputerze z butelką wina. Odwrócił się do niej, kiedy weszła, popatrzył nieobecny wzrokiem, pogrążony w myślach. Ale raczej nie dotyczyły one śledztwa.

– Twój ojciec był historykiem. Specjalistą od Inków – powiedział.

Potwierdziła skinieniem.

– Jego mama, moja babcia, należała do ludu Keczua, potomków Inków.

- Coś niesamowitego.
- Nie jestem pewna – odparła.

Spojrzenie Rekkego błędziło niespokojnie między nią i komputerem, jakby nie wiedział, co ma zrobić. Potem zapytał, czy coś znalazła. Micaela potrząsnęła głową i usiadła obok niego.

- Nie mogłam się skoncentrować – powiedziała.
- Co się z nim stało?
- Z tatą? Umarł – rzuciła obcesowo.
- Widzę, znalazłem artykuł.
- Dlaczego się tym zajmujesz?
- Bo mnie zaciękało.

Micaela miała ochotę warknąć na niego, żeby dał sobie spokój.

– Czy dowiedziałeś się czegoś więcej od swojego przyjaciela z Moskwy? – powiedziała zamiast tego.

– Nie – odparł. – I śmierć twojego ojca nie została do końca wyjaśniona, prawda?

- Zostaw to.
- A jak ją zakwalifikowano?
- Samobójstwo.

– Ale nadal są wątpliwości, czyż nie? Ten upadek z galerii, o którym piszą... Nie do końca to rozumiem.

„Pogadaj z Simónem” – pomyślała. „Pogadaj z Lucasem”. Ale nic nie powiedziała, podniosła się z myślą, że równie dobrze może dalej zajmować się listą. Nie tylko, żeby uciec od tej rozmowy. Coś nie dawało jej spokoju i mogła teraz na to popatrzeć, skoro Rekke znów nie był w formie.

- Pójdę sprawdzić jedną rzecz – oświadczyła.

Kabul, styczeń 1986

Jelena Drugowa była ubrana w czarny kostium, który już nie leżał na niej tak dobrze jak wcześniej. Przybrała na wadze. To przez stres, jak się domyślał. Otrzy-

mywała groźby śmierci, w dzielnicy czasem słychać było strzały. Ale nadal była piękna, choć stara. Stara dla niego, miał zaledwie szesnaście lat. Ona była czterdziestolatką z włosami siwiejącymi u nasady, ciągle paliła i zawsze miała pod ręką szklaneczkę wódki albo whisky.

Ale poruszała się z taką elegancją! Uwielbiał jej ruchy, kiedy dyrygowała czy, jak teraz, siedziała na swoim krześle i rozkładała ręce. Jej szare oczy były surowe i jednocześnie łagodne. Nigdy nie można było przewidzieć, czy zamierza pogłaskać, czy zadrapać.

– Jestem z ciebie dumna, Hassanie – powiedziała, a on wiedział, że to prawda.

Rok temu przyjechał do Kabulu, zachęcony przez *madame* Bukhari, jego nauczycielkę skrzypiec w Mirpurze, mając w kieszeni trochę pieniędzy od Lumleyów, niewielkie stypendium, jak to określili. Ale naprawdę nie było mu łatwo. Jego rodzice na wszelkie sposoby próbowali go zatrzymać. „Komuniści są bezbożni” – mówił jego ojciec. „To wojownicy. Okupują muzulmańską ziemię”. Lecz od pierwszej chwili, kiedy usłyszał o kursach dyrygentury prowadzonych przez Drugową, wiedział, że musi tam jechać. Chciał podążać za swoimi marzeniami, i choć pieniądze nie wystarczyły na długo, choć musiał dzielić pokój z trzema innymi studentami, a raz nawet został pobity na ulicy, było warto.

Nauczył się czytać partytury i zrozumiał, że miał do tego talent. Nie tylko dlatego, że był bystry i miał analityczny umysł. Potrafił szybko ogarnąć zarówno szczegóły, jak i całość. Miał cechy przywódcze. Dobrze sobie radził, gdy był w centrum uwagi. Ludzie go słuchali, nawet starsi. Był stworzony, żeby zostać dyrygentem. Żywił co do tego najgłębsze przekonanie i nikt nie ćwiczył tyle, co on. Nieustannie, ciągle ćwiczył. Po dwanaście, czternaście godzin dziennie. Więc to jasne, że profesor Drugowa była z niego dumna. Porzucił wszystko inne, nawet piłkę nożną. Jelena nie mogła mieć lepszego ucznia. A jednak najwyraźniej zmierzała ku jakiemuś ale. Słyszał to w jej głosie. Widział to w jej zmarszczkach na czole i sposobie, w jaki zgasiła papierosa w błękitnej popielniczce.

– Dziękuję – powiedział.

– Ale trochę za późno zacząłeś grać na skrzypcach, na pewno sam o tym wiesz. Nie posiadasz tej sprawności technicznej, która jest niezbędna.

Chciał zaprotestować, najlepiej wziąć zaraz do ręki skrzypce i pokazać jej, że przecież potrafi grać jak każdy inny wirtuoz. Tylko że ona, głupia baba, nie potrafiła nawet porządnie słuchać.

Ale wiedział, że to nic by nie dało, więc tylko patrzył, jak Drugowa się schyla i kładzie na biurku instrument. Nic przy tym nie mówiła. Żadne z nich się nie odzywało, słowa nie były potrzebne. Oboje wiedzieli, co leży przed ich oczami, tuż obok popielniczki. To była altówka.

– Myślę, że altówka będzie do ciebie lepiej pasowała – oznajmiła Jelena.

Nic nie odpowiedział. Wstał i wyszedł z poczuciem, jakby dostał cios prosto w żołądek.

Micaela słyszała, że Rekke coś mówi, ale była już za daleko, w drodze do pokoju, w którym przedtem siedziała. Wróciła do tamtego Hassana Barozaia, który miał coś wspólnego z Mirpur AJK. Najpierw pomyślała, że to nazwa jakiejś firmy albo regionu, a teraz uderzyło ją, że równie dobrze mógł to być klub sportowy, drużyna piłkarska. Wpisała hasło w wyszukiwarkę, ale nie pojawiło się nic ciekawego, tylko ogólne informacje o dystrykcie Mirpur w regionie Azad Dżammu i Kaszmiru w Pakistanie. Nie poddawała się jednak, tylko szukała dalej, aż trafiła na klub piłkarski o nazwie FC Mirpur AJK. Czy to mogło być to?

Słowo występowało w tekście napisanym w paszto, tylko nazwiska były po angielsku, nazwiska i przynależność do czegoś o nazwie Mirpur AJK, Baloch Quetta, Humma czy WAPDA. Sprawdziła te inne nazwy i okazało się... że wszystkie są klubami piłkarskimi. Poczula przyływ radości. „Tylko spokojnie, to nie musi wcale niczego oznaczać – pomyślała – to jeszcze nic, ale przynajmniej warto to zbadać, prawda?”

Na początek Mirpur. Co to było w ogóle? Miasto w północno-wschodnim Pakistanie, liczące niewiele ponad sto tysięcy mieszkańców. Wielu wyemigrowało do Wielkiej Brytanii w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Czasami nazywano je Little England. Podobno w sklepach było dużo brytyjskich produktów i miasto pozostawało pod silnym wpływem tamtej kultury. To też przemawiało za tym, że należało sprawę zbadać bliżej. Jak mó-

wił Rekke, w tamtych krajach mało kto zaczyna grać zachodnią muzykę klasyczną, jeśli nie znajduje się pod wpływem kultury europejskiej.

Zadzwoiła na międzynarodową informację telefoniczną i zapytała, czy w Mirpurze są jakieś osoby o nazwisku Barozai. Okazało się, że są. Było cztery albo pięć takich rodzin. Micaela zaczerpnęła głęboki oddech i na próbę zadzwoniła do niejakiego Fahmiego Barozaia. Nikt się nie zgłosił, więc poszła dalej – do Yafira Barozaia. Mężczyzna okazał się życzliwy i choć najwyraźniej słabo znał angielski, chciał jej pomóc.

– *I am looking for Hassan Barozai* – powiedziała Micaela.

Mężczyzna odpowiedział trudnym do zinterpretowania *yes, yes*, jakby rzeczywiście znał kogoś takiego w Mirpurze. Potem podał jej numer, wydrukany po angielsku i jeszcze raz po francusku, a wtedy Micaela poczuła podekscytowanie. Czyżby naprawdę trafiła? Potem jej radość trochę opadła. To przecież i tak nie mógł być Kabir. On już nie żył. Jeśli jednak to był ten sam Barozai, który przebywał w Moskwie na stypendium, a w dodatku miał do czynienia z klubem piłkarskim, to najprawdopodobniej mógł też znać Kabira.

Wybrała podany numer i słuchała przeciągłych sygnałów, które brzmiały jak odległy buczone mgłowy. Kiedy już miała się rozłączyć, w telefonie odezwał się głos starszej kobiety.

– *Do you speak English?* – zapytała Micaela.

– *Yes* – przyznał głos. – Czego pani chce?

– Chciałam... – Zawahała się krótko, ale potem postanowiła potraktować to jako zupełnie normalną rozmowę w sprawach zawodowych. – Nazywam się Micaela Vargas. Dzwonię ze szwedzkiej policji i szukam niejakiego Hassana Barozaia. Czy może go zastałam?

– Jest w meczecie. A dlaczego pani go szuka?

– Może posiadać informacje, które są dla nas bardzo cenne.

– Jest starym, pobożnym mężczyzną – oświadczyła rozmówczyni.

– Nie wątpię. Ale jednak chciałabym...

– Niech pani zadzwoni później – przerwała jej starsza kobieta.

– Oczywiście, chętnie to zrobię. „Stary i pobożny” – pomyślała równocześnie. „Coś tu się nie zgadza”. – A więc on nie interesował się nigdy zachodnią muzyką klasyczną?

– Nie – odparła kobieta.

– W takim razie proszę wybaczyć, że przeszkodziłam.

– Już dobrze – powiedziała tamta. – Czy to wszystko?

– To wszystko. Dziękuję – rzuciła Micaela i odłożyła słuchawkę.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Wiktor Malikow ledwie zdążył usiąść, żeby przygotować się do zajęć, kiedy do jego drzwi zapukał Sasza Bieliński. Na Boga, co za ruina człowieka! O ile wczoraj widział jeszcze stosunkowo witalnego mężczyznę, o tyle dzisiaj Sasza wyglądał, jakby miał sto lat. Był blady, ledwo trzymał się na nogach, a worki pod oczami, które już wcześniej nie dodawały mu urody, były teraz spuchnięte jak w chorobie.

– Coś sobie przypomniałeś? – zapytał Wiktor.

Sasza usiadł obok niego. Jego tułów drżał, kiedy opadał na krzesło. Wytarł pot z karku.

– Tak sądzę – powiedział. – Wiesz... – Zdjął okulary i zaczął je wycierać chusteczką. – Zastanawiałem się, dlaczego Latifa działała tak prowokująco na wiele osób.

– Właściwie wcale nietrudno to zrozumieć – rzucił Wiktor, żeby dać Saszemu czas na złapanie oddechu.

– To prawda, chyba nie jest trudno. Była tak utalentowana i piękna, że trzeba było sprowadzać ją na ziemię, aby w ogóle móc z nią wytrzymać. Ale było w tym też coś innego. Ona jaśniała, to był rodzaj pasji, który określał całą jej osobowość. Tylko że ta pasja mogła też zgasnąć, jeśli na przykład Latifa straciła zainteresowanie dla kogoś czy dla świata, a kiedy tak się działo, było to bolesne.

– Do czego zmierzasz?

Sasza popatrzył na niego trochę zdezorientowany.

– Sam nie wiem. Ale przez krótki czas w latach osiemdziesiątych mieliśmy pewnego ucznia. Przyjechał tak samo jak Latifa w ramach wymiany kulturalnej, dzięki staraniom Jeleny Drugowej w Kabulu.

– Okej – powiedział Wiktor, nagle zaciekawiony.

– Coś zaszło między nim i Latifą. Sprawiali wrażenie, jakby ich coś łączyło, przypuszczalnie romans. Patrzyła na niego tak, że byłem prawie zazdrosny. „O co chodzi z tym chłopakiem?” – myślałem. „Co to za historia?” Poprosiłem, żeby zagrał na naszych kursach mistrzowskich i potem miałem wyrzuty sumienia z tego powodu. Atmosfera od razu stała się napięta. Ten biedak zamknął się w sobie. Brzmiał okropnie. Grał *Fantazję chromatyczną* Bacha, a potem...

– ...Latifa patrzyła już na niego inaczej.

– Nie była złośliwa ani nonszalancka. Ale to było widać, że w jego towarzystwie robiła się zakłopotana, a on z kolei jej unikał, tylko patrzył na nią z daleka takim mrocznym wzrokiem.

– I sądzisz, że ten sam chłopak jest na zdjęciu, które przysłał Rekke? – upewnił się Wiktor.

Sasza znów przypomniał sobie tamtego mężczyznę, to uczucie, że widzi w jego twarzy coś tragicznego albo smutnego.

– Tak mi się wydaje – odrzekł. – Bo wiesz, kilka dni później ten chłopak podszedł do mnie. Zdawał się równocześnie nieśmiały i rozemocjonowany. Powiedział, że widział mnie w telewizji w latach siedemdziesiątych.

– Wszyscy cię widzieliśmy w telewizji w latach siedemdziesiątych, Sasza. Byłeś tym sławnym ekscentrykiem z burzą włosów.

– Tak, to były czasy – powiedział Sasza i dotknął cienkich kosmyków na głowie. – Ale dla tamtego młodego człowieka chyba naprawdę coś znaczyłem. Powiedział, że przeze mnie zapragnął zostać dyrygentem, zresztą nie tylko to. Przekierował całe swoje życie na inne tory, kiedy zobaczył w telewizji, jak dyryguję *Drugą symfonię* Rachmaninowa w Londynie. To było dla niego przełomowe doświadczenie. Prawie chciałem go za to przeproszać. Ale on mówił dalej, opowiadał, że bardzo dużo ćwiczył. „Mam naturę przywódczą – mówił – jestem przywódcą”. To zapamiętałem najbardziej. Tego zagubionego, niepewnego chłopaka, którego ludzie unikali i który krzyczał, że jest przywódcą.

– I co zrobiłeś? – zapytał Wiktor.

– Rzuciłem kilka luźnych obietnic, jak sądzę. Obiecałem zebrać mały zespół, którym mógłby dyrygować. Coś w tym rodzaju. Ale oczywiście do tego nie doszło. Zacząłem go unikać, jak inni, i pewnie bym o nim zapomniał, gdybym nie zobaczył go ponownie, ostatni raz.

– Co się wtedy stało?

– Zasiedziałem się trochę w szkole i właśnie szedłem do domu, kiedy usłyszałem kłótnię przy głównym wejściu, więc od razu tam popędziłem. Leżał na dole przy końcu schodów. Był pijany i brudny, miał zakrwawione czoło. Dużo osób się tam zebrało, próbowaliśmy mu pomóc. Ale kiedy oprzytomniał, wyrwał się tylko i spojrzał na nas wzrokiem, którego nie zapomnę. Wyglądał jak banita, człowiek, który przegrał straszną i decydującą walkę. Wszyscy instynktownie poczuliśmy, że powinniśmy go zostawić w spokoju. Wkrótce pojechał z powrotem.

– Do Afganistanu?

– A może to był Pakistan. Już nie pamiętam – powiedział Bieliński i przez chwilę on sam sprawiał wrażenie samotnego i opuszczonego, jakby się identyfikował z tamtym biednym chłopakiem.

Micaela wróciła do Rekkego, który teraz siedział na sofie obok fortepianu z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Nie sprawiał wrażenia, jakby czuł się lepiej, prawie opróżnił butelkę wina. Zdawał się pogrążony w myślach.

– Co robisz? – zapytała Micaela.

Chyba jej nie usłyszał, dalej siedział w bezruchu i coś mamrotał pod nosem.

– Co robisz? – powtórzyła.

– Ja... przepraszam. Usiłuję myśleć, zebrać myśli.

– I dobrze ci idzie?

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Może.

– To brzmi obiecująco.

– Ale myślałem też o twoim ojcu.

Przez chwilę rozważała, czy nie poprosić go, żeby się zamknął.

– Miałaś jedenaście lat, prawda? – mówił dalej Rekke.

A może powinna po prostu wyjść i wrócić do pokoju z komputerem? Została jednak i zdecydowała się usiąść.

– Mieliście bliską relację? – zapytał.

– Tak – przyznała.

– Czytałem, że ogłuchł po torturach w Chile. Porozumiewaliście się językiem migowym?

– Pisaliśmy karteczki.

Rekke skinął głową. W jego głosie nie było krytycyzmu, ale mimo to poczuła potrzebę wytłumaczenia się z tych karteczek, które stanowiły jej dzieciństwo. – Było z tym trochę zachodu. Ale dzięki pisaniu musieliśmy się zastanawiać, co chcemy przekazać.

– Rozumiem.

Micaela chciała opowiedzieć coś więcej.

– Czasami to trwało jednak za długo, wtedy on czytał moje karteczki, ale w odpowiedzi mówił, głosem, który był albo za wysoki, albo za niski. Ale przeważnie pisał.

– Bo to się wydawało bardziej godne?

– Był człowiekiem piszącym. – Micaela przypomniała sobie Simóna, który nigdy nie lubił tych karteczek. Był na to za bardzo niespokojny, dyslektyk, tak samo jak matka, wolał obrazy niż słowa, i to na pewno też odegrało jakąś rolę.

– Co pisał? – zapytał Rekke.

– Żarty, komentarze do codziennych spraw, komplementy, drobne zagadki, cokolwiek. Ale zawsze było w tym dużo polityki. „Świat jest niesprawiedliwy. A my mamy obowiązek z tym walczyć”, takie rzeczy.

– Wygląda na to, że był wspaniałym ojcem.

– Był wspaniały. A potem, pewnej jesieni, coś się z nim zaczęło dziać. Może zachorował tak jak ty. Widzieliśmy tylko, jak gaśnie, cichnie, te jego karteczki już nie były zabawne. Może to miało coś wspólnego z zimą. Tamtego roku bywało nawet minus dwadzieścia, bardzo wietrznie. On często siedział w kuchni po nocach z książkami, których chyba nawet nie czytał. Jednej z takich nocy, a może to był raczej wczesny ranek, wtoczył się do domu mój brat Simón, pijany i naćpany. Zaczęli się kłócić. Zbudziłam się od ich krzyków, ale byłam na tyle głupia, że wolałam leżeć w łóżku. Pomyślałam sobie, że Lucas ich uspokoi.

– A więc on też wstał.

– I poszedł do kuchni. Wtedy już zaczynał przejmować rządy w domu. Słyszałam, jak krzyczał: „Uspokójcie się, kurwa, dajcie nam spać!”.

– Co się potem stało?

– Nie wiem. Zrobiło się cicho i chyba znowu zasnęłam. Kiedy się obudziłam, było zimno, od drzwi wejściowych ciągnęło. Wstałam i zobaczyłam, że Lucas i Simón stoją na galerii. Patrzyłam na ich plecy i zauważyłam, że gapią się w dół. Był mróz, cała się trzęsłam. Lucas się odwrócił i powiedział, żebym wracała do łóżka. Ale ja musiałam wszystko widzieć. Wychyliłam się, a on tam leżał na dole, na brzuchu, z rozłożonymi ramionami. Jego dłonie nadal się poruszały, jakby chciał coś złapać albo jakby mu się wydawało, że nadal spada. I właśnie wtedy nasza mama wybiegła na podwórko, boso i w koszuli nocnej, krzyząc: „Nie, nie!”. Tata umarł po południu w Szpitalu Karolinska.

Rekke położył rękę na jej dłoni.

– I zakwalifikowano to jako samobójstwo?

– Nie było żadnego innego wytłumaczenia. Simón i Lucas poszli do łóżek po kłótni, wszyscy wiedzieli, że tata był ostatnio bardzo przygnębiony. Awantura z moimi braćmi musiała wyzwoić taką reakcję.

Rekke sprawiał wrażenie, jakby chciał się odezwać, i przez moment Micaela bała się, że powie coś, co zburzy jej przekonanie. Ale to były tylko jej lęki.

– To mi sprawia ból – wyznał Rekke.

Siedzieli chwilę w milczeniu, a myśli Micaeli krążyły bez celu. Wróciła do niej rozmowa z tamtą starą kobietą z Mirpuru, ale teraz nie myślała, że to było coś żenującego. Teraz jej uwaga skupiła się na nerwowym, nieco nosowym głosie tamtej kobiety, nie dawał jej spokoju. Popatrzyła na Rekkego, który w napięciu ścisnął dłonią ramię.

– Mam pytanie.

– Słucham.

– Gdybym nagle powiedziała do ciebie coś, czego się wcale nie spodziewasz. Jak... – Szukała w myślach dobrego przykładu. – Czy kiedyś trenowałaś łyżwiarstwo figurowe w Rosji? Co byś wtedy odpowiedział?

– Zaraz pochwalilibym się, jak fantastycznie umiem kręcić piruety.

– Ale chodzi mi o to, jak zareagowaliby normalni ludzie?

– Domyślam się, że większość powiedziałyby: „Dlaczego, u diabła, chcesz to wiedzieć?”.

– Właśnie – stwierdziła Micaela z naciskiem. – No właśnie.

Rekke spojrział na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy, a ona myślała o tamtej dziwnej rozmowie telefonicznej, o swoim wrażeniu, że kobieta przez cały czas chciała odłożyć słuchawkę.

– Co takiego znalazłaś?

– Sama nie wiem. Ale muszę zadzwonić.

Rekke skinął głową, a ona wróciła do pokoju z komputerem. Nie wiedziała, jak długo siedziała nieruchomo, skoncentrowana jedynie na oddechu. Po jakimś czasie sięgnęła po telefon i znów wybrała ten sam numer. Tym razem kobieta zgłosiła się od razu, jakby właśnie na to czekała.

– To jeszcze raz ja, ze szwedzkiej policji – powiedziała Micaela.

– Słyszę – odparła kobieta.

– Przedtem rozmawialiśmy o pani mężu, prawda?

– Tak – przyznała tamta.

– I on nie ma też nic wspólnego z klubem piłkarskim w waszym mieście, FC Mirpur AJK.

– Nie.

– A jednak jest pewien Hassan Barozai, który miał kontakt z tym klubem.

Kobieta milczała przez chwilę. Micaela słyszała ciężki oddech oraz ciche stukanie, może jakby ktoś bębnił palcami po blacie.

– Nasz syn grał w tym klubie jako chłopiec.

Micaela odetchnęła głęboko.

– Doprawdy?

– Potem ich też trenował. Odnosił duże sukcesy.

– Rozumiem – przyznała Micaela. – A czy czasem nie sędziował meczów?

– Czasem tak.

Micaela poczuła falę podniecenia, ale ze wszystkich sił starała się, żeby kobieta nie usłyszała tego w jej głosie.

– Może interesował się też europejską muzyką klasyczną?

Znów chwila ciszy w słuchawce.

– Grał na skrzypcach – odezwała się wreszcie kobieta. – Był bardzo zdolny, nasi angielscy sąsiedzi i pracodawcy, państwo Lumley, go uczyli. Ale kiedy był starszy, już się tym nie zajmował.

– Dlaczego przestał?

Rozmówczyni Micaeli kolejny raz się zawahała, jakby nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Zrobił się taki, jak jego ojciec.

– Zaczął uważać muzykę za coś grzesznego?

– Uważał, że to sprawia przykrość Bogu i jego prorokowi, pokój niech będzie z nim. „To nie czas na radość”, mawiał. „Tylko na smutek i powagę”.

Micaela chłonęła jej słowa i równocześnie koncentrowała się na tym, by nie powiedzieć czegoś, co zniszczyłoby tę kruchą otwartość, jaka powstała w rozmowie.

– Czy to był jedyny powód? – zapytała.

– A potrzeba więcej?

– Może nie. Ale czasem jest jakaś przyczyna, która wywołuje przemianę. Kobieta znów umilkła na moment.

– Oni go niesprawiedliwie potraktowali.

– Kto go niesprawiedliwie potraktował?

– Komuniści. Prześladowali muzułmanów i zwrócili się przeciw Bogu.

– Rozumiem. Czy pani syn był w Moskwie?

– Bardzo krótko, ale wrócił jako inny człowiek. Byliśmy za to bardzo wdzięczni.

– Rozumiem. A gdzie pani syn jest teraz?

Micaela znów usłyszała ciężki oddech w słuchawce.

– Pojechał z powrotem do Afganistanu.

– Do Afganistanu talibów?

– Tak – potwierdziła kobieta. – Ale nie miał nic wspólnego z terrorystami. Był bardzo życzliwy ludziom. On szerzył radość.

– Poprzez piłkę nożną?

– Właśnie, między innymi.

– Umarł w Afganistanie? – zapytała Micaela.

– Tak.

– Przepraszam, że dopytuję, ale czy dostali państwo ciało do pogrzebania?

Kobieta nie odpowiadała. Micaela słyszała tylko jej oddech i zastanawiała się, czy to jej przypadnie obowiązek poinformowania matki Kabira, że jej syn wcale nie umarł w Afganistanie, tylko został zamordowany w dalekim Sztokholmie.

– Czy zostało zgłoszone zaginięcie? – zapytała.

– Tak – przyznała kobieta. – Ale zeszłego lata dostaliśmy telefon z ambasady amerykańskiej, że już nie ma nadziei. A jednak chciałoby się... – Nie dokończyła zdania.

– Kto dzwonił do państwa z ambasady?

– Musiałabym porozmawiać z mężem.

Micaela wzięła głęboki oddech.

– Rozumiem, mogę zadzwonić jeszcze raz. Ale czy mogłabym zadać pani jeszcze jedno pytanie?

– Ostatnie.

– Z kim pani syn był blisko w Mirpurze? Kto mógłby wiedzieć coś więcej, dlaczego czuł się niesprawiedliwie potraktowany?

– *Madame* Mariam Bukhari, jego nauczycielka skrzypiec. Kochała go. Jak my wszyscy. On był dobrym człowiekiem. Nie zrobiłby nikomu nic złego.

– Ale czy ktoś tak twierdził?

– Muszę już kończyć.

– Chwileczkę, proszę zaczekać.

Ale kobieta już się rozłączyła, a Micaela uświadomiła sobie, że nie uzyskała stuprocentowej pewności. Powinna była ją zapytać o znamię na udzie Kabira albo wysłać zdjęcie. Nie chciała jednak dzwonić po raz trzeci, zresztą to nie było właściwie potrzebne, pomyślała. Kabir i Hassan Barozai z Mirpuru musieli być jedną i tą samą osobą. O wiele za dużo rzeczy się zgadzało, a to oznaczało... Oczywiście bardzo dużo. To był ogromny przełom, na pewno, poczuła całą sobą, że chce natychmiast iść do Rekkego i wszystko mu opowiedzieć.

Ale nie zdążyła dojść zbyt daleko. Ktoś zadzwonił do drzwi, a Micaela aż podskoczyła przestraszona.

Charles Bruckner siedział w ambasadzie i przysłuchiwał się rozmowie Micaeli. Potem pomyślał: „I tak oto moja przewaga informacyjna rozwiała się jak dym, a przynajmniej znaczna jej część”. Teraz Rekke i Vargas musieli tylko odkryć powiązania między Barozaiem i Gamalem Zakarią. Ale zakładał, że i z tym szybko się uporają. Tego związku nie dałoby się przeoczyć, ale potem – tutaj czuł pewne zażenowanie – jego informacje się wyczerpy-

wały z tego prostego powodu, że istniały takie rzeczy, na które nawet tortury nie dają odpowiedzi.

Barozai od razu, niemal z mściwą satysfakcją, wyznał im wszystko, co wiedział o Zakarii i jego otoczeniu. Ale kiedy mówił o własnych przestępstwach, w jego słowach było coś nienazwanego, czego nawet fizyczne cierpienie nie potrafiło z niego wydobyć. Dlatego Charles nie wiedział, czy to Barozai zastrzelił Latifę Sarwani, ani też w jaki sposób był zaangażowany w wojnę przeciw muzykom, którą talibowie prowadzili z ponurą zaciekłością jesienią 1997 roku.

Ale też z drugiej strony niewiele go to obchodziło, tak samo jak nie obchodziła go ta nieszczęsna matka w Mirpurze. To on do niej zadzwonił i poinformował, że syn nie żyje, „ponieważ znaleźliśmy jego DNA po zamachu terrorystycznym w Kabulu” – z tego powodu nie było żadnego ciała, które można było pochować. Skontaktował się z rodziną w lecie, żeby nie było niepotrzebnych pytań. Jego zadanie polegało przede wszystkim na łataniu dziur i pilnowaniu, żeby informacje nie przeciekały. Dlatego już teraz zebrał grupę, która miała uderzyć w mieszkaniu Rekkego dzisiaj wieczorem albo jutro rano.

Na razie jeszcze czekał, choć to robiło się coraz trudniejsze. Czuł, jakby go paliło w środku, kiedy wyobrażał sobie, że Rekke odkryje coś niespodziewanego, co wywróci stół. Na korytarzu usłyszał kroki, ktoś szedł do niego. Charles wstał i zaczął się zastanawiać, czy powinien opowiedzieć Magnusowi, który właśnie był w drodze do brata, o tej cholernej Vargas. Nie chciał jednak zdradzać, jak bardzo depczą im po piętach. Dlatego wyszedł na korytarz i natknął się na Henry'ego Lamara, który tak samo niecierpliwie jak on czekał, żeby mogli uderzyć.

Micaela słyszała, jak Rekke wita się z kimś. Męski głos powiedział: „Dziękuję. Czy ty piłeś?”.

– Próbuję trochę łagodzić skutki odstawienia – odparł Rekke.

Obaj posługiwali się familiarnym, nieco żartobliwym tonem.

– Masz ze sobą akta Kabira czy zamierzasz opowiadać i na żywo spontanicznie cenzurować? – zapytał Rekke.

Mężczyzna, to musiał być jego brat Magnus, odpowiedział kilkoma słowami, których nie dosłyszała, towarzyszył im sztuczny śmiech. W tym momencie Micaela nieświadomie się poruszyła – może chciała lepiej słyszeć, a może była zniecierpliwiona i za bardzo podekscytowana.

– Masz gościa? – zapytał Magnus.

Na chwilę zapadła cisza, jakby Rekke nie wiedział, co ma powiedzieć, więc dziewczyna pomyślała, że równie dobrze może się ujawnić.

To był błąd. Kiedy przekroczyła próg, od razu popatrzyła na Magnusa Rekkego. Podczas gdy spojrzenie Hansa – dopiero teraz to do niej dotarło – było otwarte i zaciekawione, ze strony jego brata spotkała się z natychmiastowym odrzuceniem. Magnus ledwo zawiesił na niej wzrok, a już uznał, że jest nikim, dlatego mogła przez kilka sekund bezwstydnie mu się przyglądać. Był roslym mężczyzną, o niewątpliwie imponującej posturze, miał małe bystre oczka, pełne wargi i wielki nos, który nadawał mu wygląd niedźwiedzia. Jego wzrok zasysał otoczenie, jakby sprawdzał, co mógłby zagarnąć dla siebie.

– Zamówiłeś sprzątanie?

Hans Rekke otoczył plecy brata ramieniem i chyba nie trwali w tej pozycji zbyt długo, tylko tak się wydawało. W końcu Magnus zaczął nerwowo dotykać szyi i poluźnił krawat. Rekke wskazał zegarek na przegubie dłoni.

– Mój drogi Magnusie, jesteś tu mniej więcej od czterdziestu trzech sekund i już popełniłeś gafę. To jest moja przyjaciółka Micaela – powiedział, wyciągając rękę w jej stronę.

– Przepraszam – rzucił Magnus. – Myślałem...

– Nie ma najmniejszego znaczenia, co myślałeś – ciągnął Rekke. – Proś o wybaczenie i przyznaj, że jesteś gbur.

Magnus wyzwolił się z objęć brata i potrząsnął głową.

– Ojej – jęknął. – Ależ oczywiście, proszę o wybaczenie, naturalnie gbur ze mnie. Niepoprawny. – Uśmiechnął się przy tym do niej, może nieko-

niecznie z poczuciem winy, ale naprawdę starał się być miły. – Przepraszam, zachowałem się jak idiota. – Wyciągnął dłoń do Micaeli. – Byłem tylko zaskoczony pani... – Dotknął dłonią swojego policzka, żeby pokazać, że naprawdę zwrócił uwagę na jej siniaki.

Może nie był to najlepszy sposób przeproszania, ale Micaela się tym nie przejęła.

– W porządku – rzuciła i uścisnęła jego dłoń.

– Czy na pewno? A tak w ogóle to jestem Magnus Rekke, starszy, choć zawsze nieco stłamszony brat.

– Nazywam się Micaela Vargas.

– Bardzo mi miło – powiedział. – Czy mogę zapytać, skąd się znacie?

– Jesteśmy kolegami z pracy – wyjaśnił Rekke.

Micaela poczuła ukłucie radości.

– No proszę. A w jakiej dziedzinie? – pytał dalej Magnus.

– Jestem policjantką – oświadczyła Micaela.

– A więc koleżanka detektyw.

– Mniej więcej – odparł Rekke i wykonał ręką szeroki gest, zapraszając wszystkich, by przeszli do salonu.

W połowie drogi Magnus się zatrzymał, jakby nagle coś sobie przypomniał, i przyjrzał się Micaeli ponownie, tym razem z uśmiechem, nadal przyjaźnie, ale z zauważalną podejrzliwością.

– Czy to nie pani bierze udział w śledztwie w sprawie Kabira? – zapytał.

Po chwili wahania Micaela skinęła głową, na co Magnus wykrzyknął:

– Mój Boże, to wszystko tłumaczy! A więc to pani znów uruchomiła cały ten cyrk!

Rekke przeczesał dłonią włosy.

– Jeśli to jest cyrk, Magnusie, to wy sami go wywołaliście – powiedział, zachęcając ich ruchem dłoni, żeby usiedli na sofie.

Magnus usiadł i potrząsnął głową, spojrzawszy na butelkę wina na stoliku.

– Ciekawie będzie zrozumieć chronologię tego dramatu. Jesteście starymi przyjaciółmi czy właśnie się spotkaliście?

– Właśnie się spotkaliśmy jako starzy przyjaciele – wyjaśnił Rekke. – Ale przejdźmy wreszcie do rzeczy. Co możesz zaserwować z waszych akt?

– Chyba lepiej będzie, jeśli przyjdę jeszcze raz później.

– Ależ skąd. Zamieniamy się w słuch.

Magnus położył sobie dłoń na czole, znów wyraźnie zakłopotany. Zwrócił się do Rekkego:

– Domyśliłem się, że Micaela pracuje nad wyjaśnieniem tego morderstwa i że pracujecie razem, czy co wy tam robicie. Ale przecież wiesz, Hans, że to był deal między nami. Muszę poprosić, żeby Micaela wyszła, kiedy będziemy o tym mówić.

– Bzdury – prychnął Hans. – Mów, kawa na ławę.

– To znaczy, że ona nagle została twoim Watsonem?

– Raczej moim Wergiliuszem. Moim Sancho Pansą. No, dawaj.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Magnus, jakby naprawdę skapitulował.

– Dla porządku zacznijmy od prawdziwego nazwiska Kabira – ciągnął Rekke.

Magnus rozejrzał się niespokojnie dokoła, a jego oczy zdradzały autentyczną niepewność.

– Nie mam żadnego innego nazwiska. Dostaliśmy tylko informacje o podejrzaniach wobec niego i o sieci jego kontaktów.

– Nie wierzę.

– Naprawdę, przysięgam! – wykrzyknął Magnus z nagłym oburzeniem.

Na twarzy Rekkego odmalowała się niepewność, może jednak nie był do końca przekonany, że jego brat kłamie.

– A więc wy sami też zostaliście oszukani.

– Powinienem się tego spodziewać – wymamrotał Magnus. – Ale nie, przysięgam, nie znam żadnego innego nazwiska. Wiem tylko tyle, że był

więzaniem numer dwanaście w Salt Pit, złapany w grudniu dwa tysiące pierwszego, wypuszczony w sierpniu dwa tysiące drugiego roku. Podobno był strauumatyzowany, ale silny, tak mówili. Nie stwierdzono ryzyka tendencji przemocowych, nie był ekstremistą. Porzucił swoje islamistyczne przekonania, uznawano go za ważne źródło informacji. Mówiło się, że może doprowadzić CIA do czołowych przedstawicieli talibów, którzy uciekli przed amerykańską inwazją.

Rekke zdawał się pogrążony w myślach.

– No to będziemy musieli sami się dowiedzieć, jak się nazywał – stwierdził.

Micaela wychyliła się do przodu. Znów poczuła to samo podekscytowanie, co przed chwilą w tamtym pokoju.

– Nazywał się Hassan Barozai, pochodził z Mirpuru w Pakistanie – powiedziała.

Obaj bracia spojrzeli na nią ze zdumieniem. Może dlatego pozwoliła sobie na retoryczną pauzę. Zwróciła uwagę, że Hans nie wyskoczył od razu z jakimś pytaniem, jakby nie chciał psuć tej chwili, która należała tylko do niej.

– Ach tak – rzucił Magnus, teraz lekko zdenerwowany. – Nie są to informacje, którymi dysponowałem.

– Właśnie uzyskałam potwierdzenie od jego matki. Wyjechał z Mirpuru w latach dziewięćdziesiątych, żeby dołączyć do talibów. Wcześniej trenował piłkę nożną, uczył się gry na skrzypcach, studiował w Kabulu pod kierunkiem profesor Drugowej, ale spędził też krótki czas w Konserwatorium Moskiewskim.

Rekke dopił resztkę wina z kieliszka i uśmiechnął się do Micaeli, nieco ukradkiem. Jego spojrzenie wyrażało dumę. Dumny z niej.

– Niech to diabli – skomentował Magnus. – Czy to pewne informacje?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Chyba ich uduszę. Barozai, mówi pani. Pakistańczyk. To nie brzmi nieprawdopodobnie, biorąc pod uwagę jego dialekt. Co jeszcze o nim wiemy?

– Tylko że to nie Micaela miała się dzielić informacjami, a ty – wtrącił Rekke. – Co on miał na sumieniu, że ściągnął na siebie zainteresowanie CIA?

Magnus wyglądał, jakby nie zamierzał się pogodzić z tym, że to on musi odpowiadać na pytania. W końcu powiedział:

– Wydaje mi się, że wasz zespół śledczy dobrze się w tym orientuje.

– Wiemy na pewno tylko tyle, że miał luźne związki z jednym z ministerstw talibów, że prześladował muzyków i niszczył ich instrumenty – wyjaśniła Micaela.

– Właśnie, dokładnie tak, nie tylko zdawał się kochać piłkę nożną, lecz także nienawidził muzyki. Dość racjonalne, mimo wszystko, w swojej purytańskiej perwersji, prawda, Hans? – Magnus znów próbował żartobliwego tonu. – Ale jak mówiłem, pewnie też sami się domyślaliście, to nie czyny Kabira zwróciły na niego uwagę CIA. Powodem były jego związki z mułłą Zakarią.

Rekke wychylił się i złożył ręce, jakby miał się modlić.

– Czy były to bliskie związki?

– Tak, najwyraźniej od dość długiego czasu. Spotkali się właśnie w Pakistanie, o ile dobrze zrozumiałem. Gamal Zakaria to dość interesująca postać. To wcale nie był prosty chłop, który nasłuchiwał się bzdur w wahabickich szkółkach koranicznych. Nie wiem, ile o nim słyszałeś.

– Oświeć mnie, braciszku – powiedział Rekke.

– Egipcjanin, studiował politologię i prawo w Aleksandrii, był trochę podrywaczem, pozostawał pod wpływem zachodniej kultury aż do połowy lat siedemdziesiątych, politycznie po lewej stronie, flirtował z komunizmem, grał w zespole popowym śpiewającym zaangażowane społecznie, krytyczne teksty.

– A więc i on był muzykiem.

– Raczej krzykaczem, jak sądzę. Ale zradykalizował się i już na początku lat osiemdziesiątych brał udział w atakach na Koptów w Kairze. Nie mam pojęcia, czy miał coś wspólnego z zamachem na Sadata. W każdym razie

był jednym z setek aresztowanych i torturowanych i to stało się dla niego wydarzeniem przełomowym. Na torturach osobiście zstąpił do niego prorok Mahomet, jak opowiadał, oraz przypuszczalnie mnóstwo aniołów, z wezwaniem, żeby jechał wypędzać komunistów z Afganistanu i tworzyć islamskie państwo.

– A więc został mudżahedinem?

– Właśnie tak, szybko stał się sprawnym bojownikiem partyzantki, był uznawany za bardzo charyzmatyczną postać, jednoczącą innych. Wyobraźcie sobie: był wysoki na sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów, mocnej budowy, odniósł wiele ran. Miał blizny od odłamków na twarzy, przestrzeloną nogę i ramię. Musiał robić wrażenie. Trochę jak islamistyczny Che Guevara.

– A jednak prawie nie ma jego zdjęć, nieprawdaż? – wtrącił Rekke.

– Właściwie żadnych, poza kilkoma fotografiami złej jakości z młodych lat w Aleksandrii.

– Chyba musieli go sfotografować, kiedy został aresztowany – powiedziała Micaela.

– Tamte zdjęcia zniknęły, zostały wymazane. Ale najciekawszy jest fakt, że od czasu do czasu jeździł do Pakistanu, żeby odzyskać siły. Najwidoczniej spotkał tam Kabira, nawet jeśli okoliczności nie są całkiem jasne, przynajmniej dla mnie.

– Czyli to Zakaria rekrutował go do talibów? – zapytała Micaela.

– Na to wygląda. Zakaria pomagał mu też przy rozgrywkach piłkarskich w Kabulu, bronił go przed tymi wszystkimi, którzy chcieli zakazać futbolu. Ale ich relacja nie była bezproblemowa. Zakaria stawał się coraz bardziej brutalny, zagrzewany do tego przez młode kadry, podczas gdy Kabir raczej był rozdarty i niepewny.

– Jakby równocześnie chciał niszczyć instrumenty i wyciągał po nie rękę – dodał Rekke.

– Być może. I kiedy wylądował w Salt Pit, z ich przyjaźni nic już nie zostało. Kabir wygłaszał najstraszniejsze oskarżenia, opowiadał, że Zakaria

osobiście zabijał kobiety, które klęczały przed nim bezbronne, a nawet czerpał z tego przyjemność. Mówił, że to przez Zakarię tak wielu muzyków zniknęło albo poniosło śmierć w Kabulu w tamtych latach.

Rekke w skupieniu wpatrywał się w Magnusa.

– Czy jedna z tych kobiet nazywała się Latifa Sarwani? – zapytał.

– Niestety nic o tym nie wiem – przyznał jego brat. – Ale jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że zdarzyło się między nimi coś dramatycznego. W Salt Pit Kabir zaczął mówić, że zrobiłby wszystko, żeby tylko udało się Zakarię schwytać i zabić.

– I wtedy CIA połknęła haczyk – dodał Rekke.

– Tak, w końcu tak. Desperacko potrzebowali ułagodzić opinię publiczną skalpem jakiegoś przywódcy, ujrzeni w Kabirze swoją szansę na złapanie Zakarii. Więc wypuścili go z GPS-em i telefonem na podsłuchu.

Rekke kiwał głową i zmrużonymi oczami wpatrywał się w jakiś punkt za fortepianem.

– Dlaczego Kabir nagle wylądował w Szwecji?

– Bo ślady go tutaj doprowadziły. Najpierw był w Abbottabadzie w Pakistanie. Ale po jakimś czasie dostał cynk, że Zakaria uciekł do Szwecji z fałszywym paszportem i ukrywał się gdzieś na południowo-zachodnich przedmieściach Sztokholmu, co potwierdziły służby wywiadowcze. Wtedy CIA postanowiła wysłać tu Kabira.

– A wy go uprzejście przyjęliście i całkiem zręcznie kłamaliście na ich polecenie? – uzupełnił Rekke.

– My...

– A może ty...? – przerwał mu brat.

– Oczywiście poinformowałem Kleebergera, ale szczerze mówiąc, co powinienem był zrobić? Chodziło o ważną operację, Amerykanie na nas naciskali.

– Ale tobie udało się z nimi jakoś dogadać, a nawet załatwić tłuste kontrakty handlowe.

– Naturalnie, przecież nie jestem głupi. Ale teraz, do ciężkiej cholery...

– ...zastanawiasz się, czy oni przed wami czegoś nie ukrywali.

– Właśnie tak, i szlag mnie trafia. Przepluczę gardło, choć nadal upierasz się przy tych włoskich gatunkach – powiedział Magnus. Sięgnął po pusty kieliszek Rekkego, nalał sobie resztkę wina z butelki i wypił łyk.

Potem wszyscy siedzieli w ciszy. Micaela myślała: „Jaka paskudna podwójna gra, co za zdradzieckie bagno”. Przez chwilę była pewna, że powie na ten temat kilka słów, lecz arogancka postawa Magnusa ją zniechęcała, więc zamiast tego odezwała się spokojnie, jakby sama do siebie:

– A jednak Zakaria zginął w Kopenhadze, nie w Sztokholmie.

– Został ostrzeżony i uciekł z kraju w starym volvo. Ale informacje Kabi-
ra były prawdziwe. Spełnił swój obowiązek, zanim los go dosięgnął.

– To musiało być niesłychanie pocieszające – rzucił sarkastycznie Rekke, na co Magnus oświadczył, że musi wracać do pracy, nim to całe draństwo wybuchnie mu prosto w twarz.

TRZYDZIEŚCI DWA

Mirpur, Pakistan 1993

Hassan długo wierzył, że sobie z tym poradzi, że nawet będzie w stanie traktować to jako część swojego życia. „Dorastanie oznacza utratę marzeń” – powiedziała Claire Lumley, kiedy wrócił do Mirpuru. Ale oczywiście nic nie było łatwe ani proste.

Wydarzenia z Moskwy wracały do niego jak dźgnięcie nożem. Czasem wystarczyło, że usłyszał w radiu fragment Brahmsa lub Czajkowskiego albo przeczytał w gazecie, że ktoś z podziwem pisze o jakimś muzyku. Najmniejszy drobiazg potrafił na nowo rozjątrzyć rany i w takich chwilach myślał, że stracił nie tylko szansę kariery jako dyrygent czy skrzypek, lecz także w ogóle zdolność zachwycania się muzyką.

A życie toczyło się dalej. Wrócił nawet do piłki nożnej, teraz jako trener i sędzia. Czasem chodził ze swoim ojcem do meczetu i tam pewnego dnia podszedł do niego rosty mężczyzna z długą brodą. Miał ramię w gipsie i blizny po odłamkach na twarzy. Lekko utykał. Mimo to zrobił na Hassanie ogromne wrażenie, chłopaka zachwycił jego uśmiech. Ten uśmiech sprawiał, że czuł się zauważany. Kiedy podyskutowali już o piłce nożnej – brodaty mężczyzna widział, jak Hassan trenował z młodzikami – bardzo szybko przeszli do kwestii życia i śmierci.

Mężczyzna, który miał na imię Gamal, mówił z pasją i powagą, jakiej Hassan wcześniej nigdy u nikogo nie widział, a jego poglądy niejednokrotnie były ekstremalne. Miał jednak naturalny autorytet, który przypominał mu Jelenę Drugową, mówił cichym głosem, jakby każde słowo było tajemnicą. Często z pewnym namaszczeniem komentował rzeczy, które obserwował wokół siebie. Pewnego dnia w okolicach parku Nangi usłyszeli dźwięki bhangry dobiegające z jakiegoś balkonu.

– Piękne, prawda? – zapytał.

Hassan skinął głową.

– Ale niedługo takie coś będzie zakazane.

– Dlaczego? – zdziwił się Hassan.

– Dlatego, że to odwodzi nas od jedyne go piękna, które coś znaczy – wyjaśnił Gamal.

Wtedy Hassan dość gwałtownie próbował się z nim spierać, ale później te słowa jednak do niego dotarły.

„Istnieje piękno – myślał – które nas tylko wyklucza, rodzi gniew i nienawiść”. Wkrótce potem, kiedy spacerowali w pobliżu jeziora, opowiedział Gamalowi o Latifie. Jak przyglądał się jej grze, jak siedziała w przejrzystej bluzce przy niepościelonym łóżku w Moskwie.

– I wtedy jakby zgubiłem siebie – zakończył.

– Ona ci zawróciła w głowie, to była dziwka – stwierdził Gamal.

I choć Hassan zaprotestował i próbował bronić Latify, te słowa w pewien sposób złagodziły ból towarzyszący tamtym wspomnieniom.

Potem zaczął regularnie wybierać się na przechadzki z Gamalem po pracy w warsztacie Hondy na ulicy Allamy Ikbala.

Martin Falkegren chciał od razu odłożyć słuchawkę. Był wściekły na Brucknera. Nabrał przekonania, że Charles go okłamał w tej całej aferze. A jednak nie potrafił zakończyć rozmowy.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Chciałem przeprosić – powiedział Charles.

Martin nie wierzył mu ani przez moment, choć przyjemnie było to usłyszeć, zwłaszcza teraz, kiedy dotarł do swojego samochodu na parkingu, żeby pojechać do miasta na rozmowę z komendantem głównym.

– To nie wystarczy – obruszył się. – Teraz obedrą mnie ze skóry z waszego powodu.

Charles namyślał się chwilę.

– Nic takiego się nie stanie, Martinie. Będziemy cię wspierać, od teraz to ty pierwszy będziesz otrzymywał wszystkie informacje.

Falkegren otworzył drzwi samochodu.

– To daj mi coś. Pokaż, że faktycznie macie taki zamiar.

– Kabir nazywał się naprawdę Hassan Barozai. Był blisko zaprzyjaźniony z mullą Zakarią. Stanowił część tajnej operacji, udanej operacji.

Martin Falkegren kiwnął głową i uruchomił samochód.

– Przekażę to zespołowi – mruknął.

– Dobrze – powiedział Bruckner. – Potem damy ci jeszcze więcej informacji. Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Martin wyłączył silnik.

– Co takiego? – zapytał.

– Ta dziewczyna, Vargas, którą znów zaangażowaliście. Ona ma brata...

– ...który zajmuje się poważną przestępczością. Myślisz, że tego nie wiemy?

– Rozumiem oczywiście, że się orientujecie – ciągnął Charles. – Ale chciałem tylko powiedzieć, że według naszych informacji wywiadowczych oni są ze sobą bliżej, niż się powszechnie sądzi. W większym lub mniejszym stopniu Lucas Vargas utrzymywał rodzinę przez całe jej życie. Ona musi być świadoma, skąd pochodzą te pieniądze.

Martin znów przekręcił kluczyk i wyjechał na Sundbybergsvägen.

– Do czego zmierzasz? – zapytał.

– Do niczego właściwie. Tylko że taką dziewczynę łatwo może spotkać coś złego.

– Tak, to oczywiście możliwe – przyznał Martin i przyśpieszył, równocześnie ożywiony i zniesmaczony.

Micaela wróciła do pokoju, w którym przedtem pracowała. Znów miała przed oczami ruchy Kabira na boisku piłkarskim. Te gesty wróciły do niej z nową siłą, choć nie wiedziała dlaczego. Ale uderzyło ją, że był w tym pe-

wien paradoks. Jeśli Kabir porzucił muzykę i postrzegał ją jako *haram*, dlaczego jego dawne gesty pojawiały się na boisku? Czy to się działo samo z siebie, czy może sędziowanie meczów stanowiło dla niego namiastkę tego, co utracił?

Na biurku przed nią leżała kartka formatu A4. Rekke napisał na niej kilka linijek, na które wcześniej nie zwróciła uwagi, a teraz z zaciekawieniem próbowała je odczytać. Charakter jego pisma był niestaranny, przypominał raczej stenografię, ale udało jej się odcyfrować słowo *obscuritas*. To też musiała być łacina. *Obscuritas*. Przez chwilę powtarzała to słowo w myślach, a potem wpisała je do wyszukiwarki; oznaczało ciemność, ale też coś mrocznego, tajemniczego, co jest ukryte. Dlaczego on to napisał? Czyżby miał na myśli swój własny mrok, czy raczej... Tutaj jej myśl się urwała.

Micaela zauważyła, że sama też coś zapisała na tej kartce. *Madame Bukhari*, odczytała. *Madame Mariam Bukhari*. To była nauczycielka skrzypiec, o której mówiła tamta kobieta z Mirpuru. Najpierw Micaela siedziała nieruchomo przez minutę lub dwie, a potem znów zadzwoniła na zagraniczną informację telefoniczną.

Mariam Bukhari miała siedemdziesiąt lat, ale wyglądała na pięćdziesiąt, jak jej często mówiono. Była postawna i elegancka, tak myślała o sobie, nawet jeśli wolałaby mieć pełniejsze usta i mniejszy nos.

Jej dzieci mawiały, że chodzi agresywnie jak mężczyzna, jakby zawsze była w drodze na jakieś ważne spotkanie. Czasami ją to raniło, ale przeważnie odbierała to jako komplement. Chciała być szybka, emanować autorytetem, zwłaszcza teraz, kiedy miała coraz mniej pracy, kiedy prawie nikt nie chciał się już uczyć gry na skrzypcach czy wiolonczeli. To były nowe czasy. Lumleyowie wyprowadzili się dawno temu, zachodnia kultura nie była szczególnie ceniona. Ona sama czuła się czasem jak przeżytek, pozostałość z dawnej, zapomnianej epoki.

Dlatego starała się być ciągle aktywna i wynajdywać sobie zajęcia. Teraz stała w kuchni i przygotowywała obiad, słuchając równocześnie *Koncertu skrzypcowego* Mendelssohna i nucąc pod nosem. Zadzwonił telefon. To na

pewno jej siostra. Zwykle rozmawiały po lunchu. Ale ten ktoś telefonował z daleka, na linii było słycać trzaski. Jakaś młoda osoba przedstawiła się jako Vargas i coś jeszcze, powiedziała, że dzwoni ze szwedzkiej policji. Mariam Bukhari poczuła się nieswojo, choć wiedziała, że nie zrobiła niczego, co mogłoby interesować stróżów prawa w kraju czy za granicą.

– Czy mówi pani po angielsku? – zapytała policjantka.

– Tak.

– I była pani nauczycielką gry na skrzypcach?

Nawet to odebrała jako przykrość.

– Jestem nauczycielką gry na skrzypcach – skorygowała.

– A więc dobrze trafiłam. Może to trochę dziwne, że pytam po tak długim czasie, ale czy miała pani ucznia nazwiskiem Hassan Barozai?

Pani Bukhari aż drgnęła. Nagle znów zobaczyła intensywne spojrzenie Hassana.

– O tak! – zawołała. – Był kiedyś moją dumą, ale potem się zmienił. Dlaczego pani pyta?

– Badam okoliczności jego śmierci – oświadczyła kobieta.

Mariam Bukhari znów zadrżała, ale zdecydowała się traktować to jako coś naturalnego. To chyba logiczne, że próbują wyjaśnić, co się stało z tymi, którzy zaginęli podczas wojny. Tylko dlaczego ona dzwoniła ze Szwecji?

– Dlaczego dzwoni pani ze Szwecji?

– Potrzebuję kilku informacji – powiedziała kobieta, jakby nie dosłyszała pytania. – Wspomniała pani, że Hassan się zmienił. Czy może pani coś więcej o nim opowiedzieć?

– Dorastał u Lumleyów, to była jedna z bogatszych angielskich rodzin tu, w mieście. Ojciec, George, pochodził z Londynu, chyba z West Endu, i w młodości był znakomitym skrzypkiem. W latach sześćdziesiątych ożenił się z tutejszą dziewczyną, prawdziwą pięknoscią, a potem się tu przeprowadził, kiedy został przedstawicielem handlowym Hondy.

– Rozumiem – wtrąciła kobieta.

– Choć wydaje mi się, że w gruncie rzeczy wolał być muzykiem. Dużo grał przez całe swoje życie, posyłał córki do mnie na lekcje. Uważałam ich za uroczą rodzinę, choć syn Stephen był trochę łobuzem.

– A Hassan Barozai?

– Był jedynym dzieckiem Hassana seniora i Yaliny, oboje pracowali u Lumleyów. Zajmowali mieszkanie służbowe obok ich willi. Hassan był synem w obu rodzinach, to było oczywiście bardzo miłe. Ale też tworzyło napięcia. Mam wrażenie, że Hassan już jako małe dziecko czuł się rozdarty między dość surowym światem swojego ojca i bardziej liberalnym stylem życia Lumleyów.

– Grał w piłkę.

– Przez cały czas, często na dawnym korcie tenisowym Lumleyów, który Stephen przerobił na boisko. Mógł tam stać godzinami i często myślałam o tym, że Hassan kopał piłkę na dworze, podczas gdy w domu córki Lumleyów grały na skrzypcach. To musiało na niego wpłynąć.

– Gra w piłkę do dźwięków muzyki klasycznej?

– Właśnie. Dziewczynki ćwiczyły przez cały czas, świetnie im wtedy szło, często przesiadywały na tarasie od strony boiska. Nie sądzę, żeby Hassan od początku zwracał na to uwagę. Jak to bywa u chłopców: nic innego ich nie interesuje, kiedy poświęcają się swojemu ulubionemu zajęciu. Ale pewnego dnia zjawił się u mnie i chciał się nauczyć grać, choć nie bardzo wiedział, gdzie góra, a gdzie dół w instrumencie.

– Dobrze mu szło?

Pani Bukhari znów ujrzała go przed sobą: jego poważną twarz i spięte ramiona, oczy, które zwracały się ku niej głodne pochwał.

– Nigdy nie widziałam takiej energii i determinacji – powiedziała. – Już od samego początku grał tak, jakby to była sprawa życia lub śmierci, dlatego też robił szybkie, fantastyczne postępy.

– Pojechał do Kabulu, do szkoły Jeleny Drugowej, tak?

– Tak, mając zaledwie szesnaście lat. Szczerze powiedziawszy, moje umiejętności nie były dla niego wystarczające. Potrzebował bardziej spe-

cialistycznej opieki, a ja miałam kontakt z profesor Drugową. Kiedy opowiedziałam o niej Hassanowi, bardzo się zapalił.

– To musiała być wielka sprawa: pojechać do Kabulu w wieku szesnastu lat.

– To była wielka sprawa. Jego ojciec przeciwstawiał się temu, jak tylko mógł.

– Ale Hassan mimo to chciał jechać?

– Pragnął się rozwijać za wszelką cenę. Był niesłychanie ambitny, a kiedy państwo Lumleyowie postanowili wesprzeć go finansowo, nic nie mogło go już zatrzymać. I jeszcze... prawie bym zapomniała. Profesor Drugowa prowadziła kursy dyrygentury. Sama przedtem dyrygowała i Hassana bardzo to pociągało.

– Spodziewałam się – wtrąciła kobieta.

– Ach tak, doprawdy? Mam wrażenie, że potem ze wszystkich sił starał się to wyprzeć.

– Co się z nim stało?

– To, co dzieje się z wieloma młodymi mężczyznami. Trafił w nieodpowiednie towarzystwo i jego poglądy stawały się coraz bardziej ekstremalne. Widziałam w nim nienawiść, która mnie przerażała, powiem szczerze. Jakby chciał się zemścić na wszystkim, co kiedyś uważał za piękne.

– Jak to się zaczęło?

– Właściwie to nie wiem. Wtedy już dawno straciliśmy kontakt. Można powiedzieć, że moją rolę przejęła Drugowa. Ona była jego nową bohaterką.

– Drugowa wysłała go do Moskwy, prawda?

– Tak, właśnie, i może tam coś się w nim zmieniło. Nie wiem. Domyślam się, że mógł przeżyć rozczarowanie. Ale mimo to...

– Tak? – rzuciła policjantka.

– Najpierw dobrze sobie z tym radził. Spotkałam go zaraz po jego powrocie do domu, kiedy pogodził się z ojcem. Trenował juniorów w klubie piłkarskim. Był pełen energii i wiary w przyszłość. Ale potem spotkał tamtego okropnego mężczyznę.

– Kto to był?

– Gamal, tak się nazywał. Gamal Zakaria.

– Naprawdę?! – wykrzyknęła kobieta z nagłą emocją w głosie.

– Tak. Był Egipcjaninem, potem został jednym z przywódców talibów. Brutalny człowiek, z tego, co słyszałam. Bezlitosny. Czasem się obawiam, że...

– Czego się pani obawia?

– Że Hassan dał się w to wszystko wciągnąć. Pod koniec widziałam w jego oczach mrok. Chwilami zastanawiam się, czy nie wkładał tyle samo energii i zaangażowania w niszczenie, co kiedyś w grę na skrzypcach. Mam nadzieję, że teraz jest u Allacha.

Rekke pożegnał się z bratem i rozmawiał teraz w swoim gabinecie przez telefon z Wiktorem Malikowem, kiedy jego lewa noga znów zaczęła odruchowo podskakiwać. Równocześnie w roztargnieniu szukał czegoś w internecie.

– Ciekawe – stwierdził. – A czy wiecie, co się potem z nim działo?

– Mamy notatkę, że Jelena Drugowa niepokoiła się o Barozaia i miała pretensje do Saszy, że potraktował go zbyt surowo, ale w sumie to wszystko. Zniknął z radarów szkoły.

Rekke pamiętał dłoń Bielińskiego na swoim karku, kiedy sam siedział roztrzęsiony w łóżu w Bernie.

– Czy Sasza naprawę potrafi być taki surowy?

– Trudno mi sobie to wyobrazić – odparł Wiktor. – Ale o ile dobrze zrozumiałem, nikt nie był dla tego chłopaka bardziej surowy niż on sam. Poza tym napotkał raczej grzeczne milczenie.

– To też może być wystarczająco bolesne.

– Ale mimo wszystko nie jest to motyw zabójstwa – stwierdził Wiktor.

Rekke próbował nasłuchiwać odgłosów Micaeli w mieszkaniu.

– Bywają motywy jeszcze dziwniejsze niż ten – powiedział. – Odebrano mu coś ważnego. Pewne drzwi się zamknęły. Nie byłby pierwszym, który

z takiego powodu podpala świat.

– Myślisz może o małym kapralu, który nie dostał się na akademię sztuki w Wiedniu?

– Myślę o tym, co się może potem stać z takim zgorzknieniem. W jaką formę zostaje przekształcone.

– Do czego zmierzasz?

– Zastanawiam się – ciągnął Rekke – czy te emocje nie przeniosły się na religię, która to legitymizowała. Ale masz rację... na razie mamy bardzo słabe podstawy. Czy nie mówiłeś o podejrzeniach Saszy, że Sarwani i Barozai mieli romans?

– To prawda – przyznał Wiktor. – Tak mu się początkowo wydawało. Zanim Barozai zaczął grać.

– Może temu należałoby się przyjrzeć – powiedział Rekke w zamyśleniu.

– A może to jest też coś w rodzaju historii o Mozarcie i Salierim? Barozai mógł uświadomić sobie, że nigdy nie będzie grał tak jak Latifa, i postanowił się zemścić. Tylko nie próbuj opowiadać, że Puszkina to wszystko zmyślił, a Mozart i Salieri w rzeczywistości byli po prostu przyjaciółmi.

– Puszkina wszystko zmyślił, a Mozart i Salieri właściwie byli tylko...

– Ale rozumiesz, co mam na myśli?

Rekke oczywiście rozumiał. Jego myśli już przebiegły tymi torami.

– Rozumiem. Pozdrów Saszę i podziękuj mu ode mnie. Jest moim bohaterem. – Po skończonej rozmowie siedział chwilę nieruchomo, prawie jakby zamarł.

Potem wszedł do internetu i otworzył zdjęcie zwłok Latify Sarwani, które jej ojciec z niezrozumiałych – a może właśnie nie tak całkiem niezrozumiałych – powodów wstawił na jej stronę MySpace. Następnie, nie zwracając uwagi na upływający czas, siedział i wpatrywał się w zdjęcie, które odznaczało się zaskakująco dobrą jakością.

Po pewnym czasie Rekke usłyszał za plecami kroki. To była Micaela, widział w jej oczach, że ona też ma coś do opowiedzenia. Znowu pomyślał

o pociągu pędzącym w tunelu, o stukocie jej kroków, które zbliżały się z drugiej strony.

Kabul, Afganistan 1997

Hassan nigdy nie zapomniał, jakie uwolnienie kryje w sobie szat, ta czarna złość, i cisza, jaka potem następuje. Ale tak samo pamiętał muzykę, która wracała jak fala, kontratak, która czasem pojawiała się w jego gestach, ruchach. To się zaczęło krótko po przejściu Kabulu przez talibów jesienią 1996 roku.

Wybrał się z Gamalem i jego strażą przyboczną do Kharabatu, dzielnicy muzyków w Kabulu, i najpierw był zszokowany nie tyle brutalnością talibów, co raczej ich obojętnością. Siali zniszczenie, jakby to był dla nich nudny obowiązek, praca, którą trzeba wykonać. Długo nie mógł tego znieść. Odczuwał ból, kiedy roztrzaskiwali tambury i surmy o ściany domów i ulice. Ale pewnego razu...

To musiał być grudzień. W zimny i wietrzny dzień poszedł z nimi do domu pewnego mężczyzny w jego wieku, o którym mówiono, że jest pisarzem i pedagogiem muzycznym. Człowiek ten zajmował duże mieszkanie w centrum miasta ze swoją żoną i czworgiem dzieci. Był sikhem, miał wypielegnowaną brodę i czerwony turban. Kiedy otworzył im drzwi, nie widzieli w nim strachu, jak u wielu innych, ani nawet złości, tylko pogardę, demonstracyjną pogardę, która aż przenikała pod skórę. Mieszkanie było piękne, pełne książek i obrazów, w głębi znajdował się pokój, w którym na ścianach wisały sitary, i tam Gamal najpierw skierował swoje kroki. Przez chwilę stał w milczeniu, jakby podziwiał instrumenty. Potem zdjął jeden z nich, najpiękniejszy, z pudłem zdobionym w drobne białe kwiatki, i dał go Hassanowi.

– Rozwał to – powiedział. – Sprawisz radość Bogu.

Dla Hassana to było nadal coś niewyobrażalnego. Ale wtedy znów zobaczył tę pogardę w oczach sikha, usłyszał, jak mówi: „Nie, tylko nie ten, to jest Sharma”, i wtedy coś się zmieniło.

Poczuł, że krew uderza mu do głowy, i zamachnął się sitarem na ścianę, zdumiony złością, jaka temu towarzyszyła. Nie sądził, że miał coś takiego w sobie. Zatracił się w tym wybuchu gniewu, a potem był jeszcze bardziej zaskoczony

brakiem wstydu. Wypełniło go nie poczucie winy, a lekkość, jakby pozbył się jakiegoś ciężaru, i tak to się zaczęło, od sitaru z warsztatu Sharmy z roku 1954.

Potem od czasu do czasu brał udział w tych napaściach. Stało się to w pewien sposób częścią jego życia, oprócz pracy w warsztacie motocyklowym oraz piłki nożnej, i za każdym razem jego opór był coraz mniejszy. Nawet tęsknił za niszczeniem, choć nie był to jego świat. Początkowo atakował muzyków hołdujących innej tradycji, łatwiej też było kryć się za plecami żołnierzy Gamala.

Zupełnie inaczej sprawy wyglądały z dawnymi uczniami szkoły Drugowej. Tu miał większe opory i dopiero po pewnym czasie odważył się do nich zbliżyć. Pewnego wieczoru rok później przechodził z Gamalem obok dawnego pałacu prezydenckiego. To był piękny chłodny wieczór, zaskakująco mało ludzi widziało się na ulicach, choć Gamal jak zwykle w tamtym czasie ciągnął za sobą świętą ochroniarzy i podwładnych. Na chodniku u ich stóp leżał nieżywy pies, jak Hassan sobie później przypomniał, ale Gamal nie zwracał na to uwagi. Wzniósł oczy i pokazał na górę Asamai.

– Tam – powiedział.

– Co takiego?

– Tam na górze, w Demazang mieszka ta twoja dziwka.

– Kto? – zapytał Hassan.

– Wiesz, o kim mówię. Mieszka sama, w grzechu. Mówi się, że grywa po nocach i zawraca ludziom głowy. Będziemy musieli ją odwiedzić.

Hassan – czy też Jamal, jak się teraz zaczął nazywać – zeszywniał.

– Chcecie, żebym z wami poszedł? – zapytał.

Gamal spojrzał na niego z szelmowskim błyskiem w oku.

– Chcę, żebyś na początek mógł spotkać się z nią sam. Daję ci moje przyzwolenie, byś uczynił to, co słuszne. Niech Allah cię błogosławi.

– Nie jestem pewien.

– Nie wahaj się. To twoja szansa. Ale powiedz mi, kiedy będziesz się tam wybierał. Musimy cię chronić przed jej bratem.

Hassan skinął głową i odszedł stamtąd z zaciętą twarzą, a w jego wnętrzu obudziło się coś nowego: pragnienie zemsty. To był 2 kwietnia 1997 roku, miał

jeszcze dwa razy wybrać się na tamtą górę, zanim odważył się podejść bliżej.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Rekke i Micaela rozmawiali o sprawie, kiedy pani Hansson znów przysłała na górę, żeby ugotować obiad.

– Ryba – oświadczyła. Pstrąg alpejski kupiony w Östermalmshallen, podany w sosie z białego wina z purée selerowym. – Hans nie je mięsa – dodała. – On żyje według zasady, że można niszczyć siebie, ale nie klimat.

Zażenowany Hans kręcił się na krześle i mruczał, że najgorsze w autodestrukcji jest to, że i tak ostatecznie powoduje inne problemy. Potem wołał pomilczeć i zapaść w swój trans, więc Micaela mogła trochę złagodzić swoje wyrzuty sumienia, że pozwala się obsługiwać, i pomogła pani Hansson w przygotowaniach. Równocześnie zastanawiała się, czy Rekke w ogóle zauważył, że znów kobiety koło niego skaczą.

– Przepyszne – powiedziała Micaela znad talerza do pani Hansson, która właśnie szła do siebie.

– Przepyszne – powtórzył Hans, jakby nie miał pojęcia, co mówi.

Micaela rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Czy ty wiesz w ogóle, co jesz? – zapytała.

Spojrzał na nią trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– Słucham? Tak, do pewnego stopnia.

– Ale tak naprawdę masz tylko ciągle pod ręką te swoje frazy, prawda? One pojawiają się automatycznie, jak odruch. „Dziękuję, proszę o wybaczenie, przepyszne, wspaniale”.

Rekke popatrzył na nią ubawiony.

– Interesujące spostrzeżenie, i oczywiście masz rację. To trochę jak tik, czyż nie? Kiedy jest się rozpuszczanym przez całe życie. Ale ty, z drugiej

strony... – Teraz patrzył z widoczną koncentracją. – Musiałaś obsługiwać, prawda? Miałaś rozpuszczonych braci i ciągle musiałyś rozładowywać konflikty.

Micaela drgnęła.

– Po co to mówisz?

– Bo widzę to w twojej szybkości, efektywności ruchów, twoim podświadomym oglądaniu się do tyłu. W domu przejmowałaś większą część obowiązków, czyż nie tak było?

– Matka też dużo robiła – powiedziała defensywnie Micaela.

Rekke nie skomentował tego, może przez delikatność, a może po prostu znów zajął się innymi myślami. Ale oczywiście miał rację. Na mamę nie miała co liczyć po śmierci ojca, a Lucas uznawał, że prace domowe go nie dotyczą.

– Czy myślisz o Latifie Sarwani? – zapytała Micaela.

Znów skierował na nią wzrok.

– Chyba raczej o tobie – odparł.

Poczuła się z tym trochę nieswojo, ale musiała zapytać:

– W jakim sensie?

– Obawiam się, że zostało nam mało czasu, i martwi mnie, że cię w to wszystko wciągnąłem. Boję się, że oni są bardziej zdesperowani, niż mógłbym sobie wyobrazić.

– Mówisz o CIA?

Potwierdził kiwnięciem głowy.

– Zrobię wszystko, co tylko mogę, żeby im się zrewanżować – powiedział.

– Wszystko będzie dobrze – spróbowała go pocieszyć.

– Mam taką nadzieję. Dobrze się składa, że dotarliśmy już tak daleko. Może nawet zobaczyliśmy samo libretto? – Rekke starał się mówić bardziej lekkim tonem.

Micaela odłożyła sztucę.

– I jak ono wygląda?

– Otóż spróbujmy nadać mu strukturę trzyaktową: pewien altowiolista z ogromnymi ambicjami doświadcza krachu swoich marzeń w Moskwie. Wraca do rodzinnego miasta w Pakistanie i zaprzyjaźnia się z Gamalem, który później zostaje mułłą Zakarią w Kabulu. Nasz bohater zaczyna nowe życie pod nowym nazwiskiem. Swoją miłość do muzyki przekształca w coś całkiem innego, skutecznie wmawia sobie, że to, co uważał za zawiść i gorycz, jest w gruncie rzeczy gniewem Boga, i w tym strasznym złudzeniu popełnia przerażającą zbrodnię.

– Ale... – próbowała się wtrącić Micaela.

– Może to nieco uproszczone, jest jeszcze trochę rzeczy, które odstają, zakłócają dramaturgię.

– Co na przykład?

– Sędziował mecze piłkarskie, jakby nadal chciał dyrygować muzykami, jak zauważyłaś. Trudno mi też uwierzyć, że miałby te blizny na palcach, gdyby tak wcześniej przestał grać.

– A więc sugerujesz, że jednak nie porzucił całkiem muzyki?

– Przede wszystkim zastanawiam się, czy to on zabił Latifę Sarwani. Czy miał w sobie tyle nienawiści.

Micaela zamyśliła się nad tymi słowami.

– Ale najpierw powinniśmy ustalić, kto się na nim zemścił.

– Tak, powinniśmy – przyznał Rekke, po czym znów się zatrząsł, bezskutecznie walcząc z objawami abstynencji, co zirytowało Micaelę.

„Weź te swoje cholerne dragi – chciała krzyknąć – żebyś wreszcie mógł rozwiązać tę sprawę, zamiast siedzieć tu i pieprzyć o librettach!”. Ale zamiast tego wstała i sprzątnęła talerze ze stołu, na pewno tak efektywnie, jak Rekke przedtem opisał. Zastanawiała się przy tym, czy on zamierza pomóc.

Profesor nie ruszył się jednak z miejsca, więc Micaela wyszła z kuchni i postanowiła zająć się rzeczą, która nie dawała jej spokoju przez ostatnie

godziny. Chodziło o ojca Latify Sarwani, Mohammada, który był najwyraźniej administratorem fanpage'a córki w internecie.

Urodzony w 1925 roku Mohammad Sarwani był ginekologiem, nadal pracował w swoim zawodzie w klinice w Kolonii. Na zdjęciu, które znalazła w sieci, miał małe przyjazne oczy i wzbudzający zaufanie delikatny uśmiech, pozbawiony zarozumiałości. Jego ramiona były wąskie i spadziście, a włosy ciemne i przerzedzone. Właściwie nie było w nim nic szczególnego ani rzucającego się w oczy, ale Micaela nie mogła przestać się zastanawiać, czy jego wygląd mógłby pasować do rysopisu starszego mężczyzny, który przeszedł obok boiska po meczu.

To nie było stuprocentowe trafienie, staruszka ze stadionu Grimsta określano jako niepozornego i niepewnego, a ten opis zdawał się stać w sprzeczności z dyskretnym autorytetem, jakim Sarwani emanował na zdjęciu. W każdym razie warto było to sprawdzić, dlatego wybrała numer Niklasa Jensena, ojca jednego z graczy, który widział przechodzącego starszego mężczyznę w zielonej kurtce.

Niklas zareagował z pewną niechęcią, tak samo jak przy ostatnim spotkaniu.

– Siedzisz przy komputerze? – zapytała.

Nie siedział, ale mógł podejść do komputera, „jeśli to było konieczne”. Kiedy już to zrobił, zaczął narzekać, że sprzęt nie działa zbyt dobrze. „Czasem muszę brać go na pych – powiedział – jak stary samochód”. Następnie Micaela czekała prawie dziesięć minut, aż udało mu się otworzyć link, który mu wysłała.

– No i? – zapytała.

Niklas nie odzywał się przez chwilę.

– Nie – powiedział wreszcie. – To nie on.

– Jesteś pewien? – dopytywała Micaela.

– Nie da się być pewnym czegoś, co było tak dawno temu – odparł.

– Ale jeśli popatrzyysz na ramiona, włosy, może oczy, to wygląda na całkiem podobnego do człowieka, którego opisałeś.

- Niewykluczone.
- I gdyby do tego jeszcze utykał...
- To mógłby go przypominać, tak sędzę.

Więcej nie udało się ustalić. Wróciła do kuchni, gdzie Rekke siedział w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła.

- Musimy zadzwonić do ojca Latify Sarwani – oznajmiła.

Rekke nie odpowiedział, był pogrążony w zupełnie innych myślach. Zastanawiał się nad samym sposobem zabójstwa: śmierć przez ukamienowanie, jak w starych kodeksach Abrahamowych. Jakby morderstwo było równocześnie aktem religijnym, uroczystym, i czynem popełnionym w zaślepieniu i szale. Czego tu nie rozumiał?

- Słucham?
- Musimy się dowiedzieć, czy Mohammad Sarwani utyka – oświadczyła Micaela.

Popatrzył na nią z nagłą niepewnością, jakby cała jej postać przypominała mu o wszystkim, co powinien zrobić. Wymamrotał: „Ach tak, musimy?“, a równocześnie po raz setny spróbował sobie przypomnieć, czy gdzieś w mieszkaniu nie znalazłby kilku tabletek morfiny.

Kabul, 4 kwietnia 1997

Zaczął sobie uświadamiać, że niszczenie instrumentów dawało mu satysfakcję, która coraz szybciej mijała. Jak piłka, którą się wpychało do czarnej wody, a ona zawsze wyskakiwała na powierzchnię. Postanowił już nie chodzić do Latify. Zdecydował, że zostawi ją w spokoju, i opowiedział o tym Gamalowi.

- Służenie islamowi nigdy nie było łatwe – odparł mufla. – Ale na koniec zostaniemy po tysiącokroć wynagrodzeni.

Hassan udał wtedy, że się z tym zgadza. Lecz wyznał też, z niezwykłą otwartością, że czuł się mały i przegrany, kiedy szedł na górę do jej domu. Jakby powracał tamten czas w Moskwie.

- Zwalcz to – poradził Gamal. – Idź tam dziś wieczorem. Może i ja przyjdę.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a tuż przed wyjściem Hassan dostał pistolet, stary radziecki TT, tylko dla bezpieczeństwa, jak powiedział Gamal. Chłopak przyjął broń z wahaniem i włożył do swojej nylonowej torby. Potem poszedł, myśląc, że jednak powinien zdobyć się na odwagę, teraz, kiedy czasy się zmieniły. Choć nadal się wahał, czuł się na przemian silny i słaby.

Tego samego wieczoru sędziował mecz między dwiema drużynami juniorów, Maiwand i Ordu, na stadionie Ghazi. Trybuny były puste. Stadion wyglądał jak nawiedzone miejsce. Ale murawa była zadbane, linie świeżo namalowane. Farba jeszcze nie wyschła w słońcu. Nie było żadnych śmieci po bokach, żadnych łusek po nabojach czy plam krwi w punkcie karnym, gdzie w każde piątkowe popołudnie ustawiano skazanych, by ich rozstrzelać lub okaleczyć. Choć te wszystkie zabiegi nie pomagały zbyt wiele. Zabici dalej tam byli, obecni jako duchy czy zjawy, i Hassan pocił się bardziej niż zwykle. Czasem podczas meczu myślał o Latifie i wtedy w jego skroniach tętniła złość. Niekiedy zaś wydawało mu się, że z boiska wydobywa się muzyka, utwory Sibeliusa, Brahmsa i Mendelssohna, które potem przenikały do jego ramion i gestów.

Gdy odgwiżdżał koniec meczu, słońce grzało go w kark. W drodze ze stadionu widział żebraków na ulicach i zaczął się obawiać, że sam też cuchnie. Był mokry od potu, nie pomogła zmiana ubrań po meczu. Jego piran tunban nasiąkł wilgocią wydzielaną przez ciało. Powachlował się i przyśpieszył kroku. Dzielnica Demazang leżała na południowym stoku góry Asamai. Nie zdjął korków, żeby łatwiej mu było wchodzić stromymi drogami.

Był zdziwiony, że mieszkała w tym miejscu. Kiedy pierwszy raz o niej usłyszał, opisywano ją jako dziewczynę z dobrego domu z Wazir Akbar Khan. Przypuszczał, że od tamtego czasu jej rodzina miała ciężkie życie.

Przez chwilę towarzyszyła mu grupka chłopców, młodszych nastolatków, którzy chcieli, żeby zorganizował dla nich mecz. Pozbył się ich machnięciem ręki i zaczął iść pod górę, napotykając tu i ówdzie ruiny z czasów wojny. Czasem miał kobiety w burkach albo osły ciągnące wózki.

Kiedy był już blisko, ukrył się za opuszczoną szopą i umieścił broń za pasem pod tunbanem. Pistolet uwierał go w biodro i kilka razy zastanawiał się, czy nie odłożyć go z powrotem do torby. Ale zostawił za pasem. Zaraz potem znów zo-

baczył ten dom i łan żółtych kwiatów, który rozpościerał się przed werandą na parterze. Budynek był jednym z najnowocześniejszych w okolicy, z ogrodem otoczonym płotem i małą zieloną wieżą. Hassan rozejrzał się dokoła. Wszędzie kręcili się ludzie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Kiedy był tu za pierwszym razem, widział przez moment jej ojca, starego lekarza. Gamal obiecał mu, że teraz ani ojca, ani brata Taisira tu nie będzie. Ale trudno było to zagwarantować. Czy nie przyszedł za wcześnie? Popatrzył na zegarek. Była dziesiąta wieczorem. Gamal doradził mu, żeby przyszedł koło północy, kiedy sąsiedzi już będą spali. Latifa o tej porze podobno często siedziała w kuchni, spoglądając na dolinę.

Postanowił jeszcze chwilę pospacerować. Przechadzał się niespokojnie tam i z powrotem, a muzyka coraz natarczywiej pchała mu się do głowy, pogłębiając jego nerwowość. Kiedy wrócił kilka godzin później, w okolicy już pogasty światła, więc odważył się podejść pod jej kuchenne okno. We wnętrzu domu paliła się lampa, pomyślał, że mógłby po prostu zapukać. Ale został przy oknie, choć kilka razy chciał zawrócić i zejść do miasta. Zrobił w końcu parę kroków bliżej i zauważył w środku jakiś ruch. Zastony się rozsunęły.

Gdy ją zobaczył, niemal doznał szoku. Stała w oknie z odsłoniętą twarzą i patrzyła prosto na niego. Uświadomił sobie, że bardzo schudła, miała podkrążone oczy, była krucha jak ptak. Ale jej spojrzenie robiło takie samo wrażenie jak przedtem i od razu poczuł się onieśmielony i niepewny. Może Latifa to zauważyła, bo już nie była wystraszona. Uchyliła okno. Jej wargi się poruszyły.

– Co? – zapytał.

– Ja cię znam.

– Widzieliśmy się kiedyś – powiedział i dotknął swojej długiej brody, żeby mogła sobie wyobrazić, jak wyglądał bez niej.

– Gdzie?

– W Moskwie.

Jej twarz się zmieniła. Otworzyła szeroko usta, jakby w zdumieniu czy szoku.

– Nie może być – wyrzuciła z siebie. – To ty?

– To ja – przyznał i poczuł się idiotycznie.

– Wróciłeś czy mieszkałeś tu przez cały czas?

Nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, ale przypuszczalnie coś w jego mowie ciała ją zaniepokoiło, bo odniósł wrażenie, jakby chciała zamknąć okno i zniknąć w głębi domu.

– Nie! – krzyknął.

Zawahała się, ale nie zdjęła ręki z okna.

– Czy powinnam się bać? – zapytała.

– Chcę pomóc – powiedział i prawie sam w to uwierzył.

Dziewczyna zrobiła krok do tyłu.

– Nie odchodź – poprosił.

– Czego chcesz? – W jej głosie był lęk, choć nie tylko.

– Ja... – zaczął i urwał. Czuł, że nie potrafi spojrzeć jej w oczy.

– Co?

– Ja tylko chciałbym znów usłyszeć, jak grasz – powiedział, zaskoczony własnymi słowami.

Popatrzyła na niego niepewnym, bezradnym wzrokiem, a wtedy wróciła mu pewność siebie.

– Mam kontakty. Znam... – Uznał, że nie powinien jednak wspominać imienia Gamala. – Mogę ci pomóc.

– Jestem chora, a żaden szpital nie przyjmuje kobiet.

– Zrobię wszystko, co się da – zapewnił.

Dziewczyna namyślała się przez chwilę.

– Podobało ci się, kiedy grałam w swoim pokoju w konserwatorium, prawda?

– Myślałem, że... – zaczął, ale nie udało mu się dokończyć zdania.

– Pamiętam twoje łzy – ciągnęła Latifa.

Na to też nie miał dobrej odpowiedzi.

– Chcę tylko usłyszeć – powiedział wreszcie. Chciał jeszcze dodać „ostatni raz”, ale zrozumiał, że to nie zabrzmie dobrze.

Była za dziesięć ósma wieczorem. Rekke siedział w swoim gabinecie wpatrzony w zdjęcie martwego ciała Latify Sarwani, które jej ojciec opubliko-

wał w internecie. Zdjęcie miało znakomitą ostrość, jakby było zrobione przez profesjonalnego fotografa. Cała ta ponura scena przyciągała go nieodparcie, przez chwilę wydawało mu się, że widzi dwa ciała na piwnicznej podłodze: Latify i jej zniszczonych skrzypiec.

Leżeli obok siebie, oboje martwi, każde na swój sposób, na zielonych deskach, które nie sięgały do samej ściany. Część podłogi stanowiło klepisko i kiedy Rekke już nie miał siły wpatrywać się w wychudzone ciało Latify i ranę postrzałową w głowie, zaczął przyglądać się udeptanej ziemi. Była mocno ubita, a jednak wydało mu się, że i tam widzi pewne ślady, może białą plamkę, mały pasek. Nie był pewien, więc wyciągnął z szuflady biurka lupę. Niewiele to pomogło. Oddychał za mocno i szkło zaraz pokryło się parą.

– Cholera! – zaklął i wyszedł do salonu. Usiadł przy fortepianie, ale nie był w stanie zagrać ani jednego dźwięku. „To nie do zniesienia na dłuższą metę, tak fatalnie się czuć” – pomyślał. To niegodne, niemądre.

– Zrób coś – powiedział głośno do siebie. – Jesteś żaloszny. – Potem wziął do ręki telefon i odszedł w głąb mieszkania, żeby Micaela go nie słyszała.

– Freddie Nilsson – odezwał się głos w słuchawce.

– Mówi Hans.

– Słyszę. Ty sapiesz.

– Nie sędzę, żeby tak było. Ale potrzebuję trochę tego i owego.

Freddie Nilsson milczał przez krótką chwilę, a Rekke poczuł, jak bardzo nie cierpi rozmów z nim.

– Powinieneś mieć taki zapas, że wystarczy na długo i jeszcze zostanie – powiedział Freddie.

– Wyrzuciłem wszystko. Chciałem być wolny i czysty.

– Ale teraz już nie chcesz?

– Chcę być w twoich rękach, amen.

– I naprawdę żadnej poprawy? Coś musiało się stać, skoro wyrzuciłeś cały towar.

– Miałem przyływ optymizmu. Można powiedzieć, że spotkałem anioła. Ale daj już spokój z tym przesłuchaniem, łobuzie. Przeleję ci na konto, ile chcesz.

– Jasna sprawa – rzucił Freddie i przygotował się do notowania.

Micaela rozmawiała z Jonaszem Beijerem o Mohammadzie Sarwanim i jego synu Taisirze. Miała poczucie, że daje o wiele więcej, niż otrzymuje w rewanżu, i zapagnęła porozmawiać z Rekkem. Ale on wyszedł, nawet nie powiedział „cześć” ani się nie wytłumaczył. Błądziła potem po jego mieszkaniu, wertując od niechcienia jakieś książki.

Czasem myślała o swoim ojcu. Bardziej niż przedtem czuła, że wraz z jego śmiercią zniknął cały tamten świat, jakby Lucas, przejmując rządy w domu, chciał zatrzeć ślady po tym, co było. Choć może zawodziła ją pamięć, zresztą teraz to już nie miało żadnego znaczenia. Co było, to było, a ona musi teraz znaleźć swoją drogę.

Była za dwadzieścia dziesiąta, kiedy jej rozmyślania zostały przerwane. Rekke wrócił i wyglądał, jakby czuł się lepiej. Nie był już tak napięty, od razu powiedział, że Micaela oczywiście miała rację. Absolutnie powinni sprawdzić, czy Mohammad Sarwani kuleje jak tamten starszy mężczyzna ze stadionu Grimsta.

– Jutro rano lecimy do Kolonii – zapowiedział Rekke.

– Co? – Micaela nie mogła pojąć, skąd to nagłe zdecydowanie.

– Czy nie mówiłaś przedtem, że powinniśmy działać szybciej?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tak mówiłam, to prawda. Ale Jonas Beijer chce najpierw odczekać i dostać zgodę na założenie podsłuchu, zanim zbliżymy się do Sarwaniego.

Rekke niecierpliwie potrząsnął głową.

– Nie mamy na to czasu.

Micaela pomyślała, że chce działać, zanim CIA spróbuje mu przeszkodzić.

– Moi koledzy nie będą zachwyceni, kiedy tak po prostu pojedę sobie do Niemiec, zanim na dobre zaczęłam – stwierdziła z powątpiewaniem.

– Jest mi oczywiście bardzo przykro z tego powodu.

– Ale nie jestem pewna, czy aż tak bardzo mnie to w tej chwili obchodzi – dokończyła Micaela.

Rekke rozpromienił się i wyciągnął do niej rękę, ale zaraz ją cofnął.

– Choć przez grzeczność chyba powinniśmy uprzedzić starego doktora, że się do niego wybieramy.

– Możesz też go dyskretnie wypytać, czy nie kuleje.

– Tak zrobię – stwierdził, po czym wyszedł z pokoju.

Za chwilę Micaelę dobiegły niespokojne dźwięki fortepianu, jako intro, akompaniament do rozmowy. Potem upłynęło jeszcze kilka minut i usłyszała jego słowa.

– Nazywam się Hans Rekke. Woli pan mówić po angielsku czy niemiecku?

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Mohammad Sarwani był wdowcem i uchodźcą, stracił córkę, którą kochał nad życie. Ale nie był sam. Miał syna, dwoje wnucząt i cały krąg afgańskich emigrantów, którzy traktowali jego dom jako punkt spotkań. Zbliżał się do osiemdziesiątki i nadal pracował w swoim zawodzie.

Czasem, kiedy miał lepszy nastrój, chodził dumnie wyprostowany. Stał po stronie sprawiedliwości. Potrafił zachować godność i nie zamierzał tego żałować nawet teraz, kiedy Darman Dirani zadzwonił i opowiedział mu, że niejaki profesor Rekke się do niego odezwał i stawiał natarczywe pytania.

Mohammad oczywiście uspokajał Darmana, mówił, że minęło już za dużo czasu i na pewno nie mają żadnych dowodów. Ale potem zapytał o tego profesora swojego kolegę, lekarza z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Informacje, które usłyszał, były zarówno dobre, jak i złe. Dobre, ponieważ Rekke został wydalony i był uważany za niestabilnego psychicznie, a złe, gdyż uchodził za mitycznego rozwiązywacza problemów policji w San Francisco.

Sarwani wyłączył telewizor, który właśnie nadawał wiadomości. Pokazali materiał o Afganistanie, reportaż o przemocy wobec kobiet, która znów się nasilała przed pierwszymi wolnymi wyborami w kraju, zaplanowanymi na jesień. Nie było końca nieszczęściom w jego ojczyźnie. Wstał i dotknął zdjęcia Latify na stoliku. Córka patrzyła na niego wyzywająco, w lewej ręce trzymała swoje skrzypce.

– To też jakoś załatwię – powiedział do niej.

Dokładnie w tym momencie odezwał się telefon i trochę go wystraszył. Udało mu się jednak zachować fason, choć dzwoniącym był właśnie profesor Rekke.

– Woli pan mówić po angielsku czy niemiecku? – zapytał tamten zaraz po prezentacji, choć musiał wiedzieć, że Mohammad dorastał w brytyjskiej kolonii w Kabulu.

– Po angielsku – oświadczył ojciec Latify.

– Znakomicie – ucieszył się profesor. – Przepraszam, że pana niepokoję o tak późnej porze.

Mohammad coraz bardziej odzyskiwał pewność siebie.

– Rozmowy ze sławnymi profesorami to tylko przyjemność dla takiego starego człowieka jak ja.

– Pięknie powiedziane. Muszę się więc zrewanżować i powiedzieć, że byłem głęboko wzruszony po wysłuchaniu *Koncertu skrzypcowego* Brucha w wykonaniu pańskiej córki. Zachwycające.

– Grała tak, że anioły płakały, nieprawdaż?

– Czy ma pan więcej nagrań?

– To jedno z moich wielu zmartwień. Talibowie zniszczyli pozostałe nośniki dźwięku. Ale dzięki miłosierdziu Allacha słyszę jej grę cały czas w swojej głowie. Ta muzyka była tak piękna, że nic jej nie zabije. Nawet czas.

– Piękno ma zdumiewającą siłę przetrwania. Mam nadzieję, że jej oprawcy ponieśli straszną karę.

– Jestem o tym przekonany. Bóg widzi i sędzi. Chociaż... to takie okropne, czyż nie? Niektórzy ludzie są zbyt piękni, by mogli żyć. Wszystkie małe, nędzne dusze zmawiają się, żeby ich dopaść.

– Tak, niestety – przyznał Rekke. – Czasem tak bywa.

– Zawieść i pochlebstwo, taka jest natura człowieka – ciągnął Sarwani.

– To prawda, choć nie tylko, nie sądzi pan? Jest też wiele innych cech. Na przykład u takich osób jak pan, doktorze Sarwani.

– Jestem człowiekiem pokory.

– W to nie wątpię.

– Pan sam był wybitnym pianistą, nieprawdaż, profesorze Rekke?

– Był taki czas, kiedy miałem pewne ambicje. Teraz moja praca jest bardziej prozaiczna. Pomagam wyjaśnić zabójstwo pewnego mężczyzny w Sztokholmie, nazywał się Jamal Kabir.

– Ach tak. Coś o tym słyszałem. – Co miał innego powiedzieć? Spojrzał pytająco na zdjęcie córki na stoliku i czekał na kolejną wypowiedź Rekkego. Ale profesor nic nie mówił, co go zaniepokoiło. Dla pewności on też milczał i to był oczywiście błąd, zwłaszcza że mijające sekundy dłużyły się jak minuty.

– Czy pan tam jest? – zapytał wreszcie.

– Tak, przepraszam – odezwał się Rekke. – Zamyśliłem się na moment. Na czym stanęliśmy?

– Mówił pan o mężczyźnie, którego zamordowano w Sztokholmie.

– Właśnie, tak. Został zabity uderzeniem kamienia w leśnym zagajniku, zaraz po meczu piłkarskim, jak pan może wie.

Co miał na to powiedzieć? Co miał powiedzieć?

– Co za brutalność.

– To prawda. Ale pana nic nie boli, doktorze?

Mohammad poczuł się nieswojo.

– Absolutnie nie. Dlaczego pan pyta?

– Z grzeczności. Słyszałem, że miał pan problemy z nogą.

Mohammad rzucił nerwowe spojrzenie na swoje szczupłe uda.

– Miałem tylko nieudaną operację kolana. Ale już jest lepiej.

– To mnie cieszy – powiedział Rekke i znów umilkł na chwilę, po czym dodał: – Jutro rano lecę z moją współpracownicą do Kolonii.

– Słucham?

– Byłby to dla nas zaszczyt spotkać się z panem, doktorze Sarwani. Wydaje mi się, że zdążymy przed lunchem.

– To ja będę zaszczycony. Wprawdzie mój dom zawsze stoi otworem dla przyjaciół i nieznajomych, ale mimo to chciałbym wiedzieć, w jakiej sprawie się państwo do mnie wybierają?

Rekke nie odpowiadał przez moment, a wtedy Mohammad zrozumiał: profesor wiedział, że on wie.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pańskiej córce i o tym morderstwie w Sztokholmie.

– Nic nie jest mi miłsze niż rozmowy o Latifie. Ale o sprawie ze Sztokholmu nic nie wiem.

– Myślę, że pan się nie docenia – odparł Rekke. – Choć dobrze by było, gdybyśmy też zaprosili Darmana Diraniego. Na pewno pomoże nam lepiej sobie wszystko przypomnieć.

– Dlaczego mamy go zapraszać?

– Czyż nie będzie miło, kiedy zbierze się nas więcej?

– Tego nie wiem.

– Ale przede wszystkim zapraszamy pańskiego syna Taisira.

Mohammad poczuł nagły przyływ gniewu, było to w pewien sposób uwalniające.

– To brzmi, jakby to pan był gospodarzem, nie ja.

Rekke znów nie odpowiedział od razu.

– Bardzo mi przykro, to oczywiste naruszenie etykiety. Ale niestety to leży w naturze śledztwa: kiedy trzeba wyjaśnić morderstwo, zasady grzeczności są na drugim planie. Miło będzie spotkać się z panem.

Po rozmowie, kiedy serce wciąż mu waliło w piersiach, zwrócił się do zdjęcia na stoliku.

– Nie obawiaj się, kochanie, to nic takiego – powiedział.

Tym razem Latifa zdawała się mówić: „Czy na pewno, tato? Czy jesteś pewien?”.

– Nigdy w życiu nie pozwolę im lecieć do Kolonii!

Jonas Beijer zamknął się w łazience i odsunął słuchawkę od ucha – niech sobie Carl Fransson krzyczy, ile tylko chce. I tak nie mógł nic osiągnąć. Jonas sam próbował powstrzymać ten wyjazd. Ale Rekke znalazł jakieś doj-

ście ponad ich głowami i zarezerwował lot do Kolonii o 9.20 jutrzejszego ranka dla siebie i Vargas.

– Falkegren już wyraził zgodę – powiedział.

– A co ta kanalia ma tu do gadania? – prychnął Fransson i było to oczywiście uzasadnione pytanie.

Nie rozumiał, dlaczego Falkegren chciał, aby Rekke znów zajmował się tą sprawą. Poza tym jego głos brzmiał trochę dziwnie przez telefon. Prawie jakby myślał, że donikąd nie pojadą. „Pozwólmy im spróbować” – stwierdził. „Może im się uda”.

– Nie wiem – przyznał Jonas. – Coś mi się tu nie podoba. Ale może on tylko chce się zrewanżować? To by nawet pasowało.

– Dlaczego by miało pasować?

– Nie tylko dlatego, że Mohammad Sarwani może być tym staruszkim widzianym w Grimsta, ale jego syn Taisir...

– No co z nim?

– ...był skazany w Niemczech za ciężkie pobicie. Najwyraźniej niezły z niego zabijaka. Ma też węza wytatuowanego na szyi, to może pasować do tego, co Costa widział na Gulddragargränd.

Fransson przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– No dobra, niech będzie – powiedział w końcu. – Niech lecą. Ale potem ja to przejmuję, mam nadzieję, że to jest jasne dla ciebie. Czy poinformowaliśmy niemiecką policję?

Jonas mruknął, że tak, choć myślał już zupełnie o czymś innym. Tak naprawdę obchodziło go tylko to, że Micaela wyjeżdża z profesorem sam na sam i że Falkegren tak tajemniczo się wypowiadał przez telefon, jakby już wiedział, jak się ta podróż potoczy.

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

Tego popołudnia Latifa wypuściła swoje kanarki, stosując się do nowych reguł podawanych przez Radio Szariat. Ale Jupiter i Wenus nie chciały wolności. Sie-

działy tylko na parapecie, sparaliżowane, zagubione, jakby tęskniły za powrotem do klatki. W końcu przepędziła je i zamknęła okno.

– Umrzecie – mruknęła do siebie. – Wszyscy umrzemy.

Potem siedziała dalej w kuchni, przygnębiona, i nieważne, jak bardzo jej ojciec i Taisir nalegali, żeby coś zjadła, nie chciała jeść, a jeszcze mniejszą ochotę miała na wysłuchiwanie ich pocieszeń.

– Jestem zbyt chora, żeby uciekać – powiedziała. – Zostawcie mnie w spokoju.

Ale oni nie chcieli zostawić jej w spokoju. Nigdy. Często nawet u niej pomieszkiwali. Wykańczali ją.

Wszystko ją wykańczało: izolacja, bezczynność, tęsknota, depresja. Niczego już nie chciała, absolutnie niczego, dużo czasu minęło, odkąd wymykała się do piwnicy, żeby grać, bo i tak nikt nie słuchał, nikogo to nie obchodziło.

– Idźcie już – mówiła wiele razy – idźcie.

Koło jedenastej wieczorem tata i Taisir w końcu się zebrali i poszli, bo Taisir dowiedział się, że dzisiaj w nocy nic się nie zdarzy – ten idiota miał swoje kontakty z talibami i czasem był prawie tak samo głupi jak tamci.

Teraz siedziała w kuchni, patrząc w przestrzeń pustym spojrzeniem, i zastanawiała się, czy Wenus i Jupiter były tak samo sparaliżowane i ponure jak ona. Podeszła do okna, nie tyle w nadziei zobaczenia kanarków, ile po to, żeby jak zwykle popatrzeć w dół na miasto i dziwić się, że wszystko jest takie ciche i martwe. Właśnie wtedy go zobaczyła: mężczyzna w jej wieku, ubrany w biały piran tunban i brązowy pakol na głowie. I jak wszyscy mężczyźni ostatnio – nawet jej ojciec – miał brodę opadającą na piersi.

Nie widziała go zbyt dobrze w ciemnościach, zwłaszcza że lewe oko miała słabsze. Ale na pewno wpatrywał się w jej kuchenne okno. Było w jego postawie coś błagalnego, załęknionego, co przypomniało Latifie czasy, kiedy mężczyźni naprawdę odczuwali niepokój w jej towarzystwie.

Czy powinna go zapytać, co tu robi? Absolutnie nie. Powinna iść do sypialni i zgasić światło. Powinna zaalarmować swojego brata. A jednak nie zrobiła niczego, tylko nadal tkwiła w kuchni, w pewien sposób zafascynowana, może na-

wet podekscytowana, jakby wreszcie coś się miało w jej życiu zdarzyć. Było to oczywiście niemądre, takie myślenie życzeniowe, reakcja mózgu umęczonego brakiem jakichkolwiek bodźców. Powiedziała nawet sama do siebie:

– Uciekaj, schowaj się.

Ale przeciwnie, Latifa się pokazała. Mężczyzna podszedł bliżej i wtedy poczuła, że reaguje nie tylko na jego zalęknioną postawę. Wydawał się jej dziwnie znajomy, tylko skąd? Nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że muzyka, która na tak długi czas ucichła, właśnie wróciła.

Zdawało jej się, że słyszy swoje własne pociągnięcia smyczka. Była coraz bardziej poruszona i choć równocześnie ciągle słyszała wewnętrzny głos: „Nie rób tego!”, w końcu otworzyła okno. Mężczyzna drgnął zaskoczony, a ona pomyślała: „Niech będzie, co ma być, niech zobaczy moją zakazaną twarz”. A potem jakby zapomniała o wszystkim. Zrozumiała, kim on jest, i wręcz nie mogła w to uwierzyć. To był ten chłopak, o którym czasem myślała, nie tak często, ale czasami, kiedy próbowała przywołać dawne dobre lata, gdy wzbudzała w innych tak wiele uczuć. Teraz z trudem rozumiała, co do niej mówił.

Chciał usłyszeć jej grę, ale to było oczywiście nie do pomyślenia. Nic o nim nie wiedziała, nawet wtedy, w tamtych latach, a tym bardziej teraz. Choć mimo wszystko wydawało jej się, że widzi w jego oczach tęsknotę. Mógł być tym, czego jej tak brakowało, publicznością inną niż jej ojciec, nieustannie z niepokojem nasłuchujący kroków.

– Dobrze, wejdź – powiedziała.

Zareagował jak uczeń, który nie liczył na zaproszenie.

„I to dobrze – pomyślała wtedy – musi być dobrze”. „On mnie przecież podziwiał, to on płakał w Moskwie. Mam nad nim przewagę”. Zarzuciła szal na głowę, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to był jego zapach. Cuchnął potem, nie podobał jej się też jego ton, kiedy zapytał:

– Masz nadal skrzypce?

„Nigdy ich nie znajdziesz – chciała powiedzieć – nigdy”. A mimo to skinęła głową. Pomyślała, że nie może go zabrać do piwnicy, nie teraz, nie później, nigdy, to była pomyłka. „Wzywaj pomocy” – mówiła sobie w duchu. Ale nie, na to

było już za późno. Wpuściła obcego mężczyznę w środku nocy. Musi z tego sama wybrnąć. Musi jak najszybciej przywrócić coś w rodzaju normalności.

– Ty sam też grasz? – zapytała.

– Już nie – odparł krótko i z zaciętą twarzą.

– Czy ty nie mieszkałeś w Pakistanie?

– Wróciłem – powiedział.

„Dlaczego skrzypek wraca do kraju, w którym muzyka została zakazana?” – pomyślała zdumiona.

– Dlaczego... – zaczęła.

– Zrobiło się cicho – rzucił.

– Rozumiem – przyznała, nie wiedząc do końca, czy mówią o tym samym.

– Ale ostatnio znów zacząłem słyszeć muzykę. Wraca fragmentami. – Patrzył gdzieś obok niej.

Wydawało się jej, że widzi drżenie jego ramion.

– To chyba dobrze – powiedziała.

– Bardzo chciałbym znów usłyszeć, jak grasz. Myślę, że to mogłoby mnie trochę uleczyć.

Latifa ruszyła, jakby już nie sterowała swoimi krokami, w stronę pokoju gościnnego, gdzie ustawiła białą drewnianą sofę, żeby zamaskować zejście do piwnicy.

Micaela obudziła się wcześniej. Leżała w tym samym pokoju, w którym wczoraj wieczorem pracowała, jej wzrok padł na regał z książkami po lewej stronie. To było dość niezwykle uczucie nocować w tym mieszkaniu, a jeszcze dziwniejsze wydawało się podróżowanie z Rekkem. Nie zdążyła kupić nic na zmianę, ale Julia pożyczyła jej trochę bielizny i kilka bluzek, które na szczęście nie były zbyt obcisłe. Za oknem padał deszcz. Niebo było ciemne.

Na klatce schodowej rozległy się kroki. „To musi być pani Hansson” – pomyślała Micaela, a potem uświadomiła sobie, że idzie kilka osób, więc wstała i wciągnęła na siebie dzinsy i bluzę. Było dziesięć po szóstej. Mieli jeszcze dość czasu, zanim będą musieli się zbierać na Arlandę, i Micaela

nie wiedziała, czy Rekke już wstał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś zastukał twardo i zdecydowanie, a ona zawołała w głąb mieszkania:

– Hans, otworzysz?

Nie otrzymała odpowiedzi, więc kiedy pukanie rozległo się ponownie, sama podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza. Na klatce schodowej stało trzech mężczyzn, wszyscy w garniturach, jeden z nich był niskim Latynosem o rozbieganym spojrzeniu. Zawołała jeszcze raz:

– Rekke!

Nadal nie słyszała żadnego odgłosu. Wyjęła komórkę i odkryła, że nie ma zasięgu. Zaniepokoiła się na dobre i zaczęła się wycofywać spod drzwi, gdy w końcu za jej plecami rozległy się kroki i słowa:

– Przepraszam, ja otworzę.

Rekke szedł w jej stronę, świeżo ogolony, wykąpany. Miał na sobie szare spodnie od garnituru, jasnobłękitną koszulę i nieco staroświecką kamizelkę.

– Przykro mi, Micaelo – wymamrotał, po czym wpuścił obcych mężczyzn, którzy natychmiast ustawili się tak, że zablokowali wyjście.

Coś w ich wyglądzie, zwłaszcza u dwóch młodszych z tej trójki, sugerowało, że nie zawahają się przed użyciem siły. Rekke tymczasem był niezwykle wręcz wyluzowany. Rozłożył ramiona i uśmiechnął się szeroko.

– Charles! – zawołał. – Jak miło. Stęskniłem się za tobą.

Mężczyzna w średnim wieku, z brązowymi oczami i starannie przystryżoną brodą odpowiedział przyjaznym tonem:

– Ja też, Hans. Przykro mi, że wpadamy tak wcześnie.

– Ależ wprost przeciwnie, przychodzicie w samą porę na śniadanie. Ale przepraszam, co za niezręczność, nie przywitałem się z twoimi kolegami. Hans Rekke. – Wyciągnął rękę po kolei do tamtych dwóch, którzy przedstawili się jako José Martin i Henry Lamar. – Co za niespodzianka – mówił dalej – pozwólcie, że przedstawię moją przyjaciółkę i współpracowniczkę, Micaelę Vargas. Pierwszorzędna policjantka, ale to już zapewne wiecie.

Micaela przywitała się ze wszystkimi, równocześnie wyczuwając, że odbywa się tu cicha prezentacja siły, dlatego przybrała ten chłodny, zaczepny wyraz twarzy, którego w dzieciństwie nauczyła się od Lucasa.

– Pijecie kawę czy herbatę? – zapytał Rekke.

– Nie sędzę, żeby... – zaczął ten, który przedstawił się jako Henry.

– Nie? Pewnie jesteście zagonieni, jak się domyślam. Henry, pan wybaczy pytanie, ale pańskie prawe ramię... Jestem zafascynowany. Był pan oszczepnikiem czy miotaczem? Chyba raczej oszczepnikiem, prawda? Jak długo pan trenował?

Henry patrzył na niego zdezorientowany.

– Skąd pan wiedział...? – wyjąkał, ale dość szybko odzyskał fason. Jak gdyby nagle przypomniał sobie, przed kim stoi. – Miałem dwadzieścia jeden lat, gdy skończyłem.

– Miał pan wybitne osiągnięcia, prawda?

– Czwarte miejsce w mistrzostwach Ameryki.

– Imponujące. Ale co za pech z tym uszkodzeniem stawu ramiennego. Tego nie da się wyleczyć do końca, czyż nie? No dobrze, wchodźcie wszyscy. A! Przepraszam, José, pan też się zajmował sportem. Futbol amerykański, nieprawdaż? Choć oczywiście był pan bardziej intelektualistą. Odejście od katolicyzmu to dobra decyzja. Ale to kosztuje, czyż nie?

– Nie rozumiem...

– Pański łańcuszek. Zapewne odczepienie krzyżyka wymagało użycia siły, prawda? Haczyk jest wygięty i trochę wytarty u dołu, zresztą umiem przecież rozpoznać zsekularyzowanego brata, kiedy go spotykam. Ale nie stójcie tak, panowie, proszę dalej.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Charles, uśmiechał się dyskretnie, jakby popis Rekkego był jedynie zabawny. Ale kiedy Micaela przyjrzała mu się bliżej, zauważyła, że jest czujny jak przed walką czy pojedynkiem. Cały czas ukradkiem rozglądał się po mieszkaniu, jakby czegoś szukał.

– Hans, stary przyjacielu, na pewno wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

– O tak – przyznał Rekke. – Nie chcecie, żebym poleciał do Kolonii.

Charles skinął głową z wyrazem pewnego smutku, równocześnie José i Henry podeszli krok bliżej w stronę Rekkego.

– Niestety, prawo jest po naszej stronie, przecież wiesz o tym, Hans – ciągnął Charles. – Musimy zabrać też panią, *miss Vargas*. Ale tylko przejściowo oczywiście.

– Obawiam się, że ona ma inne plany. Ale przecież rozmawialiśmy o sporcie, nieprawdaż? – podjął wątek Rekke i uśmiechnął się zachęcająco do Joségo i Henry’ego, którzy stali teraz tuż przy nim.

– Ty mówiłeś o sporcie – rzucił Charles.

– To prawda, oczywiście – zgodził się Hans. – Ja tylko gadam, a ty jak zwykle myślisz o ważniejszych rzeczach. Pozostańmy jednak przy tym temacie. Domyślam się, że na dole przy bramie jest jeszcze dwóch waszych ludzi, dobrze mówię?

– Może tak – odparł Charles.

– Mądrze – przyznał Hans. – Bo moja koleżanka Micaela jest niesłychanie szybka i wybuchowa. Czasem słyszę jej kroki jak werbel w mojej głowie.

– Ach tak – rzucił niepewnie Charles.

– A ja sam, paradoksalnie, a może wskutek mojej nieustannej neurozy, fizycznie jestem w całkiem niezłej formie, a moją dyscypliną sportu, też o tym wiesz, drogi Charlesie, jest karate. Właściwie wołałem boks, ale mama uznała, że to zbyt barbarzyńskie. Karate stało się więc naszym kompromisem. Mamie podobał się ten ukłon na początku. Najpierw uprzejmy gest, a potem bach, bach. W pewien sposób była to też jej metoda działania. – Tu Rekke wykonał gest, który wyglądał raczej jak wstęp do tańca niż atak, ale mimo to sprawił, że Henry i José drgnęli nerwowo i wsunęli dłonie pod marynarki.

Byli uzbrojeni, jasne. Micaela spojrzała zdumiona na profesora. Co on, do cholery, wprawiał? Czyżby zamierzał się z nimi bić?

– No proszę – mówił dalej z uśmiechem. – Mam teraz trochę więcej informacji. Nie dość szybki refleks, nieprawdaż, Henry? A panu, José, grozi,

obawiam się, kręczę karku. Lewa strona jest trochę sztywna, na pana miejscu poświęciłbym jej więcej uwagi.

Charles pokręcił głową i zaśmiał się albo prychnął, trudno było to określić.

– Karate. Czy to jest twoja strategia?

Rekke zrobił szybki krok do tyłu, w stronę kuchni.

– Widzę w tej chwili siedem albo osiem wariantów, które mogłyby być skuteczne, jak sądzę. Ale przede wszystkim chciałbym wskazać na wasze ograniczone możliwości działania w tej sprawie. Moja znajomość sztuk walki jest tu głównie ilustracją, nieco dziecinną postacią waszych problemów.

Charles rozejrzał się zaniepokojony po mieszkaniu.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Wczoraj wieczorem wymknąłem się na chwilę i wykonałem kilka telefonów z aparatu, do którego nie macie chyba dostępu. Tak więc mogę przekazać pozdrowienia od Maureen Hamilton z „The Washington Post”.

– Ożeż kurwa! – powiedział Henry i podszedł krok bliżej.

– Spokojnie, tylko spokojnie. Nie pisałem ani słowa o tym, co wiem. Dotrzymuję swoich umów. Ale zasięgnąłem języka. Teraz wiem więcej na temat tego, co wyciekło i zostanie opublikowane. „The New Yorker” i CBS mają obszerną dokumentację dotyczącą tortur i poniżania ludzi w waszym więzieniu w Bagdadzie, trudno będzie wam utrzymać, że *exitus acta probat*. Wygląda na to, że były to głównie wybryki młodzieńczego sadyzmu znudzonych żołnierzy, i oczywiście zarówno „The Post”, jak i „The Times” robią wszystko, żeby się pod to podłączyć. Czy to naprawdę dobrze by wyglądało, gdybyście mnie aresztowali tuż przed taką publikacją?

Charles wzruszył ramionami i wydał teatralne westchnienie.

– My prowadzimy własne kalkulacje ryzyka.

– Naturalnie – przyznał Hans – i ja je dobrze znam. Ale chciałem tylko dodać jeszcze jedno. Otóż mam, jak każdy w dzisiejszych czasach, adwokatów, i u jednego z nich, a jest to dość nieuchwytna, tajemnicza postać, zde-

ponowałem część wiedzy, którą zdobyłem podczas pracy dla was. Wszystkie informacje są traktowane z najwyższą dyskrecją, ma się rozumieć. Ale jest kilka warunków, między innymi taki, że muszę polecieć do Kolonii, tak jak było zaplanowane.

– Do diabła, Hans.

Rekke spojrział na zegarek.

– Tak, w rzeczy samej. Trzeba grać kartami, jakie się ma, nieprawdaż?

– To niczego nie zmienia – rzucił Charles, nagle ostrzejszym tonem.

– Nie? – zdumiał się Rekke. – W takim razie jeszcze nie skończyłem. Gdyż, szczerze mówiąc, uważam, że to moja koleżanka powinna was najbardziej martwić.

– A to z jakiego powodu? – zapytał Charles, rzucając Micaeli podejrzliwe spojrzenie.

– Bo należy do policyjnego zespołu dochodzeniowo-śledczego, który właśnie stoi przed przełomem, i sama myśl o tym, że moglibyście próbować im przeszkodzić, wygląda bardzo źle, czy nie mam racji? Zwłaszcza że przełożony Micaeli, nieszczęsny komendant Falkegren, zataił przed śledczymi informacje, ponieważ był zmanipulowany przez ciebie, mój drogi Charlesie.

W spojrzeniu Brucknera pojawił się pewien niepokój, niemal agresja.

– Skąd ci takie rzeczy przyszły do głowy? – prychnął.

– Wczoraj wieczorem spotkałem się też ze swoim bratem. Magnus opowiadał, że Falkegren i ty biegacie razem po Djurgården i dzielicie się tajemnicami.

Charles wykonał gest, jakby chciał kogoś udusić, najprawdopodobniej właśnie Magnusa.

– No właśnie – ciągnął Rekke. – Magnus jest beznadziejny. Nigdy nie wiadomo, po której stronie stoi. Ale naprawdę jesteś pewien, Charles, że nie chcecie zostać na śniadaniu? Chętnie przedyskutowałbym ten przedziwny pomysł rozwiązania irackiej armii, bo na pewno wiecie, jak wielu żołnierzy dołączyło do nowej grupy terrorystów. Oni mają nawet jakąś na-

zwę, jest długa i skomplikowana, nie pamiętam dobrze. Ale jestem przekonany, że wkrótce znajdą coś bardziej efektownego. Może jakiś skrót.

Charles Bruckner wziął głęboki oddech, jakby się poddawał, na co Rekke uśmiechnął się melancholijnie i poszedł do kuchni. Micaela i Charles zostali w przedpokoju. Spoglądali na siebie z wzajemną nieufnością. Micaela pomyślała przez moment: „Ten drań chce mnie skrzywdzić, szuka moich słabych punktów”, ale potem otrząsnęła się z tych myśli i też poszła do kuchni.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

„Chciałbym znów usłyszeć, jak grasz” – powiedział. Czy to z tego powodu był tutaj? Nie rozumiał tego. Wiedział jedynie, że jest wzburzony, chciał krzyknąć: „Zakryj twarz, kobieto!”. Może chciał ją też uderzyć. Zgasić to przenikliwe światło w jej oczach. A jednak tylko się uśmiechnął i skinął głową, jakby dla podkreślenia swoich słów.

Latifa poszła w głąb domu. Znów widział zarys łopatek na jej plecach – wyglądała jak sama skóra i kości. Nie rozumiejąc dlaczego, wyciągnął rękę, która niemal ją musnęła. Kiedy Latifa się odwróciła, zaraz cofnął dłoń.

– Czy powinnam się bać? – zapytała.

Hassan poczuł ciężar pistoletu u pasa.

– Nie – powiedział.

Dziewczyna oddychała ciężko.

– Mówiłeś, że chcesz być uleczony?

– Chcę tylko posłuchać.

Skinęła z powagą głową i poprosiła go, żeby pomógł jej odsunąć na bok białą sofę, co też uczynił. Na podłodze, w miejscu gdzie przedtem stała sofa, zobaczył klapę z zardzewiałym uchwytem.

– Czy tam na dole masz skrzypce?

Nie odpowiedziała. Wyjęła tylko latarkę z szafki obok, wskazała uchwyt, prosząc go, żeby otworzył klapę i zszedł pierwszy. Wtedy Hassan się zaniepokoił. Czyżby to ona miała oszukać jego? Może słyszała, co robił z instrumentami innych muzyków. Może chciała się zemścić i zamknąć go tam na dole. „Nie, nigdy by się nie odważyła” – uznał w końcu. Otworzył klapę. Uderzył go zapach ziemi

i wilgoci. Kiedy Latifa poświeciła latarką na stopnie, zaczął schodzić w mrok. Poczł powracający gniew, chęć niszczenia, by uwolnić się od tego, co o wiele za mocno pulsowało w jego piersi.

Micaela i Rekke szli w stronę kontroli bezpieczeństwa w terminalu 5 na Arlandzie. Mieli coraz mniej czasu. Wizyta Amerykanów trwała trochę za długo, a w drodze na lotnisko zatrzymali się, żeby kupić karty do telefonów. Rekke nadal był spokojniejszy niż ostatnio, ani razu nie skrzyżował ramion na piersi, jak to często robił przez cały wczorajszy dzień.

Micaela rozmawiała przez telefon z Jonaszem Beijerem, trochę zaskoczona, że zespół tak po prostu pozwala im wyjechać, zwłaszcza że Jonas sprawiał wrażenie zaniepokojonego. „Uważaj na siebie” – powiedział, nawet powtórzył to dwa albo trzy razy.

Do kontroli ustawiała się długa kolejka, ale ku jej zdumieniu przeszli przed wszystkimi do wejścia po lewej stronie. Dopiero po chwili zrozumiała, że to dlatego, że lecą business class. Za jej plecami stał młody mężczyzna z wyrazem arogancji i wyższości w oczach i gapił się na jej tyłek. Drażniło ją to spojrzenie.

Wzięła szary pojemnik, włożyła do niego torbę, którą pożyczył jej Rekke, i umieściła na taśmie. Zamierzała już dołożyć portfel, telefon i kurtkę, kiedy strażnik rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. Na pewno zauważył, że Micaela nie pasuje do tej części kolejki. I może to jego nieufny wzrok, a może ogólne rozdrażnienie sprawiły, że przypomniała sobie oczy Charlesa Brucknera, które zdawały się jej źle życzyć. Zanim zdążyła pomyśleć, szybko wyciągnęła z pojemnika torbę, która już miała wjeżdżać na prześwietlenie.

Ruch był zaskakująco gwałtowny, popchnęła przy tym niechcący stojącego z tyłu aroganckiego faceta, na chwilę w kolejce zapanowały chaos i kłótnie. Strażnik, który na nią popatrzył, podszedł bliżej. Właściwie nie było w tym nic podejrzanego, mogła po prostu zapomnieć coś wyjąć jako osoba niepozbitrana i nerwowa. A jednak poczuła strach, jakby jej ciało pierwsze uświadomiło sobie zagrożenie. Wtedy ocknął się także Rekke. Przepisnął

się przez tłum do Micaeli, żeby jej pomóc. Strażnik z kontroli wezwał kolegę, który szybko do nich podbiegł.

Ludzie się odsunęli, tak że Rekke stał teraz sam z jej torbą, i w tym momencie Micaela przypomniała sobie kroki Brucknera kierujące się gdzieś w głąb mieszkania, kiedy ona poszła do kuchni. Otaczał ją pomrukujący tłum i przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyciągnąć legitymacji policyjnej i nie rozładować sytuacji, ale pomyślała, że to mogłoby tylko pogorszyć sprawę. Stała więc nieporuszona, podczas gdy Rekke zwrócił się z uśmiechem zażenowania do mężczyzny, który właśnie do niego podszedł.

– Jak to dobrze – powiedział. – Akurat potrzebujemy zorientowanej osoby. Moja żona zaniepokoiła się, co będzie z naszymi rolkami filmu. Czy rentgen może je zniszczyć?

– Muszę pana poprosić o otwarcie torby – rzucił tamten, a Rekke rozpromienił się, jakby to był wyjątkowo wspaniały pomysł.

– Ależ oczywiście – powiedział. – W dzisiejszych czasach nigdy dość ostrożności. – Schylił się, postawił torbę na podłodze i otworzył ją szybkim ruchem. Potem podniósł ją, ale równocześnie potknął się i niezdarnie upadł na taśmę. Wyglądało to w równym stopniu komicznie, co dramatycznie. Zrobił ruch ręką, jakby się mocno uderzył. Otaczający ich ludzie żywo komentowali tę scenę. Rekke uśmiechnął się zawstydzony i przeprosił. Potem zwrócił się do funkcjonariusza ochrony:

– Proszę bardzo, jak pan widzi, nie spakowaliśmy tak dużo.

Micaela była pewna, że nie tylko przeczeszą całą torbę, lecz wezmą go także na kontrolę osobistą. Jego zachowanie było bez wątpienia podejrzane. Jednak emanował przy tym tak zaskakującym autorytetem, że strażnicy tylko niepewnie pokiwali głowami i podeszli do torby. Rekke cofnął się o krok, stanął przy Micaeli, zniemacka pocałował ją w policzek i powiedział:

– Jak to dobrze, że uważałaś, kochanie.

Normalnie już samo to na pewno wprowadziłoby ją w stan szoku. Ale szybko o tym zapomniała, bo poczuła ruch jego ręki i zrozumiała, że włożył jej coś do kieszeni kurtki. Przez kilka sekund zastanawiała się spanikowana,

co ma teraz zrobić. Wykonała krok do tyłu, a w tym momencie młodszy ze strażników zawołał:

– Tu nie ma żadnych rolek z filmem!

– To dziwne. W takim razie przepraszamy za to całe zamieszanie. Czyż nie jest cudownie mieć małego kotka?

Mężczyzna spojrział zdumiony na Rekkego, z trudem przestawiając się na inny temat. W końcu wyjąkał:

– Tak, ale skąd pan o tym wie?

– Z tych drobnych zadrapań na pana rękach – odparł Rekke, po czym dodał jeszcze kilka słów o łapkach kociąt, a Micaela postanowiła działać.

Zaczęła iść, przekonana, że zaraz za nią ruszą. Czowała ich wzrok na karku, kiedy szła prosto przed siebie, nie mając pojęcia dokąd.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Micaela słyszała kroki za plecami i tylko czekała, aż jakaś dłoń spocznie na jej ramieniu. Ale nikt nie podszedł, zaczęła więc desperacko szukać miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Dwadzieścia metrów dalej zobaczyła szyld toalety. Popędziła tam, zamknęła się w kabinie i włożyła rękę do kieszeni kurtki.

Jej dłoń zacisnęła się na małej plastikowej torebce. Wyjęła ją i powąchała. To była kokaina, bez wątpienia. Drżącymi rękami wysypała zawartość torebki do ubikacji, przyglądając się, jak biały proszek opada na dno, a w głowie miała gonitwę myśli. Potem nerwowo obejrzała plastikowe opakowanie. W środku były jeszcze drobinki i choć starała się wysypać wszystko, nadal widziała ślady kokainy. Dlatego wrzuciła też do sedesu samą torebkę i spuściła wodę. Ale plastik ciągle unosił się na powierzchni, więc spróbowała jeszcze raz, potem kolejny. Nagle ktoś szarpnął za klamkę kabiny. Zamknęła na chwilę oczy, przygotowana na to, że tamci zaraz wyłamią drzwi.

Tymczasem usłyszała jedynie przekleństwo po drugiej stronie. Postarała się uspokoić oddech i poczekała, aż w zbiorniku spłuczki zbierze się więcej wody. Spróbowała jeszcze raz i teraz jej się udało – mała plastikowa torebka spłynęła do kanalizacji. Otworzyła drzwi i wyszła. Zobaczyła, że Rekke nadal stoi przy bramce kontroli bezpieczeństwa i rozmawia z pracownikami. Kiedy się pojawiła, przerwał rozmowę i uśmiechnął się, jakby to był drobny zabawny incydent. Przeszli przez kontrolę, wzięli swoje torby z taśmą i poszli w kierunku sklepu wolnocłowego.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Powinienem był się domyślić.

Micaela nie odpowiedziała od razu.

– Jak oni mogli upaść tak nisko, do cholery – prychnęła wreszcie.

– Nie wiem – przyznał Rekke. – Ale sędzę, że... – Jego palce lekko musnęły jej dłoń. Uśmiechnął się ostrożnie.

– Że co? – zapytała.

– Że cię nie docenili. Skąd wiedziałaś?

Micaela wzięła z półki pastę do zębów.

– Ze spojrzenia Brucknera, kiedy poszedłeś do kuchni. Wyglądał jak ktoś, kto ma paskudny plan, ale przede wszystkim poznałam to po jego oczach, kiedy wychodził. Sprawiał wrażenie dziwnie zadowolonego.

– Właśnie – przyznał Rekke. – Wcale nie był taki zrezygnowany, jak bym się spodziewał. Też o tym myślałem. Ale nie miałem dość fantazji, żeby pomyśleć, że mógł podrzucić coś do twojej torby. Jak na to wpadłaś?

Micaela popatrzyła mu w oczy.

– Nie wiem, czy to zrozumiesz.

– Daj mi szansę.

Zwlekąła chwilę, przyglądając się, jak swobodnie Rekke zmierza w kierunku kas.

– Ty nawet nie zauważasz, z jakim szacunkiem spotykasz się wszędzie, podczas gdy ja zawsze mam poczucie, że mogę zostać na czymś przyłapana. Noszę to w sobie, odkąd byłam mała. Dostajesz to w pakiecie, kiedy jesteś ciapatym z Husby.

Rekke wpatrywał się w nią intensywnie.

– I to wyostrzyło twoje spojrzenie.

– Tak przypuszczam.

– To cenna umiejętność, choć drogo okupiona. Jestem... – Objął ją.

– Co?

– Pod wrażeniem.

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

Patrzyła, jak schodzi do piwnicy. Oświetlała latarką jego nogi i stopy w korkach, które ostrożnie stawiał na stopniach, po jednym na raz, i myślała: „to jest złe, to

szaleństwo”. Może pomieszczenie na dole wyglądało jak cela w lochu lub jak grobowiec, ale to była jej święta przestrzeń, jedyne schronienie, jakie miała przez te wszystkie dni niepokoju i zamknięcia, kiedy upływ czasu przejawiał się tylko w tym, że stawała się jeszcze chudsza i bledsza, ataki zaś powracały coraz częściej. Przesiadywała często w piwnicy, nie tylko grała na skrzypcach czy je pielęgnowała, lecz także czytała swoje książki, których część też tam ukryła.

Ale teraz on schodził do tego miejsca, ten, którego nigdy nie poznała, ale który przez pewien czas na nią działał, bo czuła, że ten chłopak odbiera każdy dźwięk, jaki wydobywała ze skrzypiec, z większą wrażliwością niż jakakolwiek znana jej osoba. Co miała zrobić?

Spojrzała na miasto i góry. Wszędzie było ciemno i pusto. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda, śpiewy modlitewne umilkły. We wszystkich domach światła były pogaszone, tylko gdzieś dalej widziała dym wzbijający się w niebo. Zdążyła pomyśleć, że to musi być oznaka jakiejś katastrofy, kiedy usłyszała z dołu jego głos.

– Zejdiesz?

„Uciekaj – pomyślała – biegnij do Taisira albo do ojca”.

– Już idę – odpowiedziała. I zrozumiała, że to nie było jedynie szaleństwo, ona po prostu chciała grać. Ryzyko i zagrożenie tylko potęgowały jej tęsknotę za skrzypcami.

Zeszła więc na dół, a tam jeszcze wyraźniej poczuła odór jego potu, który mieszał się z zapachem ziemi i wilgoci. Bez wahania podniosła jedną z desek podłogi i wyjęła futerał ze swoim gagliano. Otworzyła pudło i nerwowo pogładziła skrzypce dłonią.

– Muszę nałożyć tłumik – oznajmiła. – Nie chcę, żeby ktoś usłyszał.

– Nie ma potrzeby – odparł. – Ale może powinnaś je nastroić.

– Zrobię to – powiedziała.

Zaczęła stroić instrument, ale szło bardzo wolno. Jej dłonie drżały, a ponieważ odłożyła latarkę, nie widziała już jego twarzy. Mogła jedynie domyślać się jego nastroju po oddechu i głosie. Mężczyzna bez wątpienia był spięty, jak przed jakąś uroczystą chwilą. Nie potrafiła tylko rozpoznać, czy to było coś dobrego,

czy złego. Wiedziała jedno: coś ją pchało na scenę, jakby miała dać koncert życia.

Taksówka się zatrzymała i wysiedli. Micaela rozejrzała się po okolicy. Byli w dzielnicy Lindenthal w Kolonii. Mohammad Sarwani mieszkał w białej kamienicy czynszowej tuż obok parku z długimi alejami. Na parterze budynku mieściła się indyjska restauracja. Było wpół do pierwszej, kiedy weszli w milczeniu na drugie piętro i zadzwonili do drzwi.

Po upływie kilku sekund otworzył im niski, zgarbiony i łysiejący mężczyzna z przymrużonymi oczami. Kiedy popatrzył na nich, zrozumieli, dlaczego tylu świadków go zignorowało. Sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie skrzywdzić nawet muchy. Jego ramiona i nogi były szczupłe, spojrzenie życzliwe i zaciekawione. Lecz w przeciwieństwie do tego, jak opisywali go widzowie ze stadionu Grimsta, teraz budził respekt swoim wyglądem. Miał na sobie długą błękitną koszulę, białe spodnie i piękną afgańską kamizelkę zdobioną złotym haftem.

– Witam państwa, co za zaszczyt.

– To dla nas zaszczyt – odparł Rekke.

– Zaprosiłem także mojego syna Taisira, jak pan proponował, i Darmana Diraniego.

– Znakomicie – ucieszył się profesor i poszedł do salonu, gdzie tamci już siedzieli na brązowej sofie. – Panowie, nazywam się Hans Rekke. To moja współpracowniczka, Micaela Vargas.

Mężczyźni skinęli sztywno i przywitali się z nimi. Od razu dało się wy czuć, że ani Taisir, ani Darman nie odznacжали się taką samą życzliwą swobodą światowca, co ojciec Latify. Patrzyli wrogo na Micaelę, zwłaszcza Taisir, trochę przypominający facetów, którymi otaczał się Lucas. Miał w sobie taką samą czujność, to samo spojrzenie, które mówiło, że za żadną cenę nie przyzna się do słabości.

– Jak miło się spotkać. Dużo o was myślałem, panowie – powiedział Rekke.

Taisir zdawał się odbierać te słowa jako obrazę, ale profesor nie zwracał na to uwagi. Zaczął się przechadzać po pokoju.

– Fascynujące, prawie jak małe piękne muzeum – stwierdził.

Rzeczywiście były tam przedmioty z różnych epok i miejsc na świecie. Micaela nie widziała jednak w tym niczego szczególnego oprócz nieuporządkowanych stosów książek i dużych drewnianych rzeźb na szafkach i stolikach. Ściany były pokryte fotografiami, nie tylko Latify, lecz także innych sławnych skrzypków. Rekke zdawał się najbardziej zainteresowany jedną książką, która leżała na biurku w głębi pokoju. Nosiła tytuł *The Gardens of Emily Dickinson*. Mohammad Sarwani podszedł do niego, lekko utykając. Nadal był uśmiechnięty, ale też nieco zakłopotany faktem, że Rekke przegląda jego rzeczy.

– Lubi pan Dickinson? – zapytał.

– Oczywiście. Kto jej nie lubi? Poetka kwiatów – odrzekł Rekke.

– To prawda, bardziej niż ktokolwiek inny.

– Ale ona nie tylko pięknie pisała o kwiatach, nieprawdaż? Opanowała też sztukę ich suszenia. O, proszę, cóż to za piękne fiołki.

– Bardzo piękne – potwierdził sucho Sarwani.

– Ale delikatny piękny kwiat wymaga wielkich starań – ciągnął Rekke.

Mohammad Sarwani zmusił się do uśmiechu.

– Właśnie – powiedział. – Chyba dlatego fiołki tak fascynowały Szekspira.

– Rzeczywiście, prawie zapomniałem. Czy to Ofelia mówi do Hamleta, że dałaby mu fiołki, ale wszystkie zwiędły wraz ze śmiercią jej ojca?

– To smutna scena. Ale jeśli je suszymy, jak to robiła Emily Dickinson, wtedy żyją wiecznie.

Rekke zaśmiał się krótko.

– Choć może nie w tej formie, w jakiej same by sobie życzyły. Co pana zdaniem symbolizują fiołki?

– Najczęściej wierność i miłość.

– A miłość jest krucha, czyż nie? Tak samo jak Ofelia.

– Powiedziałbym, że jest to dość śmiała interpretacja.

Rekke przez moment rozważał tę odpowiedź.

– Z pewnością tak jest. Moje myśli zbyt łatwo błędzą na manowce. A *Iris afghanica*, co oznacza ten kwiat?

Sarwani aż podskoczył, przynajmniej tak się Micaeli wydawało, ale to trwało najwyżej pół sekundy. Potem uśmiechnął się tak samo przyjaźnie i z godnością jak przy powitaniu w drzwiach.

– Nic, o ile się orientuję. Ale oczywiście jest on drogi sercu ludzi pochodzących z Kabulu, tak jak my, ponieważ występuje tylko tam i tam został odkryty.

– Rozumiem. Rośnie też na górze Asamai, gdzie mieszkała pańska córka?

– Możliwe.

– Tak – powiedział Rekke. – A więc to pewne. To dzielny, żywotny kwiat. Przypomina trochę Latifę, nieprawdaż? – Nadal wertował książkę. – Wie pan, czy Emily Dickinson zasuszyła jakiś egzemplarz tej rośliny?

– Wątpię – odrzekł Sarwani.

– No tak, prawda. Ludzie i rośliny nie podróżowali tak łatwo w tamtych czasach. – Profesor podszedł do pozostałych mężczyzn siedzących na sofie i gestem poprosił Sarwaniego i Micaelę, by dołączyli. Najwyraźniej zamierzał objąć dowodzenie. – Jak na człowieka pochodzącego z Kabulu, widzę tu u pana zaskakująco dużo elementów anglosaskich – ciągnął.

Sarwani był zajęty miseczkami orzechów i innych przekąsek stojących na stoliku przed sofą.

– Dorastałem w brytyjskiej enklawie miasta – wyjaśnił.

– Właśnie – ucieszył się Rekke. – Wiedziałem. Stąd to zainteresowanie europejską muzyką klasyczną.

– To dlaczego pan pyta? – włączył się nagle Taisir.

Rekke spojrział na niego rozpromieniony.

– Dobre pytanie. Mam idiotyczne zamiłowanie do pytań retorycznych. Może zamiast tego porozmawiamy otwarcie. Omówmy te fatalne okoliczności, które zaprowadziły was na stadion Grimsta w tamten deszczowy dzień – powiedział Rekke i poczęstował się pistacjami.

Micaela wyraźnie poczuła, jak nastrój wokół stolika staje się coraz bardziej wrogi.

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

Siedziała na swoim brązowym krześle, które miała jeszcze jako dziewczynka, i czuła całym ciałem, że bardzo pragnie zagrać, ale równie mocno chciała zrozumieć, o co tu tak naprawdę chodzi. Dlatego powiedziała cicho:

– Przepraszam, jestem bardzo zdenerwowana, chciałabym zobaczyć twoją twarz. Czy mogę na ciebie poświecić?

– Dobrze – zgodził się.

Skierowała na niego latarkę, ale nie prosto w twarz, to zdawało się zbyt agresywne, tylko na szyję i piersi, co sprawiło, że jego rysy przybrały postać cieni, a oczy rozjarzyły się w ciemności. Wcale jej to nie uspokoiło.

– Co cię tak poruszyło wtedy w Moskwie? – zapytała.

Zrobił krok do tyłu, jego twarz była teraz jeszcze bardziej mroczna.

– Nie wiem – odparł.

Nie były to słowa, które chciała usłyszeć. Zabrzmiały wręcz niegrzecznie. W dodatku jeszcze bardziej cuchnął potem. A może jej zmysły wyostrzyły się ze strachu. Po raz kolejny sama nie mogła się nadziwić, co robi. Czyżby tak bardzo brakowało jej podziwu, że była gotowa ryzykować wszystko dla niczego? Bo na co tak naprawdę liczyła? Że będzie ją chwalił albo się rozplacze, jak wtedy w Moskwie?

– Słyszałeś, że oni rozbijają instrumenty? – zapytała. – Ludzie mówią, że muzycy znikają bez śladu.

– Słyszałem o tym.

– Ale ty chyba nie zniszczysz moich skrzypiec? Mój ojciec byłby zrozpaczony. One nawet właściwie nie są nasze.

Potrząsnął głową i ten ruch też nie był zbyt przekonujący. Latifa poczuła, że desperacko pragnie życzliwych, budujących słów.

– Ale wtedy w Moskwie pomyślałeś, że to było piękne, prawda?

– Pomyślałem... – zaczął i urwał, jakby miał trudności z mówieniem.

– Co takiego?

– ...że to było piękne – dokończył.

Uznała, że to jej wystarczy, i dalej przygotowywała się do gry. Równocześnie ogarnęło ją dziwne przeczucie, że od tego, jak zagra, zależy jej życie.

To bzdury, oczywiście, naprawdę chciała wierzyć, że to były bzdury. Ale to uczucie jej nie opuszczało. Coś złowróżbnego zawisło nad całą sytuacją. Kiedy przyłożyła skrzypce do podbródka i uniosła smyczek, popatrzyła na sylwetkę mężczyzny w mroku. Widziała tylko prawe oko.

„Lśni w nim wyczekiwanie” – pomyślała. Ale to nie pomogło. Obawiała się, że jego lewe oko, ukryte w ciemnościach, patrzy na nią wrogo i groźnie, jakby był dwiema osobami równocześnie: jedną, która kochała muzykę, i drugą, która jej nienawidziła.

Kropla wody kapnęła ze szpary w ścianie, a Latifa poczuła, jak krew coraz mocniej pulsuje w jej karku i przegubach dłoni. Potem zaczęła grać *Medytację* z opery *Thaïs*, jak wtedy w Moskwie, choć początkowo brzmiała niepewnie i nieśmiało. Jak inaczej mogła grać? Była przerażona i rozważała, czy nie przerwać i nie zaapelować do jego współczucia. Ale zamiast tego spróbowała zamknąć oczy i wykorzystać ten strach. A wtedy coś się jednak zmieniło.

Dźwięki nabrały życia i Latifa dała się porwać muzyce. Przeleciała w nią całą swoją rozpacz, w końcu zaczęła wyginać tułów w przód i w tył, zupełnie jak kiedyś. Wpadła w trans. Kiedy skończyła grać, opuściła skrzypce i siedziała z zamkniętymi oczami, czekając na okrzyk „brawo!”, oklaski albo policzek, cios, cokolwiek. Ale w piwnicy było cicho. Słyszała tylko jego oddech. W końcu otworzyła oczy i mrużąc powieki, wpatrywała się w ciemność.

Jego prawe oko było szkliste, jakby płakał także i teraz. „To dobrze – pomyślała – to dobrze”. Ale potem potrząsnął głową, jakby był niezadowolony.

– Nie było dobrze? – zapytała, choć głos prawie odmawiał jej posłuszeństwa.

Nie odpowiedział. Raczej zeszywniał, jakby pytanie go wystraszyło. Ale w następnym momencie zrozumiała, że to nie była reakcja na jej słowa. Na górze rozległy się kroki. Poczwała ulgę: to Taisir. To musiał być Taisir. Przyszedł, żeby ją chronić, nawet jeśli będzie wściekły, że w środku nocy przyjmuje w domu obcego mężczyznę. Ale to już nie miało znaczenia, już nie. Tysiąc razy wolala być pobita przez brata, niż znosić jeszcze jedną sekundę tej ciszy. Nasłuchiwała tamtych kroków, spodziewając się usłyszeć w nich charakterystyczny rytm Taisira. Ale ten chód był cięższy, bardziej sztywny. Spojrzała szybko na Hassana Barozaia. Sprawiał wrażenie tak samo wystraszonego jak ona. Latifa mocniej zacięła palce na skrzypcach.

Rekke siedział w milczeniu nachylony do przodu na drewnianym krześle. Micaela zajęła miejsce obok niego w brązowym fotelu i zastanawiała się, czy nie powinna zacząć przesłuchania, choć właściwie to nie miało być przesłuchanie. Żadne z nich nie zabrało magnetofonu, nie było też adwokatów. Ale chciała być osobą, która teraz przejmie inicjatywę, po tych wszystkich dygresjach Rekkego. Dlatego zwróciła się do Mohammada Sarwaniego, mówiąc:

– Widziałam, że był pan przesłuchiwany wcześniej w tej sprawie. Powiedział pan, że nie zna Jamala Kabira i że pana córka z całą pewnością też go nie znała. Czy podtrzymuje pan to zeznanie?

Mohammad Sarwani zwrócił się do Rekkego, jakby to on zadał to pytanie.

– Podtrzymuję – oświadczył.

– I nie zna pan też niejakiego Hassana Barozaia? – pytała dalej Micaela.

Sarwani spojrzał na swojego syna, szybki rzut oka, nic więcej, ale to wystarczyło za potwierdzenie. Naruszyła jego równowagę. Poczwała to wyrażnie.

– Nie – odparł Sarwani.

– Na pewno? – nie odpuszczała.

Mohammad Sarwani skinął, a wtedy Rekke, który najwyraźniej postanowił odegrać rolę dobrego policjanta, przybrał minę pełną wyrozumiałości. Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Kto potrafi zapamiętać te wszystkie nazwiska?”.

– Ale domyślam się, że mimo to może pan być ciekaw, kim jest ów Hassan Barozai? – kontynuowała.

– Ciekawość to cnota – odparł Mohammad Sarwani. – Kim on jest?

– Altowiolistą, który przez krótki czas studiował z Latifą w Moskwie – wyjaśniła Micaela.

– Ach tak. – Sarwani siedział dziwnie nieruchomo.

– Był wychowankiem szkoły Jeleny Drugowej w Kabulu, ale po krótkim stypendium w Moskwie wyjechał do domu w Pakistanie i przestał grać. Wrócił do Kabulu dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy talibowie zdobyli miasto, i przyjął nazwisko Jamal Kabir. Brał udział w represjonowaniu muzyków przez reżim.

– Naprawdę? – rzucił Mohammad Sarwani.

– Naprawdę – powtórzyła Micaela i zaczęła się zastanawiać, jak dalej ma prowadzić tę rozmowę, skoro on nie chce nic mówić.

Nie zdążyła jednak dodać nic więcej, gdy Rekke odchrząknął, jakby chciał przeprosić, że wchodzi im w paradę.

– Barozai był ciekawą postacią – powiedział. – Domyślam się, że prowadził wojnę nie tylko przeciw muzyce, lecz także przeciw sobie samemu. Czyż w pewien sposób nie rozpoznajemy się w tym wszyscy? Wszyscy chcemy zabić to, co kiedyś w nas płonęło. Wszyscy chcemy zniszczyć tęsknotę za tym, czego nie możemy mieć.

– Tego nie wiem – odparł zwięźle Mohammad Sarwani.

– W takim razie na pewno jest pan zdrowszy niż ja – ciągnął Rekke. – Mam niepokojącą tendencję, żeby wczuwać się w każde ludzkie szaleństwo. Przynajmniej taką mam próżną ambicję.

– To chyba dobre u detektywa, mogę się domyślać.

Rekke rozłożył ręce.

– Tak, może tak. Ale wie pan, co ja sędzę?

– Nie, profesorze, nie wiem.

– Sędzę, że chęć zniszczenia tego, co dla nas nieosiągalne, jest przeważnie tylko mroczną żądzą, którą wszyscy w sobie potajemnie nosimy. Lecz czasami, jak na przykład podczas rewolucji kulturalnej w Chinach, powstaje system, który to legitymizuje. Nasze pragnienie niszczenia otrzymuje ideologiczną nadbudowę i wtedy to może się skończyć naprawdę źle.

– Tak może być, oczywiście – przyznał Sarwani.

– Choć tak naprawdę też nie o tym chciałem mówić. Bardziej niż ten nędzny oprawca interesuje mnie ofiara i jej bliscy. Co robią, kiedy żadne prawo ich nie chroni, kiedy każdy zawistnik może bezkarnie dawać upust swojej chęci niszczenia?

Sarwani zakłopotany kręcił się w fotelu.

– Domyślam się, że stwarzają swoje własne prawo.

– Właśnie, i ta myśl kiedyś mi się nawet podobała. Gdy wymiar sprawiedliwości zawodzi, tworzymy własną ławę przysięgłych, własny sąd.

Sarwani nadal zerkał na swojego syna.

– Tak – powiedział po chwili.

– Tak, właśnie – ciągnął Rekke – i choć myśl ta dzisiaj raczej mnie przeraża, nadal widzę w niej pewne piękno, gwarancję, że w czasach bezprawia można jednak zachować przyzwoitość. Kiedy ramię sprawiedliwości chwytta tylko powietrze, musimy wziąć sprawy we własne ręce, nieprawdaż, Taisirze? Co pan o tym sądzi?

– Sędzę, że pan pieprzy głupoty – rzucił Taisir z niespodziewaną agresją.

– W takim razie proszę o wybaczenie – powiedział Rekke. – Gdyż rozumiecie, panowie, mam nadzieję, że to widać: darzę was wszystkich głęboką sympatią i cieszę się, Taisirze, że jesteście tu obaj z panem Diranim. Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że będzie was więcej, choć może nie wszyscy.

Mohammad Sarwani przestał spoglądać na swojego syna, wyprostował się, jakby wróciła cała jego duma.

– A więc liczył pan na to – rzucił z uśmiechem.

Rekke spojrział melancholijnie na Micaelę.

– Tak, rzeczywiście – przyznał. – Gdyż powinniście wiedzieć, panowie, że to moja towarzyszka, Micaela Vargas, ostatecznie połączyła wszystkie wątki tej historii.

Mohammad Sarwani napił się herbaty i popatrzył na kominek, gdzie na gzymsie stało młodzieńcze zdjęcie Latify w ramkach. Wyglądał niemal, jakby chciał ją prosić o pomoc.

– I jak te wątki miałyby być powiązane? – zapytał.

– Do tego jeszcze przejdziemy. *Claritas, claritas*, jak zwykłem mawiać – ciągnął Rekke, a jego lewa noga zaczęła nerwowo podskakiwać. – Lecz niech pan wybaczy, Taisirze, ale muszę zadać panu jeszcze jedno pytanie retoryczne, gdyż jest pan zapewne osobą, która najlepiej wie, co zdarzyło się w lesie Grimsta: czy Barozai otrzymał karę, na którą zasłużył? Jak pan widzi tę sprawę?

– Zależy od tego, co zrobił – odparł lakonicznie Taisir.

Rekke zamyślił się krótko.

– Chyba wszyscy wiemy, co zrobił, nieprawdaż? – powiedział wreszcie. – Albo inaczej: wydaje nam się, że wiemy, ponieważ nikt z nas nie ma dokładnych informacji o tym, co spotkało pańską córkę w nocy z czwartego na piątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku w Kabulu.

– Nie.

– Istnieje jednak dość dużo poszlak, nieprawdaż? Które inni przegapili, ale nie wy.

Mohammad Sarwani znów kręcił się niespokojnie w miejscu, kierując wzrok na portret Latify.

– Co by to miało być?

– Małe znaleziska na miejscu zbrodni na przykład.

Taisir i Darman Dirani wymienili prawie niezauważalne skinienia. Micaela miała nawet wrażenie, że dawali sobie jakieś znaki. Ale może tylko jej

się wydawało. Spojrzała na Rekkego, który nadal pełnym smutku wzrokiem obejmował trzech mężczyzn.

– Dzisiaj w nocy spędziłem kilka godzin na oglądaniu przygnębiającego zdjęcia zwłok pańskiej córki w piwnicy i jedna rzecz nie daje mi spokoju. Dlaczego nie położyliście desek na całej powierzchni podłogi?

Mohammad spojrzał w stronę okna.

– Mieliśmy problem z wilgocią i grzybem. Musieliśmy usunąć część podłogi. Martwiliśmy się o skrzypce.

– Przykre – stwierdził Rekke. – A mimo to korzystne dla nas obu, nieprawdaż? Wie pan, wczoraj zaintrygowały mnie te małe dziurki, które widać tuż obok ciała i rozbitych skrzypiec. Nie rozumiałem początkowo, dlaczego jest ich tak dużo. Ale przyjrzałem się bliżej i zrozumiałem: to były ślady korków, butów, które stąpały nerwowo po ubitej ziemi. Oczywiście takie podeszwy mogą też mieć trzewiki czy inne obuwie. Ale tamte dziurki wyglądały jak ślady po butach piłkarza, czyż nie? Zwłaszcza że... przepraszam, mam nawet ze sobą zdjęcia. Proszę poczekać. – Wyjął fotografie ze swojej torby i położył na stoliku. – O, tutaj – powiedział, wskazując na małą białą plamkę. – Widzicie, panowie?

Żaden z trójki mężczyzn nie zdradzał szczególnej ochoty, żeby się temu przyglądać, ale Rekke niezrażony mówił dalej:

– Wczoraj wieczorem byłem jak opętany tą białą plamką. Oglądałem ją z każdej strony, aż w końcu nabrałem pewności, że to pasek farby, nic innego. Ale nie to jest tu najciekawsze. Ważniejsze jest, że ten kawałek nie rozpadł się na części, tylko był tak zwarty. Chodziło z całą pewnością o malowanie z większym, równomiernym naciskiem niż przy użyciu pędzla, przypuszczalnie specjalnym wózkiem, jak malowarka drogowa, którą robotnicy malują pasy na ulicy. Takie same maszyny są też używane na boiskach piłkarskich.

Mohammad Sarwani łyknął herbaty. Sprawiał wrażenie, jakby odzyskiwał pewność siebie.

– Ma pan świetny dar obserwacji, profesorze, i to wszystko brzmi bardzo ciekawie. Ale obawiam się, że nie bardzo nadaje się jako dowód.

– Ma pan tu rację, oczywiście – przyznał Rekke. – Ale powoli zarysowuje się związek między wami i tym nieszczęśliwym altowiolistą, czyż nie?

– Niech pan nie mówi o nim: „nieszczęśliwy” – burknął Taisir.

– Racja – powiedział spokojnie Rekke. – Obiecuję, że nie będę próbował rozciągać swojej empatii na jego osobę. Przecież to po waszej stronie stoję, zwłaszcza teraz: *in dubio pro reo*.

– Co za durnym językiem pan tu przemawia?! – rzucił Taisir, dalej rozgniewany.

– Proszę wybaczyć. To takie moje irytujące przyzwyczajenie, żeby mówić po łacinie. *In dubio pro reo*, czyli w razie najmniejszych wątpliwości należy brać stronę oskarżonego. Poza tym naprawdę uważam, że wypełniliście lukę w systemie prawa, i osobiście właściwie byłbym skłonny o całej sprawie zapomnieć. Jest tylko jedna rzecz, która mnie martwi.

– Co takiego?

– To, co zawsze mnie niepokoi, kiedy dokonuje się sprawiedliwość. Czy została ukarana właściwa osoba? Czy może mściciele w swoim zapale wyciągnęli zbyt pośpieszne wnioski? Przecież tam na dole są też ślady innych butów, nieprawdaż? Większych stóp?

Mężczyźni popatrzyli na Rekkego z niepokojem i w tym momencie Micaela nie miała już żadnych wątpliwości: wszyscy trzej byli winni. Było to widoczne w ich nagłej obawie, w ich niewypowiedzianym pytaniu: „Czy może tak być, że zabiliśmy nie tego człowieka?”.

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

Zrobił kilka kroków w bok, tak że znalazł się za jej plecami. Nie tylko dlatego, żeby uniknąć jej spojrzenia.

Chciał widzieć jej plecy, tak samo jak w Moskwie, choć to już nie były takie same plecy. Latifa wychudła, odpłynęła z niej cała krew. Na pewno była chora, może umierająca. Zabolało go to, choć równocześnie może też ucieszyło, był to dla niego pewien rodzaj triumfu. Zadrżał. Jak ona grała! „Nikt nigdy nie był w stanie grać tak pięknie” – pomyślał.

Poczuł, że chciałby paść na kolana i płakać. To był ten sam utwór co w Moskwie, *Medytacja* z opery *Thaïs*, ale teraz brzmiał inaczej, jak gdyby muzyka zamiast tęsknoty i smutku opisywała niewolę i strach. Nie miał nawet pojęcia, że potem uda mu się przeżyć Salt Pit dzięki przywoływaniu w pamięci utworów muzycznych. Ale wtedy, w tamtej piwnicy, w jego głowie kłębiły się sprzeczne obrazy; chciał stamtąd uciec, wyjechać. Chciał wrócić do Mirpuru i być właśnie tam. Tak samo jak w Moskwie grała z delikatnym wibrato i płynnie łączyła dźwięki. Znowu przypomniał sobie kołysanki śpiewane przez matkę i wieczorne ragi grane na sitarze na placu. Pomyślał, że mógłby tego słuchać godzinami, ale też chciał to uciszyć, zatrzymać, zniszczyć wszystko, co bolało i prowadziło do przebudzenia. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał dotknąć jej pleców. Ale jego ramię było napięte jak do uderzenia, więc je cofnął i sięgnął do pistoletu tkwiącego za pasem – poczuł falę podniecenia. „Zastrzel ją” – ta myśl pojawiła się jakby znikąd. „Zastrzel ją”. Wystraszyła go w tym samym momencie, kiedy ją sobie uświadomił. Znowu dał się wciągnąć muzyce, całkiem stracił grunt pod stopami, czuł, że w tej chwili mógłby zrobić cokolwiek: zastrzelić ją albo z nią uciec.

To z pewnością dlatego nie był w stanie wydusić nic sensownego, kiedy przestała grać. Wymamrotał tylko coś, nie bardzo wiedząc, co mówi. W tej samej chwili na górze rozległy się kroki, a jego ogarnęło przerażenie, bo był przekonany, że wrócił jej brat. Ale gdy usłyszał znajome szuranie, domyślił się, że to może być Gamal, więc odetchnął z ulgą. Tylko na sekundę. Potem znowu był tak samo przerażony, choć w tym strachu kryło się teraz coś innego, co zbliżało go do Lati-fy.

Spojrzał na nią i zdumiał się, że oboje oddychają w tym samym rytmie, tak samo głośno i pośpiesznie. Na stopniach ukazał się Gamal. Groźnym, a jednocześnie beztroskim głosem powiedział:

– *Salam alejkum*. Nie przeszkadzajcie sobie. No dalej.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

– Wiecie panowie, co mnie naprowadziło na rozwiązanie? – zapytał Rekke, zwracając się głównie do Mohammada Sarwaniego. – Moje podejrzania wzbudził brak plotek. Altowioliście, który gra, aż palce mu krwawią, który marzy o dyrygenturze, wraca do Kabulu i zaczyna rozbijać instrumenty muzyczne, zamiast na nich grać. To jest historia, która sama się opowiada, nieprawdaż? Ale nawet Emma Gulwal, której klarnet roztrzaskał, nie chciała nic o nim powiedzieć, choć ewidentnie знаła Barozaia. A Darman Dirani, który kochał Latifę, też nie chciał nam pomóc. Dość wcześnie zrozumiałem, że w pewnym momencie zapadła decyzja, wyrok, jeśli wolicie, żeby zemścić się na osobie, która nie tylko zabiła Latifę, lecz także stała za prześladowaniami tak wielu uczniów szkoły, do której należała. Nabrałem przekonania, że było was więcej, cały krąg ludzi, którzy zaakceptowali ten mord. A ponieważ lubię dramatyzować, mogę sobie nawet wyobrazić, że złożyliście jakąś świętą przysięgę.

Taisir kręcił się nerwowo na sofie, wyglądał, jakby chciał wstać.

– I tak nie macie dowodów – powiedział.

– Nie mamy? – Rekke zwrócił się z tym pytaniem do Micaeli.

– Mamy zeznania świadków – oznajmiła. – Wiemy, że pan był na miejscu zbrodni, Taisirze. Ktoś zauważył pański tatuaż na karku.

– Gównu macie.

– No i jeszcze zasuszony kwiat pańskiego ojca. W pewien sposób chcieliście, żeby świat się dowiedział. Pragnęliście o tym opowiedzieć, czyż nie? Bo jest tak, jak mówił profesor Rekke: w głębi serca wszyscy uważacie, że postąpiliście słusznie, prawda? – Micaela przemawiała z takim autorytetem, że niemal sama była zaskoczona.

Taisir zerwał się, był rozwścieczony. Jego ojciec zaraz dał mu znak, że ma usiąść.

– Proszę wybaczyć – powiedział. – Mój syn jest dość porywczy.

– Ma ku temu powody – stwierdził Rekke. – Pakujemy się panu do domu, zrywamy zasłonę milczenia z grobu. Ale może zakończmy już tę sprawę na dzisiaj. Będziecie mieli panowie dużo czasu na wyjaśnienia. Tylko, jeśli pan pozwoli, mam jeszcze jedno pytanie.

Taisir nachylił się do przodu i popatrzył groźnie na Rekkego.

– Nie jesteśmy zainteresowani pańskimi pytaniami. Wynoście się stąd, zanim tego pożałujecie! – warknął.

Mohammad Sarwani pokręcił głową.

– Spokojnie, mój synu, tylko spokojnie. Niech profesor mówi, co mu leży na sercu.

Rekke uśmiechnął się z wdzięcznością do jednego i drugiego.

– Znów myślałem o tym zasuszonym kwiecie. To taki mały zdumiewający szczegół, czyż nie? Dlaczego to było takie ważne, żeby go tam zostawić?

– Nie wiem, czy to było ważne. Ale robimy różne takie rzeczy, prawda? Być może, jak pan mówił, żeby zostawić znak. Nawet jeśli czasem są to znaki, które widzi tylko jeden Bóg. Rozumie pan... – Sarwani przerwał na moment.

– Słucham, doktorze – powiedział Rekke.

– Botanika zawsze była moją pasją – mówił dalej ojciec Latify. – Uważałem zasuszone kwiaty za zaklinanie śmierci, daremne zaklinanie, rzecz jasna. Próba utrwalenia czegoś pięknego i ulotnego poprzez zasuszenie to w pewien sposób odebranie życia.

– Tak, to prawda – przyznał Rekke.

– Musi pan zrozumieć, profesorze, że kiedy znalazłem Latifę martwą, byłem w rozpacz. Czuję się, jakby i moje życie się skończyło, a jednak nawet nie umiałem płakać. Byłem jak skamieniały. Dopiero kiedy wyszedłem na słońce i zobaczyłem pole irysów, które rosły przed jej domem, wszystko we mnie pękło. Padłem na kolana i zerwałem jeden kwiat. Potem

go zasuszyłem. Stał się dla mnie ważny. Trochę tak, jakby krył w sobie kawałek duszy Latify. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć.

Rekke wyglądał przez okno.

– To było piękne, wzruszające wyjaśnienie – podsumował.

– Owszem. Ale teraz widzę, że zostawienie tam tego kwiatu to był błąd. Powinniśmy trzymać nasze uczucia w sobie, a nie rozsypywać je po lasach jako znaki. Niestety, nie byłem tak racjonalny, jak chciałbym być.

– Jesteśmy istotami pełnymi sprzeczności. To właśnie czyni nas interesującymi. Przykro mi, doktorze, to był ciężki dzień dla pana – powiedział Rekke.

Z jakiegoś powodu Micaela poczuła się rozżłoszczona. „To tylko puste frazy – pomyślała – nadęte słowa”. Dlatego zmieniła ton i zapytała, tłumiąc irytację:

– A więc przyznaje się pan do zamordowania Jamala Kabira?

Mohammad Sarwani popatrzył na portret swojej córki i przyłożył dłonie do piersi.

– Przyznaję się. I potwierdzam, że wielu z nas brało w tym udział, w tym też miał pan rację. Uważaliśmy się za coś w rodzaju sądu, ławy przysięgłych. Chcieliśmy ukarać człowieka, który zabił moją córkę wyłącznie dlatego, że sam poniósł porażkę, bo nigdy nie był w stanie stworzyć czegoś, co stanowiłoby boską doskonałość lub choćby się do niej zbliżyło.

Rekke zastanawiał się nad tymi słowami, położył przy tym dłoń na swojej lewej nodze, żeby znów nie zaczęła podskakiwać.

– Może ma pan rację, nawet jeśli on sam widział to inaczej. W sztuce samooszukiwania się wszyscy jesteśmy mistrzami, nieprawdaż?

Mohammad Sarwani przyjrzał się swoim dłoniom, a potem rzucił kolejne uspokajające spojrzenie w kierunku syna.

– Owszem, może to jest prawda. Ale nie było naszą rolą pochylanie się nad złudzeniami życiowymi mordercy.

– Oczywiście. Tylko czy on na pewno był mordercą, oto jest pytanie.

– Naturalnie niepokoi mnie, kiedy pan tak mówi, ale dla nas nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Micaela nachyliła się, żeby być bliżej, i powiedziała:

– Może wyjaśniłby nam pan w takim razie, dlaczego jesteście tacy pewni?

Mohammad Sarwani zamknął oczy. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy naprawdę powinien wypowiedzieć choć jeszcze jedno słowo.

– Zobaczyłem go, jak stał przed jej domem dzień wcześniej – zaczął niepewnym głosem. – Nie wiedziałem wtedy, kim on jest, i nie przejąłem się tym. Wyglądał niegroźnie, był wręcz komicznie ubrany, inaczej niż wszyscy. Ale po morderstwie zacząłem się zastanawiać i nie musiałem pytać zbyt wielu ludzi, żeby znaleźć odpowiedź. On był tym sędzią piłkarskim o dziwnych ruchach. Słyszałem, że był lubiany, ale też że brał udział w wojnie talibów przeciwko muzyce. Potem zacząłem dzwonić do różnych ludzi i w końcu usłyszałem historię Emmy Gulwal. Latifa opowiadała o altowioliście, który kiedyś o świcie wpadł do jej pokoju w Moskwie. Darman Dirani, mój drogi przyjaciel, siedzący tu obok, wypełnił luki w tej historii. Słyszałem też, że Barozai po zabójstwie miał kryzys. Prawie nie wychodził z domu, nie sędziował żadnego meczu przez kilka miesięcy. Od sąsiadów Latify, rodziny Ghani, usłyszałem, że w noc morderstwa także wrócił o późnej porze. A potem... Cóż, zobaczyłem ślady korków na klepisku i ten skrawek farby, który profesor tak błyskotliwie odczytał. Ale przede wszystkim, i to było decydujące, wiedziałem, że mordercą musiał być ktoś, kogo znała, komu ufała. W przeciwnym razie nigdy nie zeszłaby z nim do piwnicy i nie wyjęłaby skrzypiec.

Mohammad Sarwani umilkł, a Micaela popatrzyła na Rekkego. Ten zdawał się szukać odpowiednich słów, jakby chciał postawić kolejne pytanie, ale w końcu postanowił nic nie mówić. W tym czasie Mohammad Sarwani podniósł się z miejsca i oznajmił, że idzie zadzwonić do swojego adwokata.

Kabul, noc z 4 na 5 kwietnia 1997

Kiedy Gamal zszedł na dół w ciemnościach, ze swoim kałasznikowem i w białym turbanie, Barozai poczuł z całą jasnością: nie należał do żadnego z tych światów. Nie był już skrzypkiem jak Latifa, ale też nie był kimś takim jak Gamal. W tej chwili pragnął tylko jednego, chciał go stąd wyrzucić. Tylko że to było niemożliwe. Musiał podtrzymać iluzję, że reprezentuje reżim, więc odpowiedział:

– *Wa alejkum salam*. Latifa pokazywała mi właśnie swoje skrzypce.

– A nie grała dla ciebie?

– Tylko jeden krótki utwór – odparł i położył dłoń na pistolecie zatkniętym za pas, w nerwowej, odruchowej reakcji. A może też chciał pokazać, że ma sytuację pod kontrolą, że wcale nie stracił głowy z powodu muzyki, nie zagubił się w niej. Nie bardzo mu się to udało. Dłoń na pistolecie drżała. Wcale nie czuł się jak pobożny bojownik.

– Czy ona nie zagrałaby też dla mnie? – zapytał Gamal.

Latifa potrząsnęła niespokojnie głową, a Hassan pomyślał: „Muszę temu zapobiec”. Nie wiedział tylko jak. Nie mógł przecież zaapelować do miłosierdzia Gamala. W oczach mułły Latifa była dziwką. Nie można było powiedzieć: „Zostawmy ją przy życiu, chodźmy stąd”. Musiał znaleźć jakieś inne wyjście i najlepsze, co mógł teraz wymyślić, to było rzeczywiście pozwolić jej grać. Gamal też w końcu kiedyś był muzykiem. Może to do niego dotrze, na jakimś poziomie przynajmniej.

– Nie mogłabyś zagrać tamtego jeszcze raz? – zapytał. – Nie skrzywdzimy cię. – Nie zabrzmiało to dobrze, nie w obecności Gamala, jego potężnej postaci i oczu jarzących się tym nieprzejednanym spojrzeniem, które wystraszyło Hassana za pierwszym razem, kiedy je zobaczył.

Zupełnie go nie dziwiło, że Latifa aż się skuliła ze strachu.

– Wcale nie musisz – powiedział, ale to już nie jego Latifa teraz słuchała.

Gamal stanowił nowe centrum władzy w tym pomieszczeniu, więc zagrała, jeszcze bardziej niepewnie niż przedtem. Lecz zaraz zaczęła coś innego, jeszcze bardziej rozpaczliwego. Jakby nie była w stanie zagrać niczego, co nie poruszało. Hassan popatrzył błagalnie na Gamala.

Twarz starszego mężczyzny emanowała nieprzyjemnym podekscytowaniem. Może było w niej jeszcze coś innego. Hassan mógł sobie to wyobrażać dlatego, że nie pojmował, jak jakikolwiek człowiek, nawet bojownik dżihadu, może słuchać muzyki i jej nie ulec. Ale na pewno się mylił.

Gamal rozglądał się dokoła w matowym świetle leżącej na podłodze latarki. Jego spojrzenie zatrzymało się na pistolecie za pasem Hassana. Pod wpływem tego wzroku broń zdawała się coraz bardziej ciężać. „Latifa gra swoją mszę żałobną” – pomyślał nagle i niespodziewanie Hassan. Odepchnął tę myśl, ale ona wróciła i sprawiła, że jej muzyka miała w sobie jeszcze więcej życia. „Nic się jej nie stanie, teraz nie i potem nie” – przyszło mu teraz do głowy.

Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie popatrzeć na Gamala, a tamten odwzajemnił spojrzenie, jakby czytał w jego myślach, i szepnął: *Allahu akbar*, co zabrzmiało równie upiornie, co uroczyście. Jednocześnie położył ręce na swoim kałasznikowie i skierował go szybkim, prawie niezauważalnym ruchem nie na Latifę, ale na niego. Trwało to zaledwie pół sekundy.

Całe ciało Hassana zadrżało, jakby stanął przed wyborem między własnym i jej życiem. Może była to nazbyt emocjonalna reakcja w chwili szaleństwa. Miał myśleć o tym później wiele razy. Ale to uczucie stawało się coraz bardziej rzeczywiste, gdzieś w tle przeleciały wspomnienia i rozczarowanie z Moskwy. Całe życie przesunęło mu się przed oczami. Gamal odchrząknął. Zrobił krok w jego stronę i znów dotknął kałasznikowa, więc Hassan wyciągnął z pasa pistolet i strzelił.

Strzelił jej w tył głowy, z uczuciem całkowitej obcości wobec siebie samego, zdumiony, jak wolno wszystko się rozgrywało, że najpierw upadły skrzypce, ze stukotem, kiedy pękła struna i wypadł mostek. Dopiero sekundę później osunęła się w dół Latifa, powoli i łagodnie, jakby sama ostrożnie kładła się na podłodze.

– *Allahu akbar* – powiedział Gamal jeszcze raz.

Hassan powtórzył te słowa, odwrócił się od ciała, po czym zaczął się wspinać na górę. Za plecami słyszał oddech Gamala i odgłos, kiedy potężny mężczyzna podrywał całe ciało do góry, żeby z impetem rozdeptać skrzypce.

Kiedy Mohammad Sarwani zakończył rozmowę telefoniczną i wrócił salonu, sprawiał wrażenie opanowanego. Zapytał, czy ma jeszcze coś wyjaśnić. W przeciwnym razie chciałby się wycofać i oddać modlitwie.

– Domyślam się – zaczęła Micaela – że talibowie nie kiwnęli palcem, żeby schwycić winnego.

– Nie – odpowiedział Sarwani. – W ich oczach Latifa tylko otrzymała karę, na jaką zasłużyła.

– I wtedy zaczęliście planować zemstę? – zapytał Rekke.

– A co by pan zrobił, profesorze?

– Moja znajomość własnej osoby na razie nie sięga tak daleko.

– Ale może pewnego dnia... – wtrącił Taisir groźnie.

– Być może – odparł Rekke z uśmiechem.

Micaela znów starała się trzymać tematu.

– A czy nie dało się załatwić tej sprawy w Kabulu?

Mohammad Sarwani popatrzył z rezygnacją na zdjęcie Latify.

– Po pogrzebie córki mój syn z rodziną i ja byliśmy codziennie szykanowani, więc kiedy tylko nadarzyła się okazja ucieczki do Peszawaru, skorzystaliśmy z niej. Ale poprzysięgliśmy sobie, że znajdziemy Barozaia, i pewnego dnia, wiele lat później, dzięki miłosierdziu Boga, dowiedzieliśmy się, że jest w Szwecji.

– Reportaż telewizyjny naprowadził was na ślad, prawda? – zapytała Micaela.

Mohammad Sarwani spojrzał na swojego syna i Darmana Diraniego, który przez cały czas nie powiedział ani słowa.

– Tak, mamy przyjaciół w Szwecji, którzy nas o tym poinformowali. Udało nam się także zdobyć reportaż dzięki Deutsche Presse-Agentur.

– A ilu z was pojechało do Szwecji?

Mohammad Sarwani znów zwrócił się do Rekkego, jakby to on zadał to pytanie.

– Byliśmy solidną reprezentacją, a Allah zesłał nam deszcz i burzę, by nas chronić.

– I niewinnego człowieka, którego w swej dobroci wskazał palcem – dodał Rekke z tym samym łagodnym uśmiechem, co przedtem. Wstał i spojrział znacząco na Micaelę, która w odpowiedzi skinęła głową.

Oświadczyła, że musi zadzwonić, po czym wyszła na klatkę schodową. Przez chwilę zastanawiała się, czy mężczyźni nie będą próbowali jej przeszkodzić. Kiedy wróciła do środka, oświadczyła, że wszyscy trzej są aresztowani pod zarzutem zabójstwa Hassana Barozaia w lesie Grimsta i że niemiecka policja zaraz się tu zjawi.

Rekke wyciągnął rękę do Sarwaniego i powiedział:

– Dziękujemy za pańską gościnność. Mam nadzieję, że spotkacie się ze zrozumieniem. Życzę panom powodzenia.

Zeszli po schodach na dół, przystanęli na chodniku, żeby złapać taksówkę, i stali tak chwilę w milczeniu, jakby próbowali ogarnąć, co się właśnie zdarzyło. Rekke popatrzył na Micaelę z nieobecny uśmiechem i odleciał gdzieś myślami.

– *Nunc est bibendum* – mruknął pod nosem.

Za bardzo kręciło jej się w głowie, żeby miała siłę pytać, co to znaczy.

Tego samego dnia późnym popołudniem siedzieli w hotelowym barze w Excelsior Hotel Ernst w pobliżu katedry Kolońskiej, gdzie przy butelce wina omawiali wyniki swojej pracy. Wkrótce jednak Rekke się tym znudził, jakby już zostawił tę sprawę za sobą i wołał raczej gapić się na ludzi siedzących wokół nich, niż analizować szczegóły śledztwa.

– Widzisz coś ciekawego? – zapytała Micaela.

Odwrócił się do niej.

– Tak, być może – powiedział. – Ten facet, tam dalej, ten z ogorzałymi policzkami, właśnie wrócił z żeglugi po Oceanie Arktycznym. Po jego dłoniach widać, że zakopywał skarb na ostrym mrozie, trzydzieści srebrni-

ków, o ile dobrze liczę, które zarobił, sprzedając swoją siostrę do wędrownej trupy cyrkowej.

– Co robiła siostra? Była poskramiaczką lwów?

– Sądzę, że potrafiła nauczyć słonie stania na jednej nodze. Ale trudno to stwierdzić na pewno.

Micaela uśmiechnęła się, a Rekke odwzajemnił uśmiech. Potem strzepnął niewidoczny pyłek z jej rękawa i popatrzył na nią intensywnie swoimi niebieskimi oczami. Przez chwilę miała wrażenie, że chciał ją przyciągnąć do siebie, ale zaraz uznała to za przywidzenie.

– Nie sprawiałeś wrażenia całkiem pewnego, że to Kabir zastrzelił Latifę. Opuścił wzrok na swoje dłonie.

– Właściwie jestem całkiem pewien. Strzał padł z tego kąta, gdzie stała osoba w korkach. Chciałem tylko wykorzystać tę niepewność, żeby skłonić ich do mówienia.

Micaela zastawiała się nad tym w milczeniu, przyglądając się gościom w barze.

– Co to była za łacińska fraza, którą powiedziałeś dziś na ulicy? – zapytała po chwili.

– Nie pamiętam.

– *Nunc* i coś tam dalej.

Uśmiechnął się i spojrzał na nią z tą samą intensywnością, co przed chwilą.

– *Nunc est bibendum* – uściślił. – Teraz będziemy pić. Słowa Horacego po zwycięstwie Rzymian nad Kleopatrami. Kiedy Kleopatra jest pokonana i martwa, jest czas na świętowanie, napisał. – Napełnił obydwie kieliszki.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Może że zmartwienie Sarwaniego to nasz triumf. Niech on rozpacza. A my wzniesmy kieliszki.

– Na zdrowie – powiedziała Micaela.

– Na zdrowie.

– Ale ty po kryjomu zawsze sympatyzujesz z pokonanymi, prawda?

– Chyba tak. *Gloria victis*.

– Co ty masz z tymi łacińskimi frazami? – zapytała Micaela.

Rekke znów nachylił się bliżej.

– *Quidquid latine dictum sit, altum videtur*.

– Co?

– Cokolwiek powiesz po łacinie, brzmi mądrze – wyjaśnił. – Teraz mogę się tłumaczyć przyzwyczajeniem. Te sentencje są niemal częścią mnie. Ale kiedyś na pewno wygłaszałem je, żeby sprawiać wrażenie bardziej interesującego, niż byłem.

Teraz i ona się nachyliła w jego stronę.

– Chciałeś przyszpanować.

– Zdecydowanie.

– Snob.

– Tak, bez wątpienia – przyznał.

– Dlaczego ty nigdy się nie odgryzasz?

– Moja fałszywa skromność kąsa wystarczająco. Co powiesz na to, byśmy się wybrali na wczesną kolację?

Micaela skinęła głową, wstała od stolika i poszła do swojego pokoju, żeby się przygotować. I po raz pierwszy od dawna zaczesła grzywkę do góry.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Martin Falkegren zwołał konferencję prasową i chociaż właściwie chciał to załatwić sam, czuł się zobowiązany, żeby włączyć jeszcze komisarza Franssona. Dlatego siedział tu teraz obok tego spaślaka. Ale nie powinien narzekać. W końcu prasa pisała o nich dobrze. Taisir Sarwani przyznał się do popełnienia czynu i został aresztowany, razem ze swoim ojcem, pod zarzutem zabójstwa, przy czym nie brakowało spektakularnych szczegółów. Zjawiono się ze czterdziestu lub nawet pięćdziesięciu dziennikarzy. Musieli dostawić dodatkowe krzesła i dwa wentylatory. To był wyjątkowo ciepły dzień. Falkegren miał na sobie nowy niebieski garnitur i nowe buty marki Alden.

– Witam państwa – zaczął. – Jak wszyscy wiemy, praca policyjna to praca zespołowa – ciągnął, niezadowolony z powtórzenia słowa, ale mimo to dumny z tego sformułowania. Nie było w nim chępliwości, ale dzięki temu nie musiał wymieniać żadnej osoby, więc nader ogólnie i ze swadą opowiadał o odkryciach, które doprowadziły do przełomu w sprawie. Kiedy już powiedział wszystko, co uznał za warte uwagi, oddał głos Franssonowi. I to było mądre posunięcie, Falkegren zauważył to od razu. Fransson nie czuł się szczególnie dobrze w świetłach reflektorów i zaplątał się w nadmiar szczegółów. Dlatego Falkegren skoncentrował się na tym, żeby wyglądać pewnie i atrakcyjnie. Miał nadzieję, że całkiem nieźle mu się to udaje, nie tylko dlatego, że dziś rano dołożył przed lustrem wszelkich starań. Mógł także w zupełnie naturalny sposób odwracać się do Franssona i w ten sposób prezentować swój korzystniejszy lewy profil.

Znów przypomnieli mu się Rekke i Chilijka i to, jak bardzo Bruckner się mylił, kiedy przekonywał go, że nigdzie nie polecą. A oni zamiast tego wyjaśnili morderstwo w parę chwil. Było w tym jakieś wielkie szyderstwo

i Falkegren liczył na cud boski, że ta wieść nie rozejdzie się za bardzo, a jego własna rola w tej historii nie zostanie ujawniona. Usłyszał swoje nazwisko i popatrzył na zebranych dziennikarzy, żeby znaleźć osobę, która się do niego zwróciła.

– Czy to prawda, że udało się poznać prawdziwą tożsamość Kabira, kiedy na jego lewej dłoni odkryliście odciski od altówki? – zapytała młoda ciemnoskóra dziewczyna, chyba ze Sveriges Television.

– To błędne informacje. Jak mówiłem, to nie żadne konkretne detale doprowadziły do rozstrzygnięcia, tylko praca zespołowa. Szeroko zakrojone działania pod mądrym przywództwem – powiedział, znów potykając się o słowa. Ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Dostał kolejne pytanie od starszego dziennikarza z „Dagens Nyheter”.

– Jak pan ocenia postępowanie rządu w sprawach azyłowych? Kleeberger najwyraźniej świadomie wpuścił do kraju osobę stanowiącą zagrożenie dla bezpieczeństwa, żeby przypodobać się amerykańskiej administracji.

Falkegren przez moment nie był pewien, co odpowiedzieć. Z jednej strony chciał się zdystansować od ministra spraw zagranicznych, ale z drugiej strony wolał nie drażnić Brucknera, który go krył w tej sprawie. Dlatego w końcu sformułował odpowiedź w stylu sekretarza stanu Rekkego, który w jakiś zdumiewający sposób wyszedł z tego kryzysu silniejszy.

– Rozumiem trudne położenie rządu. Jak każdy jasno widzę fatalne konsekwencje tej decyzji. Lecz chciałbym też podkreślić, że wpuszczenie do kraju Kabira wymagało odwagi. To dzięki niemu mułła Zakaria mógł zostać wyeliminowany w Kopenhadze, człowiek, który w odróżnieniu od Kabira był terrorystą i stanowił duże zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Potem mówił dalej, trochę na siłę, w nadziei, że uda mu się uniknąć kolejnych pytań. Wychwalał cenną współpracę z amerykańską służbą wywiadowczą w Kabulu, nie pamiętając, że amerykańska służba wywiadowcza nie miała obecnie zbyt dobrej opinii po ujawnieniu tortur w więzieniu Abu Ghraib pod Bagdadem.

Rekke siedział przy fortepianie, ale nie grał. Znowu sprawiał wrażenie apatycznego. Zdaniem Micaeli nie wyglądało na to, żeby był pod wpływem jakichś substancji. Był tylko niezdolny do działania, pogrążony w sobie, w swoim własnym Prison of Darkness, jak to określała Julia. Micaela umościła się na zielonej sofie stojącej za jego plecami i przeglądała akta śledztwa w sprawie strzelaniny w Rinkeby, ale od czasu do czasu zerkała na Rekkego. Jego pasywność była dla niej prowokująca. Przez ostatnie dni nawet nie czytał książek, tylko przeważnie wisiał nad klawiszami fortepianu.

Oczywiście mogła też wyjść i zająć się swoimi sprawami, jeśli za bardzo ją wkurzał. Pomieszkiwała tu od czasu do czasu od jakiegoś miesiąca, ku wielkiej radości pani Hansson. Lucas był oczywiście trochę mniej zadowolony, a mama i Vanessa narzekały, że za rzadko ją widują, ale teraz nie miała siły się tym przejmować. Czuła się, jakby właśnie zaczynała nowy rozdział w życiu.

Na dworze chyba padał deszcz. Nagle Rekke coś powiedział. Micaela oderwała się od akt i swoich myśli.

– Co mówiłeś? – zapytała.

– Idzie do nas mężczyzna, trochę jak zawodnik wagi ciężkiej, w średnim wieku, pod wpływem alkoholu, krzywe plecy, zdenerwowany.

Nie zwracała sobie głowy pytaniem, skąd on to wie. Zaczęła nasłuchiwać odgłosów z korytarza i rzeczywiście usłyszała zbliżające się kroki. Były trochę niepewne i czujne. Teraz się zatrzymały i dał się słyszeć kaszel. Potem rozległ się dzwonek do drzwi, więc Micaela popatrzyła na Rekkego. Ten jedynie rozłożył ręce, trochę niepewnie, na co ona mruknęła „obibok” i poszła otworzyć.

Za drzwiami stał mężczyzna czterdziesto- lub pięćdziesięcioletni, możliwe, że nie całkiem trzeźwy, i z wadą postawy. Z całą pewnością był kiedyś sportowcem, siłaczem, który, zanim dopadły go kłopoty i pociąg do kieliszka, musiał być przystojnym facetem. Miał na sobie brązowy garnitur ze sztruku i błękitną koszulę. W dłoni trzymał staroświecką aktówkę.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała Micaela.

– Szukam profesora Rekkego.

– W jakiej sprawie? – spytała znowu i nagle poczuła się trochę głupio, jakby była sekretarką Rekkego albo jego portierką.

– Nazywam się Samuel Lidman – przedstawił się mężczyzna. – Moja siostra studiowała u profesora Rekkego i mówiła... – Umilkł, jakby się wstydził tego, co miał powiedzieć.

– Co mówiła pańska siostra?

– ...że jeśli masz jakąś zagadkę, to nie ma nikogo lepszego niż profesor Rekke.

– Ja bym raczej zaczęła od policji – zasugerowała Micaela.

– Oni mi nie wierzą. Mogę wejść? Czy profesor jest w domu?

Usłyszeli zbliżające się kroki i nagle Rekke stanął przy drzwiach, w całej swojej wybujałej postaci, i popatrzył na nich badawczo.

– Jestem – powiedział. – Proszę, niech pan wejdzie. Chyba chodzi o zaginięcie, prawda?

Mężczyzna spojrzał na niego zdumiony.

– Jak pan na to wpadł?

– Miałem takie przeczucie. Ale niech pan siada i wszystko opowie.

Gość usiadł na zielonej sofie, otworzył aktówkę i wyjął z niej fotografię, którą położył na stoliku. Zdjęcie przedstawiało plac przed wspaniałym kościołem z potężnymi kopułami oraz mnóstwem wieżyczek i iglic. Przed świątynią roiło się od ludzi i gołębi.

– Bazylika Świętego Marka w Wenecji – powiedział Rekke. – Całkiem nowe zdjęcie, prawda?

Mężczyzna popatrzył na niego swoimi brązowymi oczami, w których malował się smutek.

– Tak – przyznał. – Zrobione pod koniec marca, o ile dobrze wiem. Ale chciałem mówić o niej, o tutaj. – Wskazał na zdjęciu kobietę, około czterdziestoletnią, w czerwonym eleganckim płaszczu, która stała na pierwszym planie obok grupy japońskich turystów przysłuchujących się słowom przewodnika. – To moja żona – wyjaśnił.

– Jest piękna – rzuciła Micaela, żeby go podbudować.
– Była o wiele piękniejsza, niż zasłużyłem. Ale nie żyje od czternastu lat.
– Wygląda tu bardzo żywo.
– O to właśnie chodzi – powiedział mężczyzna. – Mam jej akt zgonu. Ale to rzeczywiście ona.

– Jest pan pewien? – zapytała Micaela.

– Absolutnie – potwierdził. – Widzą państwo to znamię, tu koło ucha? No właśnie, a jest więcej szczegółów. Mam też ze sobą stare zdjęcia, możecie państwo sami porównać.

Rekke spojrział na Micaelę, jakby nagle odzyskał swoją energię, po czym zwrócił się do gościa:

– Proszę opowiedzieć.

I w tym momencie, o godzinie piątej dwadzieścia po południu 10 maja 2004 roku, Samuel Lidman zaczął opowiadać swoją niesłychaną historię, która jeszcze długo potem nie pozwalała zasnąć Micaeli i Rekkemu.

Spis treści

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć

Dwadzieścia siedem

Dwadzieścia osiem

Dwadzieścia dziewięć

Trzydzieści

Trzydzieści jeden

Trzydzieści dwa

Trzydzieści trzy

Trzydzieści cztery

Trzydzieści pięć

Trzydzieści sześć

Trzydzieści siedem

Trzydzieści osiem

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
EN REKKE/VARGAS DECKARE. OBSCURITAS

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
Dmytro Tolokonov/Unsplash

Redaktor prowadząca
Dorota Jabłońska

Redakcja
Aleksandra Kubis

Korekta
Elwira Wyszynska

En Rekke/Vargas deckare. Obscuritas © David Lagercrantz,
first published by Norstedts, Sweden in 2021
Published by agreement with Norstedts Agency and BookLab Literary Agency
Copyright © for the Polish translation by Alicja Rosenau 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-8032-757-3



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)